

Poruszająca historia ludzi, którzy muszą
zacząć budować swoje życie od nowa...

Joanna
AX

NA OBCEJ
ZIEMI

NOWE
ŻYCIE



Joanna
AX
NA OBCEJ
ZIEMI

TOM 1

NOWE
ŻYCIE



Spis treści

Karta redakcyjna

1. Wrocław, 1947
2. Wrocław, 1947
3. Wrocław, 1947
4. Wrocław, 1947
5. Wrocław, 1947
6. Wrocław, 1947
7. Wrocław, 1947
8. Wrocław, 1947
9. Wrocław, 1947
10. Wrocław, 1947
11. Wrocław, 1947
12. Wrocław, 1947
13. Wrocław, 1947
14. Wrocław, 1947
15. Wrocław, 1947
16. Okolice Trzebnicy, 1947
17. Wrocław, 1947
18. Wrocław, 1947
19. Wrocław, 1947
20. Wrocław, 1947

21. Wrocław, 1947
22. Wrocław, 1948
23. Wrocław, 1948
24. Wrocław, 1948
25. Wrocław, 1948
26. Wrocław, 1948
27. Wrocław, 1948
28. Wrocław, 1948
29. Wrocław, 1948
30. Wrocław, 1948
31. Wrocław, 1948
32. Wrocław, 1948
33. Wrocław, 1948
34. Wrocław, 1948
35. Wrocław, 1948

Przypisy

Redakcja
Anna Seweryn-Sakiewicz

Korekta
Bożena Sigismund

Skład i łamanie
Marcin Labus

Zdjęcie wykorzystane na okładce
©PhoS/Shutterstock

Projekt graficzny okładki
Mariusz Banachowicz

© Copyright by Skarpa Warszawska, Warszawa 2023
© Copyright by Joanna Jax, Warszawa 2023

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie

Wydanie pierwsze
ISBN 978-83-83291-33-8



Wydawca

Agencja Wydawniczo-Reklamowa
Skarpa Warszawska Sp. z o.o.
ul. Borowskiego 2 lok. 24
03-475 Warszawa
tel. 22 416 15 81

redakcja@skarpawarszawska.pl

www.skarpawarszawska.pl





Konwersja: [eLitera s.c.](#)

I.



Wrocław, 1947

Przed monumentalnym budynkiem z czerwonej cegły w neogotyckim stylu przy ulicy Stalina kłębiły się tłumy ludzi, które nadciągały z Dworca Odra. Porządkowi próbowali ustawić coś w rodzaju kolejki, udzielali informacji i zdawali się wykazywać anielską cierpliwość.

Młoda kobieta z opaską Państwowego Urzędu Repatriacyjnego na rękawie wyszła z tłumu, oparła się o ścianę budynku i podpaliła papierosa. Wypuściła kłęb dymu i popatrzyła w niebo, jakby sprawdzała, czy za chwilę lunie deszcz, czy może ciemne chmury się rozproszą i oszczędzą czekających przed siedzibą PUR-u ludzi.

Wissarion nie miał pojęcia, gdzie powinien się udać, aby wyłuszczyć swoją prośbę i dostać zgodę na przeniesienie do Wrocławia, mimo że otrzymał już nadanie ziemi i gospodarstwa, a jego karta przesiedleńcza jasno wskazywała, iż powinien zamieszkać we wsi Szczodre, kiedyś znanej jako Sibyllenort. W końcu podszedł do dziewczyny. Nadia i Julianna zawsze mu powtarzały, że jest przystojnym mężczyzną i gdy się uśmiecha, jest w stanie oczarować każdą pannę.

– Straszny ścisk – zagadnął.

Uśmiechnęła się do niego, nieco z przymusu. Wyglądała na zmęczoną i może lekko znużoną.

– Teraz nie jest tak strasznie, ale zaraz po wojnie, gdy przeniesiono nas już do Wrocławia, działy się tu dantejskie sceny. Podobnie zresztą jak w naszych punktach etapowych na Psim Polu i przy Paulińskiej. A teraz znowuż nas mają stąd wykopać, bo w tym budynku powstanie szkoła. A wy skąd przyjechaliście? – powiedziała monotonnym głosem. Najwyraźniej urok Wissariona na nią nie zadziałał.

– Przybyłem spod Leska. Już jakiś czas temu.

– I dopiero teraz się do nas zgłaszacie? – zdziwiła się.

– Nie. – Uśmiechnął się słabo i wyciągnął z kieszeni akt nadania ziemi i budynków, wystawiony przez Ministerstwo Ziem Odzyskanych, oraz kartę przesiedleńczą.

– Coś się nie zgadza? – zadała kolejne pytanie i machnęła ręką. – Proszę się nie przejmować błędami w dokumentach. Mamy urzędników właściwie z łapanki. Kiedy się skończy repatriacja i sytuacja się uspokoi, poprawią panu te kwity.

– Nie w tym rzecz... Chciałbym się przenieść do miasta, a na gospodarce pozostałby mój brat. Nie wiem, jak to załatwić, żeby i przydział dostać we Wrocławiu, i robotę – wydukał.

Nie chciał mieszkać ze Stiepanem. Darował mu życie i pomógł w trudnej sytuacji, ale nie zamierzał się nim opiekować jak niegdyś. Nosił w sobie zbyt wiele żalu do brata, by mógł udawać, że nic strasznego się nie wydarzyło. Poza tym był przekonany, że gdy tylko Stiepan nieco okrzepnie i poczuje się w swojej nowej skórze bezpiecznie, znowu zacznie coś kombinować. W końcu na te tereny przybyło wielu Ukraińców i kto wie, ilu spośród nich to działacze OUN-u albo żołnierze UPA. On zaś nie zamierzał się w to bawić. Przede wszystkim dlatego, że nade wszystko pragnął zniknąć z oczu milicji i funkcjonariuszom Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego. A ci pilnowali Ukraińców jak oka w głowie, zapewne przerażeni myślą, że Ukraińska Powstańcza Armia mogłaby się odrodzić i szerzyć dywersję.

W tak dużym mieście jak Wrocław łatwiej było wtopić się w tłum. W ich wsi wszyscy patrzyli na nowo przybyłych Ukraińców jak na diabły. Począwszy od władzy lokalnej, a na zwykłych mieszkańcach skończywszy. A on wołał pozostać anonimowy. Miał plan i nie życzył sobie, aby głupie wybryki brata go zniweczyły.

– Jak cała wiocha zjedzie do Wrocławia, to nie da się tu żyć – burknęła.

– A co wam przeszkadza wiejska ludność? Nowa władza ponoć hołubi robotników i chłopów, a pani tak pogardliwie się o nich wyraża. – Wissarion postanowił udawać urażonego.

– Panie to były za sanacji – odparła wyniośle. – Mam na imię Irena. A dlaczego się martwimy repatriantami ze wsi? To proste, oni nie potrafią żyć w mieście. W łazienkach trzymają kury, na podwórzach budują szopy i hodują w nich kozy i świnię, a na skwerach sadzą ziemniaki. Wylegują się w parkach, jakby byli na łą-

ce, i wystawiają krzesła na chodniki, gdzie biesiadują jak we własnym obejściu. Tak nie może być...

– Zapewniam Irenkę, że nie zamierzam hodować świń i sadzić na zieleńcach buraków. Po prostu nie chcę mieszkać na wsi, tylko w mieście.

– Dobrze mówicie po polsku – stwierdziła i przygryzła wargi. – Tak sobie myślę... Wiem! Wyślę was do takiej jednej kierowniczkii Referatu Pracy. Narzeka, że nie rozumie Ukraińców, i rwie sobie włosy z głowy, gdy ci zarzucają ją pytaniami. Może się jej przydadcie. Nazywa się Genowefa Kurzepa.

– Myślałem raczej o zatrudnieniu przy odbudowie miasta. Zawsze pracowałem fizycznie... – zaczął dukać.

– Tak się wam śpieszy do ciężkiej roboty? To teraz niebezpieczne zajęcie. Można jakiś niewybuch znaleźć albo trupa... I tak się wystarczająco natyracie w czynie społecznym – odparła, wnikliwie przyglądając się Wissarionowi. – Przystojni jesteście. Jak wam na imię?

Zinowjew nieco się zawstydził, bo dziewczyna podała swoje imię, a on się nie przedstawił.

– W... Wiktor – powiedział i przełknął ślinę. O mały włos nie podał swojego prawdziwego imienia.

– Spodobacie się Gieni. – Zachichotała.

– To może jednak na tę budowę... – wymamrotał.

– A co wy do mnie gadacie? Ja tu tylko porządku pilnuję. Stańcie w kolejce jak wszyscy i powiedzcie, że wy do kierowniczkii Kurzepy. Ona zdecyduje, co z wami zrobić. Uprzedzam jednak, iż najpierw trzeba się zająć tymi, co dopiero przyjechali i nie mają gdzie spać. A wy, Wiktorze, i dom dostaliście, i hektar gruntów, a nawet zapomogę, bo wiadomo, że ziemia od razu nie obrodzi – odparła dziewczyna i ruszyła w stronę bramy, gdzie panował największy rozgardiasz.

Stwierdził, że musi poczarować tę panią Kurzepę, aby ta nie odesłała go do diabła. Właściwie nie miał pojęcia, czy w ogóle powinien się zgłosić do urzędu dla repatriantów, czy gdzie indziej, ale od czegoś musiał zacząć, a tę instytucję już znał. Nowa polska władza zdążyła się zainstalować, wypierając radzieckich urzędników oraz pozbywając się „czerwonej szarańczy” z *trofiejnych komand*, ale on był na tych ziemiach od niedawna i nie wiedział dokładnie, kto i czym się zajmował. No może

oprócz funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego i żołnierzy Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Z nimi jednak wolał nie mieć do czynienia.

Wewnątrz budynku Wissarion poczuł się niemal jak w kościele. Łukowe sklepienia, witrażowe okna i bogato zdobione kute balustrady przywodziły na myśl właśnie taki przybytek. Może i sama instytucja miała w sobie coś ze świątyni, bowiem każdy, kto tu przybywał, modlił się, by trafić do murowanego domu, niezniszczonego mieszkania czy otrzymać ziemię, na której cokolwiek wyrośnie.

Genowefa Kurzepa była szczerze zdziwiona wizytą Wissariona Zinowjewa, a może raczej Wiktora Krawczenki.

– Przecież dostaliście i hektar ziemi, i dom ładny, a nawet zapomogę trzysta złotych – powiedziała. – Zresztą nie wiem, czego szukacie w naszym urzędzie, to sprawa wydziału do spraw lokalowych. O ile otrzymacie we Wrocławiu robotę, chociaż ta też nie gwarantuje kwaterunku. Tylko po co wam się pchać do tego zrównanego miasta?

– Z bratem nie najlepiej żyję, wolę więc mieszkać i pracować we Wrocławiu.

Genowefa Kurzepa była kobietą około pięćdziesiątki, dość wysoką i – jak to się mawiało – „przy kości”. Jej twarz miała jednak łagodne rysy i można było panią Genowefę uznać za dość atrakcyjną, chociaż kompletnie nie była w typie Wissariona. Przyglądała mu się bacznie, podobnie jak młoda Irenka, pilnująca porządku przed budynkiem. Miał w dłoniach beret, nie bardzo wiedząc, czy wyjść z pokoju kierowniczkę i skierować się do znajdującego się niedaleko Zarządu Miejskiego, bo tam powinien dostać jakieś wskazówki, czy jednak poprosić korpulentną urzędniczkę o pomoc. Sprawę rozstrzygnęła sama Kurzepa – wezwała do siebie jedną z pracownic, nakazała odnaleźć dokumenty Wiktora Krawczenki, a jego poprosiła, żeby usiadł i poczekał.

– Spróbuję wam pomóc. Jestem jednak kierownikiem Referatu Pracy i nie zajmuję się kwaterunkiem – powiedziała z żalem w głosie.

– Może odnajdę przyjaciela z mojej wsi, na pewno da mi miejsce do spania, byle bym robotę podłapał – wydukał.

– A jak się nazywa wasz znajomy? Może i jego dokumentów poszukamy i powiemy wam, gdzie zamieszkał? – zaproponowała Genowefa.

Zaklął w duchu. Nie miał pojęcia, który z jego znajomych mógłby przebywać we Wrocławiu. Przecież nie poda zmyślonych danych, bo tylko narobi bałaganu. Może

znalazłby się jakiś Zinowjew, ale tego nazwiska wolał nie wymieniać, choć być może ta uczynna kobieta nie miała pojęcia, kim byli członkowie jego rodziny.

– Proszę się nie trudzić. I tak macie ze mną problemy, nie chcę wam dokładać następnych. – Machnął ręką.

Nie odpowiedziała, ponieważ do pokoju weszła młoda, wychudzona dziewczyna w za dużej sukience i położyła na biurku szarą teczkę. Kurzepa zaraz ją otworzyła, odnalazła dokumenty dotyczące Wiktora Krawczenki i powiedziała:

– Widzę, że przysłużyliście się NKWD w tropieniu ukraińskich bandytów. Może udacie się z moją rekomendacją do Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego? Tacy ludzie są nam potrzebni, bo nie pozbyliśmy się jeszcze wszystkich morderców z UPA. Zapewne wielu z nich prześlizgnęło się do Wrocławia i kto wie, czy nie zechcą przygotować kolejnych aktów sabotażu. Moglibyście i teraz pomóc w ich odnalezieniu.

„Jeszcze mi tylko tego brakowało” – pomyślał z przekąsem, ale nie chciał zbyt gwałtownie reagować na podobną propozycję. Genowefa Kurzepa mogłaby pomyśleć, że jest wrogiem nowego ustroju, co zresztą nie mijaloby się z prawdą. Milczał więc, jakby rozważał ofertę.

– Znam jednego wysoko postawionego oficera NKWD... – ciągnęła niezrażona milczeniem Wissariona.

– Przecież we Wrocławiu już się zainstalowała polska władza...

Popatrzyła na niego jak na idiotę. Tajemnicą poliszynela było, że w każdym ważniejszym resorcie władzę nadrzędną stanowili radzieccy oficjele, nazywani sowietnikami, nawet jeśli chodzili w polskich mundurach. I to oni zawsze mieli ostatnie słowo. Jeszcze bardziej niż przed chwilą pragnął, by kobieta porzuciła ten pomysł.

– Słyszycie przecież, że dobrze gadam w waszym języku, chociaż jestem Ukraińcem. A tutaj przyjeżdża wielu takich, co po polsku ani be, ani me, ani kukuryku. – Wyszczrzył zęby w uśmiechu, by zachęcić Kurzepę do zatrudnienia go w charakterze tłumacza. Na początek mógłby robić i to.

Genowefa postukała ołówkiem w blat biurka i stwierdziła:

– Moim tłumaczem nie możecie zostać, bo już mi jakiegoś przydzielili, ale będziecie jeździli w teren i sprawdzali, czy przesiedlonym Ukraińcom niczego nie brakuje. Codziennie będziecie sporządzać raporty. Pisać umiecie?

– Po polsku dość kiepsko – przyznał się od razu, bo jakże miałby tworzyć jakieś pisma bez znajomości alfabetu łacińskiego.

– I co ja mam z wami zrobić? – jęknęła, ale na szczęście nie nakazała, żeby sobie już poszedł, bo marnował jej cenny czas. – Może wróćcie na gospodarkę, pojednajcie się z bratem...

– Nigdy w życiu – wycedził.

– W takim razie będziecie rozwozić do powiatowych komitetów aprowizacyjnych przydziały z naszego oddziału Centralnego Komitetu Pomocy Społecznej przy punkcie etapowym przy Paulińskiej. Żywność, ubrania, środki czystości... A tymczasem zamieszkacie na Biskupinie. Dokwateruję was do willi, w której mieszkam. Mam jeden pokój i małą służbówkę. Możecie się w niej zadekować, dopóki nie znajdziemy wam czegoś innego. Prowadzić auto potraficie?

Pokręcił głową. Miał wrażenie, że kobieta za chwilę straci cierpliwość.

– W takim razie będziecie pomocnikiem kierowcy – odparła z głośnym westchnieniem.

Wissarion chwycił dłoń Kurzepy i zaczął ją obcałowywać.

– Jakże ja się wam odwdzięczę? – zapytał.

Kobieta poczerwieniała jak burak i wymamrotała, rezygnując ze stosowania per wy:

– W piecach napalisz, drewna narąbiesz i przypilnujesz, żeby inni lokatorzy za bardzo nie brudzili. Im się wydaje, że zaraz ich gdzieś przeniosą, to o nic nie dbają. Gdy taki wielki chłop jak ty zwróci im uwagę, pewnie posłuchają. A ja jestem tylko słabą kobietką. – Chyba go podrywała, co trochę go przeraziło.

– Przecież mógłbym pójść na budowę, żeby wam problemów nie robić...

– Ciebie szkoda. – Spuściła wzrok jak panna na wydaniu.

– W takim razie już nikt nie będzie u was brudził. – Uśmiechnął się nienaturalnie.

Zapomniał, jak zjednywać sobie kobiety i teraz robił to bardzo nieudolnie. Nawet nie pamiętał, kiedy ostatnio się uśmiechał w sposób niewymuszony. Odkąd stracił córkę, a drogi jego i Nadii się rozeszły, nic go nie cieszyło.

– W takim razie podam ci adres tej willi. Przyjdź po czwartej, wtedy powinnam już być w domu. Dzielnica ładna, spokojna i mało zniszczona, będzie ci się tam po-

dobą – odparła, lekko dukając.

Do niedawna konkretna i dość chłodna Genowefa nagle zamieniła się w załężnioną, a może bardziej zawstydzoną kobietę. Zapewne uznała, że ma u Wissariona jakieś szanse. Na razie nie zamierzał wyprowadzać jej z błędu, ponieważ pani kierownik Referatu Pracy przez jakiś czas będzie mu bardzo potrzebna.

– Dobrze, będę. Tylko... ja niczego nie mam. Wszystko zostawiłem bratu. Ot, kilka starych szmat – odparł i wskazał na niewielki tobolek, który zabrał z domu.

– Zajmiemy się również tym. Jeśli zaczniesz pracę w komitecie, będziesz mógł sobie coś wybrać do ubrania. I zastanów się nad współpracą z Urzędem Bezpieczeństwa. Pułkownik Fiodorow może zrobić z ciebie prawdziwą szychę, jeśli dzięki tobie złapie kilku bandytów z UPA. – Uśmiechnęła się, nieświadoma, że Wissarion Zinowjew w tym momencie stracił oddech.

– Kto taki? – wymamrotał po chwili milczenia.

– Maksim Fiodorow. Pracuje w tym pięknym, ogromnym budynku przy Podwalu. I uwierzcie, to on trzęsie tym urzędem. Może wszystko...

„Tak, może wszystko – pomyślał z przekąsem Wissarion. – Nawet żyć z moją córką i z moją ukochaną”.

– Nie... Wolę pozostać zwykłym, prostym człowiekiem – wydukał.

– Teraz wszystko się zmieniło i za jakiś czas nie będziesz musiał już być prostym człowiekiem, bo każdy, kto zechce się wykształcić, dostanie taką możliwość.

Nie odpowiedział, jedynie skinął głową. Zapamiętał adres willi na Biskupinie, przy Spółdzielczej, a potem wyszedł na miękkich nogach z pokoju Kurzepy. Dotarło bowiem do niego, że jeśli Maksim Fiodorow został tutaj oddelegowany, Nadia i jego córeczka prawdopodobnie przyjechały razem z nim.

Plan na jego przyszłe życie, który wykuł się podczas podróży do Wrocławia, właśnie legł w gruzach.

2.



Wrocław, 1947

Czarny chevrolet zatrzymał się przed jedną z kamienic przy dawnej Matthiasstrasse. Obecnie ulica otrzymała miano Józefa Stalina i Nadia pomyślała, że zapewne mieszkańcy budynku woleliby niemiecką nazwę, nawiązującą do świętego, a nie do tyrana i mordercy milionów ludzi. Wierzyła, że okres kultu przywódcy radzieckiego minie tak samo jak niegdyś Adolfa Hitlera. Na razie jednak nic na to nie wskazywało.

– Proszę nie czekać, spędzę tu kilka godzin – powiedziała do kierowcy chevroleta.

– Pułkownik powiedział, że mam was także zawieźć z powrotem do domu – oznajmił młody mężczyzna, który niedawno został kierowcą ważnej osobistości i czuł się z tego powodu bardzo dumny.

– W takim razie proszę po mnie przyjechać o szóstej. Być może mój mąż będzie was potrzebował, a wy będziecie marnowali czas, stojąc beczynn timer przed jakąś kamienicą – oznajmiła sucho.

– W takim razie będę o szóstej – odparł takim tonem, jakby Nadia właśnie odebrała mu szansę na kilka godzin odpoczynku.

Właściwie było jej wszystko jedno, co w tym czasie będzie robił ów człowiek. Mógł sobie pojechać nad rzekę albo wrócić na Podwale, przed budynek Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego, w którym rezydował Fiodorow. Nie chciała jednak budzić sensacji wśród mieszkańców kamienicy przy Stalina. I tak siedzący na krzesłach przed budynkiem dwaj mężczyźni przyglądali się jej z lekką grozą, podobnie jak zamiatająca obejście kobieta.

Gdy tylko Nadia zbliżyła się do bramy, otyła niewiasta w kwiecistej chustce na głowie zaczęła ostrym tonem rugać mężczyzn:

– To nie wasza wiocha! Nie przystoi w wielkim mieście siedzieć na ulicy!

Na Nadię przestała zerkać, zapewne ze strachu. Każde dziecko wiedziało bowiem, że ponemieckie zdobycze, jakimi były między innymi luksusowe limuzyny, należały do instytucji, których należało się wystrzegać.

– Przepraszam... – przerwała tyradę kobiety Nadia. – Szukam rodziny Lemańskich.

Nadia się domyśliła, że kobiecina jest dozorczynią i zna wszystkich mieszkańców kamienicy.

– Pod piątką mieszkają – wymamrotała.

– Dziękuję – odparła i uśmiechnęła się do wgapiającego się w nią towarzystwa. Nie chciała, żeby czuli przed nią lęk czy nawet respekt.

Budynek, w którym zamieszkali Lemańscy i Osadkowscy, nie ucierpiał zbyt wiele podczas oblężenia Breslau. Na fasadzie można było dostrzec jedynie dziury po kulach, ale konstrukcja najpewniej nie została uszkodzona. Nie ustawiono żadnych wsporników czy rusztowań, co było dość rzadkim widokiem we Wrocławiu.

Na klatce schodowej cuchnęło niemiłosiernie. Zapach gotowanej kapusty mieszał się z wonią kurzych odchodów. Nadia nie bardzo wiedziała, dlaczego śmierdzi tam jak w wiejskim obejściu, ale nie zamierzała się zbyt wiele nad tym zastanawiać. Za chwilę miała zobaczyć swoich dawno niewidzianych przyjaciół. W takich chwilach doceniała status, który posiadała dzięki Maksimowi. Jedno zdanie wystarczyło, by jego podwładni ruszyli do rozmaitych urzędów, żeby dowiedzieć się, co się stało z Lemańskimi i Andrzejem Osadkowskim, a potem ustalić ich aktualny adres.

Nacisnęła dzwonek przy dwuskrzydłowych zielonych drzwiach z lekko odpryskującą farbą. Po chwili usłyszała zgrzyt przekręcanego zamka, a potem ujrzała na progu swoją byłą teściową, Katarzynę Osadkowską. Matka Marty i Andrzeja bardzo się postarzała od czasu, gdy widziały się ostatni raz, ale wciąż miała duże, przenikliwie spoglądające oczy. Nadii ugięły się nogi, ponieważ nie miała pojęcia, że rodzice Andrzeja powrócili z Kazachstanu. A teraz stanęła oko w oko z panią Katarzyną, która zapewne już wiedziała zarówno o rozwodzie swojego syna, jak i o tym, że Nadia związała się z radzieckim oficerem NKWD.

– Dzień dobry – wydukała.

– Nadia? – zapytała pani Osadkowska. – A co ty tu robisz?

W głosie teściowej nie pobrzmiwała radość ze spotkania po latach, ale raczej pogarda pomieszana ze zdziwieniem.

– Chciałam odwiedzić swoich przyjaciół. – Z trudem wypowiadała słowa, bo niechęć pani Katarzyny do niej nieco wytrąciła ją z równowagi. – I cieszę się, że mama... że pani przeżyła.

– Oboje z mężem przeżyliśmy. A jeśli przyszedł odwiedzić swoich przyjaciół, to w tym domu na pewno ich nie znajdziesz – burknęła stara Osadkowska.

– A czy Marianna i Boguś... Na pewno pani ich poznała... Czy zna pani może ich aktualny adres? – Nadia wciąż się jąkała, jakby stała przed obliczem jakiejś ważnej osobistości.

– Mieszkają pod siódmką – burknęła pani Katarzyna i zatrzęsnęła Nadii drzwi przed nosem.

Mogła zadzwonić jeszcze raz i poprosić, by Osadkowska zawołała Marcela albo Martę, ale się nie ośmieliła. Palił ją wstyd, bo była przekonana, że teściowa wiedziała nie tylko o jej mariażu z Fiodorowem, ale także o tym, iż Wissarion Zinowjew wcale nie był jej kuzynem. Była pewna, że zarówno Marta, jak i Andrzej bronili jej dobrego imienia, ale kto wie, co mogło strzelić do głowy Felicji czy Jadźce Kaczkan?

Weszła na następną kondygnację i zapukała pod numer siódmy, ponieważ nigdzie nie znalazła dzwonka. Na skrzydle drzwi przytwierdzono dwie papierowe wizytówki. Wynikało z nich, że oprócz Marianki i Bogusia w mieszkaniu miejsce do życia znalazła także rodzina o nazwisku Dzięgiel.

Drzwi otworzył jej brzuchaty mężczyzna w podkoszulku, o przerzedzonej fryzurze i z papierosem w zębach. Przez wąską szparę wydobył się odór, którego namiastkę czuć było na klatce schodowej. Popatrzył na elegancko ubraną Nadię, przyglądził zmierzwione włosy, mlasnął obrzydliwie, jakby ssał landrynkę, i zapytał uwodzicielskim głosem:

– A pani ładna to do kogo?

– Szukam panny Marianny i jej brata, Bogusia. Dobrze trafiłam?

– To pani siostra? A nipodobna żadną miarą. – Uśmiechnął się.

– Kuzynka – odparła z westchnieniem.

– Wchodzi pani.

Mężczyzna otworzył szerzej drzwi, ale wciąż w nich stał i Nadia musiała otrzeć się o jego wystający brzuch, żeby dostać się do środka. Mimo panującej biedy i reglamentowanej żywności temu człowiekowi musiało się dobrze powodzić, jeśli nie stracił, jak to mawiał Marcel, swojego „bańtucha”.

Przecisnęła się przez wąski korytarz, zagracony niemożliwie, i w końcu znalazła się w pokoju Marianny i Bogusia. Zezowata kobieta aż się popłakała z radości, widząc Nadię. Nikt z jej przyjaciół nie miał pojęcia, że i ona w końcu trafiła do Wrocławia. Nie była jednak przymusowym przesiedleńcem, ale żoną sowietnika, bez którego władze Urzędu Bezpieczeństwa nie mogły podjąć żadnej znaczącej decyzji.

– Osadkowsy wrócili z Kazachstanu... Ale pani Katarzyna nawet nie chciała mnie wpuścić do mieszkania – zaczęła się zalić Nadia, kiedy już przywitała się z Marianną i jej bratem, a potem wyjaśniła, dlaczego znalazła się we Wrocławiu.

– Ni całkim z Kazachstanu. Podobnie z armią Andersa wyszli i mieszkali potem u Indian – zakomunikowała Marianka.

– W Ameryce? – zdziwiła się Nadia. Chyba bardziej tym, że zdecydowali się opuścić bezpieczny i bogaty kraj i przyjechali do komunistycznej i zrujnowanej Polski.

– Ni, nu w jakij Ameryce? W Indiach, gadam przecież. – Marianna machnęła ręką, bo najwyraźniej nie miała pojęcia, że Indianie wcale nie mieszkają w Indiach, ale w Ameryce.

– Musieli się bardzo zdziwić, gdy się dowiedzieli, jak wielkie zmiany zaszły w ich rodzinie. Marta w końcu wyszła za Marcela, a ich syn rozwiódł się ze mną.

– I Andrzej si ożenił z Emilką Lamparską – powiedziała Marianka.

– Wiem o tym, Maksim mi powiedział. Ale nie pobrali się w kościele, tylko w urzędzie. To musiał być dla starych Osadkowskich cios... – westchnęła.

– Większy był, jak zmiarkowali, żeś ty teraz sowiecka dygnitarzowa – zaśmiał się Boguś. – Dla nich to jak zdrada ojczyzny.

– Oj, ni gadaj już głupot! Tylko ją w nerwy wpędzisz! – zaprotestowała gwałtownie Marianna i dodała: – A ni przejmuj si, zaraz nadam Marcie i Marcelowi, żeś si cudem odnalazła. A tyn twój? Wissarion? Wiesz, gdzie on si teraz podziewa?

– Podobno nie żyje, ale ja w to nie wierzę – odparła Nadia, a potem skrzywiła się i zapytała: – Na Boga, dlaczego u was tak śmierdzi?

Boguś machnął ręką.

– A zjechała tu wiocha i kury w łazience trzyma. Jak awanturę zrobiłem, to kobieta chciała oknem skoczyć z rozpaczy, że si jej kuraków pozbęde. Dozorczyni udaje, ży o niczym nie wi, a donosić na milicję... no ni bardzo wypada. Ni zostaną kapusiem na stare lata.

– Niby chłop wielki jak piec, a miętki jak siennik na moim wyrku – burknęła Marianna i zwróciła się do brata: – Lepij idź pod piątkę i nadaj Marcie albo Andrzejowi, że Nadia u nas jest. A ja jakiej herbaty zaparzę.

– Nie fatyguj się, Marianko – powiedziała Nadia. Obawiała się, że i herbata będzie zalatywać kurzymi odchodami.

Andrzej przyszedł kilka minut później i oznajmił stanowczo:

– Moja matka zachowała się bardzo niegrzecznie. Jednak nie może się wtrącać, kogo przyjmujemy z Emilią w swoim pokoju, a kogo nie.

– Rodzinka w komplecie – westchnęła Nadia.

– Niby powinienem się cieszyć, że udało się nam zakwaterować w jednym mieszkaniu i nie musimy dzielić go z obcymi, ale uwierz, można z nimi wszystkimi zwariować. A do tego Michaś z Ignasiem codziennie robią taki rejwach, że uszy puchną. Mała Marysia też dokazuje aż miło... Czasami mam ochotę wyskoczyć oknem.

– Co oni mają z tym wykidaniem^[1] si przez okno? – mruknął pod nosem Boguś.

– Chyba nie powinnam do was przychodzić. Przecież możemy się spotykać u Bogusia i Marianny – powiedziała niepewnie Nadia. Nie chciała, by z jej powodu Andrzej poróżnił się ze swoją matką.

– Nie możemy, bo po pięciu minutach w tym mieszkaniu mam ochotę rzucić wiktem, jak to mawia Marcel. – Andrzej się uśmiechnął.

– Jak ni z okna, to wiktem, ładna robota. – Boguś zarechotał głośno.

Nie protestowała dłużej, tylko pozwoliła się zaciągnąć do mieszkania piętro niżej. Było ono obszerne i składało się z czterech dużych i widnych pokoi. Zapewne przed wojną mieszkali w nim jacyś zamożni ludzie, teraz jednak zakwaterowano w nim kilka rodzin, co we Wrocławiu nie stanowiło specjalnego dziwowiska. Miasto było zrujnowane, bardzo powoli podnosiło się ze zgliszcz po Festung Breslau i zapewne minie kilka ładnych lat, zanim zagęszczenie w lokalach mieszkalnych nieco się zmniejszy, zwłaszcza że dla władz polskich najważniejsza była odbudowa stolicy, a Ziemie Odzyskane stanowiły źródło pozyskiwania cegieł, stolarki i in-

nych dóbr, które masowo wywożono do Warszawy. Może dlatego coraz częściej mówiono o tych stronach „Dojny” Śląsk, zamiast Dolny.

Emilia Osadkowska patrzyła na nią z równie wielką pogardą, jak pół godziny wcześniej pani Katarzyna. Nadia nie miała jednak pojęcia, czy tę pełną wyrzutu minę wywołał fakt, że Nadia była niegdyś żoną Andrzeja, czy obecnie Maksima. Na szczęście za chwilę do pokoju weszli Marta z Marcelem i Nadia przestała zwracać uwagę na Emilkę.

– Dobrze, żeś si ze Lwowa przeflancowała na te Ziemie Wyzyskane – powiedział Marcel. – Przecież teraz Lemberg to radziecki, no a Breslau polski.

– A jaka to dla niej różnica, jak za kacapa poszła? – nie wytrzymała Emilia.

– Emilio... Proszę... – powiedział cicho Andrzej i zgromił wzrokiem swoją małżonkę.

– A czy wiesz, dlaczego za niego wyszłam? – zapytała z ironią Nadia.

– To nie ma znaczenia, ale fakt, że jesteś żoną oprawcy z NKWD – z ust Osadkowskiej skapywał jad.

– Nie pomyślałaś, że gdyby nie poszła za Maksim, ty zostałabyś wdową? Co ja mówię, nawet byś nie zdążyła za Andrzejka za męża wyjść – fuknęła Marta. – Mogłabyś docenić jej poświęcenie.

– Naprawdę? Wozi się pewnie limuzynami, mieszka bez lokatorów i nosi się jak damulka. Straszne mi wyrzeczenie – prychnęła Emilia, a po chwili opuściła pokój, chyba zdając sobie sprawę, że jej słowa nie znajdą w tym towarzystwie poklasku.

– Nie zwracaj na nią uwagi – powiedział Andrzej, uśmiechając się sztucznie.

Najpewniej wstyd mu było za żonę. Nadia była częścią ich rodziny i osobą na tyle bliską, że w końcu Andrzej pogodził się z jej wyborem. A nawet, podobnie jak Marta, był jej bardzo wdzięczny za to, co dla niego zrobiła.

– Nie będę – odparła i poklepała byłego męża po ramieniu.

Pewnie, że było jej przykro, ponieważ nie sądziła, iż to właśnie Emilka będzie miała do niej największe pretensje, ale w tej chwili chciała się jedynie cieszyć obecnością przyjaciół.

– Jak ta czarna limuzyna podjechała, to zym si spocił z nerw. Już myślałem, że po kogoś z naszych przyjechali... Ale zirkam^[2], a tam jakaś kobita wysiada, i lżyj mi si jakoś zrobiło. Ni poznałem, ży to ty.

– Nie chciałam wzbudzać ani lęku, ani sensacji, ale Maksim wciąż o mnie drży. Wydaje mu się, że wszyscy czyhają na nasze życie. A to Ukraińcy z UPA, którym udało się przeżyć i dostać do Wrocławia, a to znowuż polscy bandyci z AK albo Niemcy, którzy tu pozostali. Że o szabrownikach nie wspomnę. Jak mam wracać wieczorem, to jeśli tylko jest taka możliwość, daje mi auto z kierowcą.

– E tam. – Marta machnęła ręką. – Pewnie się boi, żeby cię jaki przystojniak nie zauroczył.

– Może i tak, ale Maksim za nic w świecie się do tego nie przyzna. – Uśmiechnęła się.

Oczywiście zapytali ją także o losy Wissariona Zinowjewa.

– Przykro mi z powodu Wiszy – powiedział cicho Andrzej, gdy Nadia powiedziała mu o ustaleniach Fiodorowa.

– Ja wiem, że on żyje. Gdyby coś mu się stało, na pewno bym to poczuła. Tu, w środku – odparła kategorycznie i położyła dłoń na piersi.

Andrzej zerknął ukradkiem na Martę, a potem na Marcela. Zapewne doszli do wniosku, że zwariowała z żalu po ukochanym i wmawiała sobie, iż jeszcze kiedyś się spotkają. Nie wyprowadzali jej jednak z błędu, być może uznając, że takie oszukiwanie siebie w czymś Nadii pomoże. Mieli słuszność. Gdyby chociaż raz zwątpiła we własne przeczucia i uznała, że Wissarion Zinowjew nie żyje, pękłoby jej serce. Tylko czasami jakiś cichy głosik z niej drwił, że jest kompletną idiotką, która codziennie się okłamuje.

– Fiodorow nie miał ci za złe, że odwiedzasz byłego małżonka? Nie jest zazdrosny? – zapytał Andrzej, zmieniając temat, by nie rozdrapywać ran Nadii.

– On wie, że nic mu z twojej strony nie grozi – odparła, nie do końca zgodnie z prawdą.

Dość często dochodziło w jej domu do sprzeczek, odkąd poprosiła męża, by ten pomógł jej odnaleźć nie tylko Martę i Marcela, ale także Andrzeja. Uspokoił się dopiero wówczas, gdy dowiedział się o ślubie Osadkowskiego z Emilią Lamparską. Maksim nie miał pojęcia, że w jej sercu było miejsce na miłość tylko do jednego mężczyzny, i nie był to Andrzej, ale Wissarion Zinowjew.

– To dobrze, za nic w świecie nie chciałbym kolejny raz wylądować w więzieniu – odparł Osadkowski, udając zatrwożonego.

– Maksim wiele ryzykował, wyciągając cię z niego. – Kolejny raz uśmiechnęła się nieszczerze. Miała nadzieję, że nikt tego nie zauważy, a Andrzej nie zacznie na nowo drażnić tematu. Liczyła także, że umowa, którą niegdyś zawarła z Maksimem, nadal będzie obowiązywała i Andrzejowi nie spadnie włos z głowy.

– A Emilia zamiast całować cię po rękach, stroi fochy. Podobnie jak nasi rodzice – burknęła Marta i dodała: – Jakbym nie dość miała słuchania starej Kaczkanowej i jej głupiej wnuczki. Wasyl uratował mi życie, Andrzejkowi również, a ta megiera, Fela, nic tylko głądzi o tym, że chłopaka trzeba odnaleźć i donieść na niego do UB. Co gorsza, moi rodzice podzielają jej poglądy. I ciągle chodzą naburmuszeni. Jak nie z twojego powodu, Nadio, to z powodu Wasyla.

– Oni to niezadowoleni, żeś za mnie poszła – warknął Lemański. – A teraz mamy przecież demokrację i każdy może si zenić, z kim chce. Wszyscy jesteście teraz takimi samymi biedołachami.

– A ty, Marcel, dostałeś jaką robotę? – zapytała Nadia.

– Na ślusarce si znam, ale z tą sztywną grabą nigdzie mnie ni chcą. Stróżuję trochę, trochę kombinuję i jakoś nastajemy. – Machnął ręką.

– No a ty, Andrzejku? – zapytała cicho.

– Kiedy piszę w podaniu, że byłem żołnierzem AK i objęła mnie amnestia, to najpierw gapią się na mnie jak na ducha, a potem odsyłają do najpodlejszych robot. Jakbym się nie przyznał, a sami by do tego doszli, zrobiłaby się chryja. Mógłbym do partii komunistycznej się zapisać, wyrzec się swojego dawnego życia i wmówić im, że się na bolszewizm nawróciłem, ale Emilia nawet nie chce o tym słyszeć. Podobnie jak moi rodzice. A przecież staramy się z Emilką o powiększenie rodziny. Co będzie, gdy urodzą się dzieci? – powiedział z żalem w głosie Andrzej.

– Jak tak codziennie będziecie się kłócić, to raczej się nie dorobicie potomka – stwierdziła Marta i zachichotała.

– Dlaczego się kłóćcie? Przecież była z was taka idealna para. No i twoi rodzice powinni być zadowoleni z nowej synowej – zdziwiła się Nadia.

– Moja żona nie rozumie, że teraz wszystko się zmieniło i nie może udawać, iż wciąż jest panią oficerową. Nie chcę się zajmować żadnymi niebezpiecznymi sprawami, już się w życiu nawojowałem i wycierpiałem. Gdy ogłoszono amnestię, stałem się przed Państwową Komisją Amnestyjną, chociaż już od dawna nie działałem w podziemiu i nie zamierzałem tego robić. Jednak zdałem broń i wypowiedziałem

dałem się, gdzie służyłem w AK i co tam robiłem. Jeden pistolet sobie zostawiłem, bo tutaj bez gwera^[3] ani rusz. Może gdybym dostrzegł jakąkolwiek szansę w takiej walce... Masz słuszość, twój mąż wiele ryzykował i dał mi drugą szansę. Chcę ją wykorzystać, gdy tymczasem Emilia uważa, że dałem się złamać. Od bohatera do szmaty – westchnął.

– Zapewne chce, żebyście do jej tatuśka, do Anglii, pojechali – prychnęła Marta.

– Porozmawiam z Maksimem, może załatwi ci jakąś dobrą pracę – powiedziała pocieszająco Nadia.

Sądziła, że Andrzej zaprotestuje, ale nie zrobił tego. Marta szepnęła jej do ucha, że jedyne zajęcie, jakie mu przydzielono, to w ekipie odgruzowywania miasta. Niekiedy natykał się w niej na rozkładające się trupy albo niewybuchy, więc to i podła, i niebezpieczna robota.

Okolo szóstej Nadia wyjrzała przez okno. Kierowca Maksima już na nią czekał. Pożegnała się pośpiesznie ze wszystkimi, obiecała, że będzie ich często odwiedzać, a potem wyszła przed kamienicę. Była pewna, iż wszyscy jej mieszkańcy dyskretnie patrzyli na czarnego chevroleta i na nią. Być może zastanawiali się teraz, jakie konszachty z prominentami mieli ich sąsiedzi spod piątki.

Ludzie byli nieufni i podejrzliwi, ale trudno było się im dziwić. Nigdy nie było wiadomo, czy podjeżdżający przed dom samochód nie oznacza aresztowania kogoś z mieszkańców. Jeśli ktoś w czasie wojny działał w podziemiu albo w UPA, nie chwalił się tym. Podobnie jak faktem, że za sanacji posiadał majątek i należał do zamożnej elity. Kiedyś przynależność do wyższego stanu była powodem do dumy, teraz już nie. Należało raczej ukrywać swoje pochodzenie, zamiast się nim chełpić.

Doskonale pamiętała, jak Osadkowscy traktowali ją z góry i w jaki sposób wypowiadali się o Marcelu. Nie tylko z uwagi na jego kryminalną przygodę, ale nazywali go także prostakiem i biedołachem. Teraz nie dość, że stali z Lemańskim w jednym szeregu, to jeszcze musieli zamieszkać z nim pod jednym dachem.

Po powrocie do domu Nadia zasiadła z mężem do kolacji. Nie musiała jej przygotowywać, bo Fiodorow zatrudnił gospodynię – steraną życiem Niemkę, która jeszcze nie opuściła Wrocławia.

Niemców pozostała w tym mieście garstka. Polskie władze jednak nie chciały pozbywać się wszystkich, chociażby tych, którzy znali zarówno język niemiecki, jak i polski czy rosyjski. Martha Grossler należała do tej grupy, bowiem za cara służyła w Sankt Petersburgu, dobrze władała językiem Tolstoja i zaraz po wejściu Rosjan stała się bardzo przydatna. Potem przestali się nią interesować i zaproponowali jej wyjazd do Niemiec. Nie zrobiła tego, twierdząc, że Breslau to jej mała ojczyzna. Przybyły do Wrocławia Fiodorow od razu ją zatrudnił i dzięki temu Martha mogła wieść takie życie jak dotychczas, tylko służyła innym panom. Reguły obowiązujące w socjalistycznym świecie równości najwyraźniej nie dotyczyły takich ludzi jak pułkownik NKWD.

W przeciwieństwie do wielu innych osób, napływających wciąż do Wrocławia, Nadia nie czuła niechęci do Marthy, ponieważ nigdy nie uznawała zbiorowej odpowiedzialności. Owszem, wiele wycierpiała z powodu gestapo, ale jaki związek mógł mieć zwyrodnialec z żeńskiego więzienia we Lwowie z Bogu ducha winną kobieciną, która przez większość swojego życia pełniła służbę w bogatych domach.

– Udało się spotkanie? – zapytał Maksim bez cienia złośliwości.

– Tak... Bardzo ci dziękuję, że pomogłeś mi ich odnaleźć. Czuję się tu obco, a z uwagi na to, kim jesteś, nikt nie chce się do mnie zbliżyć. A oni... Oni mnie akceptują bez względu na wszystko – powiedziała ciepło, bo nie chciała, by owa wypowiedź zabrzmiała jak wyrzut.

– Nadio, we Wrocławiu jest wielu radzieckich oficerów, którzy przybyli tu z rodzinami. Z czasem zaprzyjaźnisz się z nimi i uwierz, żadna z tych kobiet nie będzie się ciebie obawiała. Oczywiście nie oznacza to, że mam coś przeciwko temu, żebyś odwiedzała swoich przyjaciół. Wierzę, że żadne z nich nie robi podejrzanych rzeczy. Jeśli tak by było, mam nadzieję, iż pierwszy się o tym dowiem. Od ciebie, a nie z kartotek – odparł spokojnie.

– Maksimie, dlaczego uważasz, że każdy coś kombinuje i bruździ władzy ludowej? Ludzie są zmęczeni i przyzwyczajają się do nowego miejsca, które miało być rajem na ziemi, a okazało się kupą gruzu. A muszą gdzieś spać, pracować, jeść... Zapewniam cię, że nie w głowie im teraz akcje sabotażu – westchnęła.

– Kochanie, po prostu dmucham na zimne. Nawet nie wiesz, jak wielu żołnierzy UPA zdołało się przedostać na Ziemię Odzyskane. Nie tylko tutaj, ale też na Warmię czy Pomorze. To zajadłe psy, które są gotowe odgryźć rękę, która ich karmi. Podobnie zresztą jak bandyci z Armii Krajowej, którym się wydawało, że mogą się

stawiać wielkim tego świata. Gdy ogłoszono amnestię, biura nie nadążały z ich rejestracją. Kilkadziesiąt tysięcy szturów wyszło na powierzchnię.

Nadia chciała coś powiedzieć, ale Martha przyprowadziła do pokoju Oleńkę. Dziewczynka była prześliczna i podobna do Wiszy jak dwie krople wody. Miała ciemne oczy i włosy, tak jak Wissarion i Nadia, dlatego nikt nawet nie podejrzewał, że Aleksandrę urodziła zupełnie inna kobieta.

– Moja mała księżniczka – powitał ją z uśmiechem Fiodorow i posadził dziewczynkę na swoich kolanach.

– A tatuś poczyta mi dzisiaj rosyjską bajkę? – zapytała i cmoknęła Maksima w policzek.

Już od jakiegoś czasu nie wspominała o prawdziwym ojcu. Zapewne i jego obraz zatarł się w jej pamięci. Dla niej Wissarion Zinowjew był martwy, mimo że na początku Nadia usiłowała jej wmawiać, iż jest inaczej. Teraz jednak Oleńka zyskała nowego ojca, którego pokochała całym sercem.

– Niedługo moja królewna sama będzie mogła sobie czytać książki. Najpierw polskie, a potem rosyjskie – powiedział.

Od września Aleksandra miała pójść do szkoły i bardzo to przeżywała, chociaż na razie chyba nie wyobrażała sobie samodzielnego czytania bajek.

– Ale ja wolę, jak ty mi czytasz. Zawsze mi będziesz czytał, nawet jak już będę umiała sama – oznajmiła.

– Pewnie, nawet gdy za mąż wyjdiesz. – Maksim się roześmiał.

– A to ty nie będziesz moim mężem? – zapytała rozkosznie.

– Nie, ja już mam żonę, twoją mamusię, i jej też muszę czytać bajki na dobranoc. – Maksim pogłaskał Oleńkę po ciemnej czuprynie.

– Nie przypominam sobie... – Nadia uśmiechnęła się kpiarsko.

Poklepał ją delikatnie po dłoni i szepnął:

– Nie chcę mówić naszej córce, co oznacza u nas czytanie bajek.

– Wariat! – Popatrzyła z czułością na męża, piastującego córkę Wissariona niczym własną dziecinę.

Fiodorow je kochał i traktował jak księżniczki. Nie odczuwały zbytnio trudów powojennego życia, bo Maksim zapewniał im wszystko, czego potrzebowały. Zarówno w wymiarze materialnym, jak i uczuciowym. Naprawdę powinna być szczę-

śliwa i cieszyć się z tego, co ma. Niestety, Nadia Fiodorowa nie była szczęśliwa ani trochę.

3.



Wrocław, 1947

Pierwsze pytanie, które zadała Marta, gdy dostali kwaterunek w kamienicy przy dawnej Matthiasstrasse, brzmiało:

– Będziemy mieszkać przy ulicy Stalina? To już lepsza była ta szwabska nazwa. Komu przeszkadzał Święty Marcin?

– Wolę mieszkać przy Stalina niż przy Stalinie – burknął wówczas Marcel.

Gdyby nie to, że przypałały się wraz z nimi Kaczkanowe, byłby bardzo szczęśliwy, choć opowieści o bogato wyposażonych kwaterach można było włożyć między bajki. Wierzył, że uciekający w popłochu Niemcy zostawiali wszystko, co mieli, i zabierali ze sobą tylko najpotrzebniejsze rzeczy, ale potem nadeszła radziecka swołocz z *trofejných brygad*, która rozkradła wszystko, co się dało. Nie tylko ograbiali prywatne mieszkania, ale także rozmontowywali całe zakłady, wywożąc maszyny i rozbierając linie technologiczne, zapewne po to, by zainstalować je w Związku Radzieckim. Gdyby przyjechali tu od razu, w czterdziestym piątym, może byłoby co szabrować, ale teraz nie było ani gdzie, ani czego kraść.

Wielki Boguś go pocieszał.

– Głupiś, Marcel, już szwaby wiedziały, co si z nimi stanie i pewno co cenniejsze gdzieś ukryli. Ni wim, może zakopali albo gdzie zamurowali.

– Pewnie, ledwie się wprowadzimy, z miejsca zaczęną kuć ściany – prychnął.

– E, trzeba najsampierw rozeznanie zrobić. Jeszcze trochę szwabów zostało we Wrocławiu.

– I niby po jakiemu będziesz z nimi gadał?

– Po polsku, a jak inaczej. Ruskie nie takie głupie, zostawili sobie takich, co im się do czegoś przydać mogą.

– Pomyślmy, ale teraz trzeba by się jakoś urządzić – odparł z westchnieniem Marcel.

Miał teraz na głowie żonę, dwoje dzieci, trzecie w drodze i Kaczkanowe, które zadowoliliby jedynie jakaś piękna willa na Biskupinie. Nie mogły pojąć, że nawet jeśli dostaną kwaterek w takim domu, nie będą w nim mieszkali sami, bo z miejsca kogoś im dokwaterują. Kto wie, może nawet jakiegoś oficera z Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego albo inną bolszewicką szychę, która będzie im patrzyła na ręce.

Mieszkanie wyglądało zupełnie przyzwoicie i na szczęście miało wszelkie wygody, łącznie z łazienką i wychodkiem. Nie musieli korzystać ze wspólnych toalet, które zwykle znajdowały się na półpiętrach. Nie istniało także zagrożenie, że zamieszkają z obcymi ludźmi, którzy, podobnie jak współlokatorzy Marianny, zechcą hodować w domu drób. Osadkowscy, Lemańscy i Kaczkanowe dostali własne pokoje, a jeden, największy, miał służyć jako salon i jadalnia. Nie nacieszyli się jednak zbyt długo owym salonikiem, bowiem niedługo potem odnaleźli się rodzice Andrzeja i Marty. Chcąc nie chcąc, ulokowali się w ostatnim wolnym pokoju i takim sposobem Marcel miał jeszcze na głowie teściów, niezbyt zadowolonych z mariażu córki.

Na szczęście w oknach wstawiono już szyby, a piece działały jak trzeba. Zima tego roku była nad wyraz mroźna, śnieg niekiedy sięgał do pasa, a mróz trzymał mocno i długo. Zanim się na dobre skończyła i mieszkańcy odetchnęli z ulgą, bo o opał było trudno, zaczęto prorokować nadejście wielkich powodzi, co zresztą nastąpiło.

Starzy Osadkowcy nie czynili mu uwag prosto w oczy, jedynie zerkali spode łba, jakby im co złego zrobił, ale za to znaleźli sobie inną ofiarę, nad którą pastwili się przy prawie każdym posiłku. Byłą synową, Nadię Fiodorową. Ich niechęć do dziewczyny podsyciała Emilka Osadkowska, która wciąż była zazdrosna o byłą żonę Andrzeja. W ogóle ta kobieta miała obsesję na punkcie swojego młodego męża i wydawało się jej, że każda kobieta pragnie zostać jego kochanką.

– Uwierz, kobiety nie interesują się grabarzami – pocieszał ją Andrzej, gdy się dąsała.

– Nie jesteś żadnym grabarzem, po prostu niekiedy natrafiasz na zwłoki. Pracujesz na budowie – cedziła przez zaciśnięte zęby.

– Tacy także nie są zbyt atrakcyjni dla płci przeciwnej. Gdybym pracował w jakimś urzędzie i na stanowisku, to może, ale ja teraz jestem zwykłym robotnikiem.

– Do czego to doszło, żeby wykształceni ludzie odgruzowywali miasto, a partyjne kacyki po trzech oddziałach siedzą w urzędach. – Wzdychała wówczas i unosiła wzrok ku lekko obtłuczonemu kryształowemu żyrandolowi.

I wtedy wtrącała się Felicja Kaczkanowa, która podrzucała temat Nadii. Praca Andrzeja szła w odstawkę i zaczynała się awantura o byłą żonę, którą Marta, Andrzej i Marcel zaciekle bronili, zaś starzy Osadkowscy i Kaczkanowe określali ją coraz to bardziej obraźliwymi epitetami.

– Gdyby nie Nadia,gniłbym teraz w sowieckim łagrze! Nie rozumiecie tego czy nie chcecie zrozumieć?! Wyszła za tego bydlaka, żeby chronić mnie i swojego kuzyna! – Andrzej wpadał w złość, gdy miał już dość słuchania obelg pod adresem kobiety, która poświęciła dla niego tak wiele.

– Kuzyna... – prychała Jadźka. – Taki on jej kuzyn, jak ja jestem zakonnica. Przecież ona była jego kochanicą i gziła się z nim, zanim jej ślubna suknia ostygła. To pewnie ona namówiła tych swoich ukraińskich znajomków, żeby pozbyli się Juliianny raz na zawsze. To zwykła kurwa.

– Nie wyrażaj się – rugała ją babka, a potem sama dorzucała swoje trzy grosze: – Od razu było po niej widać, że latawica. Ukraińskie ścierwo. Wasyl Zinowjew zamordował mi syna, Stiepan rozdeptał na schodach kościoła moją wnusię, a i ten cały Wissarion to podejrzany typ. Niby nam pomagał, ale potem poszedł do swoich i robił to samo, co oni. Ten naród to sami barbarzyńcy bez sumienia.

Chwilami myślał, że zwariuje, i z ulgą wychodził wieczorem z domu, by spędzić noc na stróżówce jednego z urzędów. Nie miał pojęcia, jak to dalej będzie wyglądało, ale chwilami odnosił wrażenie, że zaraz wszyscy się nawzajem pozabijają.

Miał żal do Marty, bo od razu jej mówił, że pomysł wspólnych posiłków jest co najmniej ryzykowny, ale ona się uparła. Od chwili, gdy ujrzała po wielu latach swoich rodziców, uznała, że nie może im się sprzeciwiać, i starała się na każdym kroku im dogadzać. Jeśli stwierdzili, iż cała rodzina powinna jeść razem obiady, nie ośmieliła się powiedzieć ani słowa na ten temat. A może nie spodziewała się, że spotkania przy stole staną się w pewnym momencie gehenną.

Pojawienie się we Wrocławiu Nadii dało pretekst do kolejnej awantury. Następnego dnia po jej wizycie przy stole panowała grobowa wręcz cisza. Marcel sądził, że chociaż jeden wspólny posiłek spożyje w spokoju, ale Andrzej postanowił zadać swojej matce pytanie:

– Dlaczego mamusia wypędziła Nadię? Przecież ona przyszła do mnie i do Le-mańskich, a nie do was.

– Nie chcę tej szmaty oglądać w swoim domu! – syknęła pani Katarzyna, która wciąż była przekonana, że Nadia bardzo skrzywdziła jej ukochanego synka.

– To także mój dom. I Marcela. Wszyscy mamy tutaj równe prawa. Jeśli więc Nadia zechce nas odwiedzać, poproszę, by mamusia nie odsyłała jej do diabła – wycedził Andrzej.

– Od kiedy takim tonem odzywasz się do matki? – wtrącił się doktor Osadkowski. – To ona nauczyła cię takich manier?

– Nie, tato. Nadia nauczyła mnie, co to znaczy poświęcenie dla innych – odburknął.

– Wozi się limuzyną, ubiera się jak gwiazda filmowa i żyje jak pączek w maśle. Też mi poświęcenie – prychnęła Emilia.

– Zazdrościsz jej? – zapytała słodko Marta. – Bo ja wcale.

– Czy ty, Marta, jesteś ślepa i głucha? Nikt, kto trafił w łapy NKWD, nie wychodzi z tego cało. Może i pomogła Andrzejkowi, ale ja chyba bym nie przyjęła podobnej jałmużny z rąk mordercy i ladacznicy, bo nie chciałabym być wyzywana od zdrajczyń.

– Dziękuję, droga żono. Nigdy nie pomyślał, że wolałabyś mnie widzieć pod kołem polarnym, a nie tutaj – powiedział z żalem w głosie młody Osadkowski i wyszedł z pokoju.

Marcel także z ledwością dotrwał do końca posiłku i z ulgą odszedł od stołu. Wolał już ich pokój. Było im ciasno, w końcu gdy Marta urodziła Marysię, mieszkali w jednej izbie w pięć osób, ale przynajmniej nie musiał słuchać tej idiotki Emilki, teściów i Kaczkanowych. Kiedyś uważał Eugeniusza i Katarzynę Osadkowskich za ludzi z klasą, teraz odnosił wrażenie, że niczym nie różnili się od Felicji i Jadźki. Rozumiał, że było im teraz trudno. Przed wojną należeli do elity Orliczy-na, a i we Włodzimierzu wielu znało zacnego pana doktora. Mieli okazały mury-wany dom, sporo ziemi, z której czerpali zyski, i mogli się pochwalić dobrze sytu-

owanym zięciem, Witoldem Kaczkanem. Teraz wszyscy jechali na tym samym wózku. Co prawda, pan Eugeniusz powrócił do zawodu, ale nie miał już prywatnego gabinetu, tylko zatrudnił się w szpitalu za niezbyt okazałe wynagrodzenie, sarkając, że zarabia mniej niż stolarz czy ślusarz.

Niemal codziennie jego teść rugał dozorczynię, że smród na klatce panuje nie-miłosierny i należałoby kogoś powiadomić, iż nielegalnie hoduje się w ich kamienicy drób, zaś świnie i kozy w komórkach na podwórzu. Wtedy włączał się do rozmowy sąsiad spod trójki, zagorzały zwolennik nowego ustroju, i krzychał:

– Ot, paniczyk ze Lwowa przyjechał i przeszkadza mu zapaszek kurnika! A ludzie muszą jakoś sobie radzić, a nie żerować na zubożałym państwie. Może lepiej ja zadzwonię gdzie trzeba, żeby sprawdzono, czy pod piątką nie dochodzi do planowania jakiegoś sabotażu.

Stefan Kaźmierczak, który prowadził agitację nawet w ich kamienicy, sam trzymał w mieszkaniu króliki, gołębie i chyba ze dwie kaczki, dlatego tak agresywnie reagował na skargi starego Osadkowskiego.

Ojciec Andrzeja odpuszczał, ponieważ spędził zbyt wiele czasu za Uralem, by zaryzykować kolejną wywózką albo zamknięciem w ubeckim więzieniu. Dozorczy-ni z ulgą przyjmowała słowa Kaźmierczaka, bo nie chciało się jej kłócić z lokatorami. A Stefana obawiali się wszyscy. Miał rozliczne kontakty w nowych władzach i szeptano, że jest współpracownikiem Urzędu Bezpieczeństwa, a z tą instytucją nikt nie chciał zadzierać.

– Pani Kalinowska, a pani to ten odór nie przeszkadza? – pytał wówczas znęka-nym głosem doktor zażywną dozorczynię.

– Panie kochany, a co ja mogę? Przyjdą, każą hodowle zlikwidować, a one po ty-godniu znowu przywloką jakąś żywinę. Człowiek z wiochy wylezie, ale wiocha z człowieka nigdy. – Machała ręką.

– Ja też mieszkałem na wsi, ale wiedziałem, że w domu nie trzyma się kur, a w mieście nie hoduje się świń czy kóz.

– Ja, panie kochany, z córką z Warszawy przyjechałam. Męża mi zabili w po-wstaniu, nasza kamienica zamieniła się w rumowisko i rad nierad przyjechałam na te Ziemie Wyzyskane, o których cuda opowiadano... Cierpliwości, władza okrzepnie, to i z takimi zrobi porządek. Przecież to wstyd, jak wystawiają na chod-nik krzesła i siedzą tam do nocy jak na własnym podwórku. A tu, panie, tramwaje

jeżdżą, samochody, jak to w mieście. I kto to widział takie spotkanka na ulicy robić – utyskiwała Kalinowska. – Wielcy państwo, cholera jasna, a słoma im z butów wystaje. A potem ja muszę zamiatać niedopałki i resztki chleba, bo im się zachciewa dokarmiać gołębie.

Marcel lubił starą Kalinowską, bo starała się ze wszystkimi dobrze żyć, chociaż również narzekała na zachowania chłopów, którym przyszło nagle zamieszkać w dużym mieście. A może żywił do niej przyjazne uczucia z uwagi na jej córkę, która należała do dziewcząt wyjątkowo urodziwych? Nie mówił jednak głośno, jaka śliczna z niej panna, bo Martusia głowę by mu urwała. Im więcej dzieci miała, tym bardziej była zazdrosna o męża. Zupełnie niepotrzebnie, amory nie były mu w głowie. Chciał jedynie się dorobić, a widoków na to nie było żadnych. Zgromadzone we Lwowie oszczędności, kiedy to przed odejściem Niemców zajmował się szabrem, powoli się kurczyły, a on nie miał pomysłu, gdzie by tu się jeszcze załapać na jakieś ponemieckie skarby.

W ich kamienicy oprócz Kalinowskiej tylko jedna rodzina zajmowała dla siebie całe mieszkanie. Niezbyt pełna to była rodzina, bo brakowało w niej głowy, czyli chłopca. Otóż naprzeciwko dozorczyni mieszkała Niemka z malutką córeczką. Nazywała się Ilse Schlesinger i nikt nie wiedział, dlaczego jeszcze nie opuściła Polski. Musiała chyba cieszyć się względami władz, bo mimo braku mieszkań nikogo do niej nie dokwaterowano, choć dysponowała, podobnie jak Kalinowska, dwoma dużymi pokojami. W dni powszednie o poranku przychodziła do jej dziecka piastunka, ona zaś czekała przed budynkiem na furgonetkę, która codziennie o tej samej porze zabierała ją do pracy. Co dokładnie robiła Ilse, tego nikt nie wiedział, nawet Kaźmierczak. Nikt również z nią nie rozmawiał, więc i nie było jak zapytać.

Większość lokatorów nie kłaniała się pani Schlesinger, jedynie mrucze pod nosem, że czas najwyższy oczyścić Polskę z wrogiego elementu. Niekiedy malowano na jej drzwiach obelżywe napisy, kreślone ręką osoby nie do końca znającej ortografię. Jego Martusia wybuchła nawet gromkim śmiechem, gdy zobaczyła słowo „dzifka”, napisane białą farbą na ciemnobrązowych drzwiach. Potem zaś przez pół dnia komentowała ową kuriozalną bazgraninę, pytając Marcela, dlaczegoż to każda Niemka w oczach sąsiadów była dziwką, a nie na przykład zbrodniarką.

Ilse znosiła z nieludzką wręcz cierpliwością i docinki, i paskudne napisy. Musiała słyszeć, co mówią ludzie, i widzieć owe niezbyt wyszukane treści, bo znała język

polski doskonale. I może właśnie dlatego wciąż mieszkała we Wrocławiu, zamiast opuścić miasto wraz z innymi straceńcami.

Tak, w tym miejscu spotkali się ludzie z bardzo różnych światów. Nie była to tylko mieszanina mniej czy bardziej wykształconych albo przybyłych zarówno z głuchej wsi, jak i wielkich miast, ale oprócz Niemki Ilse mieszkała w ich budynku również ukraińska rodzina przesiedlona w ramach akcji „Wisła”. Ich także nazywano Ukraińcami z uwagi na śpiewny akcent i sporo czasu upłynęło, zanim inni pojęli, że są Polakami.

Marcel niekiedy dochodził do wniosku, że sąsiedzi nienawidzą się wzajemnie tak bardzo, iż pewnego dnia może dojść w ich kamienicy do jakiejś tragedii. I kto wie, czy nie on będzie sprawcą, niemal codziennie bowiem chodziło mu po głowie, by swojej teściowej albo pani Kaczkanowej podsypać do zupy trutki na szczury.

Kiedy do Wrocławia przyjechała Nadia i odwiedziła ich, bardzo się ucieszył. Nie tylko dlatego, że lubił tę ładniusią jak malowanie kobietkę, ale od razu pomyślał o Fiodorowie. Tak, bez względu na to, co sądziła o nim rodzina jego żony, on w końcu dostrzegł szansę dla siebie. A był nią mąż Nadii i pułkownik NKWD, Maksim Fiodorow, który słynął z tego, że miał bardzo lepkie ręce.

4.



Wrocław, 1947

Jedynie, co sprawiało Marcie Lemańskiej radość, to dzieci i mąż. Gdyby nie rodzina, którą stworzyli z Marcelem, chyba by udała się ponownie na stację Wrocław-Odra i rzuciła się pod pociąg.

Nic nie było takie, jak powinno. Miarkowała, że we Wrocławiu zamieszkają sami, a Kaczkanowe w końcu dadzą im spokój. Nic takiego jednak nie nastąpiło i uczepliły się jej kiecki jak rzep psiego ogona. Miasto było zrujnowane, wszędzie wałały się kupy gruzu, a szerniałe od ognia ściany straszły swoją brzydotą. Lokali, w których można było zamieszkać bez konieczności łatania dachu czy też wstawiania szyb, było niewiele. Rzadko kiedy ktoś mógł się załapać na mieszkanie bez lokatorów, a jeśli już się takie trafiły, najczęściej były rozgrabione i kompletnie zdewastowane przez czerwonoarmistów.

Na początku cieszyła się, że w obok pokoju zamieszka jej brat z nową żoną, ale rychło się okazało, iż Emilka należy do dość trudnych we współżyciu osób. Zapewne przywykła do innych warunków i dlatego denerwowało ją wszystko, a najbardziej dzieci Marty. To prawda, że Michaś i Ignasz mieli diabełka za skórą, a i mała potrafiła ryczeć przez pół dnia, ale cóż ona mogła na to poradzić? Sądziła, że bratowa pomoże jej trochę, bo w końcu przy trójce dzieciaków Marta miała mnóstwo zajęć, ale Emilia potrafiła jedynie rugać je za krzyki, porozrzucane zabawki czy zabłoconą podłogę w korytarzu. Co gorsza, zawiązała swoisty pakt z Jadźką i Felicją, by nękać Martę i co chwilę zwracać jej uwagę.

Doskonale pamiętała dzień, kiedy w progu ich mieszkania stanęli rodzice. Jej radość sięgnęła zenitu, bo dotychczas była przekonana, że nigdy ich nie zobaczy. Tymczasem matka i ojciec, niezadowoleni z jej mariażu z Marcelem, zaczęli traktować ją tak samo jak Emilka i Kaczkanowe. Już pierwszego wieczoru, kiedy to

ustalili, że starzy Osadkowsy z nimi zamieszkają, ojciec wszedł wieczorem do jej pokoju i zamknął za sobą drzwi. Marcel poszedł do pracy na nocną zmianę, dzieciaki spały, a ona miała nadzieję, że tata opowie jej trochę o swoich przeżyciach w Kazachstanie, a potem o życiu w egzotycznych Indiach. Tymczasem zapytał:

– Martusiu, dlaczego wyszłaś za zbrodniarza? Jak mogłaś nam coś takiego zrobić? Kiedyś sądziłem, że Marcel to porządny, chociaż prosty i biedny chłopak, ale okazał się złodziejem i mordercą.

– Tato, Marcel nikogo nie zabił... W każdym razie nie Poczesiową – powiedziała z westchnieniem.

– A kogo? – Ojciec nagle pobladł i mimo że w pokoju paliła się jedynie lampka, Marta od razu to zauważyła.

– Wstąpił do oddziałów samoobrony i walczył z hajdamakami^[4]. Tak jak ty w dwudziestym roku z bolszewikami. Więc może zabił jakiegoś...

– To co innego – zachnął się pan Eugeniusz, który swojego czasu chwalił się, że posłał na tamten świat kilku bolszewików.

– Zatem nie jest mordercą – odparła Marta.

W kwestie związane z kradzieżami wołała nie wnikać, bo w tym przypadku ojciec nie był daleki od prawdy. Nie zrozumiałby jednak sytuacji, w której się znaleźli we Lwowie, bo gdyby Marcel z Bogusiem nie zajęli się wtedy szabrem, byłoby z nimi krucho. O napadzie na Kasę Galicyjską również nie chciała dyskutować, bo trudno było szukać usprawiedliwień dla takiego zachowania.

– Córka lekarza wyszła za bandziora i analfabetę... – jęknął Osadkowski i zakrył twarz rękoma. – Zobacz, pozwoliłem Andrzejowi ożenić się z tą ukraińską wywłoką i jak to się zakończyło. Ale oni przynajmniej nie mieli dzieci, a ty dwoje zmagistrowałaś z tym ślusarzyną od siedmiu boleści.

– Tato, Marcel nie jest analfabetą, a ślusarzem był bardzo dobrym, tylko Ukraińcy go postrzelili i ma niesprawną rękę. Opiekował się nami. Nawet Ignasiem, chociaż to Witoldowy syn, a i pani Felicji czy Jadźki nie zostawił na pastwę losu, mimo że nie było dnia, by mu nie lżyły – powiedziała Marta z żalem w głosie.

Ojciec od razu skreślił Marcela. Jakby zatrzymał się na tym, co stało się dziesięć lat wcześniej. Nie miał także pojęcia, jakim podłym mężem był Witold i jak dobrym człowiekiem okazał się Lemański.

– Widzę, że bronisz go tak samo, jak mój głupi syn tej ladacznicy i zdrajczynie. Podobnie zresztą jak tego mordercy i bandyty, Wasyla Zinowjewa.

– Tatko, kiedy mówisz o Wasylu, myślisz jedynie o tym, co zrobił Witoldowi. A dlaczego nie wspomnisz, że gdyby nie Wasyl, nie siedzielibyśmy tutaj i nie rozmawiali? Gdyby nie on...

Nie dokończyła zdania, bo od razu przypomniało się jej, co zrobił z jej córeczką Stiepan Zinowjew. Była pewna, że Wasyl nigdy nie posunąłby się do czegoś podobnego. Pamiętała doskonale swoją sukienkę, całą we krwi, i nieznośny ból, gdy Wasyl niemal włókł ją po piaszczystej drodze w stronę lasu, by mogła się ukryć przed rozwścieczonymi Ukraińcami. Gdyby nie chłopcy, wołałaby chyba umrzeć, ale wiedziała, że musi przetrwać, aby ocalić życie Michałka i Ignasia, którzy błąkali się sami po okolicy.

– Może miał nadzieję, że w końcu dopnie swego. Zawsze wodził za tobą oczami i oblizywał się lubieżnie na twój widok – burknął Eugeniusz Osadkowski.

– Ojczy, byłam w połogu, dlaczego mówisz takie okropne rzeczy? – zirytowała się Marta i wypaliła: – Kiedy Michał przyszedł na świat, Witold traktował go gorzej niż psa, bo nie on go spłodził. A Marcel? Kocha Ignasia jak własne dziecko, a ty wciąż uważasz Kaczkana za porządnego człowieka, Marcelka zaś za drania. Na szczęście jestem już dorosła, mam męża, dzieci i nie możesz mi mówić, co mogę robić ze swoim życiem, a czego nie. Gdybyś nie wysłał Lemańskiego do Lwowa i pozwolił na nasz ślub, pewne sytuacje nigdy by się nie wydarzyły. Wybaczyłam ci to, tato, więc błagam, nigdy więcej nie przychodź do mnie z podobnymi pretensjami. Ciesz się, że teraz masz synową, którą sobie wymarzyłeś, a o zięciu zapomnij. Kocham Marcela i żadne twoje słowa tego nie zmieniają.

– Po prostu mnie zawiodłaś, córeczko – odrzekł i wyszedł z pokoju.

Nie tak sobie wyobrażała to spotkanie po latach. I nie takie słowa pragnęła usłyszeć od swojego ojca. Przeszła przez piekło i w pewnym momencie kompletnie się załamała. Bez pomocy Marcela i przyjaciół nie wyszłaby z tego. A teraz wrócili rodzice i na każdym kroku musiała się tłumaczyć z miłości do męża, który według nich kompletnie na nią nie zasługiwał.

Tamtej nocy nie zmrużyła oka, tylko chlipała w poduszkę. Nie miała pojęcia, jak przeżyje do wieczora, bo przecież przy trójce dzieci nie miała szans na drzemkę w ciągu dnia. Uspokoila się dopiero, gdy Marcel wrócił z pracy. Od razu spostrzegł

jej zapuchnięte od płaczu powieki. Położył się koło niej w ubraniu i mocno ją przytulił. Nie musiała mu mówić, co się wydarzyło. Domyślił się od razu.

– Ni sumuj si^[5], skarbie. Masz teraz swoją rodzinę i musisz o nią dbać. Obiecuję, jak tu leżę, że zrobię wszystko, żebyśmy si stąd wynieśli. I już nie dam si nabrać na żadne gadki twojego ojca.

– Dlaczego oni nawet nie chcą się przekonać, jaki jesteś? – Marta znowu zaczęła chlipać.

– A bo si doktorkowi księciunio zamarzył dla córki.

– Już jednego księciunia miałam. Cud boski, że łysa nie jestem, bo lubił mnie tarmosić za włosy, jak jaką niewolnicę. Ale pewnego dnia nie wytrzymam i wygarnę wszystkim po kolei. Rodzicom, teściowej, Jadźce i tej damulce Emilii. Tak się cieszyłam, że odzyskałam rodziców, a ojciec już pierwszego dnia czyni mi wyrzuty. Żem go zawiodła...

– Te pannucie to funta kłaków niwarte. Mni ni zawiodłaś i kocham cię nad życie, Martusiu, więc ni turbuj si^[6] tak bardzo. Jeszczy im synowa bokiem wyjdzi. Ino ich podjudza na Nadię, a przecież gdyby ni ten Fiodorow, już dawno Andrzej gryzłby ziemię. Prześpij si, ja zajmę się śmierdziuchami, tylko tę małą gangrenę nakarm, bo z moich cycków to żadyn pożytek.

– Dopiero co z roboty wróciłeś... – westchnęła Marta, ale wzruszyła ją propozycja męża.

– Dajże spokój, kimnąłem się parę godzinek i ni umordowałem si, jak Andrzej na budowie. Niczym si ni martw, dam sobie radę.

Rzeczywiście, gdy tylko nakarmiła córeczkę, nakryła głowę pierzyną i zasnęła. Być może udała się jej ta sztuka, bo wrócił Marcel i znowu poczuła się bezpiecznie.

Od tej pory traktowała rodziców z dystansem. Nawet matkę, do której kiedyś była tak bardzo przywiązana. Jednak i pani Katarzyna patrzyła na nią z wyrzutem, jakby co najmniej wyrządziła komuś jakąś straszną krzywdę. Co gorsza, nie okazała jej współczucia po śmierci poprzedniej córki, a przecież Marta wciąż nie zapomniała o swojej dziecinie.

Kaczkanowe ignorowała, zaś Emilkę przywoływała do porządku, gdy tylko ta zaczynała wygłaszać swoje mądrości. Osadkowscy i pani Felicja byli Emilią zachwy-

zeni, ona wręcz przeciwnie. Jej bratowa uważała się za kogoś lepszego i traktowała Martę z góry, bo ta wyszła za prostego chłopaka ze wsi. Jakże różniła się od Nadii, która mimo iż zdradzała Andrzeja i miała kilka innych grzeszków na sumieniu, po prostu dawała się lubić i nigdy nie odmówiła Marcie pomocy. A nowa bratowa była wręcz odpychająca.

Kiedy nie mogła już wytrzymać atmosfery w domu, zostawiała dzieci pod opieką Marcela i uciekała na górę, do Marianny i Bogusia, chociaż fetor w ich mieszkaniu aż świdrował w nosie.

– Ledwie si umyji, a za chwilę znowuż cuchnę jak dziewczka folwarczna – utyskiwała Marianna, a po chwili dodała: – Wiesz ty, ja to sobie jakiś mały burdelik otworzę. Dla ważnych dygnitarzy.

– Marianka, ja myślałam, że ty już całkiem z tym skończyłaś – westchnęła Marta.

– Ja skończyłam, ale kto mi broni, żeby inne zaczęły – stwierdziła z uśmiechem.

– Będziesz rajfurką? – jęknęła Marta.

– Nu i co w tym złego? A co ja komu krzywdę zrobię? Odwrotnie, będę tylko rozdawała przyjemności za niwielką odpłatnością. Ni sama, ja już za stara do tej roboty jestem, ale zatrudnię kilka ładniusich pannuci i nich będązji jak we Lwowie w takich przybytkach.

– Ale milicja cię nie chwyci? – zaniepokoiła się.

– Już ja si postaram, coby przychodzili do mni tacy, co się ich nawet milicja będązji bała. – Przewróciła oczami, jak zwykle każdym w inną stronę.

Nie zamierzała odwodzić przyjaciółki od tego pomysłu ani też prawić jej morałów. Sama pewnego dnia bez płacenia wyniosła ze sklepu z dziesięć kilogramów rozmaitych dóbr, co wcześniej byłoby nie do pomyślenia. Przymykała oko na sposób, w jaki Marcel się dorabiał we Lwowie w ostatnich lata wojny, i nie wstydziła się tego ani trochę. Już nie była wychuchaną panną z zasadami. Rodzice mimo wielu przykrych przeżyć wciąż mieli sztywny kręgosłup moralny i dlatego nie opowiedziała im, jak udało się jej przetrwać ten trudny dla wszystkich Polaków czas. Jedynie tyle, że wszystko zawdzięczała Marcelowi Lemańskiemu. Naprawdę pragnęła, by ojciec zaakceptował w końcu tego chłopaka jako zięcia, ale dla pana doktora Osadkowskiego ślusarz z Orliczyna nadal był jedynie mordercą i złodziejem.

– A Boguś co zamierza? Bo jak na razie unika stałej roboty jak diabeł święconej wody? – zagadnęła Marta.

– A wiesz, tyń mój brat to chcy robić, ale żeby si ni narobić. – Machnęła ręką. – Myślał, że będzi pierwszym szabrownikiem na tych Ziemiach Wyzyskanych, a tu żadyn taki geszeft si ni kroi.

– Słuchaj, ale Fiodorow z Nadią przyjechali do Wrocławia. Marcel zawsze powtarzał, że najlepsze interesy robił właśnie z tym kacapem. Może powrócą do dawnej komitywy.

– Daj Boże... – westchnęła Marianna, a potem pociągnęła nosem i warknęła: – Ja im kiedyś te wszystkie kuraki do cna powyrzynam! Aż mni w nosie świdruji. A jak tam twoje śmierdziuchy?

Zestawienie drobiu z jej dziećmi nie spodobało się zbytnio Marcie, ale już przywykła do podobnych tekstów.

– Dokazują aż miło... Słuchaj, Marianna, a ten lokal pod czwórką to pusty stoi. Kombinuję, żeby może przenieść się do niego razem z wami. U ciebie nie cuchnęłoby kurzymi odchodami, a ja pozbyłabym się teściowej i rodziców. Kocham matkę i ojca, ale żyć mi nie dają, żem wyszła za Marcela. I do tego wszystkiego ciągle swoje trzy grosze wrzuca ta Andrzejowa rymunda^[7]. Wielka pani, cholera jasna!

– Ta, daj spokój, podobno zaraz mają nowi lokatorzy zjechać. Hausmajsterka^[8] gadała, że to jakiś doktor.

– Ale chyba sam jak panisko mieszkać nie będzie?

– Zaraz mu kogoś dokwaterują, na zicher^[9].

– A miało być tak pięknie... Odrębne lokale, wyposażone od szaf aż po garnki, a tu... tylko ruiny.

– To, co si uchowało, Sowiety ograbili albo sami się tam zainstalowali. Wiesz, wszystkim po równo, jednym złoto, drugim gówno.

Marta mimo nieprzyjemnego zapachu, który roznosił się po mieszkaniu Marianny i Bogusia, lubiła tam przychodzić. Nikt nie patrzył jej na ręce, nie dokuczał jej, a wreszcie mogła trochę odpocząć od swoich niesfornych synów, bo Ignasia brała do siebie Felicja Kaczkanowa, a Marcel opiekował się Michasiem i doglądał córeczki. Na początku Marta była urazona, gdy Marianna zakazała jej przyprowadzania na górę „śmierdziuchów”. Teraz czuła do niej wdzięczność, bo chociaż kochała swoje dzieci niemożliwie i gotowa była oddać za nie życie, chwilami miała ich po prostu dosyć. Chłopcy potrafili robić rechwach na całą kamienicę, wymyślając coraz to bardziej uciążliwe psoty, a najmłodsza dziecina niekiedy darła się bez

opamiętania przez kilka godzin i uspokajała się jedynie, gdy Marta trzymała ją przy piersi.

Schodząc do siebie, wyrzała przez okno na klatce schodowej. Przed kamienicą zatrzymała się sporych rozmiarów furmanka, zaprzężona w dwa konie. Wypełniona była rozmaitymi sprzętami, na których siedzieli dwaj mężczyźni. Chwilę potem z ławki zsiadł wysoki młody człowiek w ciemnym kapeluszu. Dzierżył lekarski sakwojaż i pokrzykiwał na woźnicę i tragarzy, by uważali podczas wnoszenia mebli. Pomyślała, że to właśnie ów doktor, o którym wspominała dozorczyńni. Nie sądziła, by zaprzyjaźnił się ze swoim kolegą po fachu, czyli jej tatą, ponieważ różnica wieku między nimi była zbyt duża. Ale kto wie, może ów nowy lokator zaznajomi się z nimi i nie będzie musiała prosić ojca o pomoc, gdy jej dzieciaki zachorują.

5.



Wrocław, 1947

Mimo że nadeszła wiosna, pogoda tego dnia nie rozpieszczała. Nad miasto nadciągnęły ciemne chmury, które zapowiadały obfite opady deszczu. Przechodzący obok zrujnowanego budynku przy Świdnickiej co chwilę zerkali na niebo, zastanawiając się, czy zdążą powrócić do swoich domów przed ulewą.

Andrzej Osadkowski usiadł na stosiku cegieł, zdjął pocerowane i mocno zniszczone rękawice robocze, a potem sięgnął po swoją sfatygowaną skórzaną teczkę. Nie należała do niego, znalazł ją w mieszkaniu przy Stalina. Najwyraźniej szabrownicy uznali, że nie jest to fant, za który mogliby otrzymać godziwe wynagrodzenie. Prawdopodobnie owa teczka należała niegdyś do jakiegoś urzędnika, ale Andrzej nosił w niej zawiniątko z kanapkami i butelkę z herbatą.

Odwinął z gazety pajdę chleba ze smalcem i także spojrział w niebo, zastanawiając się, czy zdoła zjeść drugie śniadanie na zewnątrz ruin, czy będzie musiał uciekać przed deszczem. Tuż obok usiadł nowy pracownik budowlany, który również postanowił się posilić. Uśmiechnął się do Andrzeja i wyciągnął rękę.

– Hans Czajkowski – przedstawił się.

– Andrzej Osadkowski. – Zaczął się wnikliwie przyglądać sąsiadowi, bo nie miał pojęcia, czy ma do czynienia z Polakiem czy z Niemcem.

– Zastanawiasz się pewnie, czy możesz mnie polubić czy wręcz przeciwnie. – Hans mówił po polsku, ale z twardym niemieckim akcentem.

– Nie w tym rzecz, ale zestawienie Hansa z Czajkowskim jakoś dziwnie brzmi. – Roześmiał się.

Nie czuł niechęci do zwykłych Niemców, których jeszcze trochę kręciło się po Wrocławiu. Jedna kobieta tej narodowości mieszkała nawet w ich kamienicy i nie

dołączył do grona osób, które niemal codziennie jej lżyły.

– Moja matka była Niemką, ojciec Polakiem. Mieszkaliśmy w Breslau od zawsze i mieliśmy niemieckie obywatelstwo. Od czasu do czasu miewam ataki padaczki, więc na wojnę mnie nie wzięli. Powiem ci, że nawet mi ulżyło, bo ja taki byłem w połowie Polak, w połowie Niemiec. I od dziecka dwujęzyczny. Moi rodzice przeżyli okupację, a nawet Schlacht um Breslau, a potem zginęli w pożarze – opowiadał Hans.

– A ty? Dlaczego zostałeś? – zaciekał się Andrzej.

– Zadeklarowałem obywatelstwo polskie, bo wiesz, mnie jest wszystko jedno. Ja jestem mieszkańcem Breslau i nie zamierzam stąd wyjeżdżać tylko dlatego, że teraz oddano go Polakom – westchnął.

Andrzej rozumiał Czajkowskiego doskonale, lwowianie także opierali się, gdy przymuszono ich do opuszczenia ich ukochanego miasta.

– Lepiej zmień sobie imię, wtedy lepszą robotę dostaniesz. – Puścił oko do nowego kompana.

– Miałem dobre zajęcie zaraz po wejściu polskiego wojska. Byłem tłumaczem, zresztą jak większość Niemców, którzy tu zostali. A potem już nie byłem im potrzebny, więc mnie na budowę dali. Ale dobrze gadasz, przerobię się na Henryka albo Janka i może dostanę posadę w szkole. Przed wojną byłem nauczycielem matematyki.

– Dobrze, że nie geografii, bo musiałbyś się jej nauczyć od początku. – Andrzej się roześmiał.

– No a ty? Wyglądasz na inteligenta, a gruz przewalasz i trupy wynosisz – zagaił Hans.

– Należałem do Armii Krajowej. Cud, że nie siedzę w łagrze, i cieszę się, iż w ogóle załapałem się do jakiejś roboty. We Lwowie gadano, że Breslau to piękne, duże i bogate miasto. Nawet sowieckie władze, gdy zachęcały do wyjazdu, roztaczały wizje krainy mlekiem i miodem płynącej – westchnął.

– Stary, zanim przeszła tędy wojenna zawierucha, to miasto miało większy potencjał ekonomiczny niż Zabrze, Bytom, Olsztyn i Wałbrzych razem wzięte... A potem pojawili się Sowieci...

– I podpalili miasto – mruknął Andrzej.

Nie rozumiał Rosjan, którzy puszczali z dymem, grabili i niszczyli wszystko, co się dało. Przecież te rzeczy mogły potem służyć przyszłym mieszkańcom, bynajmniej nie Niemcom.

– I Rosjanie podpalali budynki i Niemcy, bo ci drudzy nie chcieli, żeby w radzieckie łapy dostały się składy amunicji czy fabryki broni. Po upadku Berlina moje ukochane miasto zaczęło przypominać pochodnię. Najgorszy pożar wybuchł na wyspie Piasek. Najpewniej ktoś podłożył ogień w Instytucie Europy Wschodniej, a od tego zajął się kościół Świętej Anny i Najświętszej Marii Panny. W Annie ukryto ponad trzysta tysięcy woluminów z biblioteki uniwersyteckiej, wszystkie się do cna zhajcowały. Nie było szans, żeby cokolwiek uratować. Kilka dni później spłonął także kościół Świętej Marii Magdaleny na Starym Mieście. Zawaliła się południowa wieża i runął pięćsetletni Dzwon Grzesznika. I powiedz mi, Andrzej, po co to było niszczyć? – Hans miał łzy w oczach, kiedy opowiadał o kolejnych zdewastowanych obiektach, które do niedawna były symbolami Breslau.

– A resztę rozgrabiła czerwona szarańcza. – Machnął ręką. – Ale podobno mieli prawo...

– Gównu mieli, nie prawo. Przepisy mówiły jedynie o fabrykach uzbrojenia, a w rzeczywistości demontowano wszystko, co się dało. Nawet tory kolejowe. Część maszyn i tak nie nadawała się już do użytku, bo rozbierano je dość nieudolnie. Rosjanie od razu zajęli Linke-Hofmann-Werke, Borsig, Adler, fabrykę wodomierzy i prawie dwieście innych zakładów, które nie miały nic wspólnego z przemysłem zbrojeniowym. Zanim polskie władze upomniały się o swoje, połowa dóbr wyparowała. Jeszcze w zeszłym roku Sowietci zarekwirowali z Villeroy und Boch kilkanaście ton płytek podłogowych. I wiesz jak się tłumaczyli? Podobno w trzydziestym ósmym zamówili w tej fabryce towar na potrzeby moskiewskiego metra i to są właśnie owe płytki. Zresztą grabież można od biedy zrozumieć, ale za nic pojąć nie mogę, dlaczego niszczyli dzieła sztuki, drogocenne meble czy instrumenty muzyczne najwyższej klasy. Na własne oczy widziałem żołdaków, którzy wyrzucali miśnieńską porcelanę z okna na drugim piętrze i cieszyli się jak dzieci, gdy ta rozpryskiwała się w mak na chodniku.

Dzięki Hansowi Andrzej w końcu miał okazję się dowiedzieć, dlaczego ów raj, do którego przybył, okazał się małym piekielkiem. Chwilami żałował, że nie starali się dotrzeć do mniejszych miast Śląska, jak chociażby Legnicy. Podobno tam rzeczywiście można było zająć w pełni wyposażone mieszkanie po jakimś zacnym le-

karzu albo adwokacie. A tutaj? Na razie otrzymali z Emilią dwudziestometrowy pokój, a pozostałe pomieszczenia dzielili z innymi członkami rodziny.

Najpierw czuł radość, że nie musi mieszkać z obcymi, ale rodzinne relacje rychło uległy ochłodzeniu, zwłaszcza gdy odnaleźli się rodzice i wprowadzili do nich. Chwilami zachowywali się, jakby nie było wojny, a oni spędzili ten czas w sanatorium, a nie na kazachskim stepie czy w egzotycznych Indiach. Byli zdziwieni, że w ciągu zaledwie kilku lat zaszły w ich rodzinie tak poważne zmiany. Jednak świat już nie był taki sam jak w trzydziestym dziewiątym. I oni również...

Niepokoila go także Emilia, która z każdym dniem stawała się coraz bardziej irytująca. Rozumiał, że pragnęła zjednać sobie teściów, ale nie potrafił znieść, gdy tak bezpardonowo nazywała Nadię dziwką, ladacnicą i zdrajczynią, która dla wygody postanowiła wyjść za sowieckiego dygnitarza.

Z zamyślenia wyrwał go głos Hansa Czajkowskiego:

– Wracamy do roboty, bo majster będzie się pieklił.

– To chodźmy – westchnął Andrzej. – Zostało nam najgorsze... Piwnice. A tam zawsze można się na jakiegoś trupa natknąć.

– Może dzisiaj los okaże się łaskawy i znajdziemy puszkę ze złotymi monetami. – Czajkowski poklepał kompana po ramieniu.

Osadkowski naciągnął rękawice i zaczął powoli odgruzowywać wejście do częściowo zawalonej piwnicy. Od razu uniosły się tumany pyłu, ale tak jak przewidywał, lunął deszcz i miał przynajmniej czym oddychać. Na szczęście mijały kolejne godziny, na zewnątrz pojawiały się nowe sterty cegieł, a oni nie natrafili na żadne zwłoki.

Tuż przed fajrantem, gdy podniósł kolejny kawałek muru, zobaczył pod nim metalową puszkę. Od razu przypomniały mu się słowa Hansa, te o złotych monetach. Schował skrzynkę pod kurtkę, odłożył ją z cegłami na zdezelowaną taczkę i wtedy majster dał znak, że dzień pracy dobiegł końca. Andrzej nie chciał otwierać znaleziska przy wszystkich, ponieważ obawiał się, że jeśli w środku znajduje się coś cennego, będzie musiał oddać te dobra majstrowi. A ten przytuli wszystko dla siebie.

Kiedy wrócił do domu, Emilii jeszcze nie było, ponieważ otrzymała posadę w sklepie i pracowała na drugiej zmianie. Zjadł zupę w towarzystwie Marty, Marcela, rodziców i pani Felicji. Tym razem jednak nikt się nie kwapił, by nawiązać jakąkolwiek konwersację. On także, bo chciał jak najszybciej dostać się do tajemniczego znaleziska.

Zaraz po obiedzie zamknął się w swoim pokoju, wyjął z teczki puszkę, a potem ją otworzył, wstrzymując oddech i zamykając oczy. Zaraz z głośnym świstem wypuścił powietrze i jęknął.

– Też mi skarby... Ale się nachapałem.

W skrzyneczce nie znajdowały się żadne klejnoty czy też złote monety, ale pakiet listów i okazały plik fotografii. Korespondencja była napisana po niemiecku i adresowana do niejakiej Brigitte Mausse, zamieszkałej w wiosce niedaleko obecnej Trzebnicy. Nadawcą był jakiś Helmuth Zorke. Zapewne lektura była pasjonująca, ale nie znał na tyle dobrze niemieckiego, by mógł się w nią zagłębić. Co ciekawsze, człowiek, który napisał te listy, nigdy ich nie wysłał. Aż go skręcało, by poznać ich treść, ale w pewnej chwili stwierdził, iż byłoby to naruszenie czyjejś prywatności, a nawet intymności, bowiem przeczuwał, że są to listy miłosne.

Wziął do ręki plik fotografii i zaczął je przeglądać. Na każdej z nich znajdowała się kobieta o ponętnych kształtach. Była przepiękna. Włosy miała jasne, lekko popalowane, na niektórych upięte w kok, na innych rozpuszczone. Jedne zdjęcia przedstawiały kobietę w letnich sukienkach, na innych miała na sobie królicze futerko. Większość fotografii była na odwrocie opatrzona datą, nazwą miejscowości i imieniem „Brigitte”. Tylko na jednej nie była sama – towarzyszył jej jakiś mężczyzna, który trzymał ją w tanecznym uścisku. Wysoki i dość przystojny. Uśmiechał się promiennie do obiektywu, jakby był najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi, jednak spojrzenie jego partnerki przepełnione było głębokim smutkiem. Zapewne był to ów Helmuth, bo przecież żaden facet nie trzymałby zdjęć ukochanej pozującej z innym mężczyzną.

Niewątpliwie adresatka już dawno opuściła te tereny, ale stwierdził, że jeśli kiedyś odnalazłby tę kobietę, oddałby jej te listy. Bardzo zaintrygowała go piękna nieznamiona, która zdawała się uśmiechać do zdjęć w wymuszony sposób. Może wcale nie kochała pana Zorkego, tylko tęskniła za kimś zupełnie innym?

„Gdybym ją odszukał i oddał te koperty, przynajmniej coś by się działo. Może uszczęśliwiłbym w końcu jakąś kobietę” – pomyślał Osadkowski, a potem wziął

plik listów i zszedł na parter, do pani Schlesinger. Ilekroć mijał ją na klatce, kłaniał się jej, ale nie miał pojęcia, czy powinien powiedzieć „dzień dobry” po polsku czy po niemiecku.

Ilse była szczerze zdziwiona wizytą Andrzeja, ponieważ mieszkańcy kamienicy omijali ją szerokim łukiem albo wyzywali od szwabskiego ścierwa i żaden z nich nigdy jej nie odwiedził. Kobieta trzymała na rękach małą dziewczynkę, która badawczo przyglądała się przybyszowi. Od razu zapragnął mieć własne potomstwo. Starali się o to z Emilią od kilku miesięcy, ale ostatnio byli na siebie zbyt obrażeni, by wieczorami kochać się jak kiedyś. Najczęściej odwracał się do Emilii plecami, a ona chlipała, że jej mąż bierze w obronę Nadię zapewne dlatego, iż wciąż darzy ją wielką miłością. Nie zamierzał tłumaczyć swojej żonie kolejny raz, że Fiodorowa jest jego przyjaciółką, a uczucia, które do siebie żywią, nie mają nic wspólnego z miłością, jaką obdarzają się małżonkowie.

Nie rozumiał, dlaczego Emilka była aż tak zazdrosna. Również należała do bardzo ładnych kobiet, chociaż, prawdę mówiąc, mało która niewiasta mogła dorównać prześlicznej Nadeńce. Wcale się nie dziwił, że Wissarion za nią szalał, a Fiodorow gotów był dla niej narazić na szwank swoją karierę. On także kiedyś zachłysnął się jej piękną twarzą i smukłą sylwetką, jednak z czasem oboje doszli do wniosku, że po prostu do siebie nie pasują, ale czy bardziej pasowała do niego Emilia, tego nie był już pewien...

– Pan do mnie? – zapytała Ilse.

– Dzień dobry, pani Schlesinger, czy mogę zająć pani chwilę? – zapytał grzecznie Andrzej.

– Proszę, niech pan wejdzie. I lepiej, żeby sąsiedzi pana nie nakryli na tym hańbiącym czynie – odparła z ironią.

– Mam w nosie, co sobie pomyślą. – Wzruszył ramionami.

Wpuściła go do ładnie urządzonego wnętrza. W dużym pokoju nie było zbyt wielu mebli, ale zarówno stół, jak i dwie komody sprawiały wrażenie drogich i solidnych. Zapropnowała mu herbatę. Nie odmówił.

– A zatem z czym pan do mnie przychodzi? – zapytała, stawiając przed nim szklankę.

Po chwili, wciąż trzymając na rękach córeczkę, usiadła obok niego przy stole. Nie odpowiedział na jej pytanie, tylko podał pakiet listów.

– Znalazłem to dzisiaj podczas rozbiórki. I kompletnie nie wiem, dlaczego je do pani przyniosłem, zamiast wyrzucić.

Ilse powiedziała cicho, przeglądając koperty:

– Ktoś je napisał i nie miał odwagi wysłać... Ale właściwie dlaczego chce pan poznać ich treść?

– Nie chcę, ale może jest w nich coś ważnego. Jak informacje, dokąd ów człowiek się udał... Może nie zdążył ich wysłać?

– Nawet jeśli, to zapewne owa Brigitte Mause już dawno opuściła te tereny, jak większość Niemców – oznajmiła Ilse.

– Pani wciąż tu jest – zauważył.

– Tak, ale pewnie niedługo się mnie pozbędą. Na razie jestem im potrzebna do tłumaczenia dokumentów. Znam świetnie niemiecki, polski i rosyjski.

– Pani mąż zginął na wojnie czy już po? – zapytał.

– Nigdy nie miałam męża...

Przełknął ślinę, bo śliczna dziewczynka okazała się nieślubnym dzieckiem. Po-gratulował sobie taktu.

– Przepraszam – bąknął.

– Proszę nie przepraszać. Zaraz po wejściu Rosjan jeden z nich uwięził mnie w tym mieszkaniu i gwałcił przez pięć kolejnych dni. I takim sposobem poczęła się Hilde.

– W takim razie po stokroć przepraszam – szepnął.

– Przecież to nie pan mnie zgwałcił. – Wzruszyła ramionami i dodała: – Ileż to radziecko-niemieckich dzieci się urodziło po czterdziestym piątym... No cóż, nie należałam do wyjątków i cud, że w ogóle żyję. Wiele kobiet nie miało takiego szczęścia i były mordowane zaraz po zabawach radzieckich żołdaków.

– Przykro mi...

– Staram się nie wracać do tego myślami, inaczej niechybnie bym zwariowała. I tak mam dość problemów, bo ludzie traktują mnie jak ścierwo... – Westchnęła, a potem uśmiechnęła się jak psotna dziewczynka. – A ponieważ panna Brigitte Mause nigdy nie otrzyma owych listów, możemy sobie poczytać o głębokiej miłości pana Helmutha.

Wbrew temu, co oboje z Ilse myśleli, listy zawierały mniej romantycznych wyznań, a więcej wyrzutów i wyzwisk. Jak się bowiem okazało, owa Brigitte wcale nie chciała związać się z Helmuthem, ponieważ zakochana była po uszy w pewnym polskim oficerze.

– Może i lepiej, że dziewczyna nie dostała tych listów. Ileż w nich złości i jadu – westchnął Andrzej.

– Tak, jeszcze do niedawna taki mariaż był traktowany jak zdrada ojczyzny i Führera – odparła Ilse i dodała z zalem w głosie: – Sądziłam, że zagłębię się w świat czystych, wyrafinowanych uczuć, a tu widzę same ścieki.

Andrzej miał przez chwilę list napisany zamasztyłym pismem przez zniesmaczonego Helmutha i zerknął na datę. Lipiec czterdziestego trzeciego. Zaciekawiał się, jak potoczyły się losy owego Polaka i czy Brigitte widywała go w czasie okupacji, ale z korespondencji pana Zorkego się tego nie dowiedział.

Ilse wyciągnęła z koperty kolejny list i wypadło z niej jeszcze jedno zdjęcie kobiety.

– To ta Brigitte, bo Helmuth pisze, że odsyła jej portret, gdyż nie chce patrzeć na sprzedajną dziwkę – powiedziała Ilse.

– Subtelny jak diabli. Tak, to ona. W pudełku znalazłem cały plik jej fotografii, ciekawe, dlaczego chciał się pozbyć tylko tej...

Uśmiechnął się smutno i zapatrzył w czarno-białą twarz panny Mause w dużym zbliżeniu. Wydała się mu jeszcze piękniejsza, niż sądził wcześniej. Nie dziwił się mężczyźnie, że zapalał uczuciem do panny Mause, kobieta była bowiem prawdziwą pięknoscią. Jednak to nie oszałamiająca uroda dziewczyny najbardziej przykuwała od kilku godzin jego wzrok, ale smutek, który zobaczył w jej oczach. Kiedyś widywał taki u swojej byłej żony. Teraz już wiedział, że tęskniła za swoją największą i jedyną miłością, Wissarionem Zinowjewem. Może Brigitte także żywiła podobne uczucie do polskiego oficera, którego pod żadnym pozorem nie powinna pokochać? Może zaciekawiał się całą historią, bo poczuł dziwną więź z kobietą. Z tym że on nie wzdychał do żadnej panny, w końcu został niedawno szczęśliwym żonkosiem, ale zauważył, że ostatnio zaczynał tęsknić za czymś nieuchwytnym. Za uczuciem, które rozrywa serce i duszę na strzępy i po którym nic już nie jest takie samo, bez względu na to, czy ta druga osoba znajduje się tuż obok czy setki kilometrów od niego. A przede wszystkim pragnął w końcu uszczęśliwić jakąś kobie-

tę. Nawet ślicznej Nadeńki nie kochał tak szaleńczą miłością, bo wydawało mu się, że nie daje jej tego, czego potrzebowała najbardziej. Niekiedy zazdrościł Wiszy i swojej byłej żonie, że mimo upływu lat ich uczucie wciąż było świeże, jak w dniu, gdy się pokochali.

– Panie Osadkowski, za kilka dni jadę służbowo do Trzebnicy. Ta wioska jest niedaleko, więc sprawdzę, czy przypadkiem Brigitte nie postanowiła zostać w Polsce i poczekać na swojego kawalerzystę na białym koniu – powiedziała nagle pani Schlesinger.

– A jeśli nawet, chyba nie odda jej pani tych listów? Są okropne...

Ilse wzruszyła ramionami.

– Nie wiem... Może panna Mause miała wyrzuty sumienia wobec tego całego Helmutha? Jeśli przeczyta, co naprawdę o niej myślał, będzie jej lżej. Powinna się dowiedzieć, jaki z niego gagatek.

– Może ma pani rację i faktycznie powinna wiedzieć, co naprawdę o niej sądził ten absztyfikant... Tak, jeśli pani może, proszę sprawdzić, czy wciąż tam mieszka. Może pomogę jej odnaleźć polskiego księcia z bajki. – Uśmiechnął się do Ilse.

– Romantyk z pana... – westchnęła. – Dobrze, sprawdzę, a jeśli stanie się cud i okaże się, że panna Mause wciąż mieszka pod adresem z kopert, pan podejmie decyzję, czy oddać jej te listy. I... – Ilse się zawahała, jakby miała ochotę coś powiedzieć i w ostatniej chwili z tego zrezygnowała.

– I...? – łagodnie ponaglił ją Andrzej. – Proszę mówić śmiało, nie jestem pani wrogiem.

– Wiem, zawsze mi się pan kłania, czego nie można powiedzieć o innych. Po prostu chciałam podziękować, że mnie pan odwiedził. Nawet jeśli kierowała panem tylko ciekawość poznania cudzej korespondencji.

– Wpadałbym częściej na herbatkę, ale żona urwałaby mi głowę. – Roześmiał się, bo to, co wyznał, było prawdą. Panna Schlesinger nie podobała mu się jako kobieta i nie uwodziłby jej nawet wówczas, gdyby był wolnym człowiekiem, ale zapewne Emilii nie przekonałyby jego zapewnienia w tym względzie.

– Tak, ona także nie odpowiada na moje „dzień dobry”.

– Nie zabiłaby mnie, bo jest pani Niemką, ale dlatego, że jest pani kobietą. I to bardzo atrakcyjną.

– Rozumiem, pan też nie jest kulawy, ale powiem panu szczerze, że mam dość mężczyzn. Nie zamierzam się na razie rozglądać za żadnym. Ten ruski żołdak sprawił, że moje serce zamieniło się w bryłkę lodu. I może to pan powiedziec swojej żonie, gdyby miała jakieś wątpliwości.

Ulżyło mu, ale zdawał sobie sprawę, co działałoby się przy stole, gdyby wyszło na jaw, że utrzymuje jakiegokolwiek relacje z Niemką. Zresztą gdyby Ilse była Rosjanką, reakcja rodziców i Emilii byłaby podobna.

Wrócił do siebie, włożył listy do puszeki i schował w pawlaczu. Nawet jeśli któryś z domowników je odnajdzie, pomyśli, że należały do poprzednich lokatorów. Zostawił sobie jedynie zdjęcie Brigitte Mause, które wypadło z koperty w mieszkaniu panny Schlesinger.

Położył się na tapczanie i wgapił się w smutne oczy dziewczyny, która niegdyś zakochała się w polskim oficerze. Nie miał pojęcia, dlaczego to robił, ale nie widział w swoim zachowaniu niczego niewłaściwego. Równie dobrze mógłby się zachwycać urodą Marleny Dietrich czy Greta Garbo.

Usłyszał dźwięk przekręcanego klucza i zerknął na komodę, na której stał zdobyczny bogato rzeźbiony zegar. Dochodziła siódma wieczorem, zatem to jego żona wróciła z pracy. Wsunął zdjęcie do szuflady i przykrył je drobiazgami, które tam trzymał. Miał nadzieję, że Emilia nie będzie gmerać w jego osobistych rzeczach i nie znajdzie fotografii. Gdyby powiedział jej prawdę, zapewne i tak by mu nie uwierzyła, podejrzewając go o romans z tą śliczną dziewczyną.

– Jestem skonana – jęknęła Emilia, wchodząc do pokoju. – Mam maturę, a muszę pracować w sklepie. To już nie upadek, to hańba. Jest jednak nadzieja, że przyjmą mnie do studium nauczycielskiego i za jakiś czas przestanę liczyć brudne moniaki i wysmarowane Bóg wie czym banknoty.

– Ja również mam maturę i skończyłem szkołę oficerską, a pracuję przy rozbiórkach. Może jednak zapiszę się do PPR-u...?

– Oszalałeś?! – przerwała mężowi. – Przecież to sowieckie marionetki!

– No i co z tego? Sądzisz, że za chwilę znajdę jakiś ukryty ponemiecki skarb wart fortunę? I tak wszystko, co pozostało najlepszego, zajęli Sowietci. Ziemię, mieszkania, fabryki... I pewnie trochę czasu upłynie, zanim się na dobre stąd wyniosą. Mój kumpel opowiadał, że ci, którzy stąd wyjeżdżali po wyzwoleniu, zabie-

rali nawet kury i gęsi. A ja nie zamierzam do końca życia tyrać na budowie albo czekać na cud.

– Sprzedasz się? – Wykrzywiła usta w grymasie.

– Emilio, sprzedałbym się, gdybym został kapusiem UB. A ja pragnę jedynie świętego spokoju, normalnej umysłowej pracy i samodzielnego mieszkania. Chcę mieć dzieci, choćby i pięcioro, ale musimy mieć warunki, żeby je wychować. Jeśli nadal będziemy obrażeni na rzeczywistość, narobimy sobie kłopotów z uwagi na naszą przeszłość. Zwłaszcza moją. Nie mogę wciąż liczyć na Nadię i Fiodorowa. Pewnego dnia nie zechcą nadstawić za mnie karku i znowu będę na cenzurowanym. Dobrze wiesz, że ta cała amnestia była tylko po to, żeby zebrać informacje o polskim podziemiu i całkowicie je rozmontować. A jeśli zapiszę się do partii, kupię sobie czerwony krawat i pierwszego maja będę wymachiwał szturmówką, odzepią się ode mnie. Emilko, ty nie masz nawet pojęcia, jak wiele ludzi znika bez śladu. Podjeżdża samochód, wysiadają z niego funkcjonariusze z UB i pukają do któregoś z mieszkań. Potem wyprowadzają delikwenta i ten już nie wraca do domu. Nie chcę tak skończyć. Wystarczy mi to, co przeżyłem w więzieniu gestapo i gdy wywieziono mnie do Kijowa. Chcę normalności! – ostatnie zdanie wykrzyczał.

– Uważasz, że to, co się dzieje, jest normalne? – zapytała z ironią Emilia. – Teraz cham jest panem, a pan nikim. W urzędach siedzą niepiśmienni miłośnicy władzy ludowej i szykanują inteligentów i byłych ziemian. I ty uważasz, że to w porządku?

– Nie twierdzę, że jest to kraj moich marzeń, ale nie mam ani po co, ani o co walczyć. Przegraliśmy i musimy się z tym pogodzić.

– Ale nie musimy udawać, że nam się to podoba! Ciekawe, co twój ojciec na to powie?

Ostatnio ciągle to robiła. Jeśli się z nim nie zgadzała, podejmowała temat przy doktorze Osadkowskim i ten, oczywiście, zaczynał ją popierać, rugając swojego syna jak sztubaka.

– Posłuchaj, jestem dorosłym mężczyzną. Walczyłem na wojnie i jesteś moją drugą żoną. Naprawdę sądzisz, że mój ojciec będzie układał mi życie? – warknął.

– Kiedy on ma rację, zgadzam się z nim w pełni. Ja również uważam, że twoja siostra kompletnie się zeszmaciła, wychodząc za mordercę i złodzieja, że Nadia jest zdradziecką kurwą, a wstąpienie do PPR-u jest jak przyjęcie radzieckiego oby-

watelstwa... Andrzejku, co się z tobą dzieje? Dlaczego tak bardzo się zmieniłeś? – powiedziała spokojnie. – Kocham cię ponad wszystko i nie chcę, żebyś kiedykolwiek miał problem, aby spojrzeć na siebie w lustrze bez odwracania wzroku.

– Emilio, nie chcę się z tobą kłócić, ale zapewniam cię, że któregoś dnia i ty opuścisz gardę. Nie zamierzam im pomagać w krzewieniu socjalizmu i donosić na znajomych, ale nie zamierzam także im w tym przeszkadzać. Po prostu chcę się dostosować. Czy to jest takie niegodziwe?

– Dlaczego więc nie chcesz wyjechać do Anglii?

– Nie czułbym się tam dobrze. Polska to moja ojczyzna. Nie jest to kraj, o który walczyłem, ale to mój dom. – Wzruszył ramionami.

– Gówno prawda! – syknęła. – Nie chcesz wyjechać, bo wciąż wzdychasz do tej ukraińskiej wywłoki. Że też nie zdechła w... – Nie dokończyła zdania, bo chyba zdała sobie sprawę, że posunęła się za daleko. Z zazdrości o Andrzeja życzyła Nadii śmierci, co było niewybaczalne.

– Wiesz co, Emilio? Żal mi ciebie – powiedział z wyrzutem Osadkowski. – Ja chcę budować naszą przyszłość, a ty wciąż wracasz do przeszłości.

– Chciałeś tu przyjechać, bo wiedziałeś, że Fiodorowa oddelegują do Wrocławia!

– Nie miałem o tym pojęcia. Ani Marta czy Marianna. Opamiętaj się, bo zniszczysz nasze małżeństwo – odparł, ze wszystkich sił próbując się opanować, choć bliski był wybuchu.

– Zatem dlaczego zawsze ją bronisz i jeszcze oświadczyłeś, że Nadia może tu przyłączyć, kiedy tylko chce? Nie rozumiesz, jak się czuję, gdy zachowujesz się jak jej giermek? Z jaką pasją i czułością mówisz o jej poświęceniu... Boże, niedobrze mi, gdy słucham, jaka jest cudowna i odważna.

– Nadia zrobiła dla mnie więcej niż ktokolwiek inny. Jest częścią mojego życia i tak pozostanie na zawsze. Nie wiem jednak, jak mam cię przekonać, że widzę w niej dobrego człowieka i lojalnego przyjaciela, a nie kochankę. – Andrzej naprawdę nie miał już pomysłu, w jaki sposób uspokoić żonę.

– To proste: przestań o niej mówić, nie wymieniaj jej imienia i nie zapraszaj do nas. Wtedy może ci uwierzę – wycedziła, a po chwili ciężko obrażona wyszła z pokoju.

Nadia odwiedziła ich tylko raz, a jednak Emilia zachowywała się tak, jakby ta zamierzała się do nich wprowadzić. Nie mógł odepchnąć przyjaciółki, tylko dlatego,

że żona była o nią zazdrosna. Rychło musiałby zrezygnować ze znajomości z Marianną, a kto wie, może nawet z Jadźką Kaczkanówną. To było chore i nie zamierzał ulegać Emilii. Podstawą każdego związku powinno być zaufanie, a jego małżonka nie ufała mu za grosz, mimo że nigdy nie dał jej powodu do zazdrości. Nie okłamywał jej, nie zdradzał i nie zamierzał tego robić. Ani z Nadią, ani z nikim innym. A jednak za każdym razem wyrok w ustach Emilii brzmiał: „winny”.

6.



Wrocław, 1947

Wissarionem Zinowjewem targwały dziwne uczucia. Jadąc przez wiele dni na Śląsk, zastanawiał się, co powinien zrobić ze swoim życiem. Nadia została żoną innego mężczyzny i opiekowała się jego córką, a on nic nie mógł na to poradzić. Dla Oleńki ta kobieta była jedyną matką, którą znała i pamiętała. A co z nim? Gdyby miał okazję spotkać się ze swoim dzieckiem, być może potraktowałoby go jak obcego człowieka. Mógłby Aleksandrę porwać i ukryć się z nią na jakimś odludziu, ale nie chciał skrzywdzić swojej córki. Za nic w świecie.

Nawet jeśli zdecydowałby się załatwić sprawę w sposób oficjalny, nie miałby szans, ponieważ nie nazywał się już Wissarion Zinowjew, ale Wiktor Krawczenko, czyli formalnie był dla swojej córki obcym człowiekiem. Ten pierwszy nie mógł się ujawnić, ponieważ jako członek UPA trafiłby najpierw do więzienia, a potem na stryżek.

Nadia zapewne już o nim zapomniała, w końcu wszyscy, w tym ona, uznawali go za zmarłego. Może wspominała go niekiedy z nostalgią, może nawet uroniła kilka łez, ale musiała ruszyć z miejsca i pogodzić się, że Wiszy już nie ma i nigdy nie będzie w jej życiu.

Kilku mężczyzn jadących wraz z nim i Stiepanem pociągiem zaczęło rozmawiać o ucieczce do Monachium albo gdziekolwiek indziej, gdzie nie sięgały sowieckie wpływy. Sądziło, że śpi, i dlatego bez ogródek opowiadali o różnych sposobach wydostania się z Polski. Podobno we Wrocławiu istniała grupa, która ułatwiała ucieczki do amerykańskiej strefy. Jednym ze sposobów było przepłynięcie Odry na którejś z barek. Tych na rzece było mrowie, pogranicznicy dotychczas nie zwracali na nie uwagi, zwłaszcza że w całej Europie ludzie masowo się przemieszczali. Jedni opuszczali dawne niemieckie tereny i parli na zachód, inni wracali do Polski.

W takim rozgardiaszu najłatwiej było zniknąć. Ostatnio jednak nie było to takie proste, ponieważ bardzo uszczelniono granice. Zapewne dlatego, że od jakiegoś czasu mówiono o niezbyt dobrych relacjach Wschodu z Zachodem, a nawet prorokowano wybuch trzeciej wojny, tym razem przeciwko Sowietom.

Jeden z pasażerów wspomniał również o Czechosłowacji, która wciąż się opierała radzieckim wpływom, jednak prorokowano, że niedługo i tam sielanka się skończy. A to był jak do tej pory najlepszy szlak przerzutowy. Podobno bardzo wielu prominentnych szwabów uciekło tamtędy do amerykańskiej strefy, wiedzieli bowiem, że tutaj czeka ich tylko stryczek. Wisza był zdrowym, silnym facetem, dla niego wyprawa przez Sudety do Czechosłowacji nie była czymś, czemu by nie sprostał. Wystarczyło znaleźć dobrego przewodnika, ale właśnie to mogło okazać się najtrudniejsze. Nie zamierzał jednak się poddać i był zdeterminowany, by opuścić Polskę na zawsze.

I kiedy podjął najtrudniejszą decyzję w swoim życiu, by wyjechać stąd na stałe, a córkę pozostawić z ukochaną Nadią, Genowefa powiedziała coś, co zniweczyło, przynajmniej na jakiś czas, jego plany... Oleńka i Nadia być może mieszkały teraz we Wrocławiu. Byłyby tak blisko, na wyciągnięcie ręki. I on miałby teraz opuścić kraj, nie zobaczywszy najpierw, jak chowa się jego córka, i nie przekonawszy się, czy Nadii przy boku Maksima nie dzieje się żadna krzywda? Widocznie Bóg miał wobec niego inne plany, jeśli w taki sposób z niego zażartował. Do diabła, Fiodorow mógł zostać sowietnikiem w każdym innym dużym mieście, ale trafił akurat tutaj.

– Wiktorze, a ty znowu taki zasępiony? Powracają złe wspomnienia? – zapytała z czułością w głosie Genowefa, odrywając go na chwilę od myśli o Nadii i Oleńce.

Popatrzył na nią i dostrzegł w jej oczach pożądanie. Młoda dziewczyna pilnująca porządku przy budynku biura repatriacyjnego chyba dobrze знаła kierowniczkę Referatu Pracy, bo niemal od razu zawyrokowała, że podstarzała Kurzepa zechce na niego zapolować.

– Tak, wracają – powiedział z westchnieniem. – Nie chcę jednak o tym rozmawiać. Wierzę, że z czasem zapomnę i ułożę sobie życie na nowo.

– Jesteś przystojny, zapewne niejedna panna chciałaby się za ciebie wydać. Zwłaszcza że po wojnie szeregi kawalerów zostały mocno przetrzebione – odparła.

Może tym stwierdzeniem go prowokowała, ale on nie mógł zbyt brutalnie odrzucić jej zalotów. Zdawał sobie sprawę, że na razie jest na jej łasce i niełasce.

– Nie myślę o ożenku, Genowefo – wydukał.

Już chciał dodać, że nie wyobraża sobie, by mógł zamieszkać z żoną w służbówce, ale ugryzł się w język.

– A z pracy jesteś zadowolony?

– To rozrywka, nie praca. – Uśmiechnął się. – Siedzę sobie w szoferce jak panisko i zwiedzam okolicę.

– Jeszcze musisz się trochę nadźwigać. – Kolejny raz obdarzyła go powłóczytym spojrzeniem.

– Dajże spokój, jakie to ciężary. Jestem silny, wielki, więc te wszystkie dobra, które rozwozimy, wydają się lekkie jak piórko – zapewnił ją.

Nawet nie musiał kłamać, rzeczywiście praca przy rozwożeniu do wsi i powiatów aprowizacji nie należała do wyczerpujących. A przy okazji mógł sobie sprawić lepsze ubranie, ponieważ komitet przejął od UNRRA to, co po niej zostało. Ta bowiem po odrzuceniu przez Stalina planu Marshalla zwinęła się z Polski i innych państw z radzieckiej strefy wpływów.

– No i wyglądasz zupełnie inaczej niż wówczas, gdy zjawileś się w moim biurze. Teraz zawróciłbyś w głowie każdej pannie. – Genowefa nie dawała za wygraną.

Miał ochotę krzyknąć, że ma w nosie amory, bo kochał, kocha i będzie kochał do końca swojego życia tylko jedną kobietę, ale musiał bardzo uważać na to, co mówi.

– To wszystko dzięki tobie – odparł. – Pozmywam po obiedzie.

– Daj spokój, Wiktorze. To nie jest zajęcie dla mężczyzny – obruszyła się Genowefa.

Miał ochotę wybuchnąć śmiechem, bo mieszkając samotnie w Bieszczadach, musiał sam zajmować się wszystkim. I w domu, i w polu. Wstał zza stołu, zebrał talerze, a potem postawił na kuchni sagan z wodą, by nieco ją zagrzać. Poza tym nie miał ochoty, by Genowefa kolejny raz zaczęła mówić o jego męskości, urodzie i tego typu kwestiach. Może gdyby kobieta go pociągała, použíwałby sobie z nią, ale za bardzo przypominała mu z wyglądu starą Kaczkanową. Był przekonany, że Felicja jakieś dwadzieścia lat wcześniej wyglądała dokładnie tak samo jak Kurzepa. Była dość atrakcyjna, z tym że kompletnie nie w jego guście.

Przez chwilę milczał, by w końcu z bijącym sercem zapytać:

– A ten cały Fiodor, o którym mówiłaś, naprawdę ma tutaj tak duże wpływy?

– Fiodorow. Oczywiście, jest w stanie zdecydować nawet o czyimś życiu albo śmierci. – Roześmiała się rubasznie, jakby właśnie powiedziała świetny dowcip. – Poznałam go na jakimś roboczym spotkaniu. Niesamowicie przystojny i dystyngowany, ale budzący respekt.

– Uczestniczysz w naradach z udziałem wierchuszki UB? – dopytywał.

– Oczywiście, przesiedleńcy najpierw trafiają do biura repatriacyjnego. Nigdy nie wiadomo, jaki element może do nas przyjechać. Dlatego chciałam cię zarekomendować. Wcześniej czy później natkniesz się na jakiegoś swojego ziomka i na pewno dowiesz się o nim czegoś ciekawego. Ci bandyci z UPA to wyjątkowo zjadłe typy, nie odpuszczą sobie, jeśli będą mieli okazję do sabotażu. Trzeba ich jak najszybciej wyeliminować z naszego zdrowego społeczeństwa. Są jak wrzód, który należy przeciąć. Im szybciej, tym lepiej.

– Większość z nich nie żyje albo jest tak rozproszona, że o niczym takim nie może być mowy. – Wisza nie rozumiał obaw nowej władzy.

– Jesteś bardzo ufny, ale pewne służby muszą być czujne. Gdybyś...

Przerwał jej:

– Nie zostanę kapusiem, Genowefo.

– Dlaczego mówisz w ten sposób o współpracy z władzą ludową? – zachnęła się Kurzepa.

– Dobrze wiesz, że taka współpraca polega na donoszeniu na innych. A ja się boję, iż w przypadku błędnej oceny sytuacji mogę komuś zmarnować życie. – Wisza zaczął się tłumaczyć, bo zorientował się, że popełnił błąd, nazywając donosicieli UB kapusiami.

– Zdarzają się pomyłki, ale walczymy o to, by pewne sytuacje już nigdy się nie powtórzyły.

Przemawiała, jakby znalazła się na wiecu partyjnym. Podobnie jak wielu innych oddanych nowej władzy urzędników miała kompletnie spaczony sposób postrzegania świata. Bolszewicki. Znaczenia nie miała jednostka, ale masy. Uważała, że nawet jeśli skazą na śmierć kogoś niewinnego, jest to czymś zupełnie normalnym. Lepiej bowiem pozbyć się na zawsze osoby podejrzanej, niż zaryzykować i puścić ją wolno. Nikt nie pochylał się nad takimi kwestiami, jak jednoznaczne i niesfałszowane dowody, bo przecież wszystko czyniono dla dobra ogółu.

– Kiedyś we Lwowie był taki major, Fiodorow. Miał żonę i córkę – wypalił. – Ale to chyba nie on, bo ten twój jest pułkownikiem.

– Możliwe, że to właśnie on, tylko awansował. Widziałam go kiedyś z żoną i śliczną dziewczyneczką. Obie wyglądały jak księżniczki.

Przełknął ślinę. A zatem nie mylił się i Nadia z Oleńką mieszkały we Wrocławiu.

– Nie wiem, czy jego żona jest taka ładna. Nigdy jej nie widziałem. – Wzruszył ramionami. Miał nadzieję, że jego głos brzmi wystarczająco bez trosko, by nie wzbudzić w Genowefie podejrzeń.

– Podobno jest strasznie o nią zazdrosny. Opowiem ci ploteczkę, ale tak między nami...

– Dajże spokój, a komu ja powiem?

– Otóż na jakimś raucie pewien młody oficer bardzo namolnie flirtował z żoną Fiodorowa, a kilkanaście dni później oskarżono go o współpracę z zagranicznym wywiadem. Człowiek dostał czapę. – Genowefa mówiła ściszym głosem, jakby obawiała się, że któryś z pozostałych lokatorów zamieszkujących willę przy Spółdzielczej podsłucha ich rozmowę.

– Może naprawdę był szpiegiem – powiedział na odczepnego. Był jednak przekonany, że ów oficer był lojalnym żołnierzem, a Fiodorow z zazdrości postanowił wyeliminować ewentualnego konkurenta na zawsze. Tak jak kiedyś jego.

To nie była dobra wiadomość. Jeśli Maksim wciąż szalał z zazdrości, zapewne jego ludzie stale mieli Nadię na oku. A on tak bardzo pragnął ją zobaczyć. Ją i swoją córkę.

– Pewnie Fiodorow zajął najlepszy dom w mieście – ciągnął temat.

– Nie wiem. – Wzruszyła ramionami i dodała z uśmiechem: – Widzę, że zaczynasz się wahać, Wiktorze. To dobrze, praca w Wojewódzkim Urzędzie Bezpieczeństwa Publicznego to nie lada gratka. Jeśli spisałybyś się jako współpracownik, kto wie, może wzięliby cię do kontrwywiadu KBW albo nawet do pracy w biurze. Wysłaliby cię najpierw do zwykłej szkoły, żebyś nauczył się alfabetu łacińskiego, a potem na kilkumiesięczny kurs prawniczy i stałbyś się kimś – rozmarzyła się Kurzepa.

– Nie żartuj, nie jestem durniem i wiem, jak wiele lat zajmuje nauka, by w końcu otrzymać prawniczy tytuł – prychnął.

– Nie masz racji, teraz wszystko się zmieniło. Stara kadra sędziowska i prokuratorowska była zbyt nieufna wobec naszych rządów i należało wymienić ją na nową. Średnie szkoły prawnicze, kursy, dzisiaj w taki sposób można zdobyć ten zawód – dumnie odparła Genowefa.

– Każdy kmiot może teraz zostać sędzią albo prokuratorem? To żart? – zdziwił się Wissarion.

Nie miał pojęcia o dekrete z czterdziestego szóstego, który bardzo mocno skraciał aparaczykom drogę do urzędów sędziowskich czy prokuratorowskich, bo nigdy specjalnie nie interesowały go podobne kwestie.

– Oczywiście, że nie każdy, nie bądź dzieckiem, Wiktorze. Taki człowiek musi mieć rekomendację partii albo Rady Narodowej. Przecież nie możemy wpuszczać do sprawiedliwego systemu trzeciej władzy ludzi niepewnych. Wyroki muszą zapadać zgodnie z jej oczekiwaniami.

Nie zamierzał dyskutować na ten temat. Zawsze wydawało mu się, że chodzi o sprawiedliwość, ale ta najwyraźniej była dla nowych władz najmniej ważna. Już rozumiał, skąd brały się kuriozalne wyroki, skazujące ludzi na długoletnie więzienie albo śmierć tylko z powodu jednego donosu albo widzimisię jakiegoś dygnitarza i na podstawie fałszywych dowodów czy wymuszonych torturami zeznań. Biedny oficer, któremu Wissarion zapewne także miałby za złe flirt z Nadią, stracił życie z powodu krótkiej rozmowy z piękną panią pułkownikową. Człowiek już był, wystarczyło tylko znaleźć na niego paragraf.

Dalsza rozmowa z Genowefą nie dostarczyła mu żadnych nowych informacji. Kurzepa nie miała pojęcia, gdzie mieszkał Fiodorow, czym zajmowała się jego małżonka i do której szkoły została zapisana Oleńka. Wisza postanowił, że każdą wolną chwilę wykorzysta na koczowanie przed gmachem WUBP na Podwału. Było to o tyle kłopotliwe, że ten był strzeżony niczym królewski pałac, a kręcący się w pobliżu mężczyzna wzbudzałby podejrzenia. Mógł być dywersantem albo zamachowcem, czyhającym na życie jakiegoś wysoko postawionego funkcjonariusza. I wtedy przyszło mu do głowy coś innego...

– Posłuchaj, czy u was są akta przesiedleńców z całego województwa? – zagaił.

– A kogo chciałbyś odnaleźć? Jakąś kobietę? – Kurzepa zrobiła się czujna.

– Nie, ale chętnie dowiedziałbym się, co się dzieje z moimi znajomymi ze Lwowa. Andrzejem Osadkowskim i Marcelem Lemańskim – odparł.

Genowefie jakby kamień spadł z serca. Chyba wciąż miała nadzieję jeśli nie na mariaż z Wissarionem, to chociaż na płomienny romans.

– A co ja z tego będę miała? – zapytała zalotnie.

Ujął jej dłoń i przysunął do swoich ust.

– Dozgonną wdzięczność, moja droga Gieniu – szepnął uwodzicielsko.

Kobieta oblała się rumieńcem i spuściła wzrok.

– Wiesz, że jestem gotowa zrobić dla ciebie bardzo wiele – odparła cicho i zbliżyła się do Wissariona.

Chyba powinien ją pocałować albo chociaż przytulić, ale nie był w stanie tego zrobić. Był przekonany, że i tak nadejdzie dzień, a może raczej noc, gdy będzie zmuszony pójść z Genowefą do łóżka, ale postanowił wcześniej wlać w siebie odpowiednią dawkę alkoholu. Gdyby Kurzepa bardziej mu się podobała, nie miałby żadnych oporów, by się z nią zabawić. W końcu Nadia codziennie spała obok Fiodorowa i musiał się z tym pogodzić. Niekiedy się zastanawiał, czy gdy gaśnie lampa, a Maksim kocha się ze swoją żoną, ta myślami jest przy zupełnie innym mężczyźnie. Może przy nim?

Pogrzebał swoje marzenia o wspólnym życiu z Nadeńką i swoją córką, ale teraz nagle ożyły ze zdwojoną siłą. Przecież mogli uciec we troje do amerykańskiej strefy wpływów i wówczas Fiodorow nie byłby w stanie niczego zrobić, nawet przy swoich rozległych wpływach. Zaczęliby wszystko od początku, wychowali Oleńkę i spędziliby razem resztę życia w jakimś wolnym i bezpiecznym kraju.

Tak, to, co jeszcze kilka miesięcy temu stanowiło czystą abstrakcję, teraz zamieniło się w bardzo konkretny plan. Wierzył, że Nadeńka tym razem się nie wystraszy i zechce zaryzykować. Ani przez chwilę nie pomyślał, że mogłaby przestać go kochać. To nie było możliwe. Od chwili, gdy spotkali się wiele lat temu w Charkowie, wiedzieli, że są sobie pisani. Nie spodziewali się tylko tak licznych przeszkód, które napotkali po drodze. Teraz została im już ostatnia... Maksim Fiodorow.

7.



Wrocław, 1947

Zbliżała się do bramy swojej kamienicy, przy której wartę pełniło zawsze dwóch funkcjonariuszy z Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego, gdy spostrzegła stojącą nieopodal zapłakaną kobietę. Gdy ją mijala, ta złapała ją za rękaw płaszcza.

– Pani Nadia Fiodorowa? – zapytała cicho.

– Tak, a o co chodzi?

Była nieco zaskoczona, ponieważ widziała tę kobietę po raz pierwszy w życiu. Nie miała pojęcia, cóż takiego mogłaby od niej chcieć. Może miała jakiś problem i uznała, że żona pułkownika NKWD może jej w czymś pomóc?

– To przez ciebie... To przez ciebie, wywłoko, zabili mi syna! Jesteś teraz z siebie zadowolona? Proszę, idź na skargę do mężusia, niech i mnie zabiją. No, zawołaj tych dwóch bandziorów, nie krępuj się, i tak masz krew na rękach!

– Na miłość boską, nie mam pojęcia, o kim pani mówi. – Nadia była coraz bardziej zdumiona.

– Bernard Stawicki...

Zaczęła się gorączkowo zastanawiać, kim jest ów człowiek. Była pewna, że nie zna nikogo takiego.

– To chyba jakaś pomyłka, ja nie znam żadnego Bernarda Stawickiego – odparła spokojnie. – I proszę mnie nie szarpać.

– Nie znasz, dziwko?! Uwodziłaś go na raucie z okazji wygranych wyborów do sejmu, a teraz on nie żyje. Twój chory z zazdrości mąż się o to postarał. Oskarżyli go o szpiegostwo na rzecz imperialistów... Mojego Bernasia... A przecież on z armią Berlinga szedł na Berlin, był lojalnym członkiem PPR-u... A teraz nie żyje i w dodatku umarł jako zdrajca.

– Proszę pani, ja naprawdę nie mam z tym nic wspólnego. A na wspomnianym raucie rozmawiałam z wieloma mężczyznami i nawet nie pamiętam, jak się nazywali, chociaż zapewne każdy z nich się przedstawił. Nie sędzę jednak, aby zwykła rozmowa mogła sprowadzić na pani syna takie nieszczęście. To jakaś kompletna bzdura! – wyrzuciła z siebie Nadia, a potem wyrwała się z uścisku nieznajomej i weszła do bramy.

Jeden z wartowników dociekał, czy kobieta z którą rozmawiała, sprawiała jakieś problemy, ale zaprzeczyła i powiedziała, że jedynie pytała o drogę. Weszła do sieni, oparła się o ścianę i zaczęła łapczywie oddychać. Przypomniała sobie owego Bernarda, chociaż zaraz po przyjęciu zapomniała nawet jego imię. Owszem, flirtował z nią, nawet dość nachalnie, ale na Boga, Maksim nigdy nie zniszczyłby człowieka za takie głupstwo. Stawicki igrał z ogniem, ale jedyną karą, jaką mógł ponieść, był brak awansu czy popadnięcie w niełaskę przełożonych.

Jej mąż był o nią zazdrosny, bo wydawało się mu, że każdy mężczyzna marzy tylko o tym, by taka kobieta jak Nadia zwróciła na niego uwagę. Oczywiście przesadzał, aczkolwiek zdawała sobie sprawę, że podoba się płci przeciwnej. Jednak nikt przy zdrowych zmysłach nie zaryzykowałby konfrontacji z jednym z najważniejszych sowietników we Wrocławiu. Nawet ów oficer. Po prostu wypił za dużo i dlatego w pewnej chwili zrobił się namolny. Łaził za nią wszędzie i bełkotał, jaka jest piękna i apetyczna. Zapewne następnego dnia nawet o niej nie pamiętał.

Niemal na miękkich nogach weszła do mieszkania. Maksim z Oleńką siedzieli przy stole i jedli obiad, podany im przez niemiecką gosposię.

– Przepraszam, zeszło mi trochę u fryzjera – bąknęła.

– Ale za to jak ślicznie wyglądasz. – Mąż uśmiechnął się do niej i dodał: – Zaczęliśmy bez ciebie, bo nasza córka tak harcowała, że zrobiła się bardzo głodna.

– Nie szkodzi, kochanie. – Odwzajemniła uśmiech, chociaż ten jej był nieco wymuszony.

– Jak ci minął dzień, skarbie? – zapytał z czułością Fiodorow. – Przecież nie siedziałś u fryzjera cały dzień.

– Nie, poszłam się dowiedzieć, co musiałabym zrobić, żeby dostać się do szkoły pielęgniarstwa. Wiesz, chciałam się wykształcić.

– Oczywiście, kochanie, to bardzo dobry pomysł, tylko czy na pewno twoim powołaniem jest pielęgniarstwo?

– Właściwie to nie, ale w czasie wojny udzielałam się w szpitalu i pomyślałam, że mogłabym pójść w tym kierunku. Niczego innego w życiu nie robiłam – wydukała.

Nie wspomniała, że kiedyś była parobkiem w majątku, bo teraz nie miało to znaczenia. Mieszkała od lat w mieście i tutaj musiała sobie znaleźć jakieś zajęcie.

– Skarbie, pomyśl, co naprawdę chciałabyś robić, a ja ci to ułatwię. Może chcesz zostać prokuratorem albo sędzią? A może lekarzem albo nauczycielem? – Maksim tego popołudnia był dla żony wyjątkowo miły.

– Dobrze, pomyślę – odparła słodko, a potem dodała zupełnie poważnie: – Maksimie, czy Bernard Stawicki naprawdę był szpiegiem czy nie mogłeś znieść jego pijackich awansów względem mnie?

Fiodorow poniósł głowę znad talerza i popatrzył na nią w taki sposób, że nie miała wątpliwości, iż jej małżonek przyłożył rękę do aresztowania Stawickiego. Znając obecne sądy, wydanie wyroku skazującego nie stanowiło problemu.

– Nie wygłupiaj się. Były dowody, że przekazywał imperialistom ważne informacje – odparł z pretensją w głosie.

– Nigdy byś się do czegoś takiego nie posunął, prawda? – zapytała żałośnie.

– Zrobiłbym to tylko wówczas, gdyby ktoś cię skrzywdził – zapewnił i dotknął jej dłoni.

Zacisnęła usta. Maksim naprawdę szalał na jej punkcie, ale tym razem jego zachowanie byłoby niewybaczalne.

– Kochanie, zawsze byłeś dumny ze mnie. Podobało ci się, że inni mogą jedynie na mnie popatrzeć albo zamienić ze mną kilka zdań, a ja jestem cała twoja. Nie ufasz mi? – wydukała w końcu, po dłuższej chwili milczenia.

– Nie ufam sobie – mruknął pod nosem. – Jest piękna pogoda, pójdźmy na spacer z Oleńką.

– Głowa mnie boli – odparła sucho.

– Nadio, pamiętaj, że bardzo cię kocham i nikomu cię nie oddam. Naszej córeczki również.

Łzy napłynęły jej do oczu.

– Wiem, Maksimie, jak bardzo mnie kochasz, i to mnie przeraża.

– Posłuchaj, przecież uratowałem przed łagrem twojego byłego męża, a gdy dotarliśmy do Wrocławia, pomogłem ci go odnaleźć. Nie czynię ci wyrzutów, że go odwiedzasz, chociaż wciąż jestem o niego zazdrosny.

To była prawda, ale ona wciąż miała przed oczami zapłakaną matkę Bernarda Stawickiego. Już kiedyś ją oszukał, gdy przyrzekł, że uchroni Wissariona przed strykiem w zamian za naprowadzenie NKWD na ślad Stiepana. Tymczasem zależało mu jedynie na odnalezieniu jej ukochanego i pozbyciu się go na zawsze. A może Wisza się mylił i Maksim dotrzymałby słowa?

Popatrzyła na mężczyznę, który z troską poprawiał kokardę we włosach Oleńki, i już sama nie wiedziała, czy ma przed sobą czułego męża i ojca czy bezwzględного potwora. Przecież pracował w resorcie, w którym nie było miejsca dla ludzi z sumieniem. Każdy wiedział, jak wyglądały powojenne sądy w Polsce. A zarządzenia wprowadzane przez wierchuszkę, między innymi przez jej małżonka, pozbawiły wielu ludzi życia albo wolności. Dlaczegoż więc nie miałby upiec dwóch pieczeni na jednym ogniu? Mogła jednak swobodnie spotykać się z Andrzejem, Marcelem czy Bogusiem... Kim więc, do licha, był Maksim Fiodorow?

Postanowiła zmienić temat.

– Wiesz, Marcel Lemański niezbyt dobrze sobie radzi. Przez tę sztywną rękę nie może znaleźć porządnej pracy i siedzi na stróżówce za jakieś ochłapy – zagadnęła.

– O, szkoda, że wcześniej mi nie powiedziałaś. Tacy ludzie jak Marcel bywają bardzo użyteczni. Gdyby nie on, nie miałabyś w dniu ślubu takiej pięknej sukni. Jeśli będziesz na Stalina, powiedz mu, żeby do mnie przyszedł któregoś popołudnia. Może w czwartek...

– Maksimie... Jest jeszcze jedna sprawa... Andrzej to wykształcony człowiek, a takich teraz brakuje. Pracuje na budowie, ale on nie nawykł do ciężkiej fizycznej pracy. Może mógłbyś...? – zaczęła, ale Fiodorow jej przerwał.

– Nadeńko, nie nadwerężaj mojej dobroci względem ciebie. Niech twój były mąż się cieszy, że nikt go nie nęka. Powinien zawisnąć za sprzeciwianie się rządowi lubelskiemu. Dzięki tobie ma spokój, ale nie wymagaj, bym jeszcze załatwiał mu ciepłą posadkę. Niech się zapisze do partii, udziela się społecznie, a nie będzie musiał korzystać z koneksji, żeby dostać lepszą pracę. – Głos Maksima zrobił się nieprzyjemny.

Nic nie odpowiedziała na jego słowa. Wiedziała, kiedy nie należy naciskać Maksima, ale ucieszyła się, że chociaż pomoże Marcelowi. Andrzej, co prawda, zrezygnował z działalności wywrotowej, ale Emilka i jego ojciec zatruliby mu życie, gdyby zapisał się do partii. Musiało być mu bardzo ciężko, ale na razie nic nie mogła na to poradzić.

– Zajmiesz się jeszcze Oleńką, zdrzemnę się trochę, może przejdzie mi ból głowy – skłamała.

– Oczywiście, kochanie. – Uśmiechnął się do niej i zwrócił do dziewczynki: – To co będziemy robić, kiedy mamusia nie będzie widziała?

Nigdy nie sądziła, że Maksim pokocha Oleńkę jak swoje dziecko. Może gdyby mogli mieć własne, byłoby inaczej, ale w tej sytuacji przelał ojcowskie uczucia na obce małeństwo. W dodatku spłodzone przez Wissariona Zinowjewa. Fiodorow odebrał mu wszystko – Nadie, Oleńkę, a na końcu również życie.

Weszła do sypialni i zobaczyła skrzynki wypełnione papierowymi teczkami. Na każdej z nich widniała swastyka i inne symbole Trzeciej Rzeszy. Aż się wzdrygnęła. Powróciła do jadalni i zapytała:

– Maksim, co to, u licha, jest?

Musiała zrobić się blada, bo Fiodorow zerwał się z krzesła.

– Archiwa z lwowskiego więzienia i z biur gestapo. Muszę je przejrzeć. Przepraszam, kochanie, wiem, jak źle ci się kojarzą takie symbole.

„Sierp i młot kojarzą mi się równie paskudnie” – pomyślała z przekąsem.

– Daj spokój, tylko przez moment dziwnie się poczułam. W końcu mieszkamy w niemieckim Breslau, muszę przywyknąć do pewnych rzeczy. – Uśmiechnęła się sztucznie.

Wróciła do sypialni i położyła się na łóżku. Nie zamierzała jednak spać, jak powiedziała Maksimowi, ale spokojnie pomyśleć o nieszczęsnym Bernardzie Stawickim. Po jakimś czasie jednak doszła do wniosku, że i tak nigdy nie pozna prawdy.

Nazajutrz, gdy wyszła z domu, by odprowadzić córkę do szkoły, zobaczyła idącego w jej stronę Andrzeja.

– Co ty tutaj robisz? – zdziwiła się.

– Dzień dobry, Nadeńko – odparł. – Czekam na ciebie.

– Coś się stało?

Zaniepokoiła się, bo nikt z jej znajomych nie odważyłby się przyjść przed jej pilnie strzeżony dom. No chyba tylko Marcel Lemański, na wyraźne zaproszenie jej małżonka. Maksim niekiedy proponował, żeby zaprosiła swoich przyjaciół do ich mieszkania, ale nawet nie chcieli o tym słyszeć. Skwitował to jedynie słowami, wypowiedzianymi żartobliwym tonem, że nie rozumie, dlaczego boją się takiego miłego faceta jak on. Już chciała się odciąć, że zapewne matka Stawickiego nie podziela jego zdania, ale wiedziała, kiedy powinna ugryźć się w język.

– Nic strasznego się nie stało, nie martw się. Chciałem tylko cię poprosić, żebyś jutro po południu do nas przyszła. To znaczy do Marianny i Bogusia. Musimy porozmawiać.

– Dobrze – wymamrotała. – Ale naprawdę nic złego się nie dzieje? Jeśli tak, powiedz od razu, bo oszaleję z niepokoju do jutra. Coś z Martą?

– Nie panikuj, po prostu przyjdź – powiedział stanowczo. – Dasz radę?

– Tak, jutro Maksim wyjeżdża w delegację do Warszawy. Przyjdę z Oleńką. Zresztą i tak się do was wybierałam, bo mam sprawę do Marcela.

– Cudownie, w takim razie czekamy na ciebie. – Osadkowski chwilę później wmieszał się w tłum przechodniów.

Do następnego popołudnia mimo zapewnień Andrzeja czuła zdenerwowanie. Jeśli zdobył się na to, by czatować na nią przed jej kamienicą, musiał mieć ku temu bardzo ważny powód. Dlatego zaraz po obiedzie włożyła Oleńce płaszczyk i wyszła z domu. Tym razem nie mogła skorzystać ze służbowego chevroleta małżonka, bo Fiodorow pojechał nim do Warszawy. Nawet było jej to na rękę, bo nie musiała precyzyjnie określać godziny powrotu.

– Tylko nie siedź do późna, kochanie. Żeby cię jakiś bandzior nie napadł – ostrzegł ją Maksim przed wyjazdem.

– Jeśli się zasiedzę, poproszę Marcela, żeby mnie odprowadził. – Uśmiechnęła się do niego.

– Byleby nie był to twój były mąż. – Maksim zrobił groźną minę.

– Emilka by mnie ze skóry obdarła. – Zachichotała.

– Zapewne... I jeszcze posypała solą. Uważaj na nią, Nadeńko – powiedział zupełnie poważnie.

– Maksimie, przecież jestem twoją żoną, a ona Andrzeja. Nie wiem, dlaczego niektórzy uważają, że przyjaźń pomiędzy byłymi małżonkami nie jest możliwa. To bzdura.

– Ja wciąż jestem o niego zazdrosny, wiesz o tym... I będę, nawet jeśli miałby pięć żon.

– Nie żartuj. – Roześmiała się zupełnie szczerze, bo Maksim nie miał pojęcia, że o jej uczucia do tego mężczyzny może być absolutnie spokojny. Pewnie dlatego, że jej miłość do Wissariona wciąż była żywa i głęboka. – Między nami już od dawna nie ma nic oprócz sympatii.

– Ale być może jego żona ma inne zdanie na ten temat – wymamrotał pod nosem, a potem ucałował ją w oba policzki i opuścił mieszkanie.

Szła w kierunku ulicy Stalina tak szybko, że w końcu Oleńka się zbuntowała i powiedziała, iż za chwilę stanie i nie ruszy się na krok. Zwolniła więc tempo, ale odnosiła wrażenie, jakby droga do kamienicy, w której mieszkali jej przyjaciele, ciągnęła się w nieskończoność.

Kiedy dotarła w końcu do cuchnącego mieszkania Marianki i Bogusia, Andrzej już na nią czekał.

– Piękna ta twoja córeczka – powiedział.

– Nie mów tak, bo będzie zadzierała nosa. – Roześmiała się.

– Dobrze, to ciotka Marianna teraz się nią zajmie. A ty pójdziesz ze mną.

– Andrzej, od wczoraj umieram z niepokoju, a teraz mnie jeszcze dobijasz – jęknęła.

Do rozmowy wtrąciła się Marianna:

– Byleby tyn twój bajbus^[10] czemny^[11] był – burknęła.

– Zabrała ze sobą lalkę, więc będzie się grzecznie bawić – zapewniła ją Nadia, wciąż zachodząc w głowę, dokąd Osadkowski zamierza ją zaprowadzić.

– Tu śmierdzi – oznajmiła nagle Aleksandra.

– Patrz pani, jaka damulka z tego śmierdziucha – prychnęła Marianka. – Śmierdzi jej. Siadaj przy oknie, tam mniej zalatuj.

Wyszli z Andrzejem na klatkę i zaczęli schodzić na niższe kondygnacje. Nadia złapała go za rękaw koszuli.

– Błagam, powiedz wreszcie, dokąd idziemy – jęknęła niemal rozpaczliwie.

– Do sąsiadki, Ilse Schlesinger.

– Na Boga, po co? – Nadia bardziej się zdziwiła, niż przestraszyła.

– Bo jako jedynej w tej kamienicy nikogo jej nie dokwaterowali i jest moją dobrą znajomą. Ktoś tam na ciebie czeka, Nadio. Tylko błagam, nie rób głupstw.

Nie zdążyła się nawet zastanowić, kim był człowiek, który na nią czekał w mieszkaniu jakiejś Niemki ani dlaczego miałyby w związku z tym popełnić głupstwo, bo dotarli na parter. Andrzej cicho zapukał. Po chwili otworzyła im młoda kobieta i wciągnęła Nadię do środka, po czym zamknęła drzwi tuż przed nosem Andrzeja.

– Co się dzieje? – zapytała kobietę. Była coraz bardziej zdenerwowana tą konspiracją.

Ilse Schlesinger wskazała jej zamknięte drzwi pokoju i powiedziała:

– Wejdz sama. Gdybyś mnie potrzebowała, będę obok.

Nadia niepewnie nacisnęła na klamkę, a potem zamarła i osunęła się, omdlała, na podłogę.

8.



Wrocław, 1947

Lemański nie pamiętał, kiedy ostatni raz pił koniak. Chyba na początku wojny we Lwowie. Upił z pękatego kieliszka łyk bursztynowego napoju i powiedział, starając się mówić bez charakterystycznego dla Kresów Wschodnich słownictwa, mimo że śpiewny akcent wciąż było słychać i Marcel nie był w stanie się go pozbyć.

– Maksimie, naprawdę cieszę się, że cię widzę.

– Ja również. A najbardziej dlatego, że Nadia nie czuje się już taka samotna, odkąd was odnalazła we Wrocławiu. Sądziłem, iż zaprzyjaźni się z małżonkami moich kumpli, ale musi je do siebie przekonać. Wiesz, jak to jest z babami. Jedna drugiej wiele może wybaczyć, ale nie to, że jest od niej ładniejsza. – Uśmiechnął się kwaśno.

– Dobrze prawisz, Maksimie. Za babami nie nadążysz – odparł Marcel.

Po godzinie niezobowiązującej pogawędki Lemański zaczął się niespokojnie wiercić. Nie przyszedł tam, żeby gadać o głupotach, ale chciał wrócić do prowadzenia interesów z pułkownikiem. A nade wszystko pragnął, by ten użył swoich koneksji i załatwił mu osobne lokum. Musiały być jakieś jednopokojowe albo dwupokojowe lokale, a nawet byłby gotów mieszkać z lokatorami, byleby nie byli nimi Osadkowscy i Kaczkanowe plemię.

Zanim wszedł do mieszkania Fiodorowa, spocił się z nerwów, jakby co najmniej na zewnątrz panowały afrykańskie upały. A to za sprawą funkcjonariuszy KPW, którzy pełnili wartę przed budynkiem. Najpierw go wylegitymowali, a potem patrzyli na niego jak na złoczyńcę.

– Możecie iść, pułkownik was oczekuje – powiedział w końcu jeden z nich.

Jakby nie mogli zerknąć do kwitów i od razu go wpuścić do budynku, tylko gapił się jak na jakiegoś szemranego typa. A gdy już się znalazł w mieszkaniu pułkownika, ten mu już z godzinę nawijał makaron na uszy, jak to Nadia czuła się samotna we Wrocławiu albo że mała Aleksandra dostaje same piątki w szkole.

Maksim chyba wyczuł jego zniecierpliwienie, bo powiedział:

– We Wrocławiu nie masz czego szukać, ale w okolicach znajduje się mnóstwo zamków, pałaców i kościółków. Niektóre są już zasiedlone, w innych siedzi nasze wojsko. Jestem przekonany, że uciekający Niemcy pochowali w ich okolicach jakieś skarby. Kiedy weszło nasze wojsko, z tym, co na wierzchu, miało dużo roboty i nikt się nie zastanawiał nad tym, że cenne rzeczy ktoś mógł zakopać albo utopić w jeziorze. Dostaniesz odpowiednie przepustki i zezwolenia. A także mapy. Sztabówki z zaznaczonymi miejscami, w których coś może być. Chcę połowę z tego, co znajdziesz. Możesz mieć jednego pomocnika, nie więcej, bo im mniej osób będzie widziało o twojej dodatkowej działalności, tym lepiej. I załatw mi jakąś ładną kiecę dla żony. Tylko nową, a nie jakiś amerykański łach z UNRRA.

Łatwo mu było gadać, tylko że Marcel nie miał we Wrocławiu żadnych znajomości w półświatku. Skąd więc wytrząśnie Nadii nową kieckę? Podobno w paczkach z UNRRA trafiały się także zupełnie nowiutkie i eleganckie kreacje, ale musiałyby mieć kogoś, kto mu takie cudo stamtąd wyniesie. Zresztą UNRRA już chyba nawet nie istniała. Nie zamierzał jednak mówić Maksimowi o problemach, które może napotkać, bo ten gotów znaleźć sobie we Wrocławiu bardziej rzutkiego współnika.

– Trochę to może potrwać – powiedział ostrożnie.

– Byle nie za długo. Nadia ostatnio nie jest w zbyt dobrym nastroju.

– I myślisz, że nowa kiecka to zmieni? – zapytał z ledwie wyczuwalną ironią.

– Nowa sukienka, błyskotki... Kobiety uwielbiają blichtr. – Fiodorow machnął ręką.

Marcel pomyślał, że zapewne nie miał pojęcia, iż Nadię najbardziej uszczęśliwiłby romans z Zinowjewem. Tylko co z tego, skoro ten od dawna gryzł ziemię. Ostatnio poszła na jakąś tajemniczą schadznię z Andrzejem Osadkowskim, kto wie, może wciąż miała do niego feblik?

– Załatwi się – odparł takim tonem, jakby zorganizowanie podobnych rzeczy we Wrocławiu, nie stanowiło dla niego najmniejszego problemu. No cóż, w ostatecz-

ności dokona jakiegoś zakupu za ciężkie pieniądze na rynku przy placu Strzeleckim i potraktuje to jako inwestycję w przyszłość.

– Nadeńka mówiła, że gnieździe się całą rodziną w jednym mieszkaniu. Co prawda, wasz lokal jest wyjątkowo obszerny, ale życie pod jednym dachem z teściową musi być uciążliwe. – Zaśmiał się rubasznie.

– Nawet z dwiema, chociaż ta jedna to została Marcie w spadku po zmarłym mężu – burknął.

– Marcelu, załatwię ci mieszkanie, ale to musi potrwać. Teraz mógłbyś otrzymać tymczasowy przydział jedynie w miejscach, w których mieszkają sami Rosjanie, ale nie sądzę, by twoją małżonkę to uszczęśliwiło.

O mały włos się nie przeżegnał. Jeszcze tego brakowało, żeby przeprowadzili się do bloku, w którym żyli tylko Sowieci. Starzy Osadkowscy od razu by zmiarkowali, że Marcel brata się z ich największym wrogiem, i całkiem by jego Martusię wyklęli.

– Poczekam... – odparł, a potem coś mu przyszło do głowy. – Pod nami jest duże mieszkanie i sprowadził się do niego tylko jeden człowiek. A po co mu jednemu cztery pokoje? Jakbyśmy z dziećmi i Martusią się do niego wynieśli, upieklibyśmy dwie pieczenie na jednym ogniu. Marta miałyby rodziców pod bokiem, a ja nie musiałbym codziennie patrzeć na te rymundy.

– Kogo? – Maksim uniósł brwi.

– Te baby, znaczy się teściową moją i mojej żony – wyjaśnił Marcel.

– Rymunda... – Pułkownik się roześmiał. – Podoba mi się. Od dzisiaj będę tak nazywał swoją sekretarkę.

„Na pewno się ucieszy” – pomyślał z przekąsem Marcel. Na głos jednak powiedział:

– Tyż ładnie.

– Dobrze, zobaczę, co się da zrobić w kwestii tego mieszkania. Swoją drogą to dziwne, że jednemu człowiekowi przydzielono tak ogromny lokal. Może ktoś wziął w łapę? – głośno zastanawiał się Maksim.

„Jeszcze gotów mi nowego sąsiada wysłać do łagru” – przeraził się Lemański.

– E tam, pewno zaraz mu kogo dokwaterują. Ludziska cały czas ciągną na te Ziemię Wyzyskane, jakby tu wszystko darmo dawali. Inni dla odmiany stąd uciekają,

bo to przecież trzeba mieć twarde siedzenie, coby tu wytrwać. Rozchodzi się jednak o to, by mu nas dokooptowali, a nie jakąś rodzinę z Warszawy.

– Może i masz rację. Załatwię to, a tymczasem zgłoś się jutro do Ministerstwa Ziemi Odzyskanych, do niejakiego Rządziaka. On ci wyda kwity na konfiskatę mienia z przeznaczeniem na wsparcie odbudowy stolicy.

– A jak potem zapyta, gdzie to skonfiskowane mienie? – zafrasował się Marcel.

– Ot zapiszesz, żeś zabezpieczył fortepian, a o innych rzeczach nie wspomnisz.

„Nu chyba ży gówno znajdę – pomyślał. – Przecież co nie zagrabiła czerwona szarańcza, to podebrały szabrowniki z Warszawy”.

– Recht, a na co mi fortepian. – Zaśmiał się rubasznie.

Pożegnał się z Nadią i wyszedł z kamienicy Fiodorowa, bacznie się rozglądając, czy przypadkiem nikt znajomy się nie napatoczy. Każdy, kto widział uzbrojonych żołnierzy przed jakimś domem, wiedział, kto w nim zamieszkuje. Im wystarczyły odwiedziny Nadii, by sąsiedzi szeptali po kątach, że mają konszachty z najwyższymi władzami. Nawet mu się ten ich respekt wobec niego podobał, jedynie dozorczyńni Kalinowska darła się na niego tak samo jak zawsze i jak na wszystkich, gdy zdarzało mu się wracać z pracy nad ranem. Przed wojną wcisnęłyby jej za fatygę jakiego moniaka, ale teraz, w socjalizmie, chyba nie wypadało. Zwrócił jej tylko uwagę, że nie musi na noc bramy zamykać, bo zdaje się, że nawet przepisy nie zezwalają. Ona jednak była nieugięta i twierdziła, że jak zostawi podwórze otworem, z miejsca ktoś poniesie kabana tych spod szóstki i będzie awantura. Narzekała na smród i że wiocha się za bardzo panoszy, ale wieprzka pilnowała jak własnego. Może Pasikonik, właściciel trzody, obiecał jej po świniobiciu kawałek mięsiwa?

Wrócił do domu i powiedział ściszone głosem do Marty:

– Wszystko załatwiłem z Fiodorowem, tylko niech ci reńka boska broni coś przy ojcach gadać, że o tych dwóch mantełepach^[12] nie wspomnę.

– Oszalałeś? Żeby znowu mnie wyklęli? A mnie, Marcel, wszystko jedno, z kim się dogadasz, bylebyśmy się stąd wynieśli i byś dostał popłatniejszą robotę. Szkoda mi Andrzeja, bo zostanie sam jak palec...

– Załatwiam, cobyśmy do doktora dokwaterowanie dostali, a wtedy daleko mieć nie będą. Ty myślisz, kochana, że Andrzej pogoni tę szantrapę czy tak si będą do końca życia z nią mordował?

– Nie wiem, ale chyba spadły mu różowe okulary. Kiedyś był w niej zakochany, a i ja nawet ją lubiłam, jednak po powrocie rodziców i odwiedzinach Nadii diabeł w nią wstąpił. Zresztą nie dowiesz się nic o człowieku, dopóki go do rodziny nie wpuścisz i z nim nie zamieszkasz.

– Zazdrosna o Nadeńkę, bo każda baba by była. A co oni właściwie mieli ostatnio za jakieś tajemnicze spotkanie? Chyba niczego nie kombinują, bo tyn cały Fiodorow to taki okochany w żonce, że jak co zwącha, od razu wyśle twojego braciszka za Ural – powiedział złowróżbnie.

– Wielkie mi spotkanie, po pięciu minutach wrócił. – Parsknęła.

– Ale ta mała od Nadii to z pięć godzin u Marianki i Bogusia siedziała. To znaczy bardziej spała, ale gdzie się podziewała pułkownikowa, hę?

– A mnie skąd wiedzieć? – zirytowała się Marta. – Wiem, że z Andrzejkiem nie była, do reszty się nie wtrącam. I co cię to obchodzi? Zostałeś kapusiem Fiodorowa?

– Ni tam, zaraz kapusiem. Ino ciekaw jestem, co ta szelma kombinuje – odparł.

– Wiesz, ostatnio modne jest powiedzenie, że im mniej wiesz, tym lepiej śpisz. Ja wiem, że ten nowy doktorek coś kombinuje, bo mu z teczki jakaś ulotka wypadła. Chciałam oddać, ale tak niechący zerknęłam. A tam napisane, że trzeba zrzucić jarzmo stalinowskiego reżimu. Potem przez pół nocy zasnąć nie mogłam – powiedziała konspiracyjnym szeptem.

– Za to następnego dnia żeś przez cały wieczór na krześle kimała. Chrapałaś, że radia nawet posłuchać ni mogłam – wytknęła jej. – I co ci obchodzi ulotka? Ni twoja przecież.

– Ale wiesz, jak to było za Niemca. Jak ktoś podpadł, całą kamienicę wywozili do obozów albo stawiali pod ścianą. Myślisz, że ruskie to lepsze?

– Nas ni ruszą, w końcu odwiedza nas ni byle kto, ale dygnitarzowa, pułkownikowa Fiodorowa. – Uśmiechnął się, a potem położył na kozetce, z rękami pod głowę. – Jak si wyniesiemy na dół, to sami będziemy zasiadali do stołu i już nic mi nie utknie w gardle przez te cztery łandygi^[13].

– Jadźka pracę dostała. Robocze ubrania szyje, ale płacze, że ją kierownik ochrzanił, bo jej rękawice miały tylko cztery palce. – Marta zachichotała.

– O patrz, a taka niby szkolona jest, a do pięciu policzyć nie umi.

– Lepiej, żeby została w tej robocie. Lżej nam będzie.

– Ja tak miarkuji, ży z czasem to nam będzie bardzo lekuchno. Dopóki Fiodorow trzęsi tym miastem, krzywdy ni zaznamy.

– Boże... Żeby tylko nikt się o tym nie dowiedział – westchnęła.

– Boguś i Marianka muszą wiedzieć. A ty mi powiedz, moja duszko kochana, gdzie ja mogę ładną nową kieckę kupić. Najlepiej coby metkie z Paryża miała. Na Strzeleckim czy lepiej na Nankina uderzyć?

– Masz kochankę? – Marta nagle pobladła.

– Jeszczy by w mi ciążę zaszła. A mało mam śmierdziuchów na głowie, po co mi na niej kolejne masło^[14]? Maksim dla Nadeńki chcy kupić, coby jej humor poprawić.

– Szkoda, że ty nie robisz swojej żonce takich upominków – powiedziała nieco urażona.

– Martusia, ja tobie w nocy humor poprawiam, a widać Fiodorow mniej gramotny w te klocki, to musi babie kiecki kupować. – Roześmiał się i zaczął pieścić swoją połowicę.

– Marcel, ja ciągle się martwię, że znowu zajdę w ciążę – jęknęła.

Lemańskiemu od razu odechciało się amorów z żoną. Kolejny bajbus to byłaby już kompletna katastrofa.

– Nu to i ja tobie jaką kieckę obstaluji.

– Marcelek, a jak stara Kaczkanowa nie zechce mi Ignasia oddać? – zapytała Marta.

– Przecie to twój dzieciak, nie jej. Ona może cię inu pocałować w rzyć. – Odparł i powrócił do mrzonek o życiu bez starych Osadkowskich i obu pań Kaczkan.

Zabawiłby się najchętniej z żonką, bo i tej by to dobrze zrobiło, ale Marta miała słuszność i nie mogli ulegać chuci bez opamiętania. Przytulił jedynie swoją połowicę i stwierdził, że nie zamieniłby jej na żadną inną, mimo iż Martusia nie wyglądała już tak ponętne jak kiedyś. Owszem, wciąż była ładna, ale trudy wojennego życia i ciężkie losowe wypadki odcisnęły na jej twarzy swoje piętno. Może to i lepiej, że nie budziła w chłopach już takiej sensacji jak w młodości, bo chyba by zwa-riował z zazdrości. Tak jak szalał Maksim Fiodorow.

Zaraz po śniadaniu poszedł do Bogusia i objaśnił mu, czym teraz będą się zajmować. Pochwalił się także, że Maksim załatwi mu przydział na mieszkanie u doktora. Marianka, która dotychczas nie wtrącała się do rozmowy, tylko piłowała sobie paznokcie, chwyciła Marcela za rękę i krzyknęła:

– Marcyś, ty nas zabierz do tyj nowyj kwatery! Nawet ja zaczynam cuchnąć kurzymi odchodami!

– Nu, chciałaś burdelik otworzyć, to si wyniesiecie na dobre.

– W robocie mam mieszkać? – zachnęła się. – I marne są na to widoki, bo pomieszkań brakuji. Pewno ruskie wszystko zarekwirowały.

– A Maksim proponował, cobym w jednym domu z ruskimi żołdakami zamieszkał, ale wolę Kaczkanowe niżli ruskie czerepachy^[15]. Ale na burdelik by się zdało.

– Ruskie żołdaki jak se chcą použíwać, to gwałtem baby biorą. Nic by nie zapłacili i tyle mojego – prychnęła.

– Ty lepij, Marianka, wystąp do urzędu, coby ci zezwolił na prywatny sklepik. A my ci będziemy towar dostarczać. Drobne mebelki, bibeloty, może trochu świecidełek. Rajfurka to nie jest dobre zajęcie w komunistycznym państwie. – Marcel wcale nie żartował.

– Podobnież jak prywatna inicjatywa. Ponoć trzeba co rusz się spowiadać w wydziale finansowym, ile si zarobiło – prychnęła.

– Nu i co z tego? To si wypowiadasz, ale parę grzeszków zataisz, i recht^[16]. A weźmiemy was, bądźjisz mi tego najmłodszego bajstruka^[17] hyćkała^[18].

– To ja już wolę Dziegielowe kuraki. We Lwowie mi dość krwi napsuły te twoje śmierdziuchy. – Marianna od razu zmieniła zdanie. – Dobra, jutro pójdę i si dowiem, co to trzeba zrobić, żeby taką zgodę dali. Dopytam w piekarni obok. Podobnież oni tyż prywaciarze.

Boguś był pod wrażeniem.

– A ja myślałem, że będę musiał się za susterkę wstydzić do końca żywota. Masz ty reńkę do tej mojej Marianki.

– Inu nie reńkę, ja żonaty. Ja umim stosować perswazję.

– Chrystusie Królu, a co to takiego? Co ty jej robisz? – zdziwił się Boguś.

Marcel przewrócił oczami, jakby co najmniej sam należał do światowców, i odrzekł godnie:

– Umim jej przemówić to tego wyondulowanego pustego łba, recht?

– A, to co inszego. – Bogusiowi jakby ulżyło. Chciał jeszcze coś dodać, ale do pokoju wszedł otyły lokator, hodujący w łazience drób.

– Ukradliście mi kurę! Tę białą! – ryknął niemal od progu.

– A na cholere mi wasza kura, panie Dziegiel? – obruszył się Boguś.

– Jak na co? Na rosół! – Jegomość nie zamierzał spuszczać z tonu.

– A widziałeś pan albo poczułeś, cobyśmy rosół gotowali? – zauważyła Marianka.

– Żeście pod piętym kuraka sprawili, cobym nie zmiarkował.

– Panie Józku, zajrzy pan dobrze pod wannę. Moży si zaklinowała i ledwo dycha. Ja tego smrodu mam tak dość, ży przez reszty życia drobiu do gęby nie wezmę – prychnęła Marianka.

– Na milicję pójde i donos zložę! – Mężczyzna nie dawał za wygraną.

– A idź pan, idź... To panu powiedzą, że w mieszkaniach kur ni można hodować, i wszystkie panu zabiorą. – Zaśmiała się.

To najwyraźniej otrzeźwiło hodowcę drobiu, bo opuścił pokój, nawet nie trzaskając drzwiami.

– Sama na niego doniosę – warknęła Marianka. – Wczoraj znowu w gównu wlałam. A ledwo co si wykapałam. Kto to widział w łazience drób trzymać.

– One ze wsi, pewnikiem w życiu łazienki na oczy nie widzieli. – Boguś machnął ręką i dodał: – Ja tam od milicji wolę się z daleka trzymać. A od smrodu jeszcze nikt ni umarł. Osadkowski ciągle na jakiegoś trupa trafia. Tam dopiero musi dawać... Jak kiedyś na Brygidkach.

– E tam, zaraz po wojnie to i owszem, ale teraz pewno tylko kosteczki znajduje albo spopielone trupy. A u nas kury żyją i obsrywają wannę – wysyczała Marianna.

Marcel był przekonany, że Marianka, mimo iż utyskiwała niemal codziennie na Dziegielowe kuraki, i tak nie poszłaby na milicję. Należała bowiem do osób, które wołały cierpieć, aniżeli robić za kapusiów. W jednym miała rację – kiedy Marcel opuszczał mieszkanie przyjaciół, także odnosił wrażenie, że cały przesiąkł nieprzyjemnym zapaszkiem.

Zanim wrócił do siebie, wyszedł na podwórze, żeby się wywietrzyć. Było ciepło, więc niektórzy wylegli na zewnątrz, by na zydelkach spędzać wieczory przy kieliszeczku samogonu. Na szczęście nie robili tego jak kiedyś i nie rozsiadali się na

chodniku, budząc przy tym niesmak przechodniów. Był także przekonany, że owa nielegalna hodowla w mieszkaniach rychło się skończy, wraz z problemami z aprowizacją. Teraz władza przymykała na ten proceder oko, bo kartkowego żarcia było tyle, co za okupacji, ale gdy tylko produkcja rolna ruszy pełną parą, dobię się do skóry nielegalnym hodowcom.

Stanął w bramie i zapalił papierosa. Po chwili jednak ten wypadł mu z ust, bo był pewny, że po drugiej stronie ulicy zobaczył nieboszczyka...

9.



Wrocław, 1947

Mieszkanie doktora Szczurka miało dokładnie taki sam rozkład jak to, które zajmowali wraz z Osadkowskimi pod piątką. Różnica jednak polegała na tym, że przystojny młody lekarz był jeden, a u nich po przyjeździe do Wrocławia Andrzeja i po powrocie rodziców zrobił się prawdziwy kołchoz. Marcie Lemańskiej nie chodziło nawet o ciasnotę, bo do tej nawykła we Lwowie, ale o atmosferę panującą w ich domu. Nie dość, że stara Kaczkanowa wciąż na coś narzekała, a Jadźka zachowywała się jak zgorzkniała stara panna, ponieważ Boguś delikatnie, acz stanowczo odrzucił jej awanse, to jeszcze do kompletu doszli jej rodzice, bardzo zawiedzeni mariażem swojej córki. Miała o to do nich głęboki żal. Sądziła, że chociaż matka będzie trzymała jej stronę, ale ona także była zdegustowana wyborami Marty.

Ostatni obiad na starych śmieciach przebiegał w dość ponurej atmosferze, mimo że Lemańscy nie wyjeżdżali na koniec świata, ale przenosili się piętro niżej. Przecież rodzinka powinna się cieszyć, że złodziej i morderca nie będzie już z nimi mieszkał. A może żal im było rozstawać się z wnukami, które wносиły w ich życie odrobinę radości?

W pewnej chwili stara Kaczkanowa powiedziała coś, co zmroziło Martę:

– Byłam dzisiaj na rynku, na placu Strzeleckim, i nie zgadnicie, kogo widziałam. Tego zbira, Wasyla. Pobiegłam do stójkowego, żeby łapał mordercę, ale zanim milicjant się ruszył, po tym bandziorze nie było śladu. Oczywiście zgłosiłam to na komisariat.

Andrzej uniósł głowę znad talerza i syknął:

– Wasyl uratował życie Marcie. Dlaczego pani to zrobiła? Nie wie pani, jaką mamy teraz milicję?

– Co to za pytanie? – prychnęła. – Przecież on powinien wisieć albo siedzieć w kazamatach za zbrodnie, których dokonał. Niewinnych ludzi skazują na karę śmierci albo wieloletnie więzienie, a ten bydlak jest na wolności.

Martę także zmroziły słowa starej Kaczkanowej, bo nie chciała, żeby Wasyl miał kłopoty. Wiadomo było, że obecne sądy bardzo chętnie wysyłały ludzi na szubienicę. I jak, u licha, udało się Wasylowi dostać do Wrocławia, kiedy na żołnierzy UPA Sowietci i UB urządzili prawdziwe polowanie?

– Boże... – jęknęła cicho.

Andrzej położył dłoń na jej ramieniu i szepnął jej do ucha:

– Nie martw się, teraz Wasyl nazywa się inaczej. Nigdy w życiu go nie znajdą, chyba że znowu Kaczkanowa natknie się na niego i narobi szumu.

– I właśnie tego się boję – odparła.

Wówczas do rozmowy włączył się Eugeniusz Osadkowski:

– Jesteś pewna, Felicjo, że to był Wasyl?

– Jak tu siedzę. A co to ja tego owłosionego Zinowjewa bym nie poznała, jak się wiecznie po Orliczynie pętał? – wydeła usta Kaczkanowa.

– W takim razie musimy mieć oczy i uszy otwarte. Jeśli któreś z nas zobaczy go w mieście, niech od razu zgłasza na milicję – oznajmił stary Osadkowski.

Marta chciała krzyknąć, że po jej trupie, ale wołała się nie odzywać. Ostatnie, czego pragnęła, to rodzinna awantura w ostatnim dniu wspólnego pożycia.

Z ulgą odeszła od stołu i udała się do swojego nowego lokum. Na początku się obawiała, że doktor Szczurek będzie czynił im afronty, bo do jego przestronnego mieszkania wpakowała się pięcioosobowa rodzina, a nie na przykład fertyczna wdowa czy panienska z centralnej Polski, ale pomyliła się. Paweł Szczurek okazał się człowiekiem bardzo dystyngowanym i uczynnym. Pomógł im z gratami i zadeklarował daleko idącą pomoc, gdyby któreś z nich zaczęło niedomagać.

– Bardzo pan łaskawy, doktorze – powiedziała Marta, spuszczać wzrok.

Doktor nie tylko należał do ludzi o wysokiej kulturze, ale jeszcze był piekielnie przystojny. Oczywiście, że nie zamierzała go uwodzić, ale istnieli tacy mężczyźni, przy których niewiasty od razu czuły się bardziej kobieco. Wiedziała też, że od pierwszego dnia pobytu eleganckiego doktora w kamienicy przy Stalina Jadźka łypała na niego okiem i Marta mogła postawić wszystkie pieniądze na to, iż teraz pasierbica będzie częstym gościem w ich nowym lokum.

Chłopcy dostali osobny pokój, a oni nareszcie mieli własną sypialnię. Na razie stało w niej jeszcze łóżeczko Marysi, ale Marta miała nadzieję, że gdy dziewczynka podrośnie, będzie dzieliła pokój z braćmi, a kto wie, może jak się odkują, że nawet dostanie własny.

Usiadła na nieco sfatygowanej kanapie, rozejrzała się po pokoju i uśmiechnęła. Po chwili dołączył do niej Marcel, ale nie miał tak wyśmienitego humoru jak żona.

– Coś się stało, Marcelku? Jesteś jakiś naburmuszony.

– Tak si mizdrzysz do tego łapiducha, ży mni nerw chwyta – mruknął.

– A gdzieżby on poleciał na wychudzoną podwójną mężatkę z trójką dzieci?

– On może ni, ale ty byś chętna była! – warknął. – Tylko żebyś sypialni ni pomyliła, jak z łazienki będziesz wracać.

– Przestań, wariacie. – Roześmiała się, a potem podeszła do okna, by popatrzeć na południowy miejski zgiełk.

Tuż obok stanął Marcel, wciąż nieco nadaśany. Nie sądziła, że mąż może być wciąż o nią zazdrosny i nawet się jej miło z tego powodu zrobiło.

Przed kamienicę podjechał czarny osobowy samochód.

– A tę znowu dupa śwędzi? – zapytał jakby siebie Marcel. Był pewny, że to Nadia kolejny raz w tym tygodniu postanowiła ich odwiedzić.

Marta nie miała nic przeciwko temu, ale nie lubiła, gdy kobieta przyjeżdżała do nich służbowym chevroletem, który niekiedy czekał, aż pani pułkownikowa zakończy wizytę w domu przy Stalina. Już i tak niektórzy patrzyli na Nadię spode łba, może oprócz działacza partyjnego, który mieszkał naprzeciwko ich nowego lokum i zawsze wychodził na klatkę, by się jej ukłonić.

Z auta nie wysiadła jednak Nadia, ale dwóch mężczyzn w ciemnych prochowcach i dwóch uzbrojonych żołnierzy z Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego.

– Co, u licha, oni tu robią? – zapytała z trwogą. – Chyba nie przyjechali po Szczurka?

– A ty pewno byś za nim ślozy^[19] ronila, jak jego kochmaszyna^[20]. – Marcel znowu wytknął jej zbyt uprzejmy stosunek do współlokatora.

– Już jedno paskudne nazwisko miałam. – Roześmiała się. – Za nic bym się Szczurek nie chciała nazywać.

Po chwili jednak spoważniała, bo sytuacja wyglądała nieciekawie. Jeśli kogoś z ich kamienicy aresztują, ten zapewne już nigdy do domu nie wróci.

Nie miała pojęcia, jak długo stali z Marcelem przy oknie, nie zwracając nawet uwagi na dokazujących chłopców, gdy z ich kamienicy wyprowadzili mężczyznę, który przysposobił sobie suszarnię na mieszkanie. Zajmował lokal na ostatnim piętrze, naprzeciwko Bogusia i Marianny, wychodził z domu o świcie, wracał późnym wieczorem i nikomu nie wadził. Nie bratał się także z sąsiadami, co niektórym wydało się mocno podejrzanym.

– A co oni od tego chłopca chcą? Jedyne normalne w całym budynku i akurat na niego się zasadzili?

– Ja tam nie wiem, podobnie wrócił z Kazachstanu, jak twoje fatyrki ^[21].

– Moi przyjechali z Indii – odparła bezwiednie.

– Może go zaraz wypuszczą – powiedział Marcel bez większego przekonania.

– A wiesz, jak się nazywał? – zapytała Marta.

– A co, chcesz go we furdygarni ^[22] odwiedzić?

– Nie, ale zapytam tę z naprzeciwka o niego. Może ten jej mąż się jutro czegoś dowie.

– Ty si lepiej nie brataj z tym czerwonym tałatajstwem. Kaźmierczaki co rusz si komuś odgrają – odparł.

– O patrz, jaki antykomunista. A zapomniałeś, komu zawdzięczasz nowy przydział? – odcięła się.

– Ja inu geszefty z nim robię.

– A ja tylko nawiązałam z Kaźmierczakami dobrosąsiedzkie relacje. Najpierw zgrywali wielkie państwo, ale jak zobaczyli, że ta damulka z czarnego auta do nas przychodzi w odwiedziny, od razu zaczęli zagadywać i kłaniać mi się w pas. – Zachichotała.

Samochód z ich sąsiadem z góry odjechał, a Marta postanowiła zasięgnąć języka u „czerwonej hołoty”, jak nazywano rodzinę, która wychwalała nowy ustrój pod niebiosa. Minęła pokój chłopców, a potem zatrzymała się w pół kroku i zajrzała do nich. Budowali właśnie z piernatów swoją bazę, bo w końcu mieli dość miejsca na takie zabawy, jednak oni posunęli się trochę dalej, ponieważ obcięli do połowy fi-

rankę, która miała im posłużyć jako zasłonka przy wejściu do ich własnoręcznie zrobionego namiotu.

– Nowiutka firana! – wrzasnęła. – Wychodzić mi tu zaraz! Michał, to na pewno ty wpadłeś na taki pomysł!

Chwilę potem zza postrzępionej firany wyjrzała ciemna głowa jej starszego syna.

– Pomysł był Ignasia, ale wykonanie moje – odparł dumnie. – Lekcje odrobiłem.

– No i co z tego, że odrobiłeś lekcje, kiedy zniszczyłeś nową firankę! I dlaczego znowu drzwiczki od pieca są otwarte?

Krzyki Marty zwabiły do pokoju chłopców Marcela, który zobaczywszy zniszczenia, zaczął odpinać pasek przy spodniach. Michał od razu uciekł do namiotu i ukrył się pod piernatami.

– Tylko na chwilę ich z oczu spuścić. Co za gangreny sakramenckie! Tyn mały to jeszcze bisnowaty^[23], ale Michaś to powinien mieć więcej oleju w tym durnym łbie. Nic ich w tej szkole ni uczą – powiedział rozzłoszczony.

– To spuść im manto, a ja idę do Kaźmierczaków. Może coś wiedzą o tym biedaku z góry.

– Piskunowicz. Tak si nazywa – odparł bezwiednie Marcel, skupiony na poczynaniach dzieci.

– Tylko teraz wlej im naprawdę, a nie tylko daj pasa powąchać – ostrzegła go, bo Marcel jedynie potrafił straszyć chłopców, nigdy zaś nie podniósł na nich ręki, co jej synowie skrzętnie wykorzystywali.

– Jaka mądralińska, patrzcie ją – zachnął się.

Sądził, że Marta nie odkryła jego małego sekretu. Otóż, gdy chłopcy narozrabiali, zdejmował pas i zamykał się z nimi sam w pokoju, a potem nakazywał, żeby głośno się darli, jakby naprawdę spuszczał im solidne lanie. Był przekonany, że Ignas i Michał go nie wydadzą, ale dość szybko wyjawili matce sekret ojca. Ona nie była w stanie uderzyć bezbronного dziecka, bo wciąż pamiętała, gdy sama obrywała od dużo silniejszego małżonka, ale uważała, iż chłopcom potrzebna jest dyscyplina i Marcel powinien od czasu do czasu dać im w skórę.

Nie zdążyła otworzyć drzwi wyjściowych, gdy usłyszała wrzaski chłopców. Na palcach wróciła do pokoju synów i zobaczyła taki oto widok: Marcel siedział na krześle i dyrygował ich krzykami jak, nie przymierzając, orkiestrą dętą.

– I tak wygląda twoja dyscyplina? – wytknęła mu, przekrzykując Michasia.

– Lanie już dostali, teraz inu cierpią – powiedział zupełnie poważnie, chociaż musiałby to zrobić w tempie błyskawicznym.

– Właśnie widzę, jak cierpią – mruknęła, patrząc na chłopców, którzy już zamilkli i z trudem hamowali śmiech.

– Taż to dzieci. Ja za śmierdziucha tyż rozmaite tyce^[24] wyczyniałem – odparł łagodnie. – A niedługo to ci z dziesięć firanek do chałupy przyniosę. Ni turbuj si.

Westchnęła głośno i stwierdziła, że czeka ją poważna rozmowa z Marcelem na temat wychowania dzieci. Zamierzała jednak to zrobić, gdy już jej małżonek pozbędzie się much z nosa z powodu Szczurka.

Krzyki dzieci wywabiły z pokoju także doktora, który w panice i z sakwożadem lekarskim w ręku zamierzał pójść z pomocą cierpiącym. Zapewne sądził, że stało się coś poważnego, jeśli darli się wniebogłosy.

– Bawią się w Indian – powiedziała przepaszającym tonem. – Ale już ich upomniałam.

– Pani Marto, myślałem, że któremuś co najmniej rękę urwało – wydukał.

– Jeśli raz jeszcze tak narozrabiają, sama im je pourywam – odparła i dodała cicho: – Widział pan?

– Co miałem zobaczyć? – zapytał zdziwiony.

– Zabrali Piskunowicza, tego sąsiada z góry. Urząd Bezpieczeństwa.

Marcie się zdawało, że mężczyzna nagle pobladł.

– Nie widziałem. A pani wie, za co go zawinęli?

– Nie mam pojęcia, ale idę teraz do Kaźmierczaków. Może coś wiedzą albo Stefan jutro się dowie...

Pani Kaźmierczakowa, która właśnie zakładała metalowe wałki na głowę, zaspokoila jej ciekawość.

– To był szemrany typek. Mój mąż poprosił, żeby go dobrze sprawdzili. Podobno miał w mieszkaniu pełno niemieckich książek i gazet.

– Pani mąż doniósł na Piskunowicza? A pani nie wie, że to nie są żarty? Sami mieliśmy w domu niemieckie książki i gazety, bo nadawały się na rozpałkę. W końcu mieszkamy w mieście, które było niemieckie. – Marta była wręcz zszokowana, że z takiego powodu można kogoś aresztować.

– Jeśli miał je na rozpałkę, zapewne zaraz go wypuszczą. – Sąsiadka ani trochę nie przejęła się słowami Marty. – Obywatele muszą być czujni, nigdy nie wiadomo, jaki element może się po sąsiedzku wprowadzić.

Najchętniej powiedziała by Kaźmierczakowej kilka przykrych słów, ale zdała sobie sprawę, że wystarczy donos tej idiotki, a cała kamienica będzie miała problemy i nawet Fiodorow im nie pomoże.

Wróciła do mieszkania, zastanawiając się, czy nie ostrzec sąsiadów, ale tak naprawdę niewiele o nich wiedziała. Ludzie bali się rozmów o władzy ludowej jak diabeł święconej wody i nie miała pojęcia, czy któryś z nich nie należy do osób pokroju Kaźmierczaków. Aż dziw brał, że nie złożyli podobnego donosu na Ilse Schlesinger, tylko dokuczali jej w inny sposób, by wykurzyć ją z kamienicy.

Opowiedziała o całej sprawie Marcelowi i dodała:

– Niech cię ręka boska broni coś chlapnąć przy Kaźmierczakach.

– To tyś si chciała z nimi bratać – prychnął.

– Bo nie miałam pojęcia, że są takimi szujami... – westchnęła.

Potem podeszła do radia i nastawiła wiadomości. A te płynęły z eteru tak pomysłne, że ktoś niezorientowany mógłby sądzić, że nowa Polska to kraina mlekiem i miodem płynąca. Rzeczywistość jednak była dużo bardziej ponura i wcale nie chodziło o powojenną biedę.

10.



Wrocław, 1947

Ocknęła się w zupełnie obcym jej pokoju. Leżała na tapczanie, a na krześle obok siedział Wissarion i przyglądał się jej z czułością.

– Nadeńko... – szepnął.

Rozpłakała się i wydukała:

– Wiedziałam, czułam to... Przez cały czas wierzyłam, że to nie może być prawda. Gdybyś zginął, ja umarłabym zaraz potem. Boże, jak mi ciebie brakowało.

Położył się koło niej i mocno do siebie przytulił.

– Przepraszam, kochanie. Musiałem umrzeć, żebyś ty przeżyła. Ale los dał nam właśnie drugą szansę, bo przyjechałaś tutaj. I ja tu jestem...

– Wisza, kochanie, jaką szansę?

– Wiem, że to, co ci teraz powiem, wyda ci się jedynie pobożnym życzeniem, ale uwierz, zrobię to.

– Chcesz zamordować Maksima, jak niegdyś Grigorija – wychlipała. – Tym razem zapłacisz za to życiem, a ja nie chcę cię stracić. Nawet jeśli nigdy z tobą nie będę...

– Nie jestem już tym szalonym chłopcem. Nie zamierzam nikogo mordować, ale chcę odebrać Fiodorowowi to, co moje. Żonę i córkę.

– I co dalej, Wissarionie? Będziemy ukrywać się w lesie, jak partyzanci z Werwolfu? Błagam... Nawet o tym nie myśl. Znajdź sobie jakąś miłą dziewczynę, ożeń się, załóż rodzinę i bądź szczęśliwy. A ja wychowam twoją córkę najlepiej jak potrafię i będę ją kochać, dopóki żyję. Nie możesz przez całe życie uciekać. Beze mnie masz szansę na normalne życie.

– Nadeńko, nigdy nie będę szczęśliwy bez ciebie i bez swojej córeczki. Teraz nazywam się Wiktor Krawczenko i nikt mnie nie ściga. Zorganizuję nam ucieczkę za granicę. Do kraju, w którym nie będziemy musieli już niczego udawać ani się bać. Chcę się budzić i zasypiać przy tobie, chcę odprowadzać moją córkę do szkoły i chodzić z nią na karuzelę. To moje dziecko, a teraz nie mogę jej nawet przytulić ani powiedzieć, jak bardzo ją kocham. Ty też byś walczyła o swoje potomstwo, tak jak zawalczyłaś o Oleńkę.

Nadia podniosła się z tapczanu. Doszła do wniosku, że Wissarion wciąż był tym samym szalonym chłopcem, który z miłości do niej zamordował dwudziestopięcioletniego Woroszyłowa. Teraz jednak miał do czynienia z człowiekiem, który miał daleko większą władzę aniżeli ten wykolejeniec Grigorij.

Dotychczas uważała Maksima za dobrego, mądrego człowieka. Oszukiwała się, że w NKWD można zrobić karierę bez uciekania się do podłości, ale musiała w końcu spojrzeć prawdzie w oczy. Fiodorow był tak samo bezwzględny jak inni jemu podobni. Jeśli się dowie, że Wisza nadal żyje, zrobi wszystko, żeby go zamordować. Nigdy nie chciał mu pomóc, tak jak obiecywał żonie, liczył jedynie, że dzięki niej i fałszywym obietnicom w końcu go dopadnie. A co z nią? Czy okaże jej łaskę i litość, jeśli go opuści i w dodatku zabierze mu dziecko, które już zdążył pokochać? Jeżeli zaś Wisza uzna, że Maksim powinien podzielić los Woroszyłowa, oboje skończą na stryczku, a Oleńka w sierocińcu.

– Kocham cię, Wissarionie – powiedziała cicho. – Kocham cię tak bardzo, że poświęcę swoje szczęście, byś mógł żyć. Zrozum, Maksim to nie jest zwykły aparatczyk, który posiada władzę na jakiejś głuchej ukraińskiej wsi, ale pułkownik NKWD. Człowiek, który ma niezmierzone możliwości, by wykończyć prawie każdego, kto stanie mu na drodze.

– Powiedziałem ci, Nadeńko... Życie bez was jest jakąś cholerną pustką, w której nie potrafię odnaleźć ani krzty radości. Chciałem rozpocząć nowe życie bez ciebie i bez córki, bo nie mogłem wrócić do Związku Radzieckiego, ale kiedy się dowiedziałem, że tu jesteś, nie zrezygnuję z was – odparł z naciskiem.

– Wisza... Nie chcę się zastanawiać, co będzie jutro. Proszę, kochaj się ze mną. Ilse na pewno nie będzie nam przeszkadzać. Pragnę znowu cię poczuć, być blisko ciebie, nawet jeśli będzie to ostatnie, co zrobię w swoim życiu – jęknęła.

– Ja także cię pragnę, ale wiem, że teraz chcesz zapomnieć o mojej propozycji. I żebym się poddał. Będę się kochał z tobą, ale do tematu wrócimy. I nie odpusz-

czę, Nadio.

Przymknęła powieki. Taki był Wisza – jeśli wbił sobie coś do głowy, nie zastanawiał się nad konsekwencjami. A oni nie mogli myśleć jedynie o sobie, ale także o Oleńce, która teraz znajdowała się trzy piętra wyżej. Zapewne niebawem Wisza zechce ją zobaczyć. I co wtedy? Przecież nie będzie mógł wyznać jej prawdy. A jeśli Oleńka go pamięta? Jeśli po powrocie Maksima z delegacji opowie mu o wszystkim?

Wissarion zaczął rozpinąć guziki w jej bluzce i znowu zaczął mówić:

– Wiem, że na razie nie mogę się spotkać z moją córeczką. Ale jestem pewny, iż jest przy twoim boku szczęśliwa i dajesz jej dużo miłości. Jednak pewnego dnia znowu powie do mnie „tato”. Boże... Nadeńko... Jakże ja za tobą tęskniłem. Za twoim spojrzeniem, dotykiem, głosem i zapachem... Chcę, żebyś była tylko moja...

Oddech Wissariona robił się coraz szybszy, a ona nie potrafiła dać się ponieść pożądaniu, bo za bardzo się bała myśli, które kołatały jej w głowie. Chyba wyczuł, że jest spięta, bo szepnął:

– Kochanie, nie zadręczaj się, zadbam o nas. Nie tak jak kiedyś, ale jak dorosły mężczyzna, który bierze odpowiedzialność za dwie najważniejsze kobiety w swoim życiu. Wszystko przygotuję i pewnego dnia po prostu stąd znikniemy.

– Wisza... Ty nie znasz Maksima. Jeśli ucieknę, gotów kolejny raz zrobić w tym mieście Festung Breslau. My może znikniemy, ale pozostaną tu nasi przyjaciele i oni zapłacą za to najwyższą cenę. Boję się, Wissarionie, że staną się jego zakładnikami i pewnego dnia mój mąż zmusi mnie do powrotu, nawet jeśli chwilę później zechce mnie zastrzelić. Tak strasznie się boję i tak bardzo jestem szczęśliwa, że mogłam cię zobaczyć – bełkotała nieskładnie, bo jej radość mieszała się z lękiem.

Kiedyś obiecała sobie, że już nigdy nie będzie się bała. Tego dnia strach ponownie zagościł w jej życiu. Jednak jej miłość do Wissariona była silniejsza od lęku i dwie godziny później wiedziała już, że podejmie ryzyko, by kiedyś mogli być razem.

II.



Wrocław, 1947

Furgonetka z aprowizacją dla powiatów zatrzymała się na zrujnowanej podczas oblężenia Wrocławia ulicy Białoskórniczej. Niegdyś, w dawnych czasach, płynęła tędy rzeka Czarna Oława, a garbarze, którzy zasiedlili ten wąski przesmyk, wychodzili z domów wprost do przycumowanych łodzi, jak w Wenecji. Teraz uliczka, która przed wojną pasjonowała wielu fotografów i turystów, wyglądała jak obraz nędzy i rozpaczy, ponieważ runęła jedna z pierzei i zamieniła ten urokliwy zakątek w rumowisko.

Andrzej podszedł do auta i przywitał się z siedzącymi w niej mężczyznami. Jednym z nich był Wissarion Zinowjew, który dzięki ciuchom otrzymanym z UNRRA zaczął wyglądać jak prawdziwy elegant.

– Wskakuj na pakę, bo w szoferce się nie zmieścisz. Teraz będziesz jechał jak panisko, bo oprócz prowiantu pełno szmat wieziemy, ale z powrotem już nie będzie ci tak wygodnie – oznajmił Wisza, wyciągając rękę w stronę Osadkowskiego.

– Trzebnica niedaleko, wytrzymam jakoś – odparł Andrzej i wskoczył na pakę samochodu.

Miał ochotę zapytać Wissariona, co teraz zamierza zrobić w kwestii Nadii, ale nie chciał podejmować tego tematu przy obcym człowieku. Niestety, nastały takie czasy, że strach było rozmawiać o czymkolwiek innym aniżeli o pogodzie.

Nie miał pojęcia, co mu strzeliło do głowy, by odwiedzić Brigitte Mause. Ilse powiedziała mu, że owszem, kobieta pozostała w Polsce, ale zdaje się, iż całkiem zwariowała. Poszczuła pannę Schlesinger psami i podobno w niczym nie przypominała powabnej dziewczyny ze zdjęcia.

Czytanie cudzej korespondencji i szukanie upiorów przeszłości pozwalało Andrzejowi zapomnieć o kryzysie, który nastąpił w jego małżeństwie. A teraz, gdy

Marta się wyprowadziła, sytuacja zrobiła się jeszcze gorsza. Jak zwykle rodzice wyklinali na Nadię, Emilka im wtórowała, a on nie miał już żadnego sojusznika, który stanąłby w obronie jego byłej żony. Starzy Osadkowscy prorokowali, że ta czerwona zaraza, jak nazywali swoją byłą synową, ściągnie na nich jakieś nieszczęścia, a Emilia niczym zdarta płyta posądzała męża o romans z nią. Musiałby być kompletnym wariatem albo samobójcą, żeby mieć taką kochankę. Przecież gdyby istotnie wpadł na podobny pomysł, Fiodorow zamieniłby życie jego i całej rodziny w piekło.

Przestali z Emilią szczerze ze sobą rozmawiać, napiętność między nimi zdawała się wygasać, a on poczuł cholerną pustkę i bezsens życia. Nawet w pracy nie mógł się realizować, bo jakież ambicje mógł mieć członek ekipy rozbiórkowej?

Historia Brigitte, Helmutha i nieznanego z imienia czy nazwiska polskiego oficera zawładnęła nim jak dobry przedwojenny film. Kiedy wracał z pracy, nie bardzo miał co ze sobą zrobić, więc wymyślał kolejne scenariusze z życia tajemniczych Niemców. A może to nie miłosna historia sprawiła, że wpadł na szalony pomysł zobaczenia Brigitte, ale fotografia tej kobiety? Może szukał w swoim życiu uczuciowym jakiejś podniety, bo zdawało mu się, że jego małżeństwo znalazło się na równi pochyłej? Emilka stała się niepokojąco zaborcza i kontrolująca, a przy tym oczekiwała od niego niemożliwego. Z jednej strony pogardzała pracą, którą otrzymał, i sarknęła, że wykształcony człowiek musi machać łopatą i wywozić gruz, z drugiej – dostawała szału, gdy tylko wspominał o możliwościach, jakie daje przynależność do PPR-u.

Wissarion miewał także dyżury w niektóre niedziele. Napływ ludzi spowodował, że samochody nie nadążały rozwozić towarów i transport odbywał się siedem dni w tygodniu, ale dzięki temu Andrzej mógł sprawdzić, co się teraz dzieje ze śliczną panną Mause. Emilia, oczywiście, obraziła się na niego, bo ośmielił się wyjść bez niej w jedyny wolny dzień, ale już od jakiegoś czasu przestał zważać na jej fochy. Powiedział jedynie, że odnalazł dawnego kumpla z czasów kampanii wrześniowej i postanowił pójść z nim na piwo, by mogli przy kufelku powspominać dawne dzieje.

Na brukowanych traktach furgonetka telepała się niemilosiernie, ale na szczęście nie musiał obijać się o burty dzięki pakunkom znajdującym się w środku. Nie czekała go daleka droga, więc nie narzekał na niewygodę. Ze Lwowa jechali prawie

tydzień i w dodatku w bydłych wagonach, więc trasa do Trzebnicy jawiła się jako igraszka.

Po ponad dwóch godzinach, podczas których rozwieziono część aprowizacji, w końcu zatrzymali się przed domem panny Brigitte.

– Zostaw mnie tu i wracaj do zajęć. A gdy będziecie wracać, zajedźcie po mnie – powiedział Andrzej.

– Jesteś pewny? – zapytał Zinowjew, zerkając na podupadłą chałupę, zrujnowane zabudowania gospodarcze i zabite byle jak deskami okna.

– Najwyżej pospaceruję sobie. Zimno nie jest...

Wissarion rozejrzał się po pustych polach i błotnistej drodze, ale nie skomentował życzenia Andrzeja, tylko wsiadł do szoferki i mężczyźni odjechali.

Tuż przed drewnianym domem stały dwie psie budy, do których przytroczono łańcuchami ogromne mieszańce. Od razu rzuciły się w jego kierunku, szczerząc kły i zajadle szczekając. Nie był na tyle odważny, by się z nimi skonfrontować, dlatego czekał, aż ktoś wyjdzie z chałupy. Psy ujadły bez chwili wytchnienia i w końcu zobaczył w drzwiach kobietę ze zdjęcia. W istocie nie wyglądała tak ładnie jak na fotografii, ale na pewno miał przed sobą Brigitte Mause.

– Czego?! – krzyknęła po polsku.

– Możemy porozmawiać, pani Mause? – zapytał odważnie, również po polsku. Liczył na to, że Brigitte, która według listów Helmutha zamierzała wyjść za Polaka, trochę znała jego ojczysty język.

– Kim pan jest i skąd zna moje nazwisko? – Kobieta wciąż była bardzo nieprzyjemna.

– Znalazłem w jednym z zawalonych budynków listy adresowane do pani, ale człowiek, który je napisał, nigdy ich nie wysłał. Pomyślałem, że jeśli pani jeszcze nie wyjechała, może zechce je przeczytać – powiedział hardo.

Postanowił nie bawić się w żadne gierki i uczciwie oddać adresowane do kobiety listy, mimo że ich autor niezbyt pochlebnie się w nich wyrażał o pannie Mause. Poza tym stanowiły solidny pretekst do odwiedzin. Nie zamierzał jednak się przyznawać, że razem z sąsiadką przeczytali cudzą korespondencję. Wbił sobie do głowy słowa Ilse, że Brigitte zapewne miała wyrzuty sumienia wobec owego Helmutha, a te listy pomogą jej się z nimi uporać.

– Niech wejdzie – burknęła, a potem krzyknęła po niemiecku na psy, które momentalnie schowały się w budach.

Wnętrze chaty było równie zaniedbane, co całe obejście. Podobnie zresztą jak właścicielka, która wciąż byłaby bardzo urodziwa, gdyby nie potargane włosy i wyraz twarzy – kobiety przegranej i nieszczęśliwej.

Andrzej usiadł na ławie koło pieca, a potem wyciągnął zza pazuchy plik listów. Podał je kobiecie i zapytał:

– Samochód przyjedzie po mnie za jakieś dwie godziny, mogę u pani poczekać, aż mnie zabierze z powrotem do miasta?

– Herbatę zrobię – oznajmiła, a potem spojrzała na Andrzeja. Rozpoznał także te oczy, pełne smutku, rozpacz i tęsknoty. – Chciało się panu? Przecież większość Niemców już wyjechała, Helmuth pewnie też.

– To był pani narzeczony? – zapytał niewinnie.

– Były narzeczony. Zerwaliśmy zaręczyny w czterdziestym roku, więc na próżno pan się starał. Nie zamierzam szukać Helmutha ani on mnie. Prawdę mówiąc, nawet mnie nie interesuje, co miał mi do powiedzenia.

Osadkowski przygryzł usta i powiedział z udawanym zawstydzeniem:

– Nie miałem pojęcia, a akurat znajomy jechał w te strony, więc... Teraz tylu ludzi szuka swoich bliskich, chciałem pomóc. Pomyślałem, że w tych listach może być coś... – Mówił głupoty, ale przecież nie mógł się przyznać tej zupełnie obcej kobiecie, że przyjechał do niej, bo znalazł jej zdjęcie i bardzo go zaintrygowała.

– Dziękuję, dobry z pana człowiek, choć na próżno pan się trudził. Rozstaliśmy się z Helmuthem... Jakby to powiedzieć po polsku...? W niedobrej atmosferze – odparła.

Miał nadzieję, że chociaż raz się uśmiechnie, ale to była złudna nadzieja.

– Nie potrzebuje pani czegoś? Mój kolega rozwozi aprowizację do powiatów. Ma też dary z UNRRA...

– Dla takich jak ja nie ma darów z Ameryki. – Wydęła usta i dodała: – Muszą mi wystarczyć kartkowe deputaty.

– Pogadam z nim...

– Łaski nie potrzebuję – zachnęła się.

– Dlaczego więc pani nie wyjechała, jak inni? – zapytał, mimo że chyba zdołał już poznać odpowiedź na swoje pytanie.

– Bo tutaj są pochowani wszyscy, których kochałam. Nie zostawię ich samych – stwierdziła.

– Nieżywi już nas nie potrzebują.

– Ale ja potrzebuję ich. Jeśli nasłali pana na mnie, żeby mnie stąd wykurzyć, od razu panu powiem, że nic pan nie zdoła.

– Nikt mnie nie nasłali i nie chcę, jak to pani powiedziała, pani wykurzyć, tylko byłem ciekawy, dlaczego postanowiła pani zostać wśród nieprzychylnych sobie ludzi. Teraz już wiem.

Postawiła przed nim metalowy kubek z jakimś dziwnie wyglądającym płynem i powiedziała:

– Niedawno też tu taka jedna przyjechała. Gadała po niemiecku, ale ja wiedziałam, że nie wpadła z wizytą, tylko żeby mnie na wyjazd namówić. Nie wpuściłam jej. Nowi mieszkańcy wsi mnie wyklinają, dzieciaki wszystkie szyby w chałupie mi powybijały, a żołnierze i władze traktują jak psa. Jak Sowietci weszli, przez dwa tygodnie ukrywałam się w ziemiance, bo się bałam, że zrobią ze mną to samo, co z innymi Niemkami. Wychodziłam nocą i to tylko wtedy, gdy byłam pewna, że nikt się nie kręci po obejściu. A potem zabrali wszystko: krowę, konia i dwie świnie, a drób chyba zjedli na miejscu, bo wszędzie fruwało pierze...

– Jeśli już postanowiła pani zostać, nie lepiej było pojechać do Wrocławia? Wiem, na razie miasto przypomina pobojuwisko, ale szybko się rozwija... Nie pozostało tam zbyt wielu Niemców, może ze dwa, trzy tysiące. Zawsze to coś. Nawet w mojej kamienicy mieszka Niemka. Ma na imię Ilse i to ona panią odwiedziła. Była w okolicy służbowo i poprosiłam, by oddała pani te listy. – Andrzej nie do końca wyznał prawdę. Jeszcze nie tak dawno się wahał, czy oddać korespondencję, w końcu tajemniczy Helmuth nigdy jej nie wysłał, a to oznaczało, że nie chciał, by trafiła do adresatki.

– Urodziłam się w Breslau, chociaż przez wiele lat mieszkaliśmy z rodzicami w Warszawie, bo mój ojciec pracował w dyplomacji. Gdy wybuchła wojna, wróciliśmy do domu. Wyjechałam z Breslau, gdy miasto upadło. To gospodarstwo odziedziczyłam po dziadkach ze strony matki. Wie pan, oni się tak kochali, że gdy zmarła babcia, dziadek odszedł na tamten świat dwa tygodnie później. Myślę, że

tęsknota była silniejsza od życia... Sądziłam, że tutaj, na odludziu, będę miała spokój...

– A pani rodzice? – zapytał.

Kobieta odwróciła wzrok i się zamyśliła. Po chwili szepnęła:

– Może wyjechali, jak wszyscy...

– Nie chciałyby pani ich odnaleźć? Powstały specjalne biura Czerwonego Krzyża, dzisiaj prawie każdy kogoś szuka.

– Moi rodzice raczej nie chcą zostać przeze mnie odnalezieni... – bąknęła.

Nawet się domyślał dlaczego. Zapewne sądzili, że ich córka wyjdzie za lojalnego Niemca, a tymczasem zakochała się w jakimś polskim nieszczęśniku. Miał ochotę zapytać, co się stało z jej wielką miłością, ale musiałby wyznać, że czytał listy, a tego robić nie zamierzał.

Dwie godziny minęły szybko, a on w drodze powrotnej rozmyślał, jak bardzo Brigitte nie przypominała pięknej kobiety ze zdjęć. Każde nieszczęście, które ją spotkało, miała wymalowane na twarzy. Nie oddał jej fotografii, które Helmuth trzymał w metalowym pudełku po niemieckich herbatnikach wraz z niewysłanymi listami. Lubił na nie patrzeć. Na pannę Mausse w stroju kąpielowym, wychodzącą z morza jak nimfa, albo tańczącą w objęciach mężczyzny, którego nigdy nie zdołała pokochać. Dzięki rozmyśleniom o pogmatwanych ludzkich losach zapomniał o swoim życiu, które coraz mniej go cieszyło. Nie miał pojęcia, co się stało z jego związkami. Kiedyś wyznawali z Emilią podobne wartości i to ich połączyło. Dzisiaj był już wypalony i przestał żywić się ideałami, jego żona zaś wciąż tkwiła w innym świecie. A ponieważ to, co działo się po wojnie, budziło jej głęboką niechęć, stale chodziła niezadowolona i naburmuszona. Andrzej doszedł do wniosku, że jeśli nie może dopasować do siebie rzeczywistości, sam powinien się zmienić i zgiąć kark, czego Emilia nie potrafiła zrozumieć. Czuł, jakby każde z nich chciało pójść w inną stronę. On jednak uważał, że pewne drzwi są już dla nich zamknięte i nie ma po ci ich wyważać.

Sądził, że gdy wróci do domu, żona wciąż będzie na niego obrażona, ale przywitała go czułym uśmiechem, a potem przygotowała kolację w ich pokoju. Nie miał pojęcia, skąd wytrzasnęła szynkę, ale podejrzewał, że kupiła ją na rynku po niewyobrażalnie wysokiej cenie. Pojawiła się także butelka francuskiego wina, równie niedostępnego dla zwykłych śmiertelników, co dobra wędlna.

– Coś świętujemy? – zapytał podejrzliwie.

– Nie, kochanie. Po prostu pomyślałam, że ostatnio nie dzieje się między nami najlepiej i czas to naprawić.

– Emilko, wiesz, dlaczego oddaliliśmy się od siebie – bardziej stwierdził, niż zapytał.

– Tak, to moja wina, że wciąż jestem zazdrosna o Nadię, ale sam przyznasz, iż chwilami brakuje ci delikatności. W końcu to twoja była żona, a jednak bronisz ją jak rycerz swoją królową. Tak, wiem, że z uwagi na dawne czasy zrobiła dla ciebie więcej niż ktokolwiek inny, ale zrozum mnie... Jak ty byś się czuł na moim miejscu?

Emilia zaczęła opowiadać o swoich uczuciach i Andrzej musiał stwierdzić, że gdyby znalazł się na miejscu swojej żony, byłby równie zaniepokojony. Jednak jemu nie chodziło jedynie o zazdrość Emilki, ale o coś więcej. Kiedyś mieli wspólne cele i ideały, a dzisiaj nie potrafili nawet normalnie porozmawiać o tym, co ich łączy, a co dzieli.

– Rozumiem cię, ale nie lepiej byłoby w ogóle nie rozmawiać o Nadii? A przy każdym obiedzie wcześniej czy później pojawia się temat mojej byłej żony. Ułożyła sobie życie, jak chciała, dokonała pewnych wyborów, a że niekiedy nas odwiedza... Chyba bardziej przyjaźni się z Martą, Marcelem i Marianką niż ze mną. Naprawdę nie masz powodu do zazdrości.

Andrzej miał nadzieję, że tym razem zakończą temat Nadii i już nigdy do niego nie powrócą. To da im szansę na nowy początek, a on nie będzie musiał się pasjonować historiami obcych ludzi i wzdychać do zdjęć obcej kobiety.

– Ludzie na pewno o nas gadają. Są przekonani, że Nadia to jakaś komunistyczna szyszka. A dla twoich rodziców, zwłaszcza ojca, bratanie się z bolszewikami jest niedopuszczalne. Obiecuję jednak, że ja już z tym skończę. Nie wymagaj ode mnie, że będę mówiła o Nadii w samych superlatywach, ale postaram się nie dolewać oliwy do ognia... Andrzej, czy ty mnie jeszcze kochasz? – W głosie Emilii pobrzmiwała desperacja, a on nie miał pojęcia, jakie obecnie żywił uczucia do żony.

– Gdybym cię nie kochał, nie ożeniłbym się z tobą – powiedział nieco wymijająco, ale zgodnie z prawdą.

Naprawdę poślubił pannę Lamparską, bo był w niej zakochany, ale odkąd Nadia na powrót pojawiła się w ich życiu, czuł coraz większą niechęć do swojej połowicy.

Tak wielką, że szukał ukojenia w fotografiach obcej kobiety, w dodatku Niemki. Być może gdy trwała wojna, a oni oboje walczyli w podziemiu, priorytetem było ocalenie życia, a kiedy niebezpieczeństwo minęło, nagle się okazało, że codzienna rutyna zamiast ich cieszyć, powoli zabijała ich związek.

– Zaczniemy od początku? – zapytała, uśmiechając się do niego. – Chciałabym mieć z tobą dziecko.

Uniósł szklanę z winem, bo kieliszków się jeszcze nie dorobili, i oznajmił:

– Wypijmy za to. Za nowy początek i nasze małżeństwo.

Naprawdę się ucieszył, że Emilia w końcu zrozumiała, iż niszczy ich świeże małżeństwo ciągłym utyskiwaniem i męczącą zazdrością. On pragnął spokoju, ona adrenaliny.

– Andrzejku, jeśli uznasz, że powinieneś zapisać się do partii albo zapiszesz się na uniwersytet, by dalej się kształcić, zaaprobuję twoją decyzję. Widzę, jak bardzo jesteś nieszczęśliwy, pracując przy odgruzowywaniu miasta. Wierzę, że jeśli zostaniesz działaczem, nie będziesz niszczył innych. A Nadia... niech sobie będzie. I tak wpada tu jak po ogień, a potem znika nie wiadomo gdzie. – Machnęła ręką.

– To proste, znika u Marianny i Bogusia – wydukał.

Za nic w świecie nie wyjawiłby Emilce, że Nadia spotkała się kilka razy z Wissarionem w mieszkaniu ich sąsiadki z parteru. Im mniej osób o tym wiedziało, tym lepiej. Nawet dla ich przyjaciół Wisza był martwy i musiało tak pozostać. Wiedział jednak, że wcześniej czy później ktoś odkryje, iż Ilse robi z mieszkania dom schadzek dla stęsknionych kochanków, dlatego musiał rozmówić się z nimi. W tej chwili Nadia i Wissarion byli zbyt odurzeni miłością i radością, by racjonalnie myśleć. A jeśli kiedyś chcieliby razem uciec za granicę, teraz musieli być bardzo ostrożni. Fiodorow nie był idiotą i niebawem zauważy, że jego ukochana małżonka unosi się trzy metry nad ziemią i wygląda jak rozochocona kotka. Wissarion, mimo iż ukrywał się pod zmienionym nazwiskiem, był cykającą bombą, która w każdej chwili mogła wybuchnąć i zmieść z powierzchni ziemi nie tylko dwoje kochanków, ale także każdego, kto znalazł się w ich pobliżu.

– Słuchaj, a co myślisz o tym, o czym powiedziała kilka dni temu przy obiedzie Felicja? Sądzisz, że naprawdę widziała Wasyla czy tylko kogoś łudząco podobnego do niego? – zagadnęła Emilka.

Wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia. Może widziała to, co chciała zobaczyć.

– A gdybyś ty go spotkał? Naprawdę nie doniósłbyś na niego?

– Teraz nie doniósłbym nawet na niemieckiego partyzanta z Werwolfu. Za grosz nie ufam obecnej władzy. A że rozważam przystąpienie do PPR-u... No cóż, jeśli chcemy mieć dzieci i pozostać w Polsce, musimy się dostosować. Nie zamierzam współpracować z UB ani też z sowieckim wywiadem, ale chcę w życiu robić coś bardziej wzniosłego aniżeli machanie łopata. – Wolał nie podejmować tematu Wasyla, bo zapewne znowu doszłoby do awantury.

Emilia pokiwała głową, a potem wysupłała z kieszeni sukienki zdjęcie i położyła przed nim. Była to fotografia Brigitte Mause, którą trzymał w komodzie. Zmieszał się, mimo że nie miał wobec tej kobiety żadnych planów, ale poczuł się jak nastolatek podglądający kąpiącą się sąsiadkę.

Podniósł się z krzesła, wyszedł do przedpokoju i wyciągnął z pawlacza metalową skrzynkę. Wrócił do Emilii i postawił przed nią pudełko.

– Znalazłem to na budowie. Byłem pewny, że w środku będą pieniądze albo jakieś kosztowności. Niestety, były tylko zdjęcia. Wrzuciłem do pawlacza, bo nie bardzo wiedziałem, co z tym zrobić, a ta jedna fotografia spadła mi na podłogę. Nie chciało mi się znowu wdrapywać po tej cholernej drabince, więc wsadziłem ją do komody i o niej zapomniałem. Przeczytaj na odwrocie, to jakaś Niemka, więc na pewno żadna moja znajoma. Ot i cała historia – skłamał.

Nie potrafiłby w racjonalny sposób wytłumaczyć Emilce, dlaczego zainteresował się kompletnie mu obcą kobietą. Nie rozumiałaby, że być może zrobił to z tęsknoty za wielkim romantycznym uczuciem, którego tak bardzo mu brakowało. A może dlatego, że czuł się cholernie samotny. Podczas wojny łapał chwile i wciąż się zamartwiał o Emilkę. A potem... wszystko się posypało.

Emilia przejrzała fotografie, a potem włożyła zdjęcie z komody do środka i zamknęła wieko.

– Przepraszam, ale sądziłam, że to jakaś twoja kochanka. W końcu nie każdy mąż chowa w szufladzie portret innej kobiety. – Emilii jakby ciężar spadł z serca, bo uśmiechnęła się promiennie.

– Też nie byłbym zadowolony, gdybym odkrył coś podobnego w twojej bieliźniarce. Teraz jednak poznałaś prawdę i mam nadzieję, że się nieco uspokoiłaś.

– Tak, kochanie... Przecież ty nigdy nie zakochałbyś się w Niemce.

12.



Wrocław, 1947

Chodził jak odurzony. Myśl o ucieczce z Nadią i Oleńką stała się wręcz obsesyjna. Kiedy tylko mógł, stawał przed szkołą, do której chodziła jego córka, i obie z daleka obserwował. Nie podchodził jednak zbyt blisko, bo był przekonany, podobnie jak Andrzej Osadkowski, że funkcjonariusze NKWD, będący na usługach Fiodorowa, nie tylko pilnują wejścia do kamienicy, w której mieszkał z rodziną, ale także dyskretnie obserwują panią pułkownikową. Zapewne w grę wchodziły względy bezpieczeństwa, bo Sowieci i ich polscy pomagierzy bardzo obawiali się polskich wywrotowców, a najbardziej ukraińskich nacjonalistów czy Niemców z Werwolfu, pozostałości po dawnej SS, chociaż ci ostatni najpewniej przeszli już do legendy.

Jego córeczka była prześliczna. I wyglądała jak mała królewna. Bardzo się wyróżniała na tle innych dzieci, które nosiły połatane ubrania. Niektóre miały na sobie zbyt małe odzienia, inne, dla odmiany, zbyt obszerne, a mała Oleńka nosiła jasny płaszczyk z fikuśnymi czerwonymi guziczkami, czarne lakierki, a we włosach miała wpiętą kokardę. „Strój godny córki pułkownika” – myślał z przekąsem, ale gdy spoglądał na roześmianą twarz córki, złość mu mijała. Jego dziecina była szczęśliwa i miała obok siebie matkę, która kochała ją tak samo mocno jak Wissarion.

Niekiedy przed szkołę podjeżdżał czarny chevrolet i wysiadał z niego Maksim, a potem Oleńka. Odprowadzał jego córkę do szkoły, trzymając dziewczynkę za rękę, i uśmiechał się do niej czule albo zawzięcie jej coś opowiadał. Co gorsza, jego dziecko patrzyło z miłością na tę sowiecką szumowinę. Wisza zaciskał wtedy pięści i myślał sobie, że najchętniej widziałby Maksima martwego. Miał poczucie, jakby Fiodorow ukradł mu życie.

A potem uśmiechał się szyderczo, bo Nadia nigdy nie kochała tego gnoja. Kiedy spotykali się pokątnie w mieszkaniu Ilse Schlesinger, Nadia tuliła się do niego jak spragniony pieszczoł kociak. Każdym drgnieniem swojego pięknego ciała i spojrzeniem ogromnych ciemnych oczu dawała wyraz swojej wielkiej miłości do Wisariona. I marzyła o ucieczce z nim, mimo iż wiedział, jak bardzo się boi. Przyrzekł jej, że przygotuje wszystko tak, aby zminimalizować ryzyko. Zamierzał dotrzymać danego jej słowa, nawet gdyby musiał poprosić o pomoc Stiepana. Był przekonany, że ten zdołał już nawiązać kontakty ze swoimi pobratymcami i kombinował, jak się przedostać do amerykańskiej strefy wpływów, a potem do Monachium, gdzie podobno osiadł jego guru z OUN-B, Stiepan Bandera.

Najgorzej Wissarion zniósł dzień, kiedy Fiodorow przyjechał po Oleńkę, a gdy ta ukazała się w drzwiach szkoły, wziął ją na ręce i obsypał pocałunkami. Jego córka zaś wtulała się w tego drania, jakby trzymał ją w ramionach ukochany ojciec.

Wrócił do domu, zignorował powitanie Genowefy i wyciągnął spod łóżka butelkę bimbru, który otrzymał od jednego chłopca w podzięcie za lewe butelki oleju z aprowizacji. Praca, załatwiona mu przez Kurzepę, była naprawdę lekka, a niekiedy, gdy się dobrze uwinęli, kończyli ją z Mietkiem, kierowcą, już w okolicach drugiej po południu. I wtedy laźł przed szkołę, by chociaż z daleka popatrzeć na swoją córkę. Na dziecko, które odebrał mu Fiodorow. Teoretycznie powinien być zadowolony, bo widać było, że Oleńka nie zaznaje od przybranego ojca żadnej krzywdy i na pewno lepiej jej było niż w zapyziałym sowieckim sierocińcu, jednak w praktyce wszystko w nim wrzało, bo on nie mógł przytulać swojego dziecka ani też spędzać z nim czasu.

Wychylał kieliszek po kieliszku, aż zaczęło szumieć mu w głowie. I wtedy do jego ciasnego pokoiku władowała się Genowefa, ubrana w przezroczystry peniuar, który najpewniej znalazła w skrzyniach z darami. Czasami, gdy przyglądał się niektórym ubiorom, zastanawiał się, co myśleli ludzie, wkładając do paczek kapelusze z piórami, suknie balowe czy bieliznę, która nadawała się do burdelu, a nie do codziennego użytku. Jednak najwyraźniej przydawała się takim kobietom jak Genowefa. Pomyślał od razu o Nadii, która zapewne tego wieczoru będzie zasypiała w ramionach Fiodorowa, i krew w nim zawrzała, chociaż na co dzień za wszelką cenę starał się o tym nie myśleć. Obawiał się, że w przeciwnym razie dopadnie Fiodorowa i zrobi z nim to samo, co z Woroszyłowem.

Wyciągnął dłoń w kierunku zakochanej w nim kobiety. Podała mu swoją i chwilę potem trzymał ją w ramionach. Był wystarczająco pijany, by myśli o ukochanej, leżącej w jednym łóżku ze swoim małżonkiem, odpłynęły. Robił to z Genowefą prawie mechanicznie. Jakby zabawiał się z kobietą lekkich obyczajów, której twarzy nie zdoła zapamiętać. Nie zastanawiał się nawet nad tym, że ten akt może obudzić w jego dobrodziejce nowe nadzieje. Tego wieczoru zapragnął być kimś innym – mężczyzną, w którego życiu nie istnieje ani miłość do Nadeńki, ani do córki.

Gdyby nie głęboka wiara w powodzenie ucieczki, naprawdę zabiłby Fiodorowa, tak jak kiedyś Grigorija. Obaj ją wykorzystali – jeden jej uczucie do Wissariona i przywiązanie do Andrzeja, drugi głód. Byli siebie warci i zasłużyli na śmierć w męczarniach, ale musiał myśleć racjonalnie. Maksim Fiodorow był chroniony prawie jak głowa państwa. Gdyby Wissarion rzucił się na niego, gdy ten drań odprowadzał lub odbierał córkę ze szkoły, w mig zostałby złapany i zabity. To zniweczyłoby na zawsze jego marzenia o rodzinie, a Oleńka mogłaby mieć przez resztę życia straszne wspomnienia. Chyba kochała nowego ojca, a Wisza zamordowałby go na jej oczach. Tak, to byłby dla wszystkich fatalny w skutkach czyn, a jego córeczka nigdy by mu tego nie wybaczyła.

– Wiktorze... – Usłyszał głos Genowefy. – Przenieś się do mojej sypialni. Ta służbówka przypomina norę.

Aż zadrżał na te słowa. Alkohol już nieco z niego wyparował i jedynym jego marzeniem było, żeby Gienia poszła sobie do diabła i zostawiła go w spokoju.

– Chyba jest na to zbyt wcześnie... – wydukał.

– Minęło kilka miesięcy od naszego pierwszego spotkania. – W głosie Kurzepy pobrzmiwał wyrzut.

– Posłuchaj, Genowefo, niektórzy potrzebują więcej czasu, aby się zaangażować – odparł ostrożnie.

– Rozumiem – mruknęła niezadowolona. – Ale nie wyprowadzisz się z willi?

– A dokąd miałbym pójść? Minęły dwa lata, odkąd Wrocław został zdobyty, a przy okazji zniszczony. Przecież przebywa w nim teraz jakieś dwieście tysięcy ludzi, a większość budynków nie nadaje się do zamieszkania, więc gdzie miałbym się osiedlić? W jakimś rumowisku? Jeśli jednak zacznę ci wadzić, powiedz.

– Ależ, najdroższy, ja bym chciała, żebyś został ze mną na zawsze – jęknęła.

– Więc nie naciskaj – powiedział ostro, bo nie zamierzał składać Genowefie żadnych konkretnych deklaracji. Owszem, musiał jej zostawić jakąś isierkę nadziei, bo dzięki niej miał świetną robotę i dach nad głową, ale nie chciał składać obietnic bez pokrycia.

– Przepraszam, Wiktorze. Ale jesteś taki przystojny... I dobry – powiedziała słodko.

– Tobie także niczego nie brakuje – odparł i klepnął ją w pośladek. – A teraz uciekaj do siebie, bo przystojny i dobry Wiktor Krawczenko musi się wyspać. Jutro wyruszamy z Mietkiem o szóstej.

– Oczywiście, kochanie. Przygotuję ci rano śniadanie i kanapki do pracy.

– Dziękuję. – Ziewnął, po czym odwrócił się plecami do wciąż rozochoczonej Genowefy i zasnął.

Nazajutrz był wciąż jeszcze nieco pijany. Zobaczył koło służbowej furgonetki Osadowskiego. Wystraszył się, bo jeśli mężczyzna pofatygował się aż do punktu ich zbiórki, mogło się wydarzyć coś nieoczekiwanego i niezbyt dobrego. Po chwili uśmiechnął się pod nosem, ponieważ uznał, że Andrzej postanowił kolejny raz odwiedzić swoją znajomą.

Przywitał się z nim i zagadnął:

– Stało się coś? Czy znowu jedziesz pofiglować ze swoją blondyneczką?

– Nigdzie się nie wybieram, chcę z tobą pogadać... – odparł Andrzej. – Posłuchaj, stary, nie możecie tak często umawiać się z Nadią na schadzki w naszej kamienicy. Ludzie zaczynają się podejrzliwie na was patrzeć, a moja Emilia wciąż wypytuje, gdzie znika Nadia. Oczywiście mówię jej za każdym razem, że spędza czas u Marianny i Bogusia, ale ostatnio wytknęła mi, iż niedługo po przybyciu Nadii oni opuścili mieszkanie, a i Marta się wypiera, że z nią siedziała przy herbatce. Na ciebie też zaczynają zwracać uwagę, bo kto to widział oferować ciągle tym samym ludziom węgiel, w dodatku w środku lata. Ilse zaczyna zaś wariować, bo się obawia, że gdy sprawa dotrze do męża Nadii, UB ją aresztuje, a potem powiesi.

– Sam wiem, że trochę przesadzamy, ale to jest silniejsze od nas... Masz jednak rację, jeśli chcemy dobrze zaplanować ucieczkę, a potem z powodzeniem ją zrealizować, musimy być ostrożni – westchnął Wissarion.

Naprawdę zdawał sobie sprawę, że zbyt często widywał się z Nadią i w końcu jej małżonek nabierze podejrzeń. Nieważne, że często wyjeżdżał w delegację, ale przecież zostawiał przy Nadii swoich zaufanych ludzi. Może któregoś dnia zbyt częste wizyty przy Stalina wydadzą im się podejrzane. A ludzie jak ludzie, będą woleli powiedzieć, co widzieli, niż zaryzykować przesłuchania w wykonaniu bezpieki. Przecież na pewno zauważyli postawnego mężczyznę kręcącego się po ich kamienicy. Na szczęście nie byli to ani Osadkowscy, ani Lemańscy.

– A masz już jakiś plan? – zapytał Andrzej.

– Na razie żadnego. Liczę jednak na to, że nawiążę jakieś znajomości, tylko moja praca mi w tym nie pomaga. Bo kogóż ja widuję? Mietka z Warszawy, sympatyka bolszewików, magazynierki i urzędasów z punktów aprowizacji. Oni mi raczej nie pomogą – odparł zgodnie z prawdą Wissarion.

Nie chciał zdradzać, że przybył na Ziemię Odzyskane ze Stiepanem. Obawiał się, że Osadkowski zechce wziąć odwet za to, co się wydarzyło w Orliczynie, a najbardziej za śmierć swojej malutkiej siostrzenicy. Jednak Stiepan mógł się okazać bardzo przydatny. Przez te kilka miesięcy zapewne zdołał odnaleźć jakichś swoich kompanów. Wisza musiał do niego pojechać, by się o tym przekonać, ale wciąż odkładał tę wizytę. Nadal miał żal do Stiepana i obawiał się, iż braterskie spotkanie rychło zamieni się w kolejną awanturę, a te od czasu spotkania pod Leskiem wybuchwały dość często.

Musiał ochłonać i racjonalnie pomyśleć. Przede wszystkim zakończy schadzki z Nadią, a potem, gdy pojedzie do Stiepana, będzie udawał, że mu wybaczył. Czas bujania w obłokach musiał się skończyć. Mieli z Nadią sporą szansę na nowe, wspólne życie, a on ryzykował, że plan legnie w gruzach. Nawet gdy tłumaczył sobie, iż musi poczekać ze swoimi amatorami, a otrzymywał informację od Nadii, że danego dnia pojawi się przy Stalina, łamał się i biegł jak na skrzydłach do swojej ukochanej.

Popatrzył na Andrzeja i powiedział cicho:

– Pomóż mi. Wytlumacz Nadii, że stąpamy po cienkim lodzie. Ona wie, że gdy tylko da mi znać przez handlarza pieczywem z placu Strzeleckiego, kiedy będzie u was, zjawię się w mieszkaniu Ilse. Jeśli nie będzie mnie prosić o spotkanie, będzie mi łatwiej.

– Dobrze, porozmawiam z nią. Po prostu powiem jej, że Ilse już nie chce brać na siebie podobnego ryzyka – westchnął.

– Nie, Andrzej. Powiedz Nadii, żeby w ogóle nie szukała kontaktu ze mną. Jeśli wyznasz, że nasze gniazdko miłości jest spalone, będzie chciała, bym znalazł dla nas coś innego. A ja, durny, znowu wpadnę w amok i coś wykombinuję. Coś, co może nas wszystkich sprowadzić na manowce – odparł stanowczo Wissarion.

– Boże, będzie ryczeć – jęknął Osadkowski.

– Trudno, ale masz słuszność, popełniamy błąd. I dziękuję ci. Za wszystko – odparł Wisza.

– Ja tobie również.

– A ty mnie za co? – zdziwił się Zinowjew.

– Że pomagasz Brigitte Mause...

– To dla mnie żaden problem. Tu skubną puszczykę, tu woreczek ryżu... Taka robota. A w ogóle kim ona jest dla ciebie?

– To dziwna historia... Ale w zasadzie ta kobieta nie jest dla mnie nikim ważnym. Po prostu żal mi jej.

– Nie wiem, po co tu siedzi. Ja na jej miejscu już dawno dałbym nogę. Im dalej od bolszewików, tym lepiej. – Wissarion wzruszył ramionami.

– Sam się jej dziwię. Już łatwiej mi zrozumieć Ilse. Na razie ma dobrą pracę, samodzielną kwaterę i nikt się jej nie czepia, bo pracuje dla władz. Ale Brigitte? Jest dla mnie zagadką – odparł Andrzej.

– I dlatego za nią latasz. – Puścił do niego oko, a po chwili wsiadł do furgonetki i przywitał się z Mietkiem.

– Nauczysz mnie prowadzić auto? – zagadnął kumpla, gdy już opuścili miasto.

– Chcesz się na kurs załapać?

– Może... To świetny fach – odrzekł Wissarion.

– A mnie już uszami wychodzi jazda po tych wertepach i w dodatku ciągle się coś psuje w tym klekocie. – Mietek najwyraźniej wcale nie uważał, że zawód kierowcy jest idealny.

– To co, poprobujemy na jakiejś polnej drodze? – Nie dawał za wygraną.

– A co mi tam, jak się nauczysz jeździć, ja sobie będę spał, a ty będziesz mnie woził jak jakiego burżuja. – Zarechotał.

Pierwsze lekcje, których udzielał mu Mietek, nie zakończyły się sukcesem. Raz o mały włos uderzyłby w drzewo, innego dnia wylądował w rowie i musieli ich wypychać żołnierze, a kiedyś wziął zakręt tak brawurowo, że z paki powypadały puszki z olejem. Załapał jednak, o co chodzi i wierzył, że gdy tylko przestanie być taki narwany, opanuje sztukę jazdy w sposób doskonały.

Odkąd zamieszkał u Genowefy, chodził także na kursy dla pracujących, gdzie poznawał alfabet łaciński, i musiał stwierdzić, że idzie mu bardzo dobrze. Od czasu do czasu jeszcze wstawiał w tekście litery z cyrylicy, ale postęp i tak zrobił ogromny. I to wszystko zawdzięczał partyjnej aktywistce i kierownicze Referatu Pracy z Biura Repatriacyjnego. Stwierdził, że gdy już nauczy się sprawnie posługiwać językiem polskim nie tylko w mowie, ale i w piśmie, a potem zdobędzie uprawnienia kierowcy, panna Kurzepa już nie będzie mu do niczego potrzebna. Jeśli się od niej wyniesie, kobieta będzie miała jeszcze szansę na ułożenie sobie życia, a gdy wciąż będzie u niej mieszkał, nadal będzie się łudziła, że zostaną parą. Oszukiwał ją, chociaż absolutnie na to nie zasłużyła. Okazała mu ciepło i dobroć, obdarzyła wręcz bałwochwalczym uczuciem i bez niej nie miałby szans na życie we Wrocławiu, bo otrzymał przydział na dom i ziemię poza miastem, więc żadna instytucja państwowa by mu nie pomogła.

Poza tym nie wiedział, czy przypadkiem nie będą zmuszeni uciekać z Nadią samochodem. Przecież musieli jakoś dotrzeć do granicy. A samochód Komitetu Pomocy byłby idealny. I co wówczas zrobi? Poprosi Marcela, by ten zaryzykował dla nich życiem? Przecież chłopina miał troje małych dzieciaków na utrzymaniu. Nie mógł od nikogo wymagać podobnego poświęcenia, dlatego w pewnych sytuacjach powinien liczyć tylko na siebie. I musiał być przygotowany na wszystko.

13.



Wrocław, 1947

Nadia wierciła się niespokojnie i co chwilę spoglądała na zegarek. Czekala na Andrzeja, by ten przekazał jej klucze do mieszkania Ilse. Osadkowski jednak spóźnił się już piętnaście minut.

Marianna popatrzyła na nią podejrzliwie i zapytała:

– A co ty si masz jak groch przy drodze^[25]?

– Ja? Nie, skądże, wszystko w porządku.

– Wiercisz si, jakbyś miała w dupie robaki, i inu zirkasz na sikora.

– Andrzej powinien już przyjść – odparła, przygryzając wargi.

– Ty si ni obrażaj, Nadia, ale ty jakie nieszczęście na nas wszystkich sprowadzisz. Emilka łeb urwi Andrzejowi za te amory z tobą, a Fiodorow całą kamienicę za Ural pośle – odparła spokojnie Marianna.

– Ty myślisz, że ja romansuję z Andrzejem? – Nadia uniosła brwi.

– Za głupią mni masz cy co? Wpadasz tu jak po ogień, a potem gdzieś razem leżecie. Nu przecie nie na czyn społeczny. – Marianna powiedziała to nieco obrażonym tonem. Zapewne nie chciała, żeby jej przyjaciółka traktowała ją jak idiotkę.

– To ja ci już powiem, Marianko. Tylko błagam, nikomu ani słowa o tym. Zresztą Bogusiowi i Marcelowi możesz, byle nie tym wiedźmom spod piątki... – Głęboko nabrała powietrza i powiedziała na jednym wdechu: – Wissarion żyje i mieszka we Wrocławiu, pod zmienionym imieniem i nazwiskiem. Andrzej ułatwia nam spotkania w pewnym zacisznym mieszkaniu na parterze. Na Boga, nigdy bym nie pomyślała, że możesz wpaść na taki pomysł. No, że ja i Andrzej...

Marianna nieco pobladła, a potem się przeżegnała.

– Jeszczy gorzej. Jak twój pańcio zwałcha, że tyn wielki Ukrainiec żyje i jeszczy mu żonę obraca, to już nawet nie Sybir nas czeka, ale stryczek. Z miejsca nas o szpiegostwo jakie oskarżą albo o spekulancję i wyrok gotowy.

– Maksim wie, że was odwiedzam – odparła niepewnie. Marianka właśnie jej uświadomiła, że naraża nie tylko życie Wissariona, ale także wszystkich swoich przyjaciół.

– Ale ni wi, ży si gżisz z dawnym chabalem... Nadia, ty sobi rób, co uważasz, ale pomyśl i o nas.

– A ty byś nie zaryzykowała dla miłości? – zapytała rozpaczliwie.

– Ni. Tego kwiatu to pół świata. Chłop to chłop, każdy w portkach ma to samo, inu jedyn ma mniej, a inny więcej.

– Nigdy nie byłaś zakochana? – zdziwiła się Nadia.

– A po co mieć takie masło na głowie? – Wzruszyła ramionami. Chciała jeszcze coś dodać, ale do mieszkania wpadł zdyszany Andrzej.

– Przepraszam, Emilka zagoniła mnie do mycia okien.

– Już zaczęłam się martwić. – Nadia odetchnęła z ulgą.

Andrzej zwrócił się do Marianki:

– Możesz pójść do kuchni albo do łazienki i zostawić nas samych?

– W kiblu kurzym gównem daje, a w kuchni ta horpyna^[26] z wiochy słoiczki robi. Jeszczy pomyśli, że si na jej gówniane konfitury z harbuza^[27] zasadzam – prychnęła.

– Ona wie – szepnęła Nadia.

– W takim razie porozmawiamy przy Mariannie... – Andrzej był nieco zdenerwowany. – Nadeńko, te spotkania muszą się skończyć. Wisza nie przyjedzie dzisiaj ani jutro, ani za tydzień. Musicie być ostrożni, a zachowujecie się, jakbyście nie zdawali sobie sprawy z niebezpieczeństwa wpadki. W końcu ktoś się zainteresuje twoimi częstymi wizytami na Stalina, a i pewnie będzie się zastanawiał, czemu zachodzisz do mieszkania wyklętej Niemki. Jeśli Wissarion ma przygotować waszą ucieczkę, nie możesz ryzykować. Zapewne ciągniesz za sobą ogony, w końcu jesteś żoną sowieckiego pułkownika. To nie są idioci i niebawem skojarzą twoje wizyty z odwiedzinami pewnego wysokiego, ciemnowłosego mężczyzny. I zechcą go sprawdzić. Jeśli odkryją, że to Zinowjew, wówczas on zawiśnie, a ty resztę swo-

jego życia spędzisz u boku człowieka, którego nie kochasz. Nam też może się za to oberwać... – Andrzej mówił rzeczowym tonem.

– Tyż jej tak gadałam – wtrąciła się Marianna.

– Boże, przecież ja nawet nie wiem, gdzie Wisza teraz mieszka. Ani gdzie pracuje. Ode mnie niczego się nie dowiedzą.

– Mieszka z jedną kobietą, która dała mu dach nad głową i załatwiła robotę na Paulińskiej, przy dystrybucji kartkowych towarów.

– Co to za jedna? – Nadia momentalnie zrobiła się czujna.

– Przestań, Nadeńko. Pytasz, jakby to była jakaś jego kochanica. Normalna babka, która mu bezinteresownie pomogła.

Andrzej chyba się zorientował, że niepotrzebnie o tym powiedział. Być może kobieta miała z sześćdziesiąt lat i nie stanowiła dla Nadii żadnej konkurencji, ale równie dobrze mogła wyglądać jak Jadwiga Smosarska.

– Nie wierzę. Każda chciałaby uwieść Wissariona – odparła rozzłoszczona Nadia.

– Owszym, i ja miałam chrapkę na niego – wtrąciła Marianna rozmarzonym głosem, ale nie dodała niczego więcej, bo Osadkowski posłał jej mordercze spojrzenie.

W tym, co mówił Andrzej, a wcześniej Marianna, było sporo prawdy. Ryzyko było ogromne, a jeśli mieli z Wissarionem i Oleńką uciec do Monachium, nie mogli sobie pozwolić na błąd. Jej częste wizyty na Stalina nie budziły w Fiodorowie podejrzeń, ale co, jeśli pilnujący ją tajniacy zwrócą uwagę na mężczyznę, który przychodził do kamienicy zawsze tego samego dnia, co Nadia. A jednak miłość ją ogłupiała, bo zamiast przeprosić Andrzeja i Mariannę i przyrzec im, że nigdy już nie spotka się z Wiszą w ich domu, ona zastanawiała się nad kobietą, która jakiś czas temu pojawiła się w jego życiu. Nie docierało do niej, że o samodzielne mieszkanie w tym mieście było bardzo trudno i w dużych lokalach zamieszkiwało kilka rodzin. Tak jak u Osadkowskich czy Marianny. Nie każdy był w takiej komfortowej sytuacji jak ona.

Musiła jednak zapytać Wissariona o tę kobietę, zanim umrze z zazdrości.

– Ostatni raz, proszę... – powiedziała słodko. – A potem już nigdy nie wrócimy do tego tematu.

– Nie, Nadio. I wiesz, że to jest także decyzja Wissariona. On już powrócił do równowagi po pierwszych uniesieniach, teraz czas na ciebie. To nie są żarty, a Maksim Fiodorow to nie byle chłystek. Oni mają nieufność we krwi. Każdy jest podejrzany, nawet żona i dzieci. Na pewno zauważył, że wracasz z tych odwiedzin u nas rozpromieniona jak bożonarodzeniowy aniołek i zechce sprawdzić, co tak bardzo uszczęśliwia jego połowicę. Jako że oficjalnie Zinowjew jest martwy, jak myślisz, kogo posądzi o romansowanie z tobą? Mnie. Nawet Emilka uważa, że mam do ciebie słabość, więc pomyśl, co może wyobrazić sobie twój piekielnie zazdrosny małżonek – powiedział Andrzej z desperacją w głosie. Musiał wysunąć ostatni argument, żeby Nadia w końcu oprzytomniała i wróciła z nieba na ziemię.

Od razu przypomniał się jej nieszczęsny Bernard. Może naprawdę mieli jakieś dowody na jego wywrotową działalność, a może było tak, jak mówiła jego matka i został skazany na śmierć, bo Maksimowi się nie spodobało, że flirtował z Nadią zbyt nachalnie.

– Rozumiem... – Przygryzła wargi. – I przepraszam raz jeszcze. Wracaj, Andrzejku, do żony, a ja dopiję herbatę u Marianki i pojedę do siebie. Oboje macie słuszność, Wissarion także. Jeśli pewnego dnia postanowimy uciec, muszę mieć więcej swobody, a przychodząc do was zbyt często, ryzykuję, że Maksim zacznie mnie bardziej pilnować.

– Kiedy Wisza coś wymyśli, a potem dokładnie zaplanuje, przekaże wiadomość mnie, a ja tobie. Przez Martę albo Mariannę. Wiem, że co piątek spotykacie się na targu przy placu Strzeleckim.

– Dziękuję – wymamrotała, chociaż jej serce pękało z rozpacz, bo zamiast służyć czułych wyznań kochanka, dostała ostrą reprimendę od Andrzeja.

To, co mówił, miało sens, ale co z tego, jeśli ona tak bardzo pragnęła widywać Wiszę, wtulać się w jego ramiona i kochać się z nim do utraty tchu. Kiedyś go odpchnęła, by uratować mu życie, a potem nie dopuszczała do siebie myśli, że mógłby umrzeć. I tęskniła za nim w każdej minucie. Teraz się przekonała, że jej ukochany ocalał i był tak blisko niej, a ona musiała z niego na jakiś czas zrezygnować, by mogło się spełnić ich wspólne marzenie. Być może znowu potrwa to miesiące, a nawet lata... I jeszcze niepokoiła ją ta kobieta, która wyciągnęła do Wiszy pomocną dłoń. Andrzej mógł mówić, co mu się podobało, ale ona wiedziała swoje i była przekonana, że ta baba zrobiła tak wiele dla Zinowjewa, ponieważ liczyła na ro-

mans z nim, a kto wie, może i małżeństwo. Już raz odwdzieczył się w podobny sposób dziedzicowi.

– Szybko wróciłaś – stwierdził Maksim, gdy godzinę później weszła do domu.

– Dzieci Marty tak dokazywały, że nie mogłam wysiedzieć w tym harmidrze. – Uśmiechnęła się nieszczercze, a potem podeszła do męża i pocałowała go w policzek. – I dziękuję, że załatwiłeś Lemańskim ten przydział. No i pracę dla Marcela.

– Twoi przyjaciele są moimi – odparł z dumą, mimo że niewiele miało to wspólnego z prawdą.

Robił szemrane interesy z Marcelem, zanim Nadia pojawiła się w jego życiu. Teraz także miał nadzieję uszczknąć coś dla siebie z publicznego mienia i taki ktoś jak Lemański był mu bardzo potrzebny. Ufał mu, bo ten nigdy go nie zawiódł, więc korzyści odnosili obaj.

– Kochany jesteś... Naprawdę... – Zmrużyła oczy.

– Mam nadzieję, że dzisiejszej nocy pokażesz mi, jak bardzo – odparł uwodzicielskim tonem.

Nie odpowiedziała, jedynie uśmiechnęła się słodko, a potem dodała:

– Wiesz, nasza Oleńka chodzi już do szkoły, mamy gosposię, a ja bezproduktywnie siedzę w domu. Może zrobiłabym coś pożytecznego? Nie wiem, pomagała przez kilka godzin w tygodniu przy rozdzielaniu darów albo segregowała ubrania z UNRRA? Teraz, gdy organizacja wycofała się z Polski, wszystko przeszło w ręce Komitetu Pomocy, a oni i tak mają mnóstwo roboty przy aprowizacji. Od razu miałbyś lepszą prasę.

– Ja też odnoszę wrażenie, że Polacy uważają mnie za jakiegoś oprawcę, a ciebie za darmozjada. Co za niewdzięczny naród...

Może Maksim wierzył w to, co mówił, ale ludzie nie tak łatwo ulegali propagandzie, mimo że ta robiła się coraz bardziej nachalna. Nagłówki gazet krzyczały, że dzięki Stalinowi Wrocław powrócił do macierzy, a czerwonoarmiści podarowali Polakom pokój i wolność. To jednak działało tylko na niektórych. Wielu mieszkańców Wrocławia to byli Kresowianie, a oni najlepiej wiedzieli, co zawdzięczają bolszewikom, i na pewno nie była to wolność.

Ludzie się bali. Tak samo jak wówczas, gdy Rosjanie pojawili się we Lwowie i w Ukrainie Zachodniej, po wrześniu trzydziestego dziewiątego. Pamiętali wypełnione po brzegi bydłące wagony, wywożące Polaków i Ukraińców za Ural. Nie zapomnieli także o tysiącach trupów, pozostawionych we lwowskich więzieniach czy w innych dużych ośrodkach we wschodniej Polsce. Nie byli jednak tak odważni, by mówić głośno o pewnych sprawach. W końcu każdy mógł zostać oskarżony o szpiegostwo, wichrzycielstwo i podżeganie do buntu. Marianna mówiła, że UB kilka tygodni wcześniej zabrało ich sąsiada i do tej pory nie wiedzą, co się z nim stało. Kiedy jednak do mieszkania wprowadziła się nowa rodzina, byli już pewni, że więcej poprzedniego lokatora nie zobaczą.

– Zatem uważasz to za dobry pomysł? – ucieszyła się Nadia.

– Już widzę nagłówki w gazetach: *Nadia Fiodorowa pomaga najuboższym*. – Uśmiechnął się i dodał: – Dobrze, kochanie, jeśli uważasz, że powinnaś coś zrobić dla naszej sprawy, nie mam nic przeciwko temu. Wręcz przeciwnie, czuję dumę, że mam taką wspaniałą żonę.

Ścisnęła jego dłoń i szepnęła:

– A ja męża.

– Twój cudowny mąż ma dla ciebie prezent – odparł, a po chwili podniósł się z krzesła i podszedł do szafy. Wyciągnął z niej pakunek i podał Nadii.

Rozerwała szary papier i poczuła pod palcami delikatny jedwab. Rozłożyła sukienkę i aż zapiszczała, bo dawno nie widziała tak pięknej, eleganckiej, a jednocześnie subtelnej kreacji.

– Przymierz – powiedział.

Nie musiał jej do tego namawiać zbyt długo. Zdjęła garsonkę i wsunęła się w sukienkę. Poczowała na ciele chłodny, delikatny materiał, a potem spojrzała w lustro. Pasowała idealnie i pomyślała, że Marcel zdołał doskonale zapamiętać jej rozmiar.

– I jak wyglądam? – zapytała zalotnie.

– Kochanie, lepiej sama ją zdejmij, bo zaraz zedrę ją z ciebie – odparł chrapliwym głosem.

– Maksimie, zaraz może wejść do pokoju Oleńka...

– Nie wejdzie, poszła z Marthą na spacer – odparł Fiodorow.

– Dawno?

– Nie, a że ładna pogoda, pewnie szybko nie wróca.

Zsunęła z siebie nową sukienkę i została w samej halce. Jeśli miała uśpić czujność Maksima, musiała sprawiać wrażenie zakochanej i chętnej kochanki. A może to wiadomość o jakimś babsku w życiu Wissariona tak dziwnie na nią podziałała, bo podeszła do małżonka i zaczęła rozpinąć guziki jego koszuli.

Kochali się w salonie, na skórzanej kanapie przywieszanej z jakiegoś niemieckiego klubu oficerskiego, a ona ani razu nie otworzyła oczu. Chciała wyobrazić sobie, że robi to z Wissarionem. Jeszcze kilka godzin wcześniej chodziła jak lunatyk i była chora z podniecenia, ponieważ czekała na schadzkę z ukochanym, a tymczasem on nie przyszedł. Mógł przecież sam z nią porozmawiać, pożegnać się ładnie, bo czekały ich być może miesiące rozłąki, ale nasłał na nią Andrzeja.

Mimo że w tym, co powiedział jej były mąż i Marianna, było sporo racji, ona nie mogła darować Wissarionowi tej niewykorzystanej okazji. Miała jednak nadzieję, że niebawem spotka go w magazynach z aprowizacją, a może nawet pozna jego nową przyjaciółkę. Jeśli nie, postara się chociaż dowiedzieć, kim jest osoba, która zapewne miała chrapkę, by odebrać jej ukochanego. Jej kobieca intuicja i rozgrzane do czerwoności serce podpowiadały, że właśnie takie zamiary miała owa kobieta.

Popołudniowe igraszki sprawiły, że do końca dnia Fiodorow niemal nosił ją na rękach i szeptał do ucha sprośności.

– Dzisiaj, kochanie, przeszłaś samą siebie. Muszę ci częściej kupować sukienki. One rozgrzewają cię bardziej ode mnie.

– Wariat! – Zachichotała. – Uwierz, gdybym od kogoś innego dostała podobne чудо, nie poczułabym żadnej podniety. No chyba że samą sukienką.

– Figlarka. – Pocałował ją w policzek.

Aleksandra podeszła do Maksima, najwyraźniej trochę zazdrosna o względy, jakimi obdarzał Nadieję, na nią zaś nie zwracał uwagi.

– A ja dostanę całusa? – zapytała, podpierając się pod boki.

– Pewnie, córeczko – odparł.

Posadził dziewczynkę na swoich kolanach i zaczął ją wypytywać o zajęcia w szkole. Z dumą wydeklamowała mu wierszyk o wspaniałym wodzu Stalinie,

a Nadia aż zgrzytała zębami, gdy tego słuchała. Potem popatrzyła na Aleksandrę, wtulającą się w Fiodorowa, i zastanawiała się, jak dziewczynka przyjmie kiedyś wiadomość o tym, że jej prawdziwy tata wcale nie umarł, ale wciąż ma się dobrze i kocha ją do szaleństwa. Nie miała pojęcia, jak mała pogodzi się ze stratą człowieka, którego traktowała jak ojca i wręcz ubóstwiała. Chwilami nawet dogadywała się z nim lepiej niż z Nadią. Mieli jakieś swoje tajemnice, dziewczynka mówiła mu o wszystkim i cieszyła się niemożliwie, gdy Maksim zabierał ją na karuzelę albo do parku.

Tak, Fiodorow okazał się rodzicem wręcz doskonałym, a Oleńka z każdym dniem była do niego coraz bardziej przywiązana. Nadia nawet nie usiłowała sobie wyobrazić, jak kiedyś wytłumaczy córeczce Wissariona, że ta już nigdy więcej nie zobaczy Maksima.

14.



Wrocław, 1947

– Coś si wysztafirował, jakbyś miał o reńkę jakiejś pannuci prosić? – zapytał Marcel, gdy odstrojony jak do kościoła Boguś wszedł do jego mieszkania.

– My teraz ważne figury – odparł zupełnie spokojnie.

– Oj, Boguś, my zwykle urzędniki jesteśmy, a ni żadne oficjele.

– To mam ferszalung^[28] założyć? – zdziwił się.

– Nu ni kręć gitary... Tylko następnym razem ni zakładaj szlusroka^[29].

– Toć to zwykły anglez^[30], ni żadyn szlusrok. – Wzruszył ramionami.

– Powim ci tak... My te konfiskaty to dla niepoznaki robimy. Potem połazimy doobkoła, popytamy kogo trzeba i dobierzemy si do tego, co schowane, recht?

– Mensze bilsze^[31], inu jak my si połapiemy, co i gdzie Niemcy poukrywali?

– Piwnice, ogródki... Pewnikiem jakosik to pooznaczali. Pojedziemy i rozeznanie zrobimy. Mamy mapy, a i Fiodorow swoji pozaznaczał.

– A ja słyszał, ży na prowincji i w lasach to szaleji niemiecka partyzantka. A jak nas napadną? – Boguś się zafrasował.

Marcel wyciągnął spod łóżka sfatygowaną walizkę, a z niej starego browninga i nieco nowszą berettę.

– Łatwo si ni damy... – powiedział Marcel.

– I tak bez zezwolenia?

– Oj, Boguś, ty wielki jak brzoza, a głupi jak koza. My teraz mamy glejty od ważnych osobistości i nic nam ni robią. No ale inne szabrowniki albo te całe werwolfy to mogą si na nas zasadzać.

– A naboji ty masz do tych pukawek?

– Ni, tak na pusto ci dam. Ot, tamowaty^[32] ciołek... Bez naboji gwera bym no-
sił? – prychnął Marcel.

– Dla postrachu...

– Dla postrachu ja ciebi mam. Jak cię kto zobaczy, to od razu uciekni.

– To po co nam gwery?

– Może który ni dowidzi. Chodźmy, bo bratrura^[33] czeka.

– Nieboszczyków będziemy wozili dla niepoznaki?

– Ni, ot, durnowaty, tylko go do radia dać. To ni pogrzebowe auto, ale tak samo
aliganckie. Już z daleko będziemy wyglądać jak kto ważny – odparł dumnie Mar-
cel.

W istocie samochód prezentował się bardzo dobrze, ale, niestety, nie był cał-
kiem sprawny, bo najmniejszy wybój na drodze sprawiał, że podskakiwali na sie-
dzeniach jak na trampolinie. Marcel przeklinał Fiodorowa, że mu rzęcha obstalo-
wał i w dodatku żaden mebel do niego nie wejdzie. Maksim objaśnił mu jednak, że
na meblach, drogich instrumentach czy dziełach sztuki, jeśli jakieś zostały po *tro-
fejnych brygadach*, mają tylko banderole zakładać, żeby ci, co po to przyjadą, wie-
dzieli, które rzeczy mają zabierać. Oni zaś mają rozglądać się raczej za precjozami,
srebrami rodowymi czy sztabkami złota. A tych powinni szukać w jakichś zaka-
markach, ukrytych sejfach, a nawet w grobowcach. Stosowne dokumenty i auto
miały stanowić jedynie przykrywkę dla ich szabrowniczej działalności, by nikomu
nie przyszło do głowy, żeby się ich czepiać.

Marcel najbardziej obawiał się szabrowników z centralnej Polski, którzy buszo-
wali po okolicy i domyślili się, podobnie jak Fiodorow, że wiele z ponemieckich
dóbr, których nie rozkradli Sowieci, znajduje się w rozmaitych kryjówkach. Jakby
tak znaleźli chociaż ułamek tego, co zostało przez Niemców pochowane, mogliby
być ustawieni na długie lata. Oczywiście, bez wpływowego Fiodorowa, mieliby
problem, ale dzięki jego pomocy byli w stanie w końcu rozwinąć skrzydła. W sa-
mym Wrocławiu już nie mieli czego szukać, bo żniwa były w czterdziestym pią-
tym, zaś zbyt słabo znali te ziemie, by odnaleźć pałacyki i bogate domy znajdujące
się w okolicy. Mapy i informacje od Fiodorowa stanowiły kopalnię interesującej
ich wiedzy.

Przejechali jakieś pięćdziesiąt kilometrów i trafili do pierwszego pałacu. Był on
już zasiedlony przez ludzi przybyłych z Kresów i Marcelowi cholernie niezręcznie

było oklejać banderolami kanapy czy bogato rzeźbione komody. Rozglądał się więc za rzeczami, które nie były zbytnio mieszkańcom potrzebne.

– A na co wam takie lustro? – zapytał, wskazując palcem na ogromne zwierciadło.

– A na nic. – Jakaś kobiecina wzruszyła ramionami.

Banderola wylądowała na złoconej ramie.

– To niech mi pannucia pokaży, co jeszcze macie na zbyciu.

Oczywiście nikt nie korzystał z pianina czy stojącej w kącie pokoju harfy. Ta ostatnia służyła jako wieszak na ubrania. Kolejne naklejki zostały umieszczone na instrumentach.

– To teraz piwnica – orzekł Boguś.

– My nawet klucza ni mamy do piwnicy, a szkoda było dobre drzwi psuć – odparła kobieta.

Jej mąż od razu włączył się do rozmowy i zaczął zapewniać, że w piwnicy na pewno niczego nie znajdą. Marcelowi wydało się to podejrzane, więc nakazał wyważenie drzwi. Wtedy w czarodziejski sposób odnalazły się klucze i chwilę potem schodzili po dość krętych schodkach na najniższą kondygnację pałacyku. Nowi lokatorzy chcieli pójść za nimi, ale Marcel nakazał, by poczekali na nich na górze i nie przeszkadzali im w wypełnianiu obowiązków służbowych.

– A wy z jakiego urzędu jesteście? – zapytał mężczyzna.

– Z Ministerstwa Kultury i Sztuki – skłamał Lemański i ani mu nie drgnęła powieka.

– Wszystko wywożą do Warszawy. Jak tak dalej pójdzie, to Ziemia Zachodnie ogołocą do zera – burknął lokator pałacyku.

W zasadzie była to słuszna uwaga. Większość cegieł z rozbiórek, ramy okienne czy zabytkowe drzwi i sztukateria masowo transportowano do stolicy. Nie inaczej było z wyposażeniem, meblami czy maszynami drukarskimi. Cała para szła w odbudowę stolicy, Wrocławiem i innymi okolicznymi miejscowościami nikt się przejmował. Może jedynie tym, by żaden niemiecki napis czy pomnik się nie uchował. Gruzy mogły leżeć, ludzie głodować i cierpieć chłód, ale ulice musiały dostać polskie nazwy, a pomniki i tablice pamiątkowe niemieckich dygnitarzy zniknąć.

Lemański był przekonany, że w piwnicy ukryte są jakieś dobra, które mieszkańcy pałacyku rychło wymieniliby na targowisku na żywość czy ubrania. Nie było to niczym dziwnym, każdy, kto chciał tu przeżyć, musiał kombinować. Co gorsza, nie tylko przesiedleńcy ze Wschodu, nazywani niesłusznie Ukraińcami, przytulali znalezione w pustych mieszkaniach czy w ruinach dobra, ale od zakończenia wojny na ponemieckie tereny ciągnęły całe hordy szabrowników. W pierwszych miesiącach po wyzwoleniu, gdy pociągi z uwagi na zarwany most nie docierały do samego Wrocławia i kończyły swój bieg w Oleśnicy, istne pielgrzymki rabusiów maszerowały do niemieckiej metropolii. Marcel jeszcze do niedawna sypiał z beretką pod poduszką, na wypadek gdyby ktoś chciał się do nich włamać i ich ograbić. Słyszał, że niektórzy zrywali nawet papę z cudzych dachów czy dachówki, by załatać dziury we własnych domach. On i jemu podobni nazywali te tereny Dzikim Zachodem albo Meksykiem i wcale nie były to określenia przesadzone. Nigdzie w Polsce nie było tylu przestępstw, co tutaj. Milicjanci, najczęściej funkcjonariusze z przypadku, sami rabowali albo dogadywali się z szabrownikami i w nosie mieli interes społeczny. Oni dbali jedynie o własny...

Niestety, łowy w piwnicznych pomieszczeniach okazały się mizerne. To, co chcieli ukryć mieszkańcy, to trzy ponemieckie karabiny.

– Po co wam to? – zapytał z udawaną złością Marcel, wynosząc broń z komórki na węgiel.

– Panie kochany, a co mamy robić? Rok temu przyszli tu tacy jedni i większość wartościowych rzeczy musieliśmy im oddać. Najpierw skrupowaliśmy rzezimieszków i wezwaliśmy milicję, ale panie drogi, ci dogadali się z szabrownikami! Dostali dołę, złodziei wypuścili, a my zostaliśmy ogołoceni z połowy mebli, sreber i co cenniejszych bibelotów. Ja tam nie wiem, kogo do milicji przyjmują, chyba jakichś bandziorów z centralnej Polski – skarżył się mężczyzna.

Karabinów Marcel nie potrzebował, choć i te mógłby spieniężyć, a raczej wymienić na inny towar, ale nie przyjechali tu po to, by rozbrajać ludność, która musiała się jakoś bronić przed szabrownikami. Oni także nimi byli, ale reprezentowali urząd i nikt nie ośmielał się protestować.

W zamian za pozostawienie broni kobiecina wyciągnęła z bieliźniarki sześć srebrnych łyżeczek i podała Bogusiowi. Ten bez wahania sięgnął po puzderko, ale Marcel syknął:

– A zostawi to, bo reńce pouryvam!

Mimo że wielki Boguś przerastał Marcela o głowę, bez protestu oddał łyżeczki gospodyni. Wyszli z budynku z niczym.

– Jak ty będziesz taki litosierny^[34], to gównno zarobimy.

– Oj, Boguś, a mni tak si żal zrobiło tych ludzi – jęknął Marcel. – I ni będę si łaszczyl na gówniane łyżeczki.

– Ni gówniane, inu srebrne.

– Fiodorow poluji na insze okazje.

– Chcy złote runo znaleźć czy co? – prychnął Boguś.

– Ni gadaj tyła, inu do parku idź – nakazał Marcel.

Boguś rozejrzał się dookoła, bo kiedy tu przyjechali, nie dostrzegł żadnego parku.

– A gdzie on? Zapodział si? – zapytał szczerze zdziwiony.

– Ja tu mam zapisane na tyj mapie czarno jak na białym, ży jest park.

– Ja ni widzu. – Wzruszył ramionami. – Może spytamy tych w środku?

– Pewni powiedzą, ży szabrowniki i park ukradli. Patrzy na te debrza^[35]. – Wskazał brodą na gęste zarośla, z których wyłaniały się okazałe drzewa różnej maści.

– Jak to park, to ja jestem ksiądz.

– Ładnie byś wyglądał w tyj czarnej sukience. – Marcel się zaśmiał i ruszył w stronę czegoś, co nazywano parkiem.

– I czego ja mam szukać? Grzybów? – sarkał Boguś.

– Ot, durnowaty! Znaków szukaj.

Boguś popatrzył w niebo, jakby tam chciał znaleźć odpowiedzi na nurtujące go kwestie, ale Marcel szturchnął go łokciem.

– Ni na niebie, inu na ziemi.

Maszerowali przez gęstwinę i oglądali każde drzewo. Ktoś, kto postanowił coś tu ukryć, musiał w jakiś sposób oznakować miejsce, inaczej by się potem nie połąpał, gdzie schował swoje skarby, i na to liczył Marcel.

– Patrz, tu coś jest. – Boguś wskazał na pień drzewa. Rzeczywiście, ktoś nożem wyciął w korze niewielki znak krzyża.

Wyciągnął z teczki urzędowej Marcela saperkę i zaczął kopać w pobliżu pnia. Lemański ze względu na sztywną rękę jedynie nadzorował robotę, mimo że w kopaniu ta uszkodzona graba mu nie przeszkadzała. On wołał jednak udawać, iż jest inaczej i robić za kierownika ich dwuosobowej ekipy.

Najpierw trafili na jakieś pudełko owinięte brezentem, jednak w środku znaleźli jedynie zdjęcia i jakieś papiery. Na ich szczęście tuż obok leżało kolejne, a w nim złote pierścionki, wisiory i kilka sztuk innej biżuterii.

– Widzisz, Boguś, Fiodorow to ma jednak łeb na karku. Kop dalej.

Znalezisko nie było może zbyt okazałe, ale za to cenne. To sprawiło, że nieco zmęczony spacerami po zaroślach Boguś odzyskał energię i zaczął zdecydowanie szybciej machać saperką, ale jedyne, do czego się dokopał, to do trupa w stanie rozkładu.

– A nich mni dunder świśnie – powiedział przerażony, gdy już odkrył, że odkopali czyjś grób.

Momentalnie rzucił saperkę w krzaki i zaczął uciekać z zapuszczonego parku, nie zważając ani na krzyki Marcela, ani też na smagające mu twarz gałęzie. Lemański znalazł go przy samochodzie. Jego kompan stał oparty o maskę pojazdu i wymiotował.

– Patrzci go, jaki delikatny – prychnął zziębnięty Marcel. – Aż saperkę zgubił, tak wiał.

– A co ja pan Łopatyński^[36] jestem? – wybelkotał.

– Trupa ni widział? – zachnął się Marcel, bo podczas wojny niejednego nieboszczyka oglądali. I to w stanie, który mógłby wstrząsnąć najbardziej odporną jednostką. We wsiach, w których urzędowali Ukraińcy, gorsze obrazki widywali.

– Ale ni w grobie – jęknął Boguś.

– A jaka to różnica? – Marcel wciąż nie mógł zrozumieć, czym różnił się nieboszczyk w mogile od takiego, co z odrąbaną głową leżał przy drodze.

Boguś nie odpowiedział, tylko blady jak ściana wszedł do samochodu.

– Ty za miętki na taką robotę jesteś – stwierdził wyniosłym tonem, gdy zasiadł za kierownicą.

– Ale to ty oddałeś ty srebrne łyżeczki.

– Żywym, a na co trupowi złote kolczyki, jak żadnego zdatnego ucha ni ma, hę?

– Bo znowuż wiktem rzucę – ostrzegł go Boguś.

Marcel przestał się odzywać, tylko uśmiechał się pod nosem. Nie miał powodu do utyskiwań, bo za te odnalezione błyskotki obaj mogli przeżyć ze trzy miesiące. A to był tylko jeden wyjazd.

Pułkownik był zadowolony z ich misji i oznajmił, że następnym razem wyposaży ich w karabiny, bo te robią większe wrażenie na ludziach.

To byłby całkiem miły dzień, gdyby Fiodorow nie wziął go na spytki. Chciał wiedzieć, czy jego żona nie spotyka się potajemnie z Andrzejem. Na szczęście nie musiał kłamać.

– Maksim, toż ta jego rymunda za trzech strażników może robić. Nadia siedzi u Marty albo u Marianki. Do Andrzeja to teraz nawet nie zachodzi, bo ni ma po co. Dawne teście to jej jak psa nienawidzą.

– Z mojego powodu? – Fiodorow zmarszczył brwi.

Marcel od razu pożałował wzmianki o niechęci Osadkowskich. Maksim jeszcze gotów znowu ich na jakąś poniewierkę posłać.

– Ni... Bo dzieci mu ni dała – skłamał.

Fiodorow nic już nie powiedział, ale tak dziwnie przyglądał się Lemańskiemu, jakby mu nie dowierzał. Z ulgą opuścił jego biuro, poprosiwszy go, by spotykali się gdzie indziej niż w siedzibie UB na Podwalu, ale jego prośba została rozpatrzona pozytywnie jedynie częściowo. Obawiał się, że gdy natknie się, wychodząc z tego gmachu, na jakiegoś znajomka, ten skłonny pomyśleć, iż Marcel został ubeckim donosicielem.

15.



Wrocław, 1947

Marta była wniebowzięta, gdy jej małżonek przytargał do domu cały worek rozmaitych wiktuałów, ponieważ kartkowy przydział wystarczał ich rodzinie co najwyżej na tydzień. Nie dopytywała, skąd wziął tyle dobra. Na targowisku, wciąż nazywanym przez wielu szaberplacem, mimo że ten prawdziwy, na placu Grunwaldzkim, już nie istniał, można było nabyć wiele smakołyków albo sprzętów gospodarstwa domowego, ewentualnie zamienić cenne rzeczy na żywność. Jednak Marcel jako nocny stróż zarabiał niewiele, więc musiał dorabiać na czymś innym. Nie przejmowała się tym ani trochę. Po prostu stwierdziła, że jej małżonek już nieco okrzepł i nawiązał stosowne znajomości, a może kolejny raz wszedł w układy handlowe z Fiodorowem, co było najbardziej prawdopodobne. Gdyby wciąż mieszkała z rodzicami, ci zapewne drążyliby temat, ale teraz nie musiała się już nimi przejmować ani się przed nimi tłumaczyć.

Na lnianej ściereczce ułożyła trochę jedzenia, a potem zrobiła węzełek i powiedziała:

– Andrzejkowi i rodzicom dam. Jest im bardzo ciężko.

Sądziła, że Marcel zabroni jej robić podobne prezenty w sytuacji, gdy właściwie Osadkowscy wyrzekli się córki, ale nie powiedział ani słowa, za co była mu niezmiernie wdzięczna. Po chwili podekscytowanym głosem oznajmiła:

– Powiem ci coś w tajemnicy... Wissarion Zinowjew wcale nie umarł! Mieszka we Wrocławiu, pod innym nazwiskiem. Spotykają się z Nadią u tej Niemry z parteru.

Sądziła, że Marcel się ucieszy, ale on pobladł, a potem się zachwiał, jakby za chwilę miał zemdleć.

– Fiodorow wszystkich nas do łagrów pośle – szepnął po dłuższej chwili milczenia.

– Już nie będą się tutaj spotykać, bo zrobiło się to podejrzane – odparła.

– I dzięki Bogu, bo mni dzisiaj Fiodorow pytał, czy Nadia ni romansuje z Andrzejem. A on tak świdruji człowieka oczami, ży skłamać trudno. Mogłaś mi ni gadać, bo jak znowuż zapyta, to co mu powim? – Marcel był wyraźnie przestraszony, zamiast się cieszyć, że dobry znajomy odnalazł się cały i zdrowy.

– Nic nie gadaj. Nic nie widziałeś, nic nie słyszałeś, i tyle. Wielkie mi co – prychnęła Marta.

Nie miała okazji poznać Maksima. Wszyscy się go panicznie bali, ale ona nie rozumiała dlaczego. Pozwalał swojej żonie, by odwiedzała starych przyjaciół, a że porywał z nią ochronę, nic w tym dziwnego, bo napady rabunkowe zdarzały się często. Do Wrocławia zjechali chyba wszyscy bandyci i złodzieje z całej Polski, by dorobić się na niemieckich dobrach, które porzucili dawni mieszkańcy miasta, uciekając w popłochu.

– I co to teraz będzie? – zaniepokoił się Marcel.

Ukochany Nadii się odnalazł, a ona żyła z innym. I jakby mało tego było, chowała dzieciaka Wissariona i Julianny. Takiej afery Lemański nawet w najczarniejszych snach się nie spodziewał.

– A co ma być? Nie nasza sprawa – odparła Marta.

– A jak tyn Ukrainiec zasadzi si na Fiodorowa? To znowuż będziemy biedołachami – jęknął.

– Nie zasadzi się, bo ten pułkowniczek bez obstawy nigdzie się nie rusza. Dajże spokój, Nadia nie ucieknie do Wissariona, bo jej za dobrze teraz jest. A ten biedak co jej może zaoferować? – zapytała z przekąsem Marta.

– To dlatego od Kaczkana iść ni chciałaś?! – Marcel zdenerwował się nie na żarty.

– Marcelku, dajże spokój... – powiedziała czule, bo zdała sobie sprawę, że palnęła głupstwo.

– Fiodorow traktuje tego śmierdziucha jak własnego. Ja ci gadam, ży z tego jaka chryja wyniknie.

Marta uważała jednak, że to bardzo romantyczna historia, i nie zastanawiała się nad konsekwencjami. Owszem, zdawała sobie sprawę, jaką pozycję zajmował w aparacie represji Maksim, ale przecież nie wykorzystałby władzy w imię miłości.

A może Marcel miał rację i cała sprawa mogła się zakończyć tragicznie? Jeśli tak, oni także powinni zacząć się martwić.

Może Marta nieco bardziej zaniepokoiłaby się powrotem Wissariona, ale miała inne zmartwienia. Wychowywała troje dzieci i musiała poradzić sobie z nimi sama. Wcześniej pomagał jej Marcel, a przy Ignasiu nawet teściowa, a teraz, kiedy jej mąż w ciągu dnia dorabiał u Fiodorowa, cała czereda była na jej głowie. Czasami wpadała do niej Marianna, ale ona „śmierdziuchów” nigdy nie lubiła, więc wypijała szybko kawę i uciekała do siebie. Na szczęście niekiedy przychodził też do niej doktor Szczurek i zabawiał chłopców, ale nie mówiła o tych wizytach mężowi. Na pewno byłby zły, ale dla niej rozmowy z Pawłem stanowiły jedyną odskocznię od codziennej rutyny. Gdyby lepiej żyła z rodzicami albo teściową, nie czułaby się taka samotna, ale nie zamierzała pchać się tam, gdzie jej nie chcieli.

Kiedyś doktor Szczurek powiedział jej, że jest bardzo piękną kobietą. Już od dawna nie słyszała podobnego komplementu, zresztą sama wcale się nie uważała za urodziwą. Od tej jednak chwili zaczęła częściej przeglądać się w lustrze i codziennie starannie upinała włosy, uważała, by mieć na sobie czystą sukienkę, a nawet od czasu do czasu malowała usta amerykańską szminką, którą kupiła za niemałe pieniądze na placu Nankina.

Doktor Szczurek zauważał każdą zmianę w jej wyglądzie, jej mąż zaś, zajęty nowymi interesami, kompletnie nie zwracał na nią uwagi. Wiedziała, że bywał śmiertelnie zmęczony po pracy, zarówno tej w ciągu dnia, jak i nocnej, ale ona potrzebowała jego uwagi. Obawiała się, że Marcel, kiedy już się odkuje na ponie mieckich skarbach, znajdzie sobie młodą i ładną kochankę. Wciąż był przystojny i podobał się kobietom, a gdy będzie miał wypchany portfel, jeszcze bardziej wy piękniej w ich oczach.

Któregoś dnia nie wytrzymała i zapytała Marcela:

– Niczego nie zauważyłeś?

Mimo że głos jej drżał i brzmiała nieco desperacko, jej małżonek nieprzytomnie rozejrzał się po pokoju.

– Nowe firany powiesiłaś?

Jasne, patrzył na wnętrze, a nie na nią... Poczwała się urażona i przestała naciągać Marcela na komplementy. Za to czekała na każde miłe słowo kierowane do niej przez doktora Szczurka. Przystojny mężczyzna budził zainteresowanie mieszkanków kamienicy przy Stalina. Gdy tylko wracał z dyżuru, sąsiadki urządzały sobie pielgrzymki do jej domu. Niby cukru chciały trochę pożyczyć albo napić się kawy z Martą, ale wciąż filowały na doktorka. Nie chciała im przypominać, że nazywali ich kiedyś Ukraińcami, chociaż wcale nimi nie byli. Może i przesiedleńcy zza Buga lekko zaciągali, ale przecież to wcale nie świadczyło o przynależności do narodu ukraińskiego. Nie oburzałoby to ją zbyt mocno, gdyby nie to, że po wydarzeniach na Wołyniu i w Galicji Ukraińcy mieli wśród jej rodaków fatalną prasę.

Jakkolwiek sąsiadki starały się być taktowne i wpadały na krótko, tak Jadźka przyłaziła do niej codziennie i Marta się obawiała, że kobieta rychło zechce się do nich wprowadzić. Kaczkanówna desperacko poszukiwała męża, zwłaszcza gdy Boguś zaprzestał umizgów i unikał Jadźki jak diabeł święconej wody. Co gorsza, kiedy już przychodziła, nie gadała o niczym innym, jak o Szczurku. A że się jej dwa razy ukłonił, a to że drzwi wejściowe przytrzymał... Gdy jednak Marta przestawała słuchać i myślami błędziła zupełnie gdzie indziej, ta zaczynała zarzucać ją pytaniami.

– Jadźka, przecież ja nie wypytuję o jego przeszłość. Nie mam pojęcia, czy miał żonę albo kim są jego rodzice. Nawet nie wiem, skąd dokładnie przyjechał. Tylko tyle, że z centralnej Polski – odpowiadała znękanym głosem.

– Ostatnio zmieniłaś fryzurę, usta malujesz jak Marianna, pewno dla niego. I dlatego nic nie chcesz gadać, bo sama masz widoki na romans z nim. – Irytowała się za każdym razem, gdy Lemańska twierdziła, że nic o doktorze Szczurku nie wie.

– Mam męża i troje dzieci. Niekiedy zasypiam na siedząco przy radiu – westchnęła. – Nawet gdybym chciała, nie mam siły na romanse.

– Jak miałaś mojego ojca za męża, to puszczałaś się z Lemańskim, więc kto wie, co ci teraz po głowie chodzi – prychnęła.

– Jeśli będziesz gadała takie rzeczy, to za próg domu cię nie wpuszczę i tyle się na Szczurka napatrzysz – burczała pod nosem.

Owszem, starała się wyglądać ładnie i podobała się jej adoracja przystojnego doktora, ale nawet do głowy by jej nie przyszło, aby przysposobić go na swojego

kochanka. Kochała Marcela i nie zamierzała zamieniać go na żadnego innego mężczyznę. Może nastał dla nich trudny okres, ale przecież wciąż byli na dorobku i musiała się pogodzić z jego ciągłą nieobecnością.

Kawa wypijana w towarzystwie Pawła, rozmowy z nim czy pomoc, której jej udzielał, stanowiły miłą odmianę i pozwalały jej, by jako kobieta poczuła się bardziej pewna siebie i swoich atutów. Niestety, pewnego przedpołudnia niespodziewanie w mieszkaniu zjawił się Marcel. Szczurek godzinę wcześniej wrócił skonany z nocnego dyżuru, więc Marta przygotowała mu coś do zjedzenia i dzbanek herbaty. Siedzieli razem przy kuchennym stole, opowiadali sobie dowcipy, zaśmiewając się przy tym, gdy w drzwiach stanął Lemański.

Zmroził wzrokiem ich oboje, a potem poszedł do sypialni, trzaskając drzwiami tak głośno, że prawie wyleciały z futryny. Paweł chyba pojął, że widok, jaki zastał Marcel, niezbyt mu się spodobał, bo podniósł się z taboretu, podziękował za poczęstunek i zniknął za drzwiami swojego pokoju.

Marta zachodziła w głowę, dlaczego jej mążnek niespodziewanie wpadł do domu przed południem, cicho otworzył drzwi i jak szpieg przemknął do kuchni. Czyżby spodziewał się zastać swoją połowicę w dwuznacznej sytuacji?

Przypomniała sobie rozmowę z Pawłem sprzed kilku dni. Przyznała się, że pewnego wieczoru znalazła ulotkę antysowiecką pod jego drzwiami.

– To jakaś prowokacja, nic nie wiem o żadnych ulotkach – odparł wówczas z naciskiem, ale Marta zauważyła jego zmieszanie i była już niemal pewna, że zguba należała do doktora.

– Proszę się nie obawiać, nie jestem miłośniczką nowego porządku. Sowietci wywieźli moich rodziców do Kazachstanu, naprawdę nie mam ich za co lubić. – Nie chciała, żeby Paweł wziął ją za szpicla.

– A jednak przyjeżdża do ciebie żona sowieckiego pułkownika, w dodatku enkawudzisty – wytknął jej.

– Kto ci powiedział, kim jest Nadia? – zapytała z irytacją w głosie.

– Wiadomo, że zwykli ludzie nie rozbijają się samochodami, a reszty dowiedziałem się od panny Jadwigi. Podobno to właśnie ta kobieta spowodowała zatrzymanie Piskunowicza. – Szczurek nieco się jąkał, bo najwyraźniej wciąż nie dowierzał Marcie, że nie zamierza na niego donieść.

O mały włos nie udławiła się chlebem, bo akurat spożywali śniadanie. A zatem w taki sposób młoda Kaczkanówna postanowiła się pozbyć ewentualnej konkurencji. Lemańska jednak nie zamierzała rozmawiać z Pawłem o problemach byłej bratowej i powodach, dla których ta związała się z Fiodorowem.

– To bzdura, na Piskunowicza donieśli Kaźmierczakowie. Nie spodobało się im, że chłopina wychodził z domu o świcie, wracał doń o zmierzchu, a na dodatek przynosił ze sobą niemieckie książki i gazety. Z nikim się nie bratał, podobno przeszedł Kazachstan, ale oni już wymyślili dla niego historię. Sama paliłam w piecu szwabskimi książkami, więc wiem, ile warte są takie pomówienia – prychnęła. – A Nadia to bardzo skrzywdzona kobieta. Na Ukrainie cierpiała głód, a za Niemca siedziała na gestapo. Zresztą i Sowieci ją zamknęli na chwilę, bo miała nieszczęście być panią oficerową. Jadźka byle co zje i byle co gada.

– A to, że twój mąż został skazany za napad na bank i morderstwo, to też wymyśliły panny Jadzi? – zapytał bez cienia ironii.

– To długa historia, ale z grubsza prawdziwa – bąknęła, bo nie była w stanie okłamać tak bezczelnie doktora Szczurka. – Ale to dobry człowiek i kocham go bardzo.

Nie miała pojęcia, co sobie pomyślał w tym momencie Szczurek, ale było jej już wszystko jedno. Nie zamierzała wstydzić się swojego męża ani też wypierać się jego przeszłości. Oczywiście, że nie rozpowiadała na prawo i lewo o tej historii, ale Paweł był dla niej zbyt bliską osobą, by mogła udawać, że Marcel jest święty i nigdy nie popełniał błędów.

Przypominając sobie o długim języku pasierbicy, była niemal pewna, że i teraz Jadźka się wtrąciła i Bóg raczy wiedzieć, jakie historyjki sprzedała Marcelowi.

Weszła do sypialni. Na szczęście Marysia spała, chłopcy byli w szkole, więc miała trochę czasu, by się rozmówić z małżonkiem i wyjaśnić pewne kwestie raz na zawsze.

– Marcel, czasami robię mu śniadania. A jak dzieciaki niedomagają, Szczurek zawsze przychodzi z pomocą i złotówki za to wziąć nie chce, więc postanowiłam, że chociaż tak mu się odwdzięczę – zaczęła się tłumaczyć.

– Może jeszcze kieckę z tyj wdzięczności zdejmujesz? – warknął.

– Posłuchaj, mój mężu! – Zdenerwowała się. – Nie jestem jakąś latawicą, żebyś mnie o podobne rzeczy posądzał. Poza tym doktor mógłby mieć każdą pannę we

Wrocławiu, naprawdę myślisz, że poleciałby na starą babę z trójką dzieci?

– Ja widzę, jak on si na ciebi kikuji^[37]. – Marcel wciąż miał rozzłoszczoną minę.

– Ciekawe, jak to zauważyłeś, skoro ty nawet na mnie nie spojrzysz! A może lepiej byłoby, gdybyś nie filował na doktorka, ale na mnie?! Choćbym garnek na łeb włożyła albo oheblowała się na tyso i tak niczego nie zauważysz, ale że Paweł od czasu do czasu popatrzy na swoją współlokatorkę, to w mig robisz się czujny. Mammy troje dzieci i nie jestem tak ładna jak kiedyś, bo jak wszyscy i ja się starzeję, ale wciąż jestem kobietą i chciałabym, żeby mój mąż zobaczył we mnie kogoś więcej aniżeli matkę jego dzieci! – wyrzuciła z siebie.

– Jakbym tak myślał, tobym ni zirkał, czy jaki chłop ni ma zakus na ciebie! – warknął. – Niby draj dzieciaków masz, ale jeszcze jesteś szac^[38] kobietka. Nijedyn chciałby cię otumanić i zabrać dla siebie.

– Żartujesz, prawda? – zapytała z uśmiechem, bo nawet się jej przyjemnie zrobiło po słowach Marcela.

– Ładne mi tyce.. Spod Legnicy zaiwaniałem, coby sprawdzić, czy z doktorkiem nie figlujesz.

– Jadźka cię napuściła?

– A kto inny? Ona za tym doktorkiem lata, jakby jej kto pieprzu do dupy nasy-pał.

– Tym bardziej nie powinieneś słucać tego, co gada. Z Nadii zrobiła donosicielkę i sowiecką wtyczkę. Czekam tylko, co nagada o Mariannie albo córce naszej hausmajsterki, bo dziewczucha ładna – odparła.

– Ale jak was przy tym śniadanku nakryłem, to nawet si nie krył ze swoimi amora-mi, konował jedyn. – Marcel nie dawał się udobruchać.

– Pewnie, w końcu zrobiłam mu śniadanie. – Wzruszyła ramionami.

– Teraz to tak będzji: jak bajbusy katar złapią, poślę po teścia, choć on wściekły na ciebie jak skiła^[39]. I żadnych śniadanek robić temu naszemu doktorkowi ni będzjisz. A jak zobaczę, to mu zamaluji w mazak tak, ży ruski rok popamięta.

– A ja Jadźce, bo nawet powiedziała Szczurkowi, żeś przed wojną w kwaczu^[40] siedział za morderstwo.

– A to rymunda... Ale napuszczając mnie, cobym przyjechał niespodziewanie do chałupy i nakrył cię na harcach z chabalem^[41], to pierwsza. Już si jej od staropa-

nieństwa hłuzdy^[42] poprzestawiały na amen. Idę do niej...

– Zostań, Marcel. Ja z nią porozmawiam, miarka się przebrała.

– Tak ci tych śniadanek szkoda? – zapytał złośliwie.

– Nie, ciebie mi szkoda, boś musiał spod Legnicy jechać na próżno – odcięła się.

Musiała rozmówić się z Jadźką, bo ta gotowa zepsuć jej reputację nie tylko wśród rodziny, ale także innych mieszkańców kamienicy. Jeśli podobne rzeczy opowiadała sąsiadom, kto wie, co o niej pomyśleli. Nie dość, że latawica, to jeszcze taka, co się z nowym reżimem układa, a na dokładkę ma męża, który tylko dzięki wybuchowi wojny z kryminału wyszedł.

Wpadła do mieszkania rodziców jak burza i nie mówiąc ani słowa, udała się do pokoju Jadźki i Felicji. Młoda Kaczkanówna dostała niedawno pracę kelnerki, bo z tej pierwszej ją pogonili, i chodziła do roboty na południową zmianę, więc Marta była przekonana, że zastanie ją w domu.

– Ty wywłoko cholerna! – krzyknęła od progu, nie przejmując się ani trochę obecnością Felicji czy tym, że rodzice mogą ją usłyszeć. – Jeszcze raz głupot Szczurkowi nagadasz, czy to o mnie, czy o Marcelu, czy o kimkolwiek z moich znajomych, to ci wyrwę wszystkie kłaki z tego durnego łba! Ty cholerny koczkodanie, nigdy za mąż nie pójdziesz, bo masz niewyparzony pysk i żałuję, żem cię nie pogoniła, jak był na to czas!

Nie panowała nad sobą i nie pamiętała, kiedy ostatni raz wywołała taką awanturę. Jej krzyki zwabiły do pokoju Kaczkanowej matkę i ojca, którzy ze zgrozą słuchali wyzwisk z ust swojej córki. Ojciec nie dociekał jednak, cóż takiego zrobiła Jadźka, tylko odrzekł z niesmakiem:

– Zrobiłaś się strasznie ordynarna. Zachowujesz się jak prostytutka. To zapewne twój mąż nauczył cię tego knajackiego języka.

– I tylko to cię interesuje, tato? Mój język? Marcelek nauczył mnie także, co oznacza lojalność i wsparcie rodziny. Szkoda, że od was tego nie otrzymałam. – Marta zdenerwowała się na dobre.

Jadźka roznosiła ploty po całej kamienicy, szkalowała Nadie, zapewne z racji jej nietuzinkowej urody, a między nią i Marcela wbijała klin, tymczasem dla starych Osadkowskich najważniejsze były słowa, które ich córka skierowała do tej megie-ry. Jakby to, co widać i słyhać, było najistotniejsze, reszta zaś nie liczyła się wcale.

Wyszła od rodziców i pomyślała, że cała historia miała swoje pozytywne zakończenie, bo nagle Marcel znowu zaczął ją zauważać. Był zazdrosny, a to oznaczało, że jego miłość wcale nie wygasła, jedynie tliła się niemrawo, zaś Jadźka podłożyła nieco rozpałki. Poprawiła nową fryzurę, wypięła pierś i pomyślała, że nawet jeśli zajdzie w kolejną ciążę, nic wielkiego się nie stanie. Marcel odzyskał dawny wigor, przynosił do domu coraz więcej pieniędzy, jedzenia i ładnych bibelotów, więc zapewne dałby radę wykarmić kolejne dziecko.

Do końca dnia, kiedy to Lemański udał się do pracy w stróżówce, odgrazając się, że lada moment porzuci to gówniane zajęcie, ocierała się o niego, dotykała niby niechcący jego dłoni, a gdy zerkał na nią, trzepotała rzęsami jak podłotek. W końcu zapytał:

– A tobie co, Martusiu? Co si tak łasisz jak bezpańska sobaka?

– Uwodzę cię. – Uśmiechnęła się do niego.

– E, to ni możesz powiedzieć, żeś si za mną stęskniła, inu przewracasz oczami jak Marianka?

– A boś taki był zły na mnie... Za tego Szczurka.

– Niech on mi raz jeszcze... – Marcel uniósł pięść i zaczął się odgrazać.

– Nie będę mu robiła śniadań, obiecuję – powiedziała przymilnie.

– Ja tam nie wim, ale miarkuję, że ty coś ode mnie chcysz... – Wciąż był podejrzliwy, bo żona już od dawna się tak nie zachowywała.

– Chcę. Ciebie. A ty taki durnowaty i niczego nie kapujesz. – Zdenerwowała się w końcu.

– To szkoda, bo kieckę mam ładniusią dla ciebie.

Od razu się rozpromieniła, a potem pobiegła do korytarza i chwyciła teczkę Marcela, w której nosił różne przedziwne rzeczy, nie wyłączając saperki i latarki. Otworzyła ją i wyciągnęła elegancką suknię, prawie taką samą, jaką miała na sobie niedawno Nadia. Wróciła do pokoju i powiedziała:

– Marcelek, jesteś najlepszym mężem na świecie. Moje serce wcale mnie nie oszukało, gdy się w tobie zakochałam – odparła wzruszona.

– Zmiarkowałem, ży jak mi uciekniesz do doktora, to sam jak palec zostanę – powiedział ze łzami w oczach.

Miała ochotę znowu pójść na górę i tym razem podziękować Jadźce, ale nie zrobiła tego. Ta dziewczucha miała jak najgorsze intencje i tylko przez przypadek przysłużyła się jej pożyciu małżeńskiemu.

16.



Okolice Trzebnicy, 1947

Mimo że Brigitte Mause nie przypominała samej siebie z czasów, gdy robiono jej zdjęcia, które znalazł w gruzowisku, czuł z nią dziwną więź. Oboje byli nieszczęśliwi. Ona z powodu niewłaściwej miłości do polskiego oficera, a on miał problemy z Emilią. Owszem, ostatnio przestała w ogóle poruszać temat Nadii i stała się dla niego bardzo miła, ale on czuł się dziwnie. Jakby nagle ktoś podmienił mu żonę. Przez kilka lat wojny żyli właściwie osobno, łapiąc jedynie chwile, teraz mieszkali razem i zaczęli lepiej się poznawać. A im więcej czasu mijało, tym większe czuł rozczarowanie.

Emilia była zaborcza, zazdrosna i miała ochotę kontrolować każdy jego krok. Najpierw próbowała wymuszać na nim pewne rzeczy, wszczynając kłótnie, teraz dla odmiany zapragnęła zagłaskać go na śmierć. Gdy tylko się zamyślał, pytała, co mu chodzi po głowie, kiedy zaś nie tryskał humorem, stawiała niemal na głowie, by zobaczyć na jego twarzy uśmiech. Nie mogła zrozumieć, iż nie ma powodów, żeby bez przerwy suszyć zęby. Wciąż mieszkali z rodzicami, Jadźką i starą Kaczkanową, a on miał kiepsko płatną i ciężką pracę. Nadal nie mógł się zdecydować, czy zapisać się do PPR-u i nieco lepiej ustawić w nowej Polsce, czy trzymać się od tych szubrawców z daleka. Najbardziej obawiał się reakcji ojca, który wciąż żył zwycięstwem Polaków nad bolszewikami z roku dwudziestego. Dla doktora Osadkowskiego każdy, kto bratał się z komunistami, był zdrajcą.

Któregoś razu wydebił od majstra pół dnia wolnego i pojechał do Trzebnicy. Potem zaś piechotą udał się do domu Brigitte. Pomyślał, że jeśli kobieta spolszczy swoje imię i nazwisko, na co naciskała władza, i przeniesie się do Wrocławia, będzie jej łatwiej. Język polski znała, więc mogła poszukać sobie jakiejś pracy. I mimo wszystko w mieście nie prześladowano tak bardzo autochtonów, jak na wsiach.

Kto wie, może nawet Ilse przyjąłaby ją pod swój dach, bo wciąż mieszkała w dwupokojowym mieszkaniu jedynie z małą córeczką.

Tak jak poprzednio, przywitało go szczekanie psa. Zauważył, że pozostał tylko jeden, ale i tak nie odważył się wejść do domu, dopóki w drzwiach nie pojawiła się Brigitte.

– To znowu pan? – zapytała zdziwiona.

– A gdzie drugi pies? Nie wyskoczy nagle zza obórki?

– Ktoś go otruł. Proszę wejść – odparła beznamiętnie.

Czuł się nieswojo, ponieważ nie miał żadnego powodu, by odwiedzać obcą kobietę, w dodatku Niemkę. Zastanawiał się, co odpowie, jeśli Brigitte zapyta, czemu zawdzięcza jego wizytę. Zdjął beret i zaczął miętosić go w dłoniach, zawstydzony i niepewny.

– Dziękuję za pomoc – powiedziała nagle panna Mause. – Wiem, że ten potężny Ukrainiec przywozi mi paczki na pana prośbę.

– Wygadał się. – Andrzej uśmiechnął się niepewnie.

– Nie, ale domyśliłam się, w końcu sam pan to zaproponował, gdy był u mnie pierwszy raz. Widziałam przerażenie w pana oczach na widok mojego domu i warunków, w których mieszkam. Po prostu jest pan dobrym człowiekiem.

– I Polakiem – dodał. Zrobił to celowo, bo chciał, żeby Brigitte się przed nim otworzyła.

– Proszę pana, to bez znaczenia. Raz jeszcze dziękuję. – Uśmiechnęła się do niego. Chyba po raz pierwszy od chwili, gdy się poznali.

– Jak się pani domyśla, dla mnie narodowość również nie ma znaczenia, mimo że od Niemców zaznałem wielu krzywd.

– Ja też. – Uśmiechnęła się gorzko.

– Pani? – Udawał zdziwionego, bo zdawał sobie sprawę, że romans Brigitte musiał nie tylko zdenerwować jej wielbiciela, ale prawdopodobnie także rodziców i krewnych.

– Tak, nawet spędziłam kilka dni na gestapo. Helmuth, ten od listów, poręczył za mnie i wyszłam. Powiem uczciwie, wcale go o to nie prosiłam. Zorke najpierw był zwykłym policjantem z wydziału kryminalnego, potem przeszedł do gestapo.

Kto wie, może uratował mi życie... Kochał mnie i nienawidził. To chyba najbardziej koszmarna sytuacja.

– Za co pani trafiła na gestapo? – zainteresował się Andrzej. Naprawdę z każdą chwilą intrygowała go coraz bardziej.

– Mój ojciec był dyplomata. Po dojściu Hitlera do władzy trafił na placówkę do Warszawy. Tam nauczyłam się polskiego. Niestety, zakochałam się w pana rodaku. Był oficerem i szalał za mną. Do licha, całe lata mieszkałam w Warszawie, a moi rodzice byli szczerze zdziwieni, że zauroczył mnie Polak. Oczywiście nie było mowy, żebyśmy się pobrali. Kiedy było już wiadomo, że wybuchnie wojna, przenieśliśmy się z powrotem do Breslau. Sądziłam, że rodzice mnie zrozumieją, zwłaszcza ojciec, bo sam popełnił mezalians. Moja mama pochodziła z niezbyt zaможnej rodziny, sam pan widzi, że nie jest to pałac, a jednak miłości do Polaka wybaczyć mi nie mógł. Rodzina siłą chciała mnie wydać za Helmutha i prawie się im to udało... – Uśmiechnęła się smutno.

– Ale w końcu nie wyszła pani za niego – bardziej stwierdził, niż zapytał.

– Nie, bo zjawił się mój polski kochanek. Sam się zgłosił na roboty do Breslau, gdy tylko zwolniono go z oflagu. Wielu tak robiło. Najwięcej ludzi przyjechało z Wielkopolski, bo uznali, że lepiej tyrać w Breslau, niż trafić do obozów.

– Odważny człowiek – westchnął Andrzej.

Reakcja Brigitte go zaskoczyła.

– Nie był odważny, ale głupi! – syknęła.

– Dlaczego? – Osadkowski był szczerze zdziwiony.

– Panie Andrzeju, Breslau było niemieckie. W całym mieście było może ze dwa, trzy tysiące Polaków i zachciało się im konspiracji. Tylko co mogli zrobić? Kolportować ulotki czy podlać dąb Hitlera kwasem siarkowym? Przecież to były jakieś wygłupy. Nawet ta nazwa, którą sobie wymyślili, „Olimp”, nie brzmiała poważnie. Może przekazali kilka cennych informacji, ale sami się prosili o kłopoty. W końcu ktoś ich sprzedał, bo przyjmowali każdego, kto mówił po polsku. Jeden człowiek pociągnął za sobą wszystkich. Mnie też aresztowali, bo akurat się znalazłam z narzeczonym w ich konspiracyjnym mieszkaniu. Dzięki interwencji Helmutha wyszłam na wolność...

– Rzeczywiście, niewiele miało to wspólnego z prawdziwą siatką konspiracyjną. W naszej był taki system, że jeden o drugim niewiele wiedział. Był, oczywiście,

łącznik z wierchuszką, ale w razie wpadki łańcuszek w pewnym momencie się urywał. Dzięki temu nie było możliwości, by nagle wpadli wszyscy.

– Widzę, że zna się pan na rzeczy, więc nie muszę szczegółowo wyjaśniać pewnych spraw – odparła i popatrzyła na niego z podziwem.

– A co się stało z pani wybrankiem? – zapytał, bo nie chciał już się wymądrzać na temat struktur organizacyjnych w konspiracji. W końcu pewnego dnia sam wpadł.

– Miał na imię Robert. I nie przeżył przesłuchań. A wie pan, kto go zakatował? Helmuth Zorke. Od tamtej chwili nie chciałam go znać, bo Robert nie zasłużył na śmierć. Mówię panu, to, co robiła ta pożałuj Boże komórka konspiracyjna, nie miało nic wspólnego z prawdziwą dywersją. Pozostałe trzydzieści osób wysłano do obozów koncentracyjnych. Mój Robert nie przeżył... Teraz już pan zna moją historię. Pochowałam miłość na cmentarzu katolickim niedaleko stąd. I prawie codziennie go odwiedzam, bo któż inny będzie to robił, jeśli zapewne jego rodzice nie mają pojęcia, co się stało z ich synem. Oni także nigdy mnie nie zaakceptowali, więc nie zamierzam ich szukać.

– Nie może pani przez cały czas żyć przeszłością – powiedział cicho.

– Powiem panu coś jeszcze, żeby pan zrozumiał, dlaczego nie jestem w stanie dojść do siebie po śmierci ukochanego. Helmuth powiedział, że wyciągnie Roberta z więzienia, jeśli za niego wyjdę. Nie zgodziłam się, a teraz żyję w poczuciu winy. I dlatego rozpamiętuję przeszłość, a grób Roberta przypomina mi o moim grzechu. Mogłam go uratować, ale tego nie zrobiłam. Wierzyłam, że mimo mojej odmowy Helmuth nie posunie się do ostateczności, ale pomyliłam się. Mawia się, że czas leczy rany, ale moich nie jest w stanie, bo każdego dnia je rozdrapuję na nowo. Mam poczucie, jakbym to ja go zabiła, a nie Zorke.

Przełknął ślinę. Jakiś czas temu Nadia stanęła przed podobnym dylematem, ale ona wybrała inaczej i wyszła za Maksima Fiodorowa. A co by się stało, gdyby odesłała go do diabła? Wissarion może uciekłby przed rozbuchanymi oddziałami NKWD, szukającymi żołnierzy z UPA, ale Andrzej siedział w kijowskim więzieniu i wystarczyło jedno słowo, by skazano go na śmierć. A może w ogóle nikt nie zawracałby sobie głowy wyrokami, tylko zakatowaliby go w celi, jak niegdyś Helmuth narzeczonego Brigitte.

Dotknął jej szorstkiej dłoni. Jego także pokryta była odciskami od pracy na budowie.

– Przykro mi, panno Brigitte. Uważam jednak, że to nie jest pani wina. Nie mam pojęcia, co tacy mężczyźni sobie myślą. Że zmuszona do małżeństwa kobieta w końcu ich pokocha? To chore...

– Myślę, że Helmuth nie chciał ze mną być, ale mnie mieć. Jak ulubiony fotel czy komodę. Nie interesowały go moje uczucia, nawet te do niego. – W głosie kobiety pobrzmiwała gorycz.

– Tym bardziej nie powinna się pani obwiniać. Myślę, że Zorke i tak w końcu by go zabił, niekoniecznie własnymi rękami – szepnął.

– Nie wiem, kim pan jest i dlaczego tu ze mną siedzi. Nie mam nawet pojęcia, dlaczego panu to wszystko opowiadam... Samotność to okropny stan. I proszę mi mówić po imieniu, bo czuję się, jakbym rozmawiała z jakimś urzędnikiem.

– Niechże więc i pani zwraca się do mnie po imieniu.

– Od razu czuję się mniej samotna. – Kolejny raz zobaczył na jej twarzy uśmiech.

– Brigitte, zostaw ten dom i ten splachetek ziemi. Wróć do Wrocławia. Tam już prawie nie ma twoich rodaków, no może zostało ich ze trzy tysiące. Mówisz dobrze po polsku, zmienisz swoje dane, bo teraz Niemcom spolszczają nazwiska od ręki, i zaczniesz normalnie żyć. Nie masz pojęcia o uprawie ziemi czy hodowli zwierząt. Marniejesz tutaj. Właściwie to wegetacja, bo sam wiem, co można uzyskać na kartkowe przydziały, a zapomogi dla tych, co im jeszcze ziemia nie obrodziła, są bardzo niskie. Nie najmiesz parobków, bo czasy się zmieniły, a i ta chałupa wymaga solidnego remontu. Pomogę ci...

– Dlaczego? – zapytała cicho.

Uśmiechnął się do niej i odparł bezradnie:

– Nie wiem.

– Masz rodzinę?

– Tak. Żonę, siostrę i rodziców. Wszyscy mieszkamy w jednej kamienicy.

– Gdybyś był sam, pomyślałabym, że jesteś równie samotny co ja, ale teraz już nie mam pomysłu – westchnęła.

– Niekiedy można czuć samotność, nawet jeśli wokół jest pełno ludzi. Wiesz, ja tam, w środku... – Andrzej położył dłoń na swojej piersi. – ...czuję się cholernie samotny, bo mam wrażenie, że bliscy mnie nie rozumieją. A może ja nie chcę zrozumieć ich? Nie wiem, ale odnoszę wrażenie, że wciąż muszę udawać kogoś innego

niż jestem faktycznie. Nikt nie potrafi pojąć, że ludzie się zmieniają, ja także. Na dłuższą metę to jest nie do zniesienia.

– Człowiek to dziwna istota. Kiedy się dowiedziałam o śmierci Roberta, sądziłam, że umrę z żalu i tęsknoty. Ale niestety żyję i codziennie wypatruję kostuchy, bo sama nie mam odwagi, by targnąć się na własne życie... Kiedy Breslau zamieniono w twierdzę, każdy chciał stamtąd uciec. A ja zostałam. Sądziłam, że zginę, ale los ze mnie zażartował. Miejsce, w którym mieszkałam kiedyś, przestało istnieć, więc przyjechałam tutaj. A wyszłam z domu tylko na chwilę...

– Nie myśl o tym, jesteś jeszcze młoda i całe życie przed tobą. Jeszcze możesz być szczęśliwa, ale musisz trochę pomóc swojemu szczęściu – odparł.

– A ty? – zadrwiła.

– Pomagam szczęściu. Dlatego tu jestem.

Brigitte milczała. Patrzyła jedynie na niego przenikliwie swoimi smutnymi oczami. Może zastanowiły ją słowa Andrzeja, a może rozważała, czy nie przenieść się do Wrocławia.

Nadchodziła jesień. Ludzie kupowali węgiel na zimę, jeśli trafiła się im taka okazja, albo gromadzili drewno. A Brigitte nie miała niczego. Nie wiedział, jak przetrwała poprzednie zimy. Może celowo nie starała się robić zapasów, licząc, że wreszcie zakończy swój żywot i na zawsze połączy się z ukochanym Robertem?

– Jeśli chcesz tu zostać, musimy zdobyć dla ciebie trochę opału – oznajmił. – Następnym razem postaram się przyjechać na dłużej i coś wymyślimy. Inaczej zamrznieš. A i jakieś jedzenie trzeba zmagazynować, bo jak śnieg zasypie drogi, mój przyjaciel nie dotrze do ciebie z pomocą. Z samymi kartkowymi przydziałami będzie ci ciężko przetrwać.

– Masz broń? – zapytała ni z gruszki, ni z pietruszki.

– Ze sobą? Nie mam, ale w domu owszem. We Wrocławiu jest teraz tylu rabusiów i bandziorów, że trzeba być przygotowanym na najgorsze. Gdy była amnestia, jeden pistolet oddałem, ale drugi sobie zostawiłem.

– Przywieziesz go następnym razem?

– Po co? Ktoś ci grozi? Boisz się kogoś? – dopytywał zatrwożony.

– Nie, nikogo się już nie boję. Po prostu poproszę cię, żebyś mnie zastrzelił. – Powiedziała to zupełnie poważnie. – Mnie nie wystarczy odwagi.

– Brigitte... – jęknął.

– Andrzej, nikt nie będzie za mną płakał, a ja się uwolnię. Moje obecne życie to więzienie, a ja już nie chcę w nim siedzieć – szepnęła.

– Ja będę płakał. To ci nie wystarczy? – odrzekł.

Przygryzła wargi i spojrzała na niego.

– Idź już, zmierzcha, a do Trzebnicy jest parę kilometrów...

– A obiecasz, że nie zrobisz niczego głupiego?

– Powiedziałam ci, jestem cholernym tchórzem, dlatego chciałam, żebyś ty pozabawił mnie życia, jeśli choć odrobinę mnie polubiłeś.

– Nigdy więcej mnie o to nie proś! – Wstał z drewnianej ławy, założył beret i nawet nie zważając na ujadającego psa, wyszedł na polną drogę wiodącą do Trzebnicy.

Na zewnątrz poczuł przenikliwy chłód. Postawił kołnierz kurtki i ruszył przed siebie. Wściekły na siebie i na Brigitte. Tak bardzo chciał jej pomóc, a ona wciąż gadała o śmierci. I jeszcze poprosiła go o coś takiego.

– Andrzej! – Usłyszał za plecami jej głos.

Zatrzymał się i odwrócił. Podbiegła do niego i powiedziała cicho:

– Przepraszam... I przyrzekam, że nigdy więcej nie usłyszysz ode mnie czegoś podobnego. Jeśli jest, jak powiedziałeś, i płakałbyś za mną, chcę spróbować zacząć żyć od nowa.

Nie miał pojęcia, dlaczego to zrobił, ale przytulił mocno Brigitte. Potrzebował tego. Ona chyba również, bo poczuł, że drżała, a po chwili usłyszał jej szloch.

17.



Wrocław, 1947

Zanim Wissarion wszedł do domu, który otrzymali po przyjeździe na Ziemię Odzyskane, przez chwilę stał nieruchomo na posesji i wgapiał się tępo w drzwi budynku. Tak jakby chciał odwlec moment, kiedy znowu zobaczy Stiepana. Malutkiego braciszka, którego zabrał ze sobą do Polski. Jedyne żywego członka rodziny Zinowjewów z Nikołajewki. Silnego dzieciaka, któremu udało się wyjść cało z wielkiego głodu, który zafundował Ukraińcom Stalin. Wissarion nie mógł pojąć, dlaczego w pewnym momencie Stiepan zwrócił się przeciwko Polakom. Rozumiał, że nienawidził bolszewików, tak samo jak on, jednak nie potrafił pojąć niechęci brata do ludzi, którzy w najtrudniejszym momencie ich życia wyciągnęli do nich pomocną dłoń. Julianna Walewska nie była obcą osobą, ale bratową Stiepana, a jej ojciec niegdyś dał im pracę w majątku i dach nad głową.

Wisza wyrzucał sobie, że nie zajął się młodszym bratem należycie i przegapił moment, w którym ze słodkiego dzieciaka wyrósł brutalny potwór. Pozwolił, by wychowali go Zinowjewowie z Horałki, a dla nich istniała tylko jedna opcja dla utworzenia własnego państwa – wybicie w pień wszystkich Polaków zamieszkujących Ukrainę Zachodnią.

Przytroczonej łańcuchem do budy kundel zaczął ujadać, ale nikt nie pojawił się w progu. Westchnął i wszedł po kilku schodkach na ganek, a potem otworzył drzwi do domu. Udał się do kuchni, ale nie zastał w niej Stiepana, tylko jakąś młodą dziewczynę, trzymającą niewielką siekierkę.

– Niczego tu nie znajdziesz, wynocha! – powiedziała ostro dziewczyna. – A jak nie to, ci łeb odrąbię.

– Jestem Wiktor, brat Dimy – odparł nieco zaskoczony słowami gospodyni. – I to jest także mój dom.

Miała nie więcej niż dziewiętnaście lat i była smukłą błękitnooką blondynką. Odłożyła siekierkę i powiedziała z ulgą w głosie:

– Przepraszam, myślałam, że to jakiś szabrownik. A Dimy nie ma.

– A kiedy wróci? – zagadnął, bo nie miał zbyt wiele czasu.

– Pod wieczór – odparła.

A zatem będzie musiał przenocować u brata, co nie bardzo mu się uśmiechało. To nie miała być towarzyska wizyta, chciał mu zadać kilka pytań, więc musiał na niego poczekać. Potem zaś będzie zbyt późno, by wrócić do Wrocławia.

Dziewczyna musiała być kimś bardzo bliskim dla jego brata, jeśli krzątała się po ich domu jak po własnym.

– A ty kim jesteś? – zapytał, siadając na ławie przy piecu.

– Zdejmij kozuch, w chałupie mamy ciepło. Mam na imię Klarysa.

– Jesteś Ukrainką? – zagadnął. Znajoma Stiepana świetnie mówiła po polsku, ale wielu Ukraińców znało ten język.

– Nie, jestem Polką z Poznania, ale moi rodzice mieli fantazję i dali mi dziwne imię.

„Cóż za postęć” – pomyślał z przekąsem Wissarion, bo jeszcze kilka lat wcześniej jego brat pierwiej zostałby mnichem, aniżeli związał się z Polką.

– To ciekawe... – mruknął pod nosem.

– Nie podoba ci się, że jestem Polką? – zapytała z wyrzutem.

Wzruszył ramionami, mimo że miał ochotę powiedzieć Klarysie, iż zawsze stanowiło to problem dla jego brata, a nie dla niego.

– Zrobię ci coś do jedzenia i dam ciepłego mleka – zaproponowała.

– Mieszkasz tu? Z Dimą?

– Tak, ale na razie nie chcemy brać ślubu – oznajmiła.

Znowu cisnęły mu się na usta jakieś złośliwości. Był przekonany, że Klarysa była potrzebna Stiepanowi do prowadzenia domu, a nie do ożenku.

– Rozumiem – bąknął.

– Posłuchaj, Wiktorze... Stiepan opowiedział mi wszystko o swojej przeszłości, ale ja i tak go kocham, i zawsze będę stawała za nim murem. Wierzę również, że i ty pójdziesz po rozum do głowy i pojednasz się z bratem. Dima bardzo przeżywa, że oddaliliście się od siebie.

Nie miał pojęcia, co Klarysa rozumiała pod pojęciem „wszystko” i czy to, co jej naopowiadał Stiepan, było zgodne ze stanem faktycznym. Nie sądził, by wyznał dziewczynie całą prawdę. Jego brat nie należał do ludzi wylewnych, zresztą czym miałby się chwalić. Liczbą zamordowanych Polaków, a może tym, jak rozgniół bucioremami noworodka?

– A czy wiesz, dlaczego relacje między nami są nie najlepsze? – zapytał zimno.

– Wiem, podobno masz do niego żal, że przez przypadek zabił ci żonę. Ale przecież była wojna...

Uśmiechnął się drwiąco.

– Przez przypadek to można kurę rozjechać rowerem – burknął pod nosem. – Klaryso, dziwię się, że podchodzisz do tej zbrodni z taką lekkością.

– To proste, kocham go. Bez względu na to, co zrobił. Choćby wymordował pół świata i tak będę go kochała – powiedziała z naciskiem.

Nie chciał jej mówić, że w każdej chwili może jej siekierą odrąbać głowę, bo dla Stiepana osoby innych narodowości nie były ludźmi. Odczłowieczał ofiary, by znaleźć usprawiedliwienie dla swoich czynów.

– Ale zamierzacie się kiedyś pobrać? – zapytał ironicznie.

– Tak, gdy już stąd uciekniemy.

– A macie na to widoki? – zainteresował się, bo właśnie w tym celu przyjechał do brata.

– Dima za wszelką cenę chce się dostać do Monachium, nie wiem dlaczego, ale jeśli tak wybrał, pojedę razem z nim. Jest na tyle zdeterminowany, że na pewno coś wymyśli. Nie powiem ci niczego więcej, bo nie znam szczegółów.

„A zatem Klarysa głównie wiedziała, jeśli nie potrafiła nawet powiedzieć, dlaczego Stiepana ciągnie do Monachium” – pomyślał z przekąsem. To jasne, że chciał być tam, gdzie Bandera.

– Nie będzie ci żal porzucić ojczystego kraju? – Wissarion nie mógł wyzbyć się drwiącego tonu. Klarysa wydawała się tak zakochana, że nie widziała żadnych wad w swoim wybranku.

– Dla mnie najważniejszy jest Dima. Pójdę z nim na koniec świata.

– O ile zechce cię ze sobą zabrać. – Wisza nie wytrzymał, bo naiwność dziewczyny chyba nie znała granic.

Popatrzyła na niego z wyrzutem, a jej błękitne oczy zamieniły się w dwie tafle lodu.

– Dlaczego w to wątpisz? On wie, że zrobię dla niego wszystko.

– A czy on zrobi wszystko dla ciebie?

– Jestem o tym przekonana – wysyczała.

Zostawił ją w spokoju. Nawet żał mu się zrobiło tej dziewczyny, ponieważ nie za bardzo wierzył w cudowną przemianę brata. Zapewne gdy już Klarysa przestanie być mu potrzebna, porzuci ją jak starą, zużytą zabawkę.

Niewiele rozmawiali, bo dziewczyna była chyba nieco urażona przytykami Wisariona. Trochę się męczył w jej towarzystwie i z ulgą powitał brata, gdy ten w końcu wrócił. Klarysa od razu się rozpromieniła i nałożyła na miskę okazałą kopę ziemniaków z okrasą. Tak jak podejrzewał, Stiepan traktował ją bardziej jak gosposię aniżeli narzeczoną.

– Do kurwy *matieri*, dlaczego te kartofle są prawie zimne? – warknął.

– Miałeś wrócić wcześniej, wystygły – wydukała przerażona ostrym tonem swojego pana i władcy.

– To trzeba było je ugotować, gdy wrócę. Nie zawsze mogę być na czas. Sądzisz, że mam limuzynę z kierowcą na każde zawołanie?

– Przepraszam, Dima. Następnym razem poczekam na twój powrót. – Na Klarysie opryskliwy ton młodego Zinowjewa nie robił chyba wrażenia, bo wciąż była potulna jak owieczka.

– Podaj butelkę, napijemy się z bratem. I przygotuj coś na ząb. A potem zostaw nas samym – rozkazał Stiepan.

Posłuszna Klarysa się uśmiechnęła i bez słowa wyciągnęła z białego kredensu butelkę bimbru, potem zaś ukroiła kilka grubych kromek chleba, kawałek słoniny i podała kiszzone ogórki. Kiedy zaś zrobiła wszystko, czego życzył sobie Stiepan, bez słowa wyszła do drugiej izby, opatuliwszy się grubą dzierganą chustą. Zapewne w pokoju było chłodno, bo przepalano tam jedynie od czasu do czasu, by oszczędzić na węglu i drewnie, zaś całe domowe życie koncentrowało się w kuchni. Wi-sza nie żałował jednak Klarysy i wcale nie dlatego, że była Polką, ale doszedł do wniosku, iż sama jest sobie winna. Stiepan zrobił z niej swój podnózek, a ona i tak była w niego ślepo zapatrzona.

– Ładna – powiedział Wissarion, gdy za dziewczyną zamknęły się drzwi. – I jest Polką.

– Jeśli brakuje ci kobiety, mogę ci ją pożyczyć. Poużywasz sobie i mi oddasz. Przecież ktoś musi mi gotować i sprzątać, a w nocy mnie ogrzać, bo nie zawsze pierzyna wystarcza. – Zaśmiał się paskudnie.

– Ona chyba jest w tobie bardzo zakochana – powiedział niepewnie Wisza.

Stiepan wzruszył ramionami.

– To jej zmartwienie. I tak nigdy nie ożeniłbym się z Polką. W okolicy jest, niestety, niewielu Ukraińców. Ta swołocz już zadbała o to, żeby nas rozproszyć po całej Polsce. Boją się, skurczybyki, i pilnują potencjalnych wrogów jak oka w głowie. Co rusz kręcą się tu tajniacy, rozpytują we wsi, czy nie robimy jakichś zebrań albo nie gromadzimy się w jednym miejscu – odparł obojętnym tonem Stiepan.

Wissarion się zdenerwował, mimo że nie zamierzał się wtrącać w życie brata.

– Dałbyś już spokój. Polka, Ukrainka, Niemka, co to za różnica? Najważniejsze, żeby była dla ciebie dobra i podobała ci się. Twoje durne przesady są naprawdę wkurzające.

– Więc pytam: chcesz ją? To bierz, poczekam w stodole, aż skończysz, żebyś się nie krępował, bo Klarysa lubi głośno jęczeć – wycedził Stiepan.

– Jesteś obrzydliwy. Ona świata poza tobą nie widzi, a ty chcesz z niej zrobić dziwkę.

– Bo nią jest, przecież to Polka.

Rozmowa ze Stiepanem przypominała taką, którą prowadzi się z pięciolatkami. Wissarion postanowił zostawić tę sprawę i przeszedł do rzeczy.

– Posłuchaj, przyjechałem do ciebie, bo jestem przekonany, że odnalazłeś kogoś z naszych.

– I nawet nie zgadniesz kogo.

– Pewnie nie zgadnę...

– Wasyla. Załatwił sobie lewe kwity i uciekł spod topora tutaj. Mieszka we Wrocławiu i nazywa się teraz Dmytro Tymczenko. I też chce prysnąć do Monachium – powiedział dumnie Stiepan.

– Ja również chcę stąd uciec.

– Przychodź więc na nasze tajne spotkania we Wrocławiu. Omawiamy tam plany przedostania się na Zachód, tylko musimy poczekać, aż nazbieramy trochę pieniędzy. Takie coś kosztuje kilka albo nawet kilkanaście tysięcy od łba.

Wissarion aż zagwizdał, bo uświadomił sobie, że będzie potrzebował małej fortuny, by opłacić przewoźników, którzy zechcą przemyścić do amerykańskiej strefy trzy osoby.

– Podaj mi adres, na pewno się pojawię. To bezpieczny lokal?

– Na razie tak. Nie zauważyliśmy, żeby ktoś podejrzany się tam kręcił.

– A sąsiedzi? Wiesz, jak teraz jest. Polacy donoszą na swoich, a co dopiero na Ukraińców.

– Sprzedajny naród – burknął. – Tak jak i Klarysa.

– Mówiła, że razem uciekniecie – zauważył Wissarion.

– Niech sobie tak myśli, ale nie zamierzam jej ciągnąć ze sobą. Poszukam sobie ukraińskiej kobiety. I nie martw się. To mały zakład stolarski, a my udajemy albo pracowników, albo klientów. Spotykamy się co czwartek, dlatego pojutrze muszę jechać do Wrocławia. Wasyl też będzie – oznajmił Stiepan.

Wissarion się zastanawiał, czy powiedzieć bratu, że zamierza uciec razem z Nadią i swoją córką. Jednak Stiepan i tak by się prędzej czy później o tym dowiedział.

– Będzie nas troje – powiedział hardo.

– O, ty też natknąłeś się na kogoś z naszych. – Uśmiechnął się, jakby każdy członek OUN-u czy UPA odnaleziony na Ziemiach Odzyskanych był na wagę złota.

– Można tak powiedzieć. Jeśli wyjadę, to tylko z Nadią i Oleńką. Obie są we Wrocławiu, bo Fiodorow został jakąś fiszą w Wojewódzkim Urzędzie Bezpieczeństwa Publicznego.

Na te słowa Stiepan aż się podniósł z drewnianej ławy.

– Znowu ta kurwa?! Mało mieliśmy przez nią problemów?! Przecież to zwykła sprzedajna zdzira!

– Ona jest teraz matką mojej córki! – warknął Wisza.

– Znajdziesz jej lepszą matkę. Poza tym czy zdajesz sobie sprawę, jak bardzo to może zaszkodzić naszej sprawie? Chcesz uciec z żoną dygnitarza z NKWD. Jeśli się zorientuje, wyśle za nami pułk wojska. Nie zgadzam się! – ryknął.

– Posłuchaj, Stiepanie Zinowjewie, twoje dowództwo w sotni już dawno się skończyło. Nie interesuje mnie, czy się zgadzasz czy nie. Po prostu jeśli tak bardzo trzęsiesz gaciami, wyjedziemy, gdy wy już znajdziecie się po drugiej stronie, wówczas Fiodorow będzie mógł zaangażować całą Armię Czerwoną, a i tak wam nic nie zrobi. To my z Nadią ponosimy największe ryzyko.

– Tylko ty mi zostałeś, Wissarionie. Jedyne z całej rodziny. Wiem, że masz do mnie żal i być może nigdy nie wybacysz mi tego, co nawywijałem, ale zastanów się, co chcesz zrobić. On nie popuści, nawet jeśli ma w nosie Nadię. Zrozum, nie będzie mógł sobie pozwolić na to, że stanie się pośmiewiskiem. A ma możliwości, żeby nas wszystkich wykończyć. Wasze szanse na ucieczkę są zerowe, ale ty możesz się uratować.

– Wiem, że ryzyko jest ogromne, ale muszę je podjąć. Nadia nie jest szczęśliwa, a ja muszę patrzeć, jak ten bydlak przytula moje dziecko, ono zaś nazywa go ojcem. Nie mogę ich tu zostawić, po prostu nie mogę.

– To już lepiej od razu go sprzątnij – syknął. – Bo żywy nie pozwoli sobie odebrać swojej własności.

– Jeśli nie będzie wyjścia, potraktuję go jak Woroszyłowa. Wolałbym jednak skoncentrować się na planowaniu ucieczki, a nie mordy, choć Bóg mi świadkiem, to trudny wybór, bo drań zasłużył na śmierć.

– On tylko skorzystał z okazji – prychnął Stiepan. – A tę dziwkę należało posłać do piachu jeszcze na Wołyniu. Ale ty jak zawsze zlitowałeś się nad tą suką.

– Skończ... Mam w nosie twoje rady, zajmij się lepiej własnym życiem. Nadia wyszła za tego gnoja, bo sądziła, że dzięki temu NKWD i milicja przestaną mnie ścigać za zabójstwo Woroszyłowa. Tak, to było z jej strony bardzo naiwne myślenie, ale była zdesperowana. I nie zapominaj, że zaopiekowała się moim dzieckiem. Ja nie mogłem się nim zająć i gdyby nie Nadia, Oleńka do tej pory wegetowałaby w jakimś obskurnym sowieckim sierocińcu. A nawet jeśli udałoby mi się ją stamtąd wyciągnąć, jakie miałyby dzieciństwo? Mieszkałaby ze mną w lesie... – Wissarion się zdenerwował.

– Nie złość się, po prostu chcę ci przemówić do rozsądku. Możesz mieć wiele kobiet i jeszcze więcej dzieci. Zapomnij o Nadii i swojej córce. Tak będzie lepiej dla wszystkich. Kiedy tu jechaliśmy, już się pogodziłeś z ich utratą, a teraz znowu chcesz się pakować w kłopoty? Życie ci niemiłe?

Miał rację, podczas podróży na Ziemię Odzyskane mówił bratu o tym, że Nadia i Oleńka dla niego umarły. Jednak zrządzenie losu sprawiło, że je odnalazł we Wrocławiu, i to zmieniło wszystko.

– Ona cierpi, bo chce być ze mną. A i córki nie zostawię w łapach tego sowieckiego drania. Zresztą, Stiepan, ty też byś nie odpuścił, gdyby twoje potomstwo wychowywał bolszewik. Zrozum, one są moją rodziną...

– To porwij dzieciaka, gdy już wszystko będzie zaplanowane, i w nogi. A tę sukę zostaw Fiodorowowi na pożarcie. To nie jego bachor, pogodzi się ze stratą.

Wissarion wcale nie był tego taki pewny. Z tego, co mówiła Nadia, ten bydlak pokochał Aleksandrę jak własną córkę i przywiązał się do niej. Na pewno nie pogodziłby się łatwo z jej utratą. Zresztą sam to mógł zobaczyć na własne oczy.

– Nie zostawię z nim Nadii. I powiedziałem, nie będę was narażał. Uciekniemy, gdy wy już będziecie bezpieczni.

– Rób, jak chcesz, ale moim zdaniem ten twój plan ucieczki to zbiorowe samobójstwo – powiedział złowróźnie, a potem dodał: – Zanocujesz? Jest późno.

– Dobrze, prześpię się w tej zimnej izbie, ale muszę wcześniej wstać, żeby nie spóźnić się do roboty – westchnął Wisza.

Wcale nie miał ochoty zostawać u brata, ale nie miał pojęcia, w jaki sposób dotrzeć o tej porze do Wrocławia. Wieś, w której zamieszkali, położona była dość blisko miasta, jednak marszruta zajęłaby mu zapewne kilka godzin.

– I mówiłem poważnie. Jeśli brakuje ci kobiety, możesz sobie wziąć Klarysę na jedną noc.

– Chyba zdurniałeś kompletnie. Przestań tak gadać, bo zaczynasz mnie denerwować – syknął Wissarion.

– A jak chodzisz na dziwki, to się zastanawiasz, kto taką lafiryndę miał przed tobą? Dajże spokój, Klarysa jest dla mnie jedynie kawałkiem mięsa. No i dobrą gospodynią.

– Krzywdzisz tę dziewczynę, wiesz o tym, prawda?

– Mam to w dupie – odparł spokojnie Stiepan. – Gdybym się użalał nad każdym człowiekiem, byłbym frajerem.

– Nie mówię, że nad każdym, ale ona jest w ciebie wpatrzona jak w obraz święty, a ty ją traktujesz jak ścierkę do podłogi – zachnął się Wissarion.

– Nie chcesz, to nie. Ale żałuj, ma niezłe ciało i rozkłada nogi na zawołanie.

Zemdlilo go. On dostawał szału na samo wspomnienie tego, co robił z Nadią Woroszyłow, i krew mu wrzała na myśl, że jego ukochana jest w tej chwili narażona na to samo. A Stiepan miał piękną kobietę przy swoim boku, która za nim szalała, i chciał ją ot tak oddać innemu mężczyźnie.

Tak jak się spodziewał, w sąsiedniej izbie było bardzo zimno. Klarysa przyniosła mu piernaty i dodatkową derkę, żeby nie zmarzł. Wissarion miał nadzieję, że Stiepan nie zaproponował dziewczynie, by ta rozgrzała jego brata, bo musiałby wówczas opuścić jego dom i wyruszyć nocą w bardzo daleką drogę do swojej kwatery.

Nazajutrz, zaopatrzony w adres stolarni i kilka kromek chleba, udał się na najbliższą stację kolejową. Stwierdził, iż teraz już nie będzie musiał rozmawiać z bratem o ucieczce, bo niebawem pozna tych, którzy lepiej się na tym znali. No i był przekonany, że będzie mógł liczyć na Wasyla. Jego kuzyn nie miał szczęścia do kobiet, gdyby trafiła mu się taka Klarysa, zapewne nosiłby ją na rękach, gdy tymczasem Stiepan traktował ją jak ścierwo. Dziwił się tylko, dlaczego wobec tego bez ogródek rozmawiał z nią o ucieczce do Monachium? Może jego brat był zbyt pewny siebie, a może doszedł do wniosku, że jeśli coś będzie szło nie po jego myśli, zrobi z nią to samo, co zrobił z Julianną.

18.



Wrocław, 1947

Nadia dziwnie się czuła, gdy ludzie jej nadskakiwali. Nie miała bowiem pojęcia, czy robią to z własnej i nieprzymuszonej woli, czy też ze strachu przed jej mężem. A może liczyli, że dzięki temu coś zyskają? W magazynie Komitetu Pomocy nie było inaczej. Przed drzwiami czekała na nią delegacja złożona z kierownictwa placówki, której członkowie kłaniali się w pas i prawili jej komplementy. Następnie kierowniczką oprowadziła ją po całym magazynie i zaproponowała poczęstunek w swoim pokoju.

– Ależ ja nie przyjechałam tutaj na herbatkę, ale naprawdę chcę pomóc. – Uśmiechnęła się. – Mogę segregować ubrania.

– Oczywiście, oczywiście, zaraz was zaprowadzę, towarzyszeko Fiodorowa. O pierwszej przyjedzie ktoś z „Trybuny Dolnośląskiej” i zrobi wam zdjęcia. Zapewne zamienią też z wami kilka zdań. Chcą pokazać, że czasy panów i poddanych się skończyły – powiedziała dumnie kierowniczką, która nie dalej jak kilka minut temu proponowała jej, aby czas w magazynach z ubraniami pozostałymi po UNRRA Nadia spędziła przy herbatce i ciasteczkach.

– Opowiedzcie, jak to wszystko organizujecie – poprosiła Nadia, nie tyle z ciekawości, ile z chęci dowiedzenia się, czy ma jakąś szansę, by spotkać w tym miejscu ukochanego.

Kierowniczką jąkała się niemożliwie, zapewne dlatego, że zjadała ją trema. W końcu ważna osobistość ich odwiedziła i chciała wypaść jak najlepiej. Nadia nie zwracała na nią uwagi, chciała jedynie wyłuskać z jej wypowiedzi to, na czym najbardziej jej zależało.

– Po południu ładujemy kolejne samochody wraz z listami dla poszczególnych punktów aprowizacyjnych, by następnego ranka od razu wyjechać w teren – oznaj-

miła kierowniczką.

– Tak, to dobre rozwiązanie – mruzczała pod nosem Nadia i kiwała głową jak kaczka, co miało oznaczać aprobatę.

Po półgodzinie tyrady kobiety w końcu zaprowadzono ją do głównej hali, w której segregowano dary. Wewnątrz pachniało świdrującym w nozdrzach proszkiem DDT. Przekładała ubrania z jednej sterty na drugą i co chwilę zerknęła na drzwi, a potem spoglądała na zegarek i odliczała bez mała minuty, gdy w magazynie pojawili się pierwsi kierowcy. Jeden z koszy postawiła z boku i czekała. Znajdowały się w nim ubrania dziecięce, które należało przenieść do innego pomieszczenia.

Wissarion przyjechał około piętnastej, gdy już prawie straciła nadzieję na spotkanie z nim. Kierowniczką uprzedzała ją, że kierowcy niekiedy bardzo późno stawiają się po nowy załadunek. Jeśli dopadłby ją pech, nie zobaczyłaby tego dnia Wissariona. A jednak los się do niej uśmiechnął. Ktoś zatrzymał Wiszę przy wejściu, coś szepnął do ucha i wskazał na nią palcem. Zapewne ów człowiek chciał uprzedzić kompana, że tego dnia magazyn zaszczyliła swoją obecnością pułkownikowa.

Podszedł do niej powoli i nawet na nią nie spojrzął. Wymamrotał jedynie, po co przyjechał i podał jej listę.

– Wszystko jest przygotowane. – Uśmiechnęła się do niego. – Jak się nazywacie?

– Wiktor Krawczenko – wymamrotał, wciąż się starając, by na nią nie patrzeć.

– Wiktorze Krawczenko, wyglądacie mi na silnego mężczyznę. Pomożecie mi przenieść kosz z ubraniami dziecięcymi.

Zerknął w końcu na nią i wydukał:

– Oczywiście.

Podniósł kosz i zaczął iść w stronę niewielkiego pomieszczenia, w którym składowano rozmaite rzeczy dla najmłodszych mieszkańców województwa. Podążyła za nim, tłumacząc innym pracownikom, że chciałaby jeszcze sprawdzić porządek w rzeczach dla niemowląt. Oczywiście nikt z personelu nie ośmielił się zaprotestować. Nie zrobił tego również Wissarion, w przeciwnym razie mógłby się pożegnać z pracą.

Kiedy weszli do środka i zamknęli za sobą drzwi, Wissarion z hukiem postawił kosz na posadzce.

– Zwariowałaś?! – warknął i popatrzył na nią takim wzrokiem, że aż ugięły się pod nią nogi.

– Chciałam cię zobaczyć – szepnęła.

– To szaleństwo! Chcesz, żeby twój mąż wysłał nas oboje do łagru albo zamknął w więzieniu? Chociaż nie, mnie od razu zabije!

– Ty nic nie rozumiesz... Od chwili, gdy znowu się spotkaliśmy, nie mogę znaleźć sobie miejsca. Tęsknię za tobą. A poza tym... – Przerwała w pół zdania.

Chciała zapytać o tę kobietę, u której mieszkał, właściwie przysła tu tylko z tego powodu, ale widok Wiszy sprawił, że zaczęła się wahać. Nie chciała żadnych kłótni, a jeśli zacznie wypytywać o tę babę i czynić mu wyrzuty, jej ukochany zapewne nie omieszka jej przypomnieć, że jest mężatką.

– Co poza tym? – burknął.

– Jestem zazdrosna. O tę kobietę, która tak bardzo ci pomogła – powiedziała niepewnie.

Wissarion przewrócił oczami.

– Nie masz powodu. Cokolwiek robię, czynię to z myślą o nas. Ta baba jest mi jeszcze potrzebna i muszę znosić jej awanse, ale nie musisz być o nią zazdrosna. Zresztą, ty co noc kładziesz się z tym bydlakiem do jednego łóżka, prawda?

Jakże dobrze go znała.

– Nadal kochasz mnie do szaleństwa i nie muszę się o nas martwić? – zapytała żałośnie.

– Wciąż, zawsze i do końca życia. A może i dłużej, jeśli po śmierci coś jeszcze jest – odparł z naciskiem.

Popatrzyła mu w oczy i wiedziała już, że Wissarionowi minęła złość jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Podeszedł do niej i zaczął całować tak namiętnie, że ledwie mogła złapać oddech.

– Kocham cię, Wisza. Błagam, wymyśl coś, żebyśmy znowu mogli się widywać – szeptała pomiędzy pocałunkami.

– Wytrzymaj, kochanie. Złapałem kontakt z ludźmi, którzy pomogą nam uciec – powiedział zasapany.

– Będę tu przychodziła, żeby chociaż przez chwilę na ciebie popatrzeć. Nie wiem, może powiem, że chcę pojechać z wami w teren... I gdzieś się urwiemy...

Gdziekolwiek. Błagam, potrzebuję cię.

– Tak, a twój mąż wyśle za nami dwa patrole z ubekami albo enkawudziistami w polskich mundurach... Nadeńko, zrozum, to jest niebezpieczne. Wciąż cię kocham jak wariat i już nie zrezygnuję z ciebie, ale musimy być ostrożni.

– Wiem, najdroższy, wiem, ale nie mogłam się powstrzymać... Chciałam tylko cię zobaczyć, dotknąć, usłyszeć, że ty też za mną tęsknisz. Że ta kobieta nic dla ciebie nie znaczy. Że nie zostawisz mnie jak wtedy, gdy odprowadzałeś mnie na pociąg albo gdy odszedłeś szukać zemsty za Juliannę... Boję się, że sam wyjedziesz, a ja umrę z żalu. Przepraszam, nie będę naciskać, byśmy spotkali się na dłużej. Wytrzymam...

Naprawdę się bała, że sytuacja się powtórzy i Wissarion zostawi ją samą. To również brak wiary w Wiszę sprawił, że wyszła za Maksima. Pragnęła ufać, że cokolwiek się stanie, nie zostawi jej samej.

– Teraz już cię nie opuszczę, Nadeńko. Ani mojej córki – zapewnił ją żarliwie Wissarion. – Jeśli znaleźliśmy się w tym samym mieście, to oznacza, że od początku byliśmy sobie pisani. Tylko błagam, bądź cierpliwa i nie narażaj się na jakiegokolwiek podejrzenia ze strony swojego małżonka. Wiem, że we mnie zwątpiłaś. Zasłużyłem na to, ale kocham cię najbardziej na świecie. I naszą Oleńkę.

Tak bardzo chciała mu wierzyć, ale gdzieś na dnie duszy wciąż czuła lęk, że zaraz jej szczęście pryśnie jak bańka mydlana. A może to był strach przed gniewem Maksima? Naprawdę nie miała pojęcia, na co byłoby go stać, gdyby odeszła i zabrała mu córkę.

– Posłuchaj, będę tu przychodziła, bo to jedyny czas, z którego nie będę się musiała tłumaczyć Maksimowi. A gdy nadejdzie dzień, w którym będziemy gotowi do drogi, łatwiej mi będzie uciec stąd aniżeli z domu. Przed kamienicą cały czas służbę pełni dwóch żołnierzy i odnotowują każde moje wyjście. Poza tym myślę, że ktoś za mną łązi. Nie dlatego, że mój mąż podejrzewa mnie o coś, ale sam wiesz, co się teraz dzieje we Wrocławiu. Mamy największą przestępczość w kraju i czyhające na bolszewików niedobitki UPA. Boi się, że ktoś zechce mi zrobić krzywdę. Tutaj będę miała dużo większą swobodę, a drzwi wyjściowych jest kilka, wciąż przyjeżdżają i odjeżdżają stąd furgonetki czy furmanki, łatwiej będzie mi się wymknąć niepostrzeżenie – przekonywała go Nadia.

Potrzebowała tych krótkich spotkań, by chociaż z daleka na niego popatrzeć. Jeśli nie mogli powrócić do schadzek w mieszkaniu Ilse, zadowolili się chociaż tym.

– Masz rację, ale proszę, nie patrz na mnie, jakbyś miała mnie zjeść na deser... – Uśmiechnął się do niej czule i raz jeszcze pocałował. – Zwijajmy się stąd, zanim ktoś się zaniepokoi twoją nieobecnością.

Po wyjściu z hali, w której leżały kosze z dziecięcymi ubraniami, pochwaliła porządek i powróciła do swoich zajęć. Odprowadzając wzrokiem Wiszę, liczyła, że już niebawem znowu go zobaczy, bo był jej potrzebny do życia niemal tak bardzo, jak powietrze.

Dotarła do domu późnym popołudniem i z emfazą opowiedziała Maksimowi o wizycie reporterów z gazety.

– Zapisalem cię do liceum dla dorosłych, Nadeńko. Poradzisz sobie na pewno. Jeśli mamy pozostać w Polsce przez dłuższy czas, powinnaś tu zdobyć jakieś wykształcenie – oznajmił.

– Bardzo się cieszę.

Naprawdę ta informacja sprawiła jej radość, bo im mniej czasu spędzała w towarzystwie małżonka, tym czuła się szczęśliwsza. Odkąd w jej życiu znowu zagościł Wissarion, z każdym dniem czuła coraz większą niechęć do Maksima. Wołała mieć tarczę w postaci Oleńki, bo wówczas Maksim nie wypytywał zbyt szczegółowo, co robiła, zapytała więc:

– A nasza córka gdzie się podziewa?

– Jest z Marthą na podwórku – powiedział i podszedł do okna, by popatrzeć na Aleksandrę bujającą się na obskurnej huśtawce. Nadia zrobiła to samo. Maksim przytulił ją mocno i szepnął: – Gdybyś ode mnie odeszła, podpaliłbym świat.

Przełknęła ślinę. Takie wyznania w chwili, gdy planowała z Wiszą ucieczkę, wprowadzały ją w nerwowy stan.

– Nigdzie się nie wybieram, Maksimie – wydukała.

– Wiem, po prostu chcę, żebyś wiedziała, jak bardzo cię kocham. I naszą córeczkę również.

Przymknęła powieki. Fiodorow niejako zmusił ją do małżeństwa, w zamian oferując wolność Andrzejowi, a to nie miało nic wspólnego z prawdziwą miłością i było zwykłym szantażem. Pragnął ją mieć jak ulubiony przedmiot i nic go nie obchodziły jej uczucia. Sądził, że z czasem go pokocha, ale po tym, co chciał zrobić Wisarionowi, nie potrafiła. Poza tym odkąd sięgała pamięcią, w jej sercu istniał tylko jeden mężczyzna. To była trudna miłość, wymagająca poświęceń, skomplikowanych wyborów i wzajemnej akceptacji. Fiodorowa nigdy nie byłoby na to stać. Być może to służba w zbrodniczej organizacji zrobiła z niego człowieka, który zdobywał, co chciał, choćby idąc po trupach. I to dosłownie.

Wiedziała, że musi uśpić jego czujność. Postanowiła, iż po raz pierwszy, odkąd się poznali, wyzna mu miłość, mimo że było to kłamstwo. Kiedy pytał, czy go kocha, odpowiadała „tak”, jednak nigdy nie powiedziała tego sama z siebie. Nie miała jednak wyrzutów sumienia, tak jak nie miał ich Maksim, gdy zaproponował jej małżeństwo w zamian za uwolnienie Andrzejka, zniszczenie akt sprawy śmierci Grigorija Woroszyłowa i łaskę dla Wissariona Zinowjewa.

– Kocham cię, Maksimie. Bardzo... – szepnęła. Czowała kluskę w gardle, gdy wypowiadała te słowa, zwłaszcza że nie dalej jak dwie godziny wcześniej zadeklarowała dozgonną miłość Wiszy.

Jeszcze mocniej ją przytulił, a potem powiedział zduszonym głosem:

– Jestem najszczęśliwszym człowiekiem na świecie, bo moja Nadeńka mnie kocha. Jesteś najpiękniejszym prezentem, jaki mogłem otrzymać od losu. Dam ci wszystko, rzucę pod nogi cały świat...

A jednak zrobiło się jej przykro, że tak paskudnie go oszukała. Poczwała ucisk w dołku i chciało się jej płakać. Gdyby nie istniał w jej życiu Wissarion, naprawdę mogłaby obdarzyć uczuciem Maksima i nie zważałaby na to, kim jest i czym się zajmuje. Zwłaszcza tutaj, we Wrocławiu, mogła zobaczyć, jak wiele miała szczęścia. Ludzie zmagali się z niedoborem jedzenia, ciekącymi dachami, ścisaniem w swoich kwaterach i wciąż musieli oglądać się za siebie. Tak, określenie „Dziki Zachód” idealnie pasowało do tego miejsca i nawet nie potrafiła sobie wyobrazić, co czuli przesiedleńcy, którzy trafili tu zaraz po zakończeniu wojny.

Żałowała nawet zwykłych Niemców, którzy musieli opuścić swoje domy, choć mieszkali w nich przez większość swojego życia. Tak jak lwowianie zmuszeni byli wyjechać ze swojego ukochanego miasta. Czasami usłyszała to i owo na temat poczynań sowieckich żołnierzy, którzy nie tylko wszystko niszczyli, ale także dopusz-

czali się brutalnych gwałtów na niemieckich kobietach. Dla niej nie było to niczym nowym – czerwonoarmiści zawsze zachowywali się jak bydło.

Uczynna Ilse Schlesinger także padła ofiarą radzieckiego żołdaka, który przez kilka dni ją więził w jej własnym mieszkaniu i gwałcił, gdy tylko nasza go ochota. Podobno miała wiele szczęścia, ponieważ oprawca był oficerem i zażyczył sobie, by Ilse była tylko do jego dyspozycji. Inne kobiety padały ofiarami gwałtów zbiorowych, brutalnych pobić i zwyrodniałych praktyk, po których albo same umierały, albo otrzymywały kulkę.

Nadia wzdrygnęła się na samą myśl o tym, bo wiedziała, jak wiele kosztowały ją uciechy cielesne z Woroszyłowem, a potem ze strażnikiem w więzieniu gestapo. Pamiętała, jak Maksim oburzał się na poczynania Grigorija, ale czy on sam był lepszy od niego? Różnica polegała tylko na tym, że ten pierwszy żądał cielesnych uciech od młodziutkiej, niczego nieświadomej dziewczynki, a Fiodorow od dorosłej kobiety, którą najnormalniej w świecie zastraszył.

– Przepraszam, że nie mogę dać ci dziecka – powiedziała nagle, by jeszcze bardziej rozczulić małżonka.

– Przecież to nie twoja wina, kochanie. Mamy naszą Oleńkę i chwilami zapominam o tym, że nie ja ją spłodziłem. Dostałem od losu więcej, niż mógłbym marzyć. Piękną, czułą żonę i mądrą, śliczną córeczkę. Jest do ciebie podobna, równie dobrze mogłabyś być jej prawdziwą matką.

– Maksimie, proszę, powiedz, że Bernard Stawicki nie zginął z mojego powodu – wyszeptwała.

Zadrzał, a to oznaczało, że w tej kwestii nie miał czystego sumienia.

– Oczywiście, że nie. Nigdy bym czegoś podobnego nie zrobił. – Kolejny raz gorliwie zapewnił ją o swojej niewinności w tej kwestii i znowu wyczuła, że kłamał.

Pomyślała, że gdyby kiedyś jej potajemne schadzki z Wiszą wyszły na jaw, zabiłby ich oboje. A nawet jeśli darowałby jej życie i wybaczył ten romans, zamieniłby ich dom w twierdzę, a ona zostałaby jego więźniem na resztę życia. Nawet nie chciała sobie wyobrazić, jakie tortury zastosowałby wobec Zinowjewa, zanim pozabawiłby go życia. Jakby dopiero teraz dotarło do niej, jak była głupia i nieodpowiedzialna. Andrzej miał słuszność i Wisza także. Dała się ponieść uczuciu, rozpieszczała ją radość, że Wissarion przeżył, i przez to zrobiła się cholernie nieostrożna. Nawet jej pomysł z pracą społeczną w magazynach z ubraniami nosił posmak

ryzika. Zglupiała kompletnie, mogła się domyślić, że jej pilnują. Mąż wielokrotnie mówił jej przecież o tym, jak niebezpieczne jest to miasta i jak wielu wrogów zyskał niektórymi swoimi decyzjami. Tymczasem ona się upierała, żeby spotykać się z Wissarionem w mieszkaniu Ilse dwa albo trzy razy w tygodniu. Naprawdę była kompletną idiotką.

„Gdybyś odeszła, podpaliłbym świat” – powtarzała w kółko i wyrzucała sobie głupotę. Jedne popołudniowe pieścizoty nie mogły uśpić czujności kogoś takiego jak Maksim. Nieufność była wpisana w jego życiorys, jak w jej miłość do Wissariona.

– Jesteś najlepszym mężem na świecie – powiedziała w końcu i cmoknęła go w policzek.

Popatrzył na nią z rozczuleniem.

– Masz takie piękne, pełne miłości spojrzenie. Twoje oczy tak cudownie błyszczą, kocham w nich te chochliki – odparł, nie mając pojęcia, że owe iskiereki w jej oczach nie mają związku z nim.

– Dlatego nie musisz być o mnie zazdrosny. Nawet jeśli ktoś ze mną flirtuje, pamiętaj, że kocham tylko ciebie. – Nie chciała, żeby ktokolwiek miał przez nią kłopoty, więc musiała udawać, że ten wzrok szczęśliwie zakochanej kobiety spowodowany jest uczuciem do męża.

– Ale byłem, jestem i będę. Niekiedy myślę sobie, że każdy mężczyzna, który cię zobaczy, zechce mi ciebie odebrać.

– Kochanie... – Uśmiechnęła się półgębkiem. – To nie zazdrość, to obsesja.

– Tak, wariuję na twoim punkcie. W pracy jestem zimny, rzeczowy i bezwzględny, ale przy tobie mięknię. Sądziłem, że z czasem mi przejdzie, ale jest dokładnie odwrotnie.

– Maksimie, tylko proszę, powiedz mi prawdę. Ktoś mnie pilnuje?

– Dlaczego pytasz? – Nagle głos Fiodorowa zrobił się chłodny.

– Bo mam wrażenie, że ktoś za mną łązi. Jeśli to ktoś od ciebie, będę spokojniejsza – skłamała.

– Moi ludzie to idioci. Mieli to robić dyskretnie, żebyś nie czuła się skępowana – burknął. – Jesteś żoną pułkownika NKWD, kto wie, co strzeli do głowy polskim bandytom. Obawiam się, że proces członków Zarządu Głównego Wolności i Niezawisłości z Rzepeckim będzie wystarczającym straszakiem dla innych, ale

kto wie, co tym ludziom roi się w głowie. Nadeńko, mam tu wielu wrogów: niemiecką partyzantkę, niedobitki UPA i AK... Boję się o ciebie. Każdy, kto chociaż odrobinę mnie zna wie, że największą karą dla mnie byłaby utrata ciebie, a nie życia. A w naszych szeregach także zdarzają się zdrajcy. Musiałem... Przepraszam.

– W takim razie nie ma o czym mówić, jeśli to twoi ludzie – odparła beztrąsko. – Szkoda, że wcześniej mi nie powiedziałeś, nie denerwowałabym się, że ktoś chce mi zrobić krzywdę.

– Nie chciałem, żebyś czuła się pilnowana. Pomyślałabyś, że ci nie ufam – odparł.

Właśnie tak pomyślała. W przeciwnym razie przyznałby się od razu, że z uwagi na jej bezpieczeństwo będzie przez cały czas pod obserwacją. Nie zawsze mogła korzystać z samochodu i gdyby w istocie ktoś chciał się odegrać na Fiodorowie i zrobić jej krzywdę, miałby ku temu wiele okazji. Jednak fakt, że Maksim nie porozmawiał z nią na ten temat, był sygnałem alarmowym. Okazało się, że Andrzej zdołał lepiej poznać jej męża niż ona sama.

19.



Wrocław, 1947

Tego dnia Marcel był w wyjątkowo paskudnym nastroju, ponieważ jego podróż w okolice Wałbrzycha okazała się kompletnie bezproduktywna. Niczego ciekawego nie znaleźli, mimo że rozkopali połowę przydomowego ogródka. Na szczęście gdy wrócił, Marysia spała, a Michaś zabrał brata na podwórko. Spadł pierwszy śnieg i podekscytowani chłopcy postanowili pohasać poza domem, a on mógł odpocząć w ciszy i spokoju.

Marta postawiła na stole talerz parującej zupy i koszyk z grubymi pajdami.

– Marcelek, może przywiózłbyś jakiegoś mięsiwa? Święta idą. Na Strzeleckim za kawałek wieprzowiny życzą sobie fortunę – zwróciła się do męża.

– Co się dziwisz, Boże Narodzenie się zbliża. Dobrze, Martusiu, rozejrzę się i coś wykombinuję.

– Jakby ci się udało kupić więcej, dałabym rodzicom i Andrzejkowi.

Tym razem postanowił się zbuntować, chociaż wcześniej nie mówił ani słowa na temat prezentów dla rodziców Marty w postaci różnych rarytasów, które przywoził do domu. Nie był chytry i gdyby miał normalnych teściów, nieba by im przychylił, jednak oni traktowali źle nie tylko jego, ale przede wszystkim Martę. Widział nieraz, jak bardzo ją to boli, i wtedy czuł się winny. Jednak Osadkowsy nie zmienią do nich nastawienia pod wpływem cieleniny.

– Martusiu, wim, że to są twoi rodzice, ale przejrzyj na oczy. Nie szanują ci za grosz, wiecznie ci coś wypominają, a ty chcesz ich obdarować takimi prezentami – powiedział ciepło.

– Nie będę mogła normalnie świętować, wiedząc, że u nich na stole tak pusto...

Wiedział, że w ten sposób jego żona chce sobie zjednać bliskich. Zapewne próbowała im udowodnić, że Marcel jest dobrym i zaradnym mężem. Jemu już przestało zależeć na akceptacji teściów. Nie mógł cofnąć czasu ani też naprawić swoich błędów, ale jedno było pewne: kochał Martę i dzieciaki i podarowałby im gwiazdkę z nieba, gdyby mógł. Nawet jego konszachty z Fiodorowem miały na celu poprawienie bytu swojej rodzinie, bo on nie potrzebował wiele. Odkąd sięgał pamięcią, nosił w kółko to samo odzienie, aż zniszczył je dokumentnie, i jadał proste potrawy. Przywykł nie tyle do nędzy, co do bardzo skromnego życia. Jednak wciąż pamiętał, z jakiego domu wyszła Marta i jaki dobrobyt zapewniał jej Witold. Nie mógł więc dopuścić, by przy nim miała gorsze warunki i poczuła się nim rozczarowana.

– Dobrze, żoneczko, jak coś znajdę, kupię więcej, a ty zdecydujesz, jak to porozdzielać – odparł.

– Dziękuję. – Uśmiechnęła się do niego, a potem spojrzała na stojący na komodzie zegar. – Te małe czorty już powinny wrócić, bo ciemno się robi. – Podeszła do okna, otworzyła je i zaczęła nawoływać: – Michałek, Ignaś!

Niestety, nikt nie odpowiedział. Sam zaczął się niepokoić i wołał ich razem z Martą, gdy do domu wbiegł zarumieniony Michał i krzyknął:

– Tata, mama, Ignaś się zapodział!

– Jak to się zapodział? – zapytał Marcel i od razu się zdenerwował.

Wrocław jeszcze nie dźwignął się po obłączeniu, wszędzie było pełno rumowisk i zapadlin. Po ciemku łatwo było o tragedię. Od razu zerwał się z miejsca, nie kończywszy obiadu, i zaczął się ubierać, indagując Michała:

– Gdzieście byli, kiedy go zgubiłeś?

Chłopiec się rozbeczał i nie był w stanie wydusić z siebie słowa.

– Recht, pokażesz mi – zdecydował Marcel.

– O mój Boże... – jęknęła Marta i także zaczęła zakładać buty.

– Martusiu, leć na górę. Niech Andrzej i Boguś nam pomogą, dopóki jeszcze nie jest całkiem ciemno. Może go znajdę gdzieś na podwórku, ale jak te czorty wylazły za bramę, Ignaś mógł zabłądzić w mieście – powiedział rzeczowo, ale cały trząśł się ze zdenerwowania. Nie spłodził tego dzieciaka, ale traktował go jak własnego syna. Gdyby mu się coś stało, ani on, ani Marta nie przeżyliby tego.

Wybiegł na podwórko, ale po malcu nie było śladu. Latem zazwyczaj ktoś siedział na zewnątrz, o tej porze roku jednak nikomu nie wpadłoby do głowy, żeby wystawiać taborety i gawędzić przed bramą. Krzyczał, nawoływał i w końcu wyszedł na ulicę. Zaczepiał wracających z pracy przechodniów, pytając, czy nie widzieli małego chłopca w czerwonej kurtce, a nawet zajrzał do pobliskiej piekarni i sklepu żelaznego. Nikt nie widział dziecka bez opieki.

Wrócił przed bramę, gdzie stali już wszyscy spod piątki, a także Boguś i Marianka.

– Gdzie jest mój wnusio? – szlochała stara Kaczkanowa – Tylko on i Jadziuchna mi pozostali! Ratujcie mojego Ignasia! To syn Witoldzia, jego pierworodny!

– Niechże się mamusia uspokoi – zrugła ją Marta. – Znajdziemy go.

Zapewne sama była bliska paniki, ale histeria teściowej wcale jej nie pomagała.

– Na wsi to mogłaś puszczać dzieci same na dwór, ale tutaj? To nieodpowiedzialne – powiedział Eugeniusz Osadkowski.

W tym momencie Marcel miał ochotę wziąć go za kłapy płaszcza i wrzucić pod tramwaj. Dzieciaki z okolicznych kamienic biegały same po podwórku i pilnowały się nawzajem. Jego chłopcy byliby wręcz obrażeni, gdyby matka chodziła z nimi na podwórko, ponieważ uważali, że są na to za duzi i inne bajbusy by się z nich śmiały. Nie byli już oseskami i przytyk teścia był zupełnie nie na miejscu.

– A może by tak pan doktor pomógł w poszukiwaniach, zamiast trajlować – burknął Marcel.

Rzadko kiedy odzywał się do teścia, bo ten traktował go jak gówieńko leżące na drodze, ale teraz Osadkowski mógłby sobie darować.

– Pewnie, łobuzie, ty się nie martwisz, bo to nie twój syn! – zapiszczała Kaczkanowa.

– Trzymaj mni, Boguś, bo ni wytrzymam – jęknął Marcel. – I tak mam nerwy jak postronki.

– Zamknij dziapę, stara drumlo^[43]! – krzyknął brat Marianki.

Nigdy wcześniej, nawet pod wpływem silnego wzburzenia, Boguś nie ośmielił się odezwać w ten sposób do Felicji Kaczkanowej. Naprawdę musiała wyprowadzić go z równowagi. Teściowa Marty była tak zszokowana, że w mig zamilkła, tylko tak stała z rozdziawioną buzią, jakby na mannę z nieba czekała.

Nie była to jednak pora na kłótnie, bo należało czym prędzej odnaleźć Ignasia. Rozdzielili się i każdy poszedł w inną stronę, ponieważ chłopczyk mógł pójść gdziekolwiek. Michał nie był w stanie powiedzieć nawet, w którym momencie dzieciak zniknął mu z oczu. Obrzucali się kulkami ze świeżego śniegu i częściowo błota, bo białego puchu nie napadało aż tak wiele, a potem przyszły dzieciaki Kaźmierczaków i zrobiło się zamieszanie. Po kilku minutach, może po kwadransie, Michaś spostrzegł, że nie ma nigdzie brata. Cała ferajna obecna na podwórku zaczęła szukać dzieciaka. Sprawdzili w piwnicy i komórkach, które teraz robiły za chlewiki, a nawet klatki schodowe w sąsiednich budynkach. Nie znaleźli jednak chłopca i wówczas Michał postanowił powiadomić rodziców.

Marcel nie miał pojęcia, jak długo krążył po okolicy, zaglądając niemal w każdą dziurę i pytając wszystkich o chłopca w czerwonej kurteczce. Była dość charakterystyczna, bo mało kto nosił kolorowe ubranka i to dawało nadzieję, że ktoś go zapamiętał. Jednak dzieciak przepadł jak kamień w wodę. Po godzinie Lemański wrócił przed bramę, tak jak się umówił z pozostałymi osobami, które brały udział w poszukiwaniach, i wtedy zapłakana Marta wydukała przez łzy:

– Taka starsza kobieta go widziała...

– To chyba recht? – zdziwił się Marcel.

– Ale ona go widziała koło tej parceli, co stoi ten na wpół zawalony budynek. A co, jeśli tam polazł i jakaś ściana na niego runęła? Marcel, błagam, trzeba na milicję iść albo do straży.

– Zanim si zbiorą, to ruski rok minie – oznajmił. – Pokaż mi, gdzie dokładnie ta kobita go widziała.

Pobiegli do rumowiska. Wszędzie wisiały kartonowe tabliczki ostrzegawcze, że budynek grozi zawaleniem i pod żadnym pozorem nie należy się kręcić w jego pobliżu. Cóż z tego, jeśli Ignaś jeszcze dobrze czytać nie potrafił. Ciemno się zrobiło całkowicie, ale na szczęście Boguś zabrał ze sobą latarkę. Omiótł dość niemrawym snopem światła budynek w nadziei, że dostrzeże chłopca. W końcu czerwona kurtka powinna być widoczna na tle spalonych ruin.

– Nie ma go – jęknęła pani Osadkowska.

– Nie wiadomo, ta latarka marnie świeci – powiedziała Marta, wgapiając się w przerażającą budowlę. Jedna ze ścian wciąż stała, ale reszta była w opłakanym stanie.

– Mam doświadczenie w odgruzowywaniu, pójdę i sprawdzę – zaproponował Andrzej.

– Jeszcze i syna stracę... – biadolila pani Katarzyna.

W końcu usłyszeli głos Bogusia:

– Jest. Mignęło mi coś czerwonego za tą stertą dachówek.

Andrzej nie zamierzał usłuchać matki, ale Marcel złapał go za rękę i powiedział stanowczo:

– Ja pójdę. To mój syn.

Marta zakryła dłońmi twarz, jakby nie chciała patrzeć na akcję ratowniczą w wykonaniu małżonka.

– Błagam, Marcelku, uważaj na siebie...

Nie odpowiedział. To oczywiste, że nie miał ochoty oberwać belką stropową ani zdechnąć pod gruzami. Wziął latarkę od Bogusia i udał się w stronę rumowiska. Poświecił i zobaczył miotającego się chłopca w czerwonej kurtce.

– Ignaś, Ignaś, to ty? – zaczął nawoływać.

– Tata, pomóż mi. Tata, moja noga! – krzyknął chłopiec, a potem Marcel usłyszał jego żaloszny płacz.

Podbiegł do miejsca, w którym znajdował się malec, i spostrzegł, że ten nie może się wydostać z ruin, bo jedna noga zaklinowała mu się pomiędzy długą drewnianą belką a fragmentem ściany. Usiłował ją podnieść, by uwolnić dziecko, ale okazało się to trudniejsze, niż myślał, bo druga część kłody przywalona była cegłami. Sztynna ręka też nie ułatwiała Marcelowi zadania.

– Tata już jest. No ni płacz, bo masz ślozy do pasa. Chłopcy si ni mażą. Zaraz cię z tej kalamancji^[44] wyciągnę.

– A lanie dostanę? – wydukał przez łyzy Ignaś.

– Ni, żadnygo lania ni będzji.

Uspokajał go, próbując wyciągnąć nóżkę chłopca. W końcu się zdenerwował i z całej siły popchnął ciężką kłodę. Stopa została uwolniona, ale nastąpiło coś w rodzaju efektu domina. Przesunięty kawał drzewa poruszył stertę gruzu, a ta posypała się na ledwie trzymającą pion ścianę.

– Miszaj^[45], Ignaś do mamy, miszaj! – krzyknął. – Ile sił masz!

Ściana runęła. Marcel w mig się zorientował, że ani chłopiec, ani on nie zdążą uciec. Rzucił się więc na Ignasia, zasłaniając go własnym ciałem przed spadającymi fragmentami muru. Znajdowali się spory kawałek od ściany, więc istniała szansa, że przeżyją i nie zostaną całkiem przywaleni gruzem. Nagle poczuł straszliwy ból, ponieważ kilka cegieł uderzyło go w głowę. Świat zawirował mu przed oczami i zdołał jedynie jęknąć, zanim stracił przytomność.

*Wrocław, 1947*

Marta Lemańska przez cały czas się zastanawiała, jak będą wyglądały tegoroczne święta Bożego Narodzenia, ale w najczarniejszych snach nie przewidziała, że pewnego dnia w ogóle przestanie się tym przejmować. Wcześniej rozważała, czy powinna urządzić wieczerzę wigilijną i wszystkich do siebie zaprosić, łącznie z Marianną i Bogusiem, czy czekać na ruch rodziców. Obawiała się, że napięta sytuacja pomiędzy członkami rodziny może doprowadzić do katastrofy przy świątecznym stole, ale liczyła, iż w jej domu może powstrzymają się od dziwnych rozmów, przytyków i złośliwości.

Marcel z Bogusiem przywieźli ze wsi trochę mięsiwa i wędlin i tak jak zaplanowała, część z tych dóbr zaniósł bliskim. Zależało jej, by w końcu popatrzeli na Marcela innymi oczami i przestali go nazywać kryminalistą. Położyła pakunek na stole w kuchni rodziców, którą ci dzielili z młodymi Osadkowskimi, Felicją i Jadźką, po czym powiedziała dumnie:

– Marcelek zorganizował to wszystko. Dla was również.

– Nikt go o to nie prosił – fuknął ojciec. – Może znowu ukradł, walnąwszy gospodarza młotkiem.

Zdenerwowała się na dobre.

– Wiesz co, tato, wstyd mi za ciebie. Nie potrafisz zobaczyć w Marcelu niczego dobrego. Nawet jeśli popełnił kiedyś błąd, miało to miejsce dawno temu. Jest wspaniałym mężem i jeszcze wspanialszym ojcem. I powiem ci coś jeszcze... święta spędzimy sami!

Naprawdę miała dość. Ojciec wciąż się zachowywał, jakby miał prawo każdego oczerniać, jeśli najdzie go taka ochota.

– To zabieraj to swoje mięso od spekulantów i wracaj do siebie. – Eugeniusz nie zamierzał spuszczać z tonu.

– Zostawię, niech chociaż inni mają dostatnie święta – burknęła. – Witold Kaczkan znęcał się nade mną. Nie siedział w więzieniu, był zamożny i wykształcony, a jednak potrafił się zachowywać jak potwór. Nieraz mnie uderzył i ciągle mi lżył...

– Nigdy w to nie uwierzę. – Wzruszył ramionami. – On nie żyje, zginął zamęczony przez tych gnoi, a ty nawet po jego śmierci nie potrafisz docenić tego, co dla ciebie zrobił. Wziął cię, chociaż byłaś brzemienna z innym, któregoż z mężczyzną stać by było na podobne poświęcenie?

– Marcela, tato – syknęła. – Ignaś przecież nie jest jego synem. Staralam się być dobrą i lojalną żoną dla Witolda. Trwałam przy nim aż do śmierci, więc czego ty ode mnie chcesz?

– Niczego. Po prostu wyszłaś za mordercę i kryminalistę. Taki wstyd...

– A przed kim tatko tak bardzo się wstydzi? – zapytała jadownicę. – Tatce się wydaje, że cały czas mieszka na wsi?

– Przed naszymi sąsiadami – odparł.

– Gdyby nie ta głupia Jadźka, która stanęłaby na głowie i bez majtek pośrodku placu Grunwaldzkiego, żeby jakiego chłopca podłapać, nikt z sąsiadów nie miałby pojęcia, że Marcel miał problemy z prawem. Wszyscy go lubili, nawet Kaźmierczakowie, a oni mało kogo poważają.

– Teraz to poważają was oboje, Andrzeja, tę dziwną zezowatą kobietę i jej leniwego brata, bo przyjeżdża do was ta bolszewicka wywłoka.

Nie chciała już dłużej ciągnąć tego tematu. Ani też poruszać kwestii świąt. Miarka się przebrała i nie zamierzała więcej tolerować obelg ojca, rzucanych pod adresem jej męża. Nawet ta stara kandyba^[46], Felicja Kaczkan, była bardziej poświęconą.

Wróciła do domu zła jak nieszczęście. Niestety, Marcel był tego dnia w równie fatalnym nastroju, a jakby tego wszystkiego było mało jej synek zaginął. Nie potrafiłaby określić słowami tego, co poczuła, gdy zdyszany Michaś przekazał im hiobowe wieści. Od razu z Marcelem ruszyli na poszukiwania, a potem przyłączyli się do nich rodzice, sąsiedzi, a nawet doktor Szczurek. Każdy ją pocieszał i potrafił racjonalnie podejść do sprawy, oprócz Felicji, która niemal od razu wpadła w histerię. A Marta odnosiła wrażenie, że porusza się jak nakręcona zabawka. Do gło-

wy przychodziły jej najstraszniejsze scenariusze, bo w takim mieście jak Wrocław o tragedię nie było trudno. Co rusz można było się natknąć na jakieś niebezpieczne rumowisko i krążyły bandy rozmaitych przestępców. Nie potrafiła nawet wyeliminować z rozważań porwania jej dziecka, chociaż jakkolwiek działały we Wrocławiu liczne szajki, to raczej nastawione były na szabrowanie, a nie na mordowanie małych dzieci.

Kiedy w końcu odnaleźli Ignasia, okazało się, że ten zaklinował się w gruzach budynku, który przeznaczono do rozbiórki. Istniała obawa, że jedyna ściana, która pozostała z niewysokiej kamienicy, może w każdej chwili runąć. Padały propozycje rozmaite, a na pierwszy plan wysuwała się jedna – należało powiadomić jakieś służby, by pomogły jej dziecku wydostać się z ruin, ale nikt nie wiedział, czy wezwać karetkę, straż pożarną, a może nawet milicję. Zanim nastąpił jakikolwiek konsensus w tej kwestii, Marcel zdecydował się pójść po synka Marty.

Teraz stała niedaleko i drżała już nie tylko o Ignasia, ale także o męża. I wtedy stało się najgorsze – ściana runęła tuż obok nich. Ogromny tuman kurzu sprawił, że widoczność spadła do zera. Marta zaczęła krzyczeć i chciała pobiec w kierunku chmury pyłu, ale doktor Szczurek złapał ją wpół i nie pozwolił, by wykonała choćby krok.

– Puść mnie, do cholery! – krzyczała. – Zostaw mnie! Ja muszę do nich iść, oni mnie potrzebują! Muszę im pomóc, muszę ich uratować!

Zarówno zawalenie ściany, jak i krzyki Marty sprawiły, że ludzie zaczęli się gromadzić wokół budowli. Jakiś przytomny jegomość postanowił pobiec na najbliższy komisariat milicji, by ta powiadomiła pogotowie i inne służby, które mogłyby przyjść z pomocą przygniecionym ludziom.

– Marta, ni turbuj si, ja pójdę! – krzyknął Boguś.

– Jeszcze i ty zginiesz – zawyrokowała Marianna.

– Raz si zawaliło, to si drugi raz ni zawali. – Wzruszył ramionami – Inu ciemno jak w dupie u Murzyna.

Eugeniusz Osadkowski prychnął dziwnie, słysząc te słowa, chociaż powinien się już do pewnych rzeczy przyzwyczaić, mieszkając w jednym domu z przedstawicielami proletariatu.

– Tucza^[4.7] taka, ży ni w ząb ni zobaczysz, gdzie leżą – zawyrokowała Marianka, ale nie zamierzała zatrzymać brata.

A Marta wciąż się wyrywała z objęć doktora Szczurka, bo chciała jak najprędzej odnaleźć synka i męża. W pewnej chwili straciła kompletnie siły. Przestała się szamotać, tylko wtuliła się w ramiona Pawła i zaczęła szlochać. Nie widziała potępiającego wzroku Jadźki, która bardziej była przejęta amatorami niż całym zajściem.

Nie miała pojęcia, jak wiele czasu minęło, gdy z chmury pyłu wynurzyła się postać Ignasia. Zapewne upłynęło nie więcej niż kilka minut, ale dla niej to była wieczność. Malec utykał, ale poza tym nic mu nie było. Płakał rozdzierająco, ale nie z powodu obrażeń cielesnych. Powtarzał w kółko: „Tata, tata... on umarł”. Podbiegła do synka i przytuliła go, starając się nie myśleć o jego słowach. Najpierw musiała go uspokoić i przekonać, że wielki Boguś zaraz przyprowdzi do nich Marcela.

Mimo wrzawy, która zapanowała dookoła, usłyszeli głos Bogusia:

– Jest! Jest! Doktora! Wezwijci doktora!

W pobliżu znalazło się ich nawet dwóch, jej ojciec i Paweł Szczurek. Osadkowski stał jak posąg i udawał, że nie słyszy, ale jej współlokator od razu ruszył w kierunku rumowiska.

– I tak niczego ze sobą nie mam, a ambulans nie wiadomo kiedy przyjedzie! Do naszego domu nie jest daleko, niech ktoś mi przyniesie moją torbę lekarską! – krzyknął.

Marianna podeszła do Marty i wyciągnęła z kieszeni jej płaszcza klucze, a potem popędziła w kierunku kamienicy.

Ignas nieco się uspokoił i wtedy Marta podeszła do Felicji.

– Proszę się nim zająć... Ja muszę... Ja muszę tam iść.

Kaczkanowa, która zalewała się łzami, nagle jakby oprzytomniała i wzięła na ręce wnuczka, a potem obsypała go pocałunkami. Po chwili zaś powiedziała:

– Żeby tylko Marcel przeżył...

Marta niewiele widziała, bo gęsty pył wciąż unosił się w powietrzu i co chwilę potykała się o jakieś cegły, fragmenty ościeżnic czy wystające druty. W końcu ich zobaczyła. Marcela, którego głowa przypominała krwawą miazgę, Pawła pochyłego nad jej małżonkiem i stojącego obok Bogusia z latarką, który zawodził jak małe dziecko odstawione nagle od piersi.

– Paweł, czy on żyje? – wymamrotała, kucając przy Marcelu, którego całe ciało pokrywała gruba warstwa pyłu. Wyglądał, jakby ktoś obsypał go wapnem. Jedyne

w okolicy głowy ujrzała krwawą plamę.

– Żyje, ale od razu ci powiem, że dobrze nie jest. Nie został przygnieciony, ale oberwał fragmentem ściany.

– Powiedz, że będzie żył, proszę... – jęknęła błagalnie.

– Nie mogę na tę chwilę mu pomóc. Zaraz przyjedzie karetka i w szpitalu obejrzą obrażenia. Nie potrafię niczego konkretnego powiedzieć. Ledwie co widzę.

– Będzcie żył – wychlipał Boguś. – I ni gadaj głuptactw, bo ci w mazak zamalują.

Uklękła przy Marcelu, chwyciła jego dłoń i zaczęła mówić:

– Kochany mój, nie możesz mnie zostawić, słyszysz? Nie możesz mnie tak zostawić z trojgiem dzieci. Jak ja sobie bez ciebie poradzę? One mnie wykończą. Tak samo jak rodzice i Kaczkanowe. Zostanę sama jak ten palec. Tak bardzo cię kocham, ale przecież ty o tym wiesz...

Przemawiała do niego, mimo że wcale nie była pewna, czy ją słyszał. Doktor Szczurek przysłuchiwał się jej słowom i patrzył na nią dziwnym wzrokiem. Jakby zazdrościł rannemu mężczyźnie, że ten może coś podobnego usłyszeć z ust Marty. Może to nie była właściwa chwila, ale w tym momencie Marta uświadomiła sobie, że Paweł naprawdę był w niej zakochany. Nigdy wcześniej coś takiego nie przyszło jej do głowy, a jego uwagę wobec niej uważała za przejaw uprzejmości, a kto wie, może nawet litości. Teraz jednak patrzył na nią tak, jakby właśnie obdzierała go ze złudzeń.

Ambulans przyjechał po kilkunastu minutach i zabrał Marcela do szpitala. Żona chciała pojechać razem z nim, ale sanitariusze nie chcieli jej zabrać. Powiedzieli jedynie, że odwożą pacjenta do szpitala Wszystkich Świętych. Na szczęście nie miała do niego daleko, ale nie wiedziała, czy powinna pójść tam od razu, czy może zając się synkiem, który wciąż był w szoku. Zresztą i jego stopę należało opatrzyć.

Felicja Kaczkanowa, która przeżyła chyba jakieś objawienie, powiedziała: – Ignasiowi nic nie jest, a gdy wrócimy do domu, doktor obejrzy mu nóżkę. Jedź do męża, a ja się będę modliła, żeby wyszedł z tego cało. Osłonił własnym ciałem mojego Ignasia! Uratował mu życie! I mnie, bo ja bym nie przeżyła, gdyby mojemu wnusiowi coś się stało.

Liczyła, że coś podobnego usłyszy od rodziców, ale ci byli zajęci jedynie uspokajaniem Ignasia, o jej mężu nie powiedzieli ani słowa. Ani matka, ani ojciec nie za-

proponowali jej, że pójdą z nią, by czuwać przy Marcelu, a może raczej przy sali operacyjnej, bo jak powiedział Paweł, na pewno nie wystarczy zwykły opatrunek.

Poszła z Bogusiem, który zamiast ją pocieszać, popadł w przygnębienie i co chwilę wybuchał szlochem. Prawdę mówiąc, wcale jej to nie pomagało. Przeciwnie, zaczynała tracić nadzieję.

Szpital, który także został nieco zniszczony podczas oblężenia Breslau, już częściowo wyremontowano i działało w nim kilka oddziałów. Jednak podobnie jak wiele instytucji we Wrocławiu w tym czasie sprawiał wrażenie prowizorki.

Kolejny raz straciła rachubę czasu. Wydawało się jej, że mijają godziny, gdy tymczasem jej zegarek wskazywał, iż upłynęło zaledwie dwadzieścia minut. Wgapiała się w drzwi, za którymi walczone o życie Marcela, i czekała, aż ujrzy w nich lekarza, który powie jej, że mąż wyjdzie z tego, a obrażenia nie były tak poważne, jak się wydawało.

Nie potrafiła powiedzieć, jak długo siedzieli z Bogusiem na korytarzu przed salą szpitalną, gdy wreszcie drzwi zaskrzypiały i ujrzała lekarza w białym kitlu poplamionym krwią. Mężczyzna otarł pot z czoła i oznajmił:

– Założyliśmy mu dwadzieścia szwów, powinien z tego wyjść, ale być może będzie miał problemy ze wzrokiem.

– Całkowicie będzie ślipunder^[48]? – zapytał z trwogą Boguś.

– Nie wiem – odparł lekarz i rozłożył bezradnie ręce.

Po chwili zniknął za kolejnymi drzwiami, a im pozostało się tylko modlić.

21.



Wrocław, 1947

Brigitte Mause nie skorzystała z propozycji Ilse Schlesinger, by ta u niej zamieszkała do czasu, aż znajdzie dla siebie inne lokum. Jednak postanowiła posłuchać rady Andrzeja i przyjechała do Wrocławia. Najpierw udała się do stosownego urzędu i teraz nazywała się Brygida Mauzer. Podobnie zrobił jego kumpel z pracy i choć nazwiska zmieniać nie musiał, teraz nakazał mówić do siebie „Heniek”.

Polskie władze, które niejako zmuszały pozostałych na obecnych terenach Niemców do spolszczenia swoich imion i nazwisk, pragnęły nade wszystko wypełnić wolę Stalina, by Polska stała się krajem jednorodnym etnicznie. Andrzej widział w tym jednak inne zalety. Autochtoni budzili wśród przybyłych na Ziemię Odzyskane ludzi agresję. Trudno się było dziwić, w końcu Trzecia Rzesza zgotowała im piekło na ziemi, ale on nie myślał jak inni. Chyba działo się tak dlatego, że przez całe lata miał za miedzą Ukraińców i nie patrzył na nich przez pryzmat ich narodowości. Jednych lubił czy szanował bardziej, innych mniej. Nawet rzeź, której dokonali ukraińscy chłopcy wraz z sotniami UPA, nie zmieniła jego postrzegania. Miał niegdyś żonę Ukrainkę i nie wyobrażał sobie, że mógłby ją obwiniać za poczynania jej pobratymców.

Tak samo było z Niemcami. Zaznał od nich wielu krzywd, podobnie jak Nadeńka, ale nie wrzucał wszystkich do jednego worka. Nigdy nie ubliżył na przykład Ilse Schlesinger, czego nie można było powiedzieć o jego sąsiadach. Emilia powiedziała mu pewnego dnia, że nigdy nie zakochałby się w Niemce. Myliła się, to nie miało dla niego znaczenia.

Brigitte także była ofiarą tej wojny. Najpierw musiała się zmierzyć z niechęcią rodziców do jej wybranka, który miał nieszczęście urodzić się Polakiem, a potem Helmuth Zorke go zakatował. I to tylko dlatego, że Brigitte nie chciała wyjść za te-

go oprawcę w zamian za wolność ukochanego. Teraz dręczyły ją wyrzuty sumienia tak potężne, że jedynym jej marzeniem było podzielenie losu kochanka. Osadkowi był przekonany, że gdyby Nadia nie zdecydowała się na ślub z Fiodorowem i przez to Andrzej, a co gorsza Wissarion straciłoby życie, także obwiniałaby siebie, a nie kata.

Maksim nie był durniem. Mógł wspaniałomyślnie podarować mu wolność, żeby zdobyć Nadie, bo doskonale wiedział, że ich małżeństwo należy już do przeszłości. Jednak Wissariona Zinowjewa nie mógł zostawić przy życiu, bez względu na złożone obietnice. Zapewne doskonale wiedział, że tylko zakochany do szaleństwa mężczyzna jest w stanie zamordować człowieka, który skrzywdził jego wybrankę. A Wissarion zrobił to w Nikołajewce z Woroszyłowem, nie bacząc na konsekwencje, które mogą go spotkać za ten czyn.

Brigitte dostała zakwaterowanie na Biskupinie. Nic nadzwyczajnego, po prostu dokooptowali ją do jakiejś polskiej rodziny, która nie mogła się połapać, czy panna Brygida Mauzer jest Polką, czy Niemką. Mówiła dobrze po polsku, ale miała twarde akcent. Polacy zza Buga, którzy lekko zaciągali, brani byli za Ukraińców, a niektórzy Niemcy za Polaków. Jakby teraz miało to jakiegokolwiek znaczenie.

Jego nowa znajoma otrzymała posadę ekspedientki w prywatnej piekarni, ponieważ przepisy mówiły, że Niemcy nie mogą być zatrudniani w państwowym handlu i w kilku gałęziach usług, ale nie narzekała, mimo że należała do osób dość solidnie wykształconych. W końcu tatuś dyplomata zadbał, by skończyła najlepsze szkoły i zdała maturę. Najpewniej kontynuowałaby edukację na jednym z niemieckich uniwersytetów, ale panna Mausse postanowiła postawić się rodzicom i wbrew ich woli wyjść za polskiego oficera. Wybuch wojny pokrzyżował ich plany, ale dla rodziców Brigitte byłaby to doskonała okazja, by wydać ją za prawdziwego Niemca, lojalnego funkcjonariusza gestapo, i wysłać na studia.

Emilia wciąż narzekała, że mimo zdanej matury musi pracować jako kasjerka, ale Brigitte się cieszyła, że w ogóle dostała jakąś posadę. Jego nowa znajoma zachowywała się tak, jakby właśnie się urodziła i wszystko, co widziała dookoła, było dla niej nowe i atrakcyjne.

Spotkali się w jednej z kawiarni. Andrzej dopiero wtedy mógł ze stuprocentową pewnością stwierdzić, że ma do czynienia z kobietą ze zdjęć znalezionych pod gruzami jednej z wrocławskich kamienic. Włosy doprowadziła do ładu, a nawet odwiedziła fryzjera, sukienka z UNRRA zaś zdecydowanie bardziej podkreślała jej kobiecość niż łachmany, które nosiła na wsi.

Usiadła przy stoliku i uśmiechnęła się do Andrzeja.

– Wiesz co? Jesteś moim aniołem. Znalazłam się w piekle, a ty mnie z niego wyciągnąłeś. Nie dość, że straciłam ukochanego, to jeszcze żyłam z poczuciem winy, iż przyczyniłam się do jego śmierci. Miałeś rację od samego początku. Powinnam obwiniać oprawcę, a nie siebie. Dziękuję ci po stokroć.

– Aniołem? – Zmieszał się, ponieważ wcale tak o sobie nie myślał. Był prawie pewny, że gdyby Brigitte nie była tak urodziwa, wyrzuciłby i listy, i fotografie i nawet nie zastanawiałby się nad jej losem. A potem poznał ją i poczuł, że oboje są rozbitkami na jakimś morzu szaleństwa i nie wiedzą, w którą stronę popłynąć, żeby odnaleźć szczęście i zacząć żyć w zgodzie ze sobą. – Może po prostu masz słabość do polskich oficerów.

– Byłeś oficerem, a teraz pracujesz na budowie? – zapytała nieco zdziwiona.

– Jakby to powiedzieć...? Walczyłem w innym wojsku niż ludowe. Nie chciałem służyć w szeregach armii, którą dowodzono z Moskwy. Stałem się podejrzanym elementem.

– Czytałam w gazetach o procesach ludzi, którzy tworzyli podziemie niepodległościowe w Polsce. I powiem ci, nie rozumiałam, dlaczego nęka się tych, którzy pomogli Sowiecom wygrać tę wojnę.

– Pewnie dlatego, że nie chcieliśmy mieć w kraju ani Hitlera, ani Stalina. Obawiali się, iż na nowo stworzymy podziemne państwo, tylko wróg się zmieni. Brigitte, zostaliśmy perfidnie oszukani przez Rosjan – westchnął. – Dlatego im nie ufam.

– Ja tym bardziej. Widziałam na własne oczy, co robili, gdy przybyli na te ziemie... Chociaż na pewno istnieją jacyś porządni Rosjanie.

– Na pewno, ale ja nie miałem okazji poznać nikogo takiego. – Uśmiechnął się do Brigitte.

Dostrzegł w jej oczach iskiereki radości. Już nie patrzyła na niego przeraźliwie smutnymi oczami, tak jakby naprawdę powróciła z piekła. Trudno było nazwać

powojenny Wrocław niebem, ale na pewno było tu lepiej niż w jej starej chałupie. Przynajmniej miała jakiś kontakt z ludźmi, bo we Wrocławiu zostało jeszcze trochę Niemców. Mogła pójść na kawę chociażby z Ilse Schlesinger albo... z nim.

– Poznałam w sklepie kobietę, która przybyła tu z Warszawy. Podobno jest tam dużo gorzej niż tutaj.

– To prawda. Nie miałem okazji zobaczyć na własne oczy, co zrobiono z naszej stolicy, ale gazety wciąż o tym piszą.

– Nie czytałam polskich gazet, gdy zaczęły się ukazywać. Żyłam w kompletnej izolacji... Dom, cmentarz...

– Do tej pory się zastanawiam, co ty właściwie jadłaś.

– Miałam trochę zapasów i pieniędzy. Jeszcze do czterdziestego szóstego w okolicy mieszkało wielu Niemców, zawsze pomogli, a przynajmniej nie traktowali jak wroga. Do końca się łudzili, że będą mogli zostać na swojej ziemi. Teraz pewnie oddychają z ulgą, bo tutaj nie czekałoby ich nic dobrego. Potem dali mi kartki... Jakoś przeżyłam.

– Mogłem wyjechać z żoną do Anglii. Tam mieszka jej ojciec i zapewne na starcie by nam pomógł, ale nie potrafię się na to zdobyć. Wszystko się w moim życiu zmieniło, bo świat się zmienił. Kiedyś byłem oficerem, synem ziemianina z ambicjami i także byłego oficera, a największą tragedią dla moich rodziców były niewłaściwe mariaże ich dzieci. Marta, moja siostra, zakochała się w ubogim chłopaku, a ja w Ukraince.

– Twoja żona jest Ukrainką? – zapytała, marszcząc brwi.

Zapewne była zdziwiona, bo opowiadał jej o Emilii, ale nie wspominał o Nadii. W jego rodzinie małżeństwa trwały przez całe życie i wszelkie odstępstwa od tego traktowano jako wielki wstyd. Kościół nie uznawał rozwodów, więc dla nich druga żona była stawiana na równi z kochanką.

– Moja pierwsza żona – bąknął.

– Nie próżnowałeś...

– Tak się nam dziwnie życie poukładało. Nadia także mieszka we Wrocławiu, co spędza sen z powiek Emilce.

– Ja byłabym spokojna, gdybym miała takiego męża jak ty – odparła Brigitte i się zawstydziała, jakby właśnie palnęła głupstwo.

Andrzejowi natomiast zrobiło się przyjemnie, bo ostatnio odnosił wrażenie, że wszystkich zawiódł. Rodziców, ponieważ bronił honoru Nadeńki jak niepodległości, i Emilkę, bo nie potrafił jej uszczęśliwić i sprawić, żeby zaczęła mu ufać.

Dostrzegł zmieszanie Brigitte i postanowił obrócić wszystko w żart.

– Chyba się obrażę. No ale troszkę zazdrosna to byś mogła być.

– Może bym była, ale nigdy byś się o tym nie dowiedział. – Uśmiechnęła się do niego.

– Oczywiście żartuję. To, że mam drugą żonę, nie oznacza, że jestem bawidamkiem. Nie biegam za spódniczkami.

Te słowa zabrzmiały nieco fałszywie. W końcu zainteresował się losem Brigitte tylko dlatego, że spodobała mu się na zdjęciach i rozczuliło go jej pełne smutku spojrzenie. Tak nie zachowuje się szczęśliwie zakochany człowiek. Nie szuka nowych znajomości ani przygód i nie interesuje się innymi kobietami. Brigitte zdołała go odrobinę poznać i wiedziała, że czuł się samotny, mimo iż był żonaty, a obok siebie miał oprócz swojej połowicy także rodziców i siostrę.

– Wierzę, że tak jest – powiedziała kobieta. – Nigdy nie zdradziłbyś żony.

– Właśnie. – Uśmiechnął się kwaśno.

Przypomniały mu się początki znajomości z Emilią. Bardzo chciał się jej podobać i robił wszystko, by jej zaimponować. A jednak wciąż był wierny Nadii i uwiódł pannę Lamparską dopiero wówczas, gdy stało się jasne, że jego małżeństwo jest właściwie martwe, a żona dała mu coś w rodzaju błogosławieństwa. On także zwrócił jej wolność, żeby mogła bez skrępowania kochać mężczyznę, który był wpisany w jej życie od dzieciństwa.

– Jeszcze raz dziękuję ci za wszystko. I tak będę cię uważała za swojego anioła, bez względu na to, jak bardzo będziesz się krygował – powiedziała z naciskiem. – A teraz muszę już iść, bo spóźnię się do pracy. Dzisiaj mam zmianę od czternastej.

Z wielkim żalem żegnał się z Brigitte. Mimo że panna Mausse była kobietą po przejściach i miała swoje problemy, czuł spokój w jej towarzystwie. Nie obawiał się, że go skrytykuje albo zechce narzucać mu własne zdanie.

Wyszedł na ulicę i podążył w stronę domu. On już miał fajrant, więc nie śpieszył się zbyt. Ostatnio coraz mniej chętnie wracał do siebie, choć Emilia już mu nie ciosała kołków na głowie jak kiedyś i stała się dla niego obrzydliwie miła. Mógłby się z tego cieszyć, gdyby nie to, że wyczuwał w jej zachowaniu nieszczerłość. Jakby

udawała, że akceptuje jego pomysły, wybory i decyzje. Był przekonany, że gdy się złamie i zapisze do partii, wyrzekając się swoich dawnych ideałów, stanie się dla niej człowiekiem słabym i pozbawionym zasad.

Rok czterdziesty siódmy powoli odchodził do przeszłości, a on nie potrafił optymistycznie patrzeć w przyszłość.

Gdy się zbliżał do placu Strzeleckiego, gdzie roiło się od byle jak skleconych budek i ludzi chcących coś kupić lub sprzedać, a może raczej wymienić jedne sprzęty na inne, ktoś mu położył dłoń na ramieniu i mocno ścisnął. Przestraszył się i gwałtownie odwrócił.

– Masz takie przerażenie w oczach, jakbyś ducha zobaczył – powiedział ze śmiechem Wasyl.

Byli przyjaciółmi od niepamiętnych czasów, chociaż nadszedł taki moment, gdy ich wzajemna sympatia zamieniła się w niechęć i musiało dojść do tragedii, żeby na powrót zaczęli ze sobą normalnie rozmawiać.

– A jednak Kaczkanowa dobrze widziała i naprawdę przyjechałeś do Wrocławia – odparł ze śmiechem i uściskał przyjaciela. – Złożyła na ciebie donos na milicję.

– Jakby mało mi było szpicli z UB. Ale nie martw się, Wasyla Zinowjewa mogą szukać do upojenia.

– Dlaczego nie zwiąłeś od razu do amerykańskiej strefy? Im więcej czasu mija, tym staje się to trudniejsze – zainteresował się Andrzej.

– Właściwie nie miałem pojęcia, co ze sobą zrobić. Przyjechałem tu z innymi straceńcami, potem zarejestrowano mnie w Urzędzie Repatriacyjnym i wysłano do pracy. Byłem sam jak palec i dopiero niedawno spotkałem dawnych kumpli z OUN-u.

– Cieszę się, że przeżyłeś, ale uważaj na siebie, bo Kaczkanowa następnym razem sama się na ciebie rzuci i robi aferę. A tutaj Ukraińców nie lubią. Wiem coś na ten temat, bo kiedy zajęliśmy lokal w jednej z kamienic, sąsiedzi tak o nas mówili. I bynajmniej nie z sympatią, a raczej z pogardą.

– Jeszcze mi brakowało jakiejś histeryczki – westchnął.

– Zabiłeś jej syna – zauważył Andrzej. – Trudno się jej dziwić. Na szczęście Stepan Zinowjew gryzie ziemię. W przeciwnym razie zachowywałbym się jak Felicja.

Wasył spojrział gdzieś w przestrzeń i uśmiechnął się sztucznie. Osadkowski znał swojego przyjaciela na wylot i zaniepokoił się, że ten diabeł w ludzkiej skórze, Stiepan, mógł przeżyć, a Wasył bardzo chciał zataić przed Andrzejem tę informację.

– Tak, rozumiem – bąknął bezwiednie Wasył.

– Do cholery, nawet mi nie mów, że to bydlę przeżyło i gdzieś tutaj mogę się na niego natknąć?!

– Przecież jesteś w dobrej komitywie z jego bratem. Co prawda zbałamucił ci żonkę, ale chyba ci to nie przeszkadza. – Zinowjew zrobił się kaśliwy.

– Wissarion to nie Stiepan. Tego drugiego zabiłbym bez wahania, mimo że jest bratem Wiszy. Myślę jednak, że tylko formalnie, bo twój starszy kuzyn już wie, kto zamordował mu żonę, a ukochaną pobił i znieważył – odparł Andrzej i znowu zobaczył to dziwne zmieszanie na twarzy przyjaciela. Zapewne było coś, o czym ten znowu nie chciał mu powiedzieć.

I nagle go olśniło. Może był naiwnym durniem, ponieważ Wissarion doskonale wiedział, gdzie jest jego brat i nawet miał z nim jakiś kontakt. Gdyby okazało się to prawdą, kochanek Nadii nie mógłby już liczyć na jego pomoc. Nie zamierzał dawać wsparcia komuś, kto chronił tego bezwzględnego mordercę.

– Ja zabiłem ci szwagra. Jestem taki jak Stiepan – wytknął mu Wasył.

– Wiem, jak również to, że uratowałeś życie Marcie. Był moment, kiedy mogłeś się mnie pozbyć z tego świata na zawsze, a jednak nie zrobiłeś tego i starałeś się, by rzezie się skończyły. Młody Zinowjew do samego końca zachowywał się, jakby mu całkiem odbiło. Zresztą z nim nigdy się nie przyjaźniłem i nie dostał taryfy ulgowej, jak ty.

– Andrzej, zostaw to. Pewne sprawy są już historią – powiedział ścisłym głosem Wasył, jakby chciał nieco uspokoić Andrzeja, ale to jedynie rozsierdziło jego przyjaciela.

– Naprawdę sądzisz, że można o tym zapomnieć? O zmasakrowanych ciałach kobiet, dzieci i starców? O spalonych i splądrowanych wioskach, o barbarzyństwie, które zgotowała nam UPA? Wasył, choćbym bardzo chciał, nie wymażę tych obrazów z pamięci. Wymordowaliście całe rodziny i to w sposób, w jaki nawet hitlerowcy i Sowieci tego nie robili. Człowieku, kiedy zobaczyłem moją siostrę, myśla-

łem, że wpadła w jakiś stupor i nigdy się nie ocknie. A Marcel? Miał tylko dziadków. Tego nie można zapomnieć, żadną miarą! – Andrzej się zirytował.

Wasył mówił o rzeziach na Wołyniu i w Galicji, jakby jeden drugiemu odbił dziewczynę na potańcówce. I to dawno temu.

– Więc na co czekasz? Tutaj się kręci wielu tajniaków i funkcjonariuszy MO. Zamkną mnie, a potem albo sami odkryją, kim jestem, bo oni potrafią wszystko wyciągnąć z człowieka, albo znajdą świadków, którzy potwierdzą, że jestem Wasylem Zinowjewem. Chociażby twoi rodzice, którzy zawsze mną gardzili, albo Fela Kaczkanowa, bo załatwiłem jej syna. To nazwisko jest jak przekleństwo, od razu mnie rozstrzelają albo powieszają. Na co czekasz? – powiedział z goryczą Wasył.

– Nie obwiniam cię o wszystkie zbrodnie UPA i nie zamierzam cię wydać. Jeśli jednak spotkam na swojej drodze Stiepana, nie zawaham się ani chwili, żeby na niego donieść. No chyba że wcześniej sam go zamorduję – wysyczał.

Wasył nie odpowiedział. Stał przez chwilę wpatrzony w potok nędznie odzianych ludzi, którzy próbowali zamienić jakieś fanty na żywność. Milczał i to nie podobało się Andrzejowi. Wolałby, żeby jego przyjaciel dokonał innego wyboru i przestał kryć tego siepacza z UPA, który należał do największych zwyrodnialców, jakich wydała na świat matka ziemia.

Pożegnał się chłodno z przyjacielem i ruszył w stronę ulicy Stalina. Nie zapytał Wasyła ani gdzie ten mieszka, ani gdzie pracuje, ani jakie miał plany na przyszłość. Nie zaproponował też kolejnego spotkania. Był rozgoryczony jego postawą, ponieważ sądził, że jego przyjaciel nie będzie chronił tego potwora, Stiepana Zinowjewa. Równie duży zawód sprawił mu Wisza. Andrzej narażał siebie i swoich bliskich, by ułatwić mu schadzki z Nadeńką, a on udawał, że nienawidzi swojego brata i ma gdzieś, czy ten żyje, czy nie.

Czuł zawód, bo i Wasył, i Wissarion okazali lojalność swojemu ziomkowi, a nie Andrzejowi. Tyle warta była ich przyjaźń. A jeśli tak, postara się dzięki nim dotrzeć do tego zwyrodnialca i odegra się na nim. Pomogą mu w tym Marcel i Boguś, których zamierzał poinformować o swoich podejrzeniach. Jeśli pozostali członkowie klanu Zinowjewów nie potrafili rozprawić się z tym gnojem, musiał wziąć sprawy w swoje ręce.

Niestety, nie zdołał porozmawiać na ten temat ani z Bogusiem, ani też z Marcelem, ponieważ spotkała ich rodzinna tragedia. Najpierw zaginął Ignaś, jego mały

siostrzeniec, a potem ściana jednego z pogruchotanych przez artylerię budynków runęła na Lemańskiego. Przeżył, ale istniała obawa, że jego szwagier straci wzrok na zawsze. Już i tak miał problemy z ręką, w którą postrzelili go Ukraińcy, a teraz miałby jeszcze oślepnąć? To nie byłoby tylko jego tragedia, ale także Marty. Miała troje dzieci, nie pracowała, a na swoich rodziców liczyć nie mogła. Zresztą i oni mieli ograniczone możliwości, podobnie zresztą jak Andrzej.

22.



Wrocław, 1948

Wissarion Zinowjew sądził, że spotkania w stolarni mają na celu wyłącznie zaplanowanie ucieczki do Monachium. We Lwowie zapewne załatwiliby sobie niemieckie papiery i wyjazd nie nastręczyłby im problemu. Jeszcze na początku czterdziestego siódmego całe hordy Niemców udawały się do swojej ojczyzny, a w takim tłumie najłatwiej było się ukryć, ale w tym celu potrzebowali odpowiednich kwitów. Tutaj nie mieli koneksji w półświatku, poza tym przestępcy we Wrocławiu nastawieni byli głównie na szaber, a nie na fałszerstwa. Złodzieje byli niczym szarańcza. Jeśli cokolwiek dawało się spieniężyć lub wymienić na inny, bardziej chodliwy towar, zabierali to. Po co im więc było parać się podrabianiem dokumentów, jeśli chętnych na takie rzeczy nie było zbyt wielu. Gdyby znał ludzi, być może i tutaj znalazłby dojścia, ale jedynymi znajomymi była grupka Ukraińców ze stolarni. Niedobitki UPA przyjeżdżały na Ziemię Odzyskane pod zmienionymi nazwiskami, ponieważ obawiali się represji ze strony polskiej i sowieckiej władzy, trudno więc było odnaleźć innych ziomków z ich organizacji, którzy mogliby im pomóc.

Wissarion sądził, że na spotkaniu dowie się czegoś konkretnego, gdy tymczasem plany jego pobratymców były jeszcze w powijakach. Dopiero szukali znajomości, które umożliwiłyby im wyjazd z kraju bez zwracania na siebie uwagi. Dość poważnym problemem była także dość duża niechęć do Ukraińców. We Wrocławiu i okolicach mieszkało wielu Polaków z Kresów Południowych, którzy doskonale wiedzieli i pamiętali o zbrodniach ukraińskich nacjonalistów i przez to ich niechęć objęła każdego, kto legitymował się taką narodowością.

Ich środowisko było nieustannie inwigilowane przez Urząd Bezpieczeństwa. Nigdy nie było wiadomo, na kogo się trafi. W końcu nie każdy Ukraińiec był miłośnikiem OUN-u czy UPA. Wielu z jego rodaków mieszkało w Związku Radzieckim

od początku jego istnienia i przesiąkło bolszewizmem, jak on zapachem proszku DDT. A tacy mogli ich pogrążyć. Jeśli wpadliby w ręce bezpieki, już nie wyszliby z tego cało. Ciążyły na nich nie tylko zbrodnie, ale także współpraca z Trzecią Rzeszą.

Zawiedziony, wyszedł przed warsztat, żeby zapalić papierosa. W stolarni nie mogli tego robić, bo wystarczyłaby iskra, żeby całe wnętrze poszło z dymem. Niedługo potem dołączył do niego Wasyl i powiedział:

– Osadkowski nie odpuścił twojemu bratu. Podobnie jak Marcel.

– Oni są przekonani, że Stiepan podzielił los innych mu podobnych i nie żyje – odparł bez żadnego lęku Wissarion. Zapewne dlatego, że przyszłość brata nie była jego największym zmartwieniem.

– Myślę, że Andrzej się czegoś domyśla... Spotkałem go i... – zaczął niepewnie Wasyl.

– I sprzedałeś Stiepana – westchnął Wissarion, ale wcale nie był wściekły, a jedynie zawiedziony, bo teraz potrzebowali spokoju i wsparcia ze strony każdego, kto zechce im go udzielić.

– Niczego mu nie powiedziałem, ale znamy się jak łyse konie i kiedy gadał o Stiepanie jak o trupie, musiał widzieć moją minę. Wydaje mi się, że mi nie uwierzył, gdy zapewniałem go, iż nie mam pojęcia, co dzieje się z twoim bratem. Mówię ci o tym na wypadek, gdybyś kiedyś się z nim spotkał. – Wasyl się jękał, jakby prosił ojca wybranki o jej rękę.

Zapewne miał ogromny dylemat – Osadkowski był jego najdawniejszym przyjacielem, ale Stiepan należał do rodziny i nie bardzo wiedział, jak to pogodzić w swoim sercu. Wisza rozumiał go bardziej niż ktokolwiek inny. Kochał brata i jednocześnie nienawidził. Niekiedy życzył mu śmierci, ale gdy ten był jej bliski, zrobił wszystko, żeby go uratować. Stiepan zamordował mu żonę, a mimo to pomógł mu uciec. Patrzył z pogardą, jak jego brat traktował śliczną Klarysę, ale nie zamierzał więcej jej odwozić od związku ze Stiepanem. Gdyby nie Wasyl, Stiepan zamordowałby także Nadję, uznając ją za zdrajczynię, a on piastował go od rana do wieczora, gdy trafił ranny do jego chałupy pod Leskiem. Niekiedy się zastanawiał, co jeszcze złego musiałby zrobić jego braciszek, by Wissarion odciął się od niego na zawsze i wyrzekł się go.

– To mój brat, trudno, żebym go wydał UB. Andrzej musi to zrozumieć – bąknął pod nosem.

– Musi? Osadkowski potrafił wiele wybaczyć mnie czy tobie, ale nie Stiepanowi. Myślę, że gdybyś teraz potrzebował od niego pomocy, nie udzieliłby ci jej. Andrzej wygląda na bardzo spokojnego i zrównoważonego faceta, ale ja go znam. Jeśli coś sobie postanowi, dopnie swego.

Wasył wciąż ostrzegał go przed Osadkowskim, ale Wisza nie wierzył, że ten mógłby mu zaszkodzić. Nie z uwagi na niego, ale na Nadię, której zawdzięczał życie. Ułatwianie im spotkań najpewniej również wynikało z faktu, że pragnął w ten sposób spłacić swój dług wobec byłej żony. Poza tym Wisza wiedział o czymś, o czym nikt z otoczenia Osadkowskiego nie miał pojęcia. Brigitte Mause z pewnością nie była dla niego tylko ubogą, szykanowaną kobietą, której chciał pomóc z dobroci serca. Zbyt często bywał w jej chałupie, a potem namówił ją, by się przenieśli do Wrocławia. Tę parę coś łączyło, ale to nie była jego sprawa. Jeśli jednak Wissarion wiedział o tym, to oznaczało, że Andrzej mu ufał, pomimo swoich podejrzeń.

Kompletnie zbagatelizował słowa Wasyla. Wciąż myślał o ucieczce, inne sprawy uznając za zbyt błahe, by mógł się nimi przejmować.

– Myślałem, że dzisiaj padną jakieś konkrety, ale widzę, iż jesteśmy w powijakach, jeśli chodzi o wyjazd do Monachium.

Wisza zmienił temat, ponieważ ucieczka z Nadią i Oleńką była dla niego najważniejsza i tylko o tym chciał rozmawiać. Z tą pierwszą mógł się chociaż widywać od czasu do czasu, ale na córkę mógł popatrzeć jedynie z daleko. Dobijało go, że nie tylko nie może jej przytulić i powiedzieć, jak mu się trudno bez niej żyje, ale także musiał się przyglądać, jak ten bydlak Fiodorow przywiązuje dziewczynkę do siebie. Im dłużej to trwało, tym trudniej będzie Oleńce przywyknąć do prawdziwego ojca. Miał nadzieję, że Nadia pomoże jego córce przejść przez ten dramatyczny moment, ale wiedział, że im szybciej ją wyrwą z ojcowskich ramion Maksima, tym szybciej o nim zapomni.

– Nie mamy znajomości i ciągle nas szpiclują. Boją się, gnoje. – Wisza wyczuł w głosie Wasyla coś na kształt dumy.

– Tobie pomógł Marcel. Myślę, że to człowiek, który mógłby coś zdziałać w tej sprawie.

– Widzę, że jesteś zdesperowany i pleciesz głupstwa. Jeśli Andrzej powie Le-mańskiemu, iż znasz miejsce pobytu Stiepana, nie tylko ci nie pomoże, ale cię po-grąży.

– Podpytam Nadię, jak się sprawy mają. Może jeszcze nie wie o Stiepanie – od-parł Wissarion, myśląc o kolejnym spotkaniu z ukochaną.

Co prawda, nie mogli zbyt długo ze sobą rozmawiać w magazynach komitetu, żeby nie wzbudzić podejrzeń, ale tyle mógł jej powiedzieć i poprosić ją o rozezna-nie w sytuacji.

Wasył milczał przez dłuższą chwilę, a potem wypalił:

– Wissarionie, pomysł, żeby wyjechać stąd z Nadią, jest bardzo ryzykowny. Uło-żyła sobie życie z Fiodorowem, przywykła do niego i zdaje się, że brakuje jej jedy-nie ptasiego mleka. On zwariował na jej punkcie, jeśli będzie miał chociaż cień po-dejrzenia, że pragnie od niego zwiać, wszyscy wpakujemy się w kłopoty. Jak długo zajmie pułkownikowi NKWD odkrycie, że żaden z nas nie jest tym, za kogo się po-daje? Myślę, że niedługo. Pójdziemy siedzieć, a potem czeka nas proces. Za mniej-sze przewinienia żołnierze z polskiego podziemia dostawali czapę. Nas także nie oszczędzą. A Nadia? Ten człowiek zgotuje jej piekło na ziemi. Może uchroni ją przed stryczkiem...

Wissarion mu przerwał. Miał dość słuchania z każdej strony, że wpadł na szalo-ny pomysł i ryzykuje życiem wielu ludzi. Nieraz ocierał się o śmierć z powodu ob-cych i miałby odpuścić, gdy w grę wchodziły najbliższe jego sercu osoby? Nie mu-sieli nadstawiać za niego karku. Ani jego ukraińscy krewni, ani przyjaciele z ka-mienicy przy Stalina. Każdy trząśł portkami, a on miał zrezygnować ze wszystkie-go, zostawić nieszczęśliwą Nadię w łapach Fiodorowa i zniknąć z jej życia? Chciał to zrobić, ponieważ sądził, że nie ma wyboru, ale najwyraźniej Bóg miał dla niego inny plan.

– Dajcie mi wszyscy święty spokój i przestańcie mnie pouczać! – krzyknął. – Czy to Stiepan cię na mnie napuścił? A może Andrzej Osadkowski? Nigdy już nie zo-stawię Nadii samej. Nigdy! Choćbym miał za to zapłacić życiem. Ono bez Nadii i mojej córki i tak jest gównem warte. Późno zdałem sobie z tego sprawę, ale lepiej późno niż wcale! Nie zechcecie mi pomóc, sam znajdę sposób, byśmy mogli we troje się stąd wydostać!

Przestał nad sobą panować, bo każdy, kogo uważał za przyjaciela, rzucał mu kłody pod nogi i odradzał ucieczkę z Nadią i córką. Wszyscy byli mądrzy i udzielali mu wspaniałych rad, bo sytuacja nie dotyczyła ich. Andrzej się ożenił i nie musiał się z nikim dzielić swoją żoną, a Wasyl był wolny jak motylek i mógł sobie znaleźć kobietę gdziekolwiek. Podobnie jak Stiepan, bo Wisza był przekonany, że jego brat pozbędzie się ze swojego życia Klarysy, gdy tylko przestanie mu być potrzebna. Żaden z nich nie miał dzieci, więc nie rozumieli jego rozpacz. Dopuszczał się zbrodni na dyrektorze sierocińca, żeby odnaleźć Oleńkę, i odpuścił jej poszukiwania dopiero wówczas, gdy zobaczył, że dziewczynką zaopiekowała się Nadia. Jednak to było jego dziecko, mieszkało kilka kroków stąd, a on miał rozważać, czy powinien zaryzykować z nimi ucieczkę.

Pożegnał się z Wasylem i wrócił do domu. Ze Stiepanem nawet nie chciał zamienić słowa. Nawet tutaj jego brat usiłował wbić klin pomiędzy niego i Nadię. Miał w nosie, jak traktował Klarysę, jeśli ta się na to godziła, ale nie życzył sobie, by ten zdeprawowany gówniarz układał mu życie. Mógł zrozumieć Andrzeja, bo w istocie Maksim Fiodorow był niemal wszechmocny, a Osadkowski ryzykował, organizując im schadzki, ale nie Stiepana. Przecież powiedział mu, że wyruszą, gdy reszta znajdzie się poza granicami Polski, więc czego jeszcze od niego chciał?

W willi na Biskupinie czekał na niego obiad i wpatrzona w niego jak w obrazek Genowefa. Podziękował jej za przygotowanie posiłku i usiadł za stołem. Był tak wściekły, że w ogóle się nie odzywał, mimo iż zazwyczaj ucinał sobie z Kurzepą miłą pogawędkę. Chciał jej sprawiać przyjemność, ale wołał nie robić tego w łóżku. Nigdy więcej. Tego dnia jednak był tak nabuzowany złością, że jedno niewłaściwe pytanie Genowefy albo jakaś aluzja nawiązująca do ich wzajemnych relacji sprawi, że wybuchnie i powie coś, czego nie powinien mówić.

– Jak ci minął dzień? – zapytała trochę niepewnie. Widocznie musiała zauważyć jego minorową twarz.

– Dobrze – burknął.

– A gdzie byłeś po południu?

W normalnych okolicznościach zmyśliłby coś naprędce, ale nie tym razem.

– A co cię to obchodzi? – Ton jego głosu był bardzo nieprzyjemny.

– Martwiłam się – wydukała nieco skonsternowana obcesowym zachowaniem Wissariona.

– Nie proszę, żebyś się o mnie zamartwiała. I nie życzę sobie, abyś wściubiła nos w nie swoje sprawy. W robocie, którą otrzymałem dzięki tobie, zachowuję się wzorowo, więc nie musisz się za mnie wstydzić. Jednak nie musisz wiedzieć, co robię, gdy skończę swoje obowiązki! Przestań mnie nagabywać, o czym myślę, dokąd idę i dlaczego pewnego dnia nie wróciłem na noc! Zostaw mnie w spokoju, słyszysz?! Nie chcę twoich obiadków, nie musisz prac moich rzeczy ani interesować się moim życiem! Jeśli nie odpowiada ci taki układ, poszukam pokoju na mieście!

Genowefa patrzyła na niego z otwartą buzią. Po raz pierwszy usłyszała od Wisariona takie słowa. Być może dotychczas uważała, że troska i zainteresowanie, które mu okazywała, odpowiadały jej lokatorowi, a nawet oczekiwał tego od niej.

Wbijał w nią swój zimny wzrok i miał nadzieję, że Kurzepa nie zaleje się za chwilę łzami. Potem doszedł do wniosku, że w zasadzie jest mu wszystko jedno, w jaki sposób zareaguje Genowefa. Wciąż musiał coś udawać i być dla wszystkich uprzejmy, żeby nikt nie poczuł się urażony. Owszem, Kurzepa bardzo mu pomogła, ale to nie oznaczało, że musi przez resztę życia znosić jej maślane spojrzenie, słodkie słówka i ciągłą troskę o niego, która z każdym dniem stawała się coraz bardziej męcząca.

– Nie chcę, żebyś się wyprowadzał – odparła zduszonym głosem, tak jakby miała się rozpłakać, ale resztki godności jej na to nie pozwalały.

– Widzisz, a ja chcę bardzo, tylko nie mam dokąd – warknął.

– Myślałam, że jest ci tu dobrze – jęknęła z rozpaczą w głosie.

– To źle myślałaś. Daj mi spokój, a oboje będziemy szczęśliwsi. Pomogę ci w ciężkich domowych pracach, narąbię drewna czy napalę w piecu, ale nic poza tym. Żadnych wspólnych posiłków, wieczornych pogaduszek i spacerów po zmroku! Ani żadnych igraszek w łóżku!

Wiedział, że zachował się podle, ponieważ mógł pewne kwestie rozwiązać w sposób bardziej dyplomatyczny, a przynajmniej mniej brutalny, niż to uczynił przed chwilą. Jednak taki miał charakter. Jeśli wpadał w złość, obrywało się każdemu, kto się do niego zbliżył. Podejrzewał, że gdyby tego popołudnia spotkał Nadie i jej by się dostało. W końcu nie musiała wychodzić za tego bydlaka, ale uciec z nim

i dzisiaj byliby już małżeństwem, wychowywali Oleńkę i martwili się przyziemnymi sprawami. Ona zaś wybrała los dziewczki Maksima Fiodorowa.

Wcale by się nie zdziwił, gdyby Genowefa Kurzepa postanowiła wypędzić go z domu i uprzykrzyć mu życie w każdy możliwy sposób. Dobrze zdawał sobie sprawę, że zawiedziona kobieta, którą pozbawiono wszystkich złudzeń, potrafi zachowywać się w sposób nieobliczalny. Nie zamierzał jednak przeproszać swojej gospodyni, a przynajmniej nie tego dnia.

Kolejny raz upił się bimbrem, żeby zapomnieć o swoich problemach, jednak tym razem Kurzepa nie odważyła się przyjść do niego w przezroczystym peniarze, by namówić go na łózkowe harce. I bardzo dobrze, bo mógłby ją sprać na kwaśne jabłko, a potem brutalnie wyrzucić ze swojego pokoiku.

Genowefa chyba była przerażona słowami, które z siebie wyrzucił poprzedniego wieczoru, bo następnego poranka nie odezwała się do niego ani słowem. Po południu zaś, gdy wróciła z pracy, wręczyła mu kartkę z adresem. Tyle już potrafił przeczytać po polsku.

– To adres pewnej zacnej rodziny. Jest tam jeden wolny pokój, jutro załatwię ci przydział – oznajmiła sucho.

Popatrzył na karteczkę i zamarł. Miałby bowiem zamieszkać w kamienicy, w której osiedlili się Osadkowscy i Lemańscy. W miejscu, w którym umawiał się z Nadią na schadzki i w którym większość osób sądziła, że już dawno pożegnał się z życiem, pozostali zaś brali go za handlarza węglem. Nie miał wyboru i musiał przeprosić Kurzepę. Na szczęście wściekłość mu nieco przeszła i doszedł do wniosku, że bez względu na wszystko i tak powinien poprosić ją o wybaczenie za paśkudne słowa, którymi ją uraczył poprzedniego dnia.

Zmiał w dłoni kartkę i powiedział ciepło:

– Przepraszam, Genowefo. Po prostu nie nawykłem, by ktoś mnie kontrolował i przejmował inicjatywę. Zrozum, należę do mężczyzn, którzy nie siedzą u nikogo pod pantoflem, jednak zachowałem się haniebnie. Zwłaszcza po tym, co dla mnie zrobiłaś. Pozwól mi tu jeszcze zostać przez jakiś czas.

– Ja też cię przeproszam. Miałam nadzieję, że ty także coś do mnie poczujesz, ale uzmysłowiłam sobie w końcu, iż nigdy to nie nastąpi. Jesteś grubo młodszy

ode mnie, piękny jak malowanie, a ja... Gdybym wyszła za mąż, teraz piastowałabym swoje wnuki. Dobrze, zostań, ale jeśli poproszę, żebyś się wyniósł, wiedz, że to nie będzie zemsta za nieodwzajemnione uczucia. Po prostu będzie to oznaczało, iż ja nie mogę poradzić sobie z własnymi.

– Dobrze, rozumiem – odparł cicho. Gdyby nie fatalny zbieg okoliczności i otrzymałby inny adres, już pakowałby swój tobolek. Nie mógł jednak zamieszkać w tej kamienicy co Lemańscy i Osadkowsy, a nawet na tej samej ulicy. – I jeszcze raz proszę, wybacz mi moje słowa.

Uśmiechnęła się ironicznie.

– Oczywiście, że ci wybaczę. W końcu miałam okazję usłyszeć, co naprawdę o mnie myślisz. To nie było przyjemne, ale nie chcę już wyglądać w twoich oczach jak desperatka.

– Dobrze wyglądasz w moich oczach, ale nie tak, jakbyś chciała.

– Przywykłam, że nie mam szczęścia do mężczyzn. Widocznie taki mój los. Zawsze byłam aktywna zawodowo i społecznie i przegapiłam moment, kiedy inne kobiety w moim wieku zajęte były szukaniem męża – westchnęła. – Może to i lepiej, że to mleko się rozlało. Po cichu liczę na to, że kiedy już się ode mnie wyniesiesz, przynajmniej będziesz mnie wspominał z sympatią, a nie ze zgrozą.

Żal mu się zrobiło Kurzepy.

– Gieniu, bardzo cię lubię, ale męczy mnie udawanie, że coś może z tego być. Nie chciałem cię urazić i zachowywałem się tak, jakby pewne rzeczy były możliwe. I wcale nie chodzi o twój wiek czy aparycję, ale w moim sercu dawno temu zadowoliła się inna kobieta. Kocham ją bardzo i nigdy nie przestanę. Byłem tak młody, gdy się w niej zakochałem, że nawet nie wiedziałem wówczas, co czuję.

– To dlaczego nie jesteś z nią, tylko mieszkasz ze mną? – zapytała bez żadnej złośliwości. Może ulżyło jej nieco, że została odepchnięta przez mężczyznę nie z powodu swojej pospolitej urody i męczącego charakteru.

– Ona nie żyje – skłamał. – Zginęła w czasie wojny. Wiem, że powinienem ruszyć dalej, znaleźć sobie inną miłość, ale dla mnie ta rana jest tak świeża, jakby ona umarła wczoraj.

Ścisnęła jego dłoń.

– Przykro mi, Wiktorze.

– Mnie też. – Uśmiechnął się smutno.

Tak, pewnego dnia Nadia dla niego umarła. Jednak wszystko się zmieniło i nie zamierzał składać broni. W Monachium czy gdzie indziej, może nawet w Ameryce, będzie mógł jej zapewnić normalną, chociaż pozbawioną luksusów egzystencję. Wiedział jednak, że dla Nadii wygodne życie nie miało znaczenia. Nie dlatego pewnego dnia od niego odeszła. Ona po prostu nie chciała się dłużej bać. Teraz postanowił, że już nigdy jej na to nie pozwoli.

23.



Wrocław, 1948

To, co trzymało ją teraz przy życiu, to kilkuminutowe spotkania z Wissarionem w magazynach komitetu. Czekala na te chwile jak na zbawienie. W pewnym momencie się zorientowała, że szykuje się na nie staranniej niż zazwyczaj. Chciała być dla niego piękna, pragnęła, by tym razem się im udało, i miała nadzieję, że Wisza zrobi wszystko, co w jego mocy, by mogli być razem. Nie chciała się zastanawiać, czy sobie poradzą w innym kraju, ani nawet nad tym, jak wytłumaczą Oleńce pewne sprawy. Po prostu miała przed oczami tylko ten jeden cel i była gotowa każdego dnia oszukiwać Maksima, zwodzić go, usypiać jego czujność i odgrywać rolę doskonałej małżonki czy namiętnej kochanki. Kiedy traciła siły i miała ochotę wykrzyknąć prawdę mężowi, myślała sobie, że to się kiedyś skończy i nie będzie już musiała niczego udawać i nikogo okłamywać.

Niestety, jej mąż zauważył, że na wyjścia do magazynu pełnego starych szmat szykuje się jak na jakiś ważny raut.

– Jak na pracę w magazynie jesteś bardzo elegancko ubrana – zauważył któregoś razu.

Zmieszala się i zaklęła w duchu. Naprawdę była idiotką.

– Nigdy nie wiadomo, kiedy zjawi się prasa. Nie chcę wyglądać na zdjęciach w gazetach jak kocmołuch – wybrnęła.

– Rozumiem, kochanie, ale jeśli będziesz się tak stroić, ludzie wezmą cię na języki i będą gadali, że żyjesz jak wielka pani, a nie jak wszyscy inni. A ty raczej powinnaś pokazać, iż dzielisz los tych, którzy tu przybyli z jedną walizką – wyjaśnił.

– Masz rację, przepraszam. – Zrobiła słodką minę. – Nie pomyślałam o tym. Jestem okropna.

– Daj spokój, uwielbiam, gdy wyglądasz elegancko, ale wystarczy, że będziesz się stroiła dla mnie. Co innego, gdy idziemy do kina albo na jakieś oficjalne spotkanie, ale ty teraz pracujesz ze zwykłymi robotnikami i lepiej, abyś zbytnio się nie wyróżniała.

– Oczywiście. – Uśmiechnęła się do niego sztucznie, a potem starła z ust szminke. Zdjęła prawie nową sukienkę z krepy i założyła tę, w której wychodziła po zakupy czy po córkę do szkoły.

Maksim podszedł i ją przytulił. Zapewne sądził, że uraził Nadię, i chciał ją nieco udobruchać.

– Nie dąsaj się, ale chcąc pomóc innym, nie możesz jednocześnie wpędzać ich w kompleksy. A te kobiety, które z tobą pracują, zaraz przestaną cię lubić. Wystarczy, że jesteś ładniejsza od każdej z nich – powiedział ciepło.

Miała ochotę krzyknąć, by przestał ją obłapiać. Niebawem miała zobaczyć Wisariona, czekała na ten moment, kiedy muśnie ją dłonią albo pocałuje ukradkiem, albo chociaż popatrzy na nią z miłością swoimi pięknymi ciemnymi oczami. Czułości małżonka były jej w tej chwili najmniej potrzebne.

– Naprawdę nic się nie stało. Masz słuszność, zachowałam się jak burżujka.

– W domu możesz się tak zachowywać. – Uśmiechnął się. – Ale dla ludzi postronnych musisz być proletariuszką.

Nie chciała mu mówić, że wożenie się limuzyną po mieście i ubieranie córki w nowe ubranka, gdy inne dzieci chodzą w starych łachach, nie ma nic wspólnego ze stylem życia, o którym mówił Maksim.

Odsunęła się od niego i burknęła:

– Przecież przeprosiłam.

– Nie musiałaś mnie przeproszać, bo mnie nie uraziłaś. Ja tylko zwróciłem ci uwagę – odparł spokojnie.

Naprawdę nie miała powodu, by zachowywać się w tak unizony sposób, ale się bała, że pewnego dnia Maksim zabroni jej chodzić do magazynów i straci ostatnią okazję, żeby widywać Wissariona.

Pojawił się kilka minut przed czwartą. Podszedł do niej, by odebrać pakunki z ubraniami na następny dzień. Przyjechał dość późno, więc po magazynie nie kręciło się zbyt wiele osób i mogli zamienić ze sobą kilka słów.

Nadia udawała, że wciąż coś dokłada do pakunków, i powiedziała:

– Jak dobrze cię widzieć, Wisza.

– Nadeńko, ja żyję dla tych chwil, inaczej popełniłbym jakieś szaleństwo.

– Kiedy uciekniemy? – zapytała, bo była już nieco zniecierpliwiona oczekiwaniem na wyjazd.

– Nie wiem – odparł. – Posłuchaj, muszę się spotkać z Marcelem Lemańskim. Myślę, że już nawiązał stosowne znajomości i będzie mógł mi pomóc bardziej niż moi ukraińscy koledzy. Możesz mu powiedzieć, że żyję.

– On już wie, ale na razie nie możesz się z nim zobaczyć. Marcel miał wypadek, został przygnieciony przez gruz i doznał poważnego urazu głowy. Kiedy ostatni raz rozmawiałam z Martą, mówiła, że być może jej mąż nigdy nie odzyska wzroku, a wówczas nie będzie w stanie nam pomóc – powiedziała z westchnieniem.

– Dawno u nich byłaś?

– Jakoś tak przed Nowym Rokiem – odrzekła. – Teraz nie mam już takiej dużej motywacji, żeby ich tak często odwiedzać. – Ostatnie zdanie wypowiedziała z wyrzutem. Naprawdę brakowało jej tych intymnych spotkań z Wissarionem.

– A możesz znowu ich odwiedzić i zapytać, jak się sprawy mają? To twój przyjaciel, który uległ wypadkowi, zatem twój mąż nie będzie czynił ci wyrzutów, że bywasz na Stalina częściej niż zazwyczaj. – Wissarion chyba był równie zniecierpliwiony, co ona.

Nie odpowiedziała, a jedynie skinęła głową. Nie chciała mówić Wissarionowi, że jej rzadkie wizyty są spowodowane czymś innym...

Kiedy ostatnio odwiedziła Martę, natknęła się na Eugeniusza Osadkowskiego, a ten poprosił ją o chwilę rozmowy. Była tak zdenerwowana tym faktem, że nawet nie zwracała uwagi na pogrążoną w bólu przyjaciółkę.

– Dobrze, że żyje. O nic więcej nie prosiłam Boga – chlupała Lemańska.

– Jednak zdajesz sobie sprawę, że jeśli Marcel straci wzrok, będziesz musiała iść do pracy. Porozmawiam z mężem, niech ci załatwi jakąś dobrą posadę. Skończyłaś lwowskie gimnazjum, nie będziesz musiała pracować w fabryce – zaoferowała pomoc Nadia.

– On będzie widział... On musi widzieć – powiedziała z naciskiem. – Nie chodzi o mnie ani o to, że musiałabym pracować, ale dla niego to będzie gorsze od śmierci. Ciągłe utyskuje, że ma sztywną rękę, więc pomyśl, co poczuje, gdy się okaże, iż nigdy nie ujrzy już ani mnie, ani swoich dzieci.

– Marta, ale zanim dojdzie do siebie po takim ciężkim urazie, może upłynąć nawet kilka miesięcy. I jak sobie poradzisz? Chcesz się zdać na łaskę rodziców? Oni sami ledwie przędą, podobnie jak Kaczkanowa. Kiedyś żyli jak paniska, ale teraz dzielą los tych, którymi się kiedyś wysługiwali – powiedziała.

– Mówisz jak ci komuniści na wiecach partyjnych – wytknęła jej Marta, bo kiedyś sama korzystała z majątku rodziców, a potem męża. Tymczasem Nadia, która teraz żyła jak pączek w maśle, mówiła coś podobnego.

Od razu zmieniła ton.

– Oczywiście, że wszystko się ułoży. Chciałam tylko, żebyś wiedziała, iż możesz na mnie liczyć – powiedziała cicho i przytuliła przyjaciółkę.

– Wiem, Nadio, i przepraszam. Odkąd Marcel uległ wypadkowi, jestem kłębkiem nerwów. Jedyna dobra rzecz, która z tego wynikła, to zupełna przemiana Felicji Kaczkanowej. Jest tak wdzięczna Marcelowi za uratowanie życia jej wnuczko-
wi, że ciągle biega do niego, do szpitala. Powtarza każdemu, kto chce słuchać, że Marcel to bohater i człowiek gołębiego serca. Miałam nadzieję, że i ojciec zmieni o nim zdanie, ale on się zachowuje tak, jakby czekał na jego śmierć. Uważa, iż mój ślub z kryminalistą oskarżonym o morderstwo i napad na bank to plama na honorze rodziny Osadkowskich.

– Podobnie jak żona Ukrainka i w dodatku pracująca jako parobek w majątku – westchnęła. – Marta, wiem, że masz własne problemy, ale twój ojciec poprosił mnie o rozmowę. Mam do niego pójść, gdy już zakończę swoją wizytę u ciebie, i jestem przerażona.

– Nadio, ty przynajmniej nie musisz się przejmować jego gadaniem, bo nie należysz już formalnie do rodziny, ale on będzie moim ojcem do śmierci – jęknęła Lemańska.

Marta miała słuszość – niepotrzebnie się denerwowała. Eugeniusz Osadkowski nie był już jej teściem, ona nazywała się Fiodorow i nie mógł jej rozstawiać po kątach. Nie żywiła do doktora żadnych cieplejszych uczuć i nie musiała mieć takich dylematów jak jej przyjaciółka czy Andrzej.

– Masz rację, w końcu to dla mnie obcy człowiek. – Wzruszyła ramionami.

– Poza tym jedno twoje słowo i Maksim narobi mu problemów. – Marta zaśmiała się nerwowo.

– Przestań tak mówić. Nie wykorzystuję pozycji męża, żeby niszczyć życie nieprzychylnym mi ludziom – obruszyła się.

Zaczynało ją irytować, że jej przyjaciele tak bardzo obawiali się Fiodorowa. Zwłaszcza że Marcel znał go od lat i od dawna robił z nim interesy. To oczywiste, że pułkownik miał władzę i mógł bardzo wiele, ale nigdy nie odważyłaby się z tego korzystać. Wystarczało, że zadręczało ją sumienie z powodu Bernarda Stawickiego, który być może stracił życie z jej powodu.

– Przecież żartuję, ale gdyby bardzo ci lżył, możesz go troszeczkę postraszyć. – Marta naprawdę musiała mieć głęboki żal do ojca, jeśli zaproponowała Nadii coś podobnego.

– Wariatka! – Zachichotała. – Andrzej obdarłby mnie ze skóry.

– Raczej by się ucieszył, gdybyś zeszła z języków Osadkowskich i jego żonki.

– A co Emilka ma do mnie? – zdziwiła się Nadia.

– Jak to co? Jesteś sto razy ładniejsza od niej, byłaś żoną Andrzeja, a teraz on jest gotów wydrapać oczy każdemu, kto powie o tobie złe słowo. Ona pewnie myśli, że mój brat jest wciąż w tobie zakochany.

– To jakiś żart?

Marta nie odpowiedziała, jedynie machnęła ręką, jakby nie miała ochoty wchodzić w szczegóły. Nadia zdawała sobie sprawę, że w mieszkaniu pod piątką ją obgadują i komentują w niewybredny sposób jej małżeństwo z pułkownikiem NKWD, ale zapewne Marta nie chciała sprawiać jej przykrości i powtarzać obelżywych słów, które padały pod jej adresem z ust państwa Osadkowskich i Emilii.

Mimo że nie powinna się bać byłego teścia, miała nogi jak z waty, gdy zadzwoniła do drzwi. Otworzył je osobiście i zaprosił do pokoju Andrzeja. Ani jej byłego małżonka, ani jego połowicy nie było w domu, więc mogli swobodnie porozmawiać.

Usiadła na tapczanie i powiedziała z rezygnacją w głosie:

– Zatem słucham, panie Osadkowski.

– Kiedyś nazywałaś mnie tatą – wytknął jej.

– Tak, ale myślę, że to było uciążliwe zarówno dla pana, jak i dla mnie. Sądzę, że Emilka sprostала pana oczekiwaniom i nie zżyma się pan, gdy tak do pana mówi – powiedziała hardo.

– Posłuchaj, Nadio... To, co robisz ze swoim życiem, mnie nie interesuje, ale jak najbardziej interesuje mnie mój syn. Z twojego powodu dochodzi do ciągłych awantur pomiędzy nim a Emilią. Być może wasz związek i uczucia są przeszłością, ale nie dla mojej synowej. Nie chcę robić ci wykładu ani wyrzucać czegokolwiek, ale mam prośbę, żebyś zostawiła ich w spokoju. A nade wszystko mojego syna. Jeśli lubisz go chociaż trochę, a myślę, że tak jest, nie rozbijaj jego małżeństwa. – W głosie doktora Osadkowskiego zabrzmiała niemal desperacja.

– Ja nie rozbijam ich małżeństwa... – jęknęła. – Sądziłam, że dla Emilii wszystko jest jasne.

– Wyszłaś za tego... za tego człowieka, żeby ratować Andrzeja. Doceniam to, ale dla mojej synowej był to sygnał, że między tobą a moim synem wciąż tli się jakieś uczucie.

– To bzdura! – zaprzeczyła gwałtownie.

– Wiem, bo nigdy nie kochałaś mojego syna, ale Wissariona Zinowjewa. Wyszłaś za Andrzeja, bo marzyły ci się lwowskie salony zamiast cuchnącej obory, ale mój syn był zbyt zakochany, bym mógł postawić sprawę na ostrzu noża.

– Zaprosił mnie pan do siebie, żebym musiała wysłuchiwać, jak bardzo mnie pan nienawidzi? – zapytała z żalem w głosie.

– Nie, poprosiłem cię o rozmowę, żeby ratować syna. Jeśli więc nadal go lubisz, przestań się z nim spotykać. Nawet w towarzystwie Emilii. Ich związek jest bardzo kruchy, w czasie wojny rzadko się widywali i nie zdążyli się dobrze poznać, twoja obecność wcale im nie pomaga w cementowaniu małżeństwa. Proszę cię o to jako zatroskany ojciec. – Osadkowski zmienił ton.

– Tylko co ja mu powiem, jeśli kiedyś się spotkamy, a on zapyta, dlaczego go unikam? Że pan mnie o to prosił? – zapytała.

– Jesteś sprytna, Nadio. Zawsze możesz powiedzieć, że to twój mąż jest zazdrośny.

– Sprytna... – westchnęła. – W pana ustach zabrzmiało to jak obelga.

– Przesadzasz. – Osadkowski się zmieszał. Zapewne planował ukryć swoją niechęć do Nadii, by dopiąć swego i zakończyć jej przyjaźń z Andrzejem, ale nie bardzo mu to wychodziło. Jego pogarda wobec niej była silniejsza od miłości do syna, a może raczej do synowej.

– Dobrze, zrobię to, o co pan prosi. Jeśli jednak spotkam Andrzeja na mieście, nie będę od niego uciekała. I wyjaśnię mu powód, dla którego zerwałam z nim wszelkie kontakty.

– Mam nadzieję, że nie powiesz mu o naszej rozmowie. Nigdy by mi tego nie wybaczył – powiedział błagalnym tonem doktor.

– Nie powiem, bo wiem, jak bardzo by go to zraniło – odparła, a potem podniosła się z tapczanu i opuściła mieszkanie.

Były teść nawet nie zaproponował jej herbaty.

Przypomniała sobie tę przykrą rozmowę, bo teraz, nawet gdyby chciała, nie mogła poprosić Andrzeja o zorganizowanie schadzki. Pragnęła dla niego szczęścia i nie pogodziłaby się z faktem, gdyby z jej powodu rozpadło się małżeństwo młodych Osadkowskich.

Wgapiła się w Wissariona i marzyła, by kochał się z nią tu i teraz.

– Patrzysz na mnie jak na święty obraz – powiedział.

– Uwierz, moje myśli są raczej godne potępienia aniżeli świętości. – Uśmiechnęła się do niego czule, a potem zamarła jak posąg.

Z oddali zobaczyła stojącego w drzwiach magazynu Maksima Fiodorowa.

24.



Wrocław, 1948

Dobra wiadomość była taka, że Marcel Lemański odzyskał wzrok. Zła, że wszystko widział podwójnie. Lekarze powiedzieli, że to cud i powinien być dobrej myśli, iż z czasem wszystko powróci do normy. Podobnie nazywało się to diplopia czy jakoś tak. Kto by spamiętał te naukowe nazwy.

Męczące to było tak bardzo, że nawet nie potrafił się cieszyć, iż widzi cokolwiek. Pocieszał się jednak, iż pewnego dnia, kiedy po długim śnie otworzy oczy, znowu zobaczy normalny, pojedynczy świat.

– Martusiu, jest ci teraz cwaj – powiedział podczas odwiedzin żony. Chciał ją jakoś pocieszyć, bo bez przerwy płakała i użała się nad nim.

– Naprawdę się cieszę, że widzisz. Bałam się, iż nie będziesz mógł obserwować, jak rosną twoje dzieci. No i jak ja się starzeję – wychlipała.

– Gorzyj jak tu Felicja ze słoikami przyłazi. Cwaj Kaczkanowe to dla mni za dużo. Jakby mi mało jednyj było. – Uśmiechnął się półgębkiem.

– Moja teściowa jest teraz zakochana w tobie jak we własnym synu. Codziennie gotuje ci zupy, opowiada sąsiadom o twoim bohaterstwie i krzyczy na mojego ojca, gdy tylko ten powie o tobie coś niepochlebnego. – Zachichotała.

– A co si jej stało? Świrka dostała?

– Uratowałeś życie Ignasiowi. To dlatego tak się jej odmieniło. – Marta w końcu przestała się mazać.

– A ona musi tak codziennie tutaj przychodzić? – zapytał niepewnie.

– Dba o ciebie.

– O Jezusiku Nazareński, wykończy mni. Ty si ni daj nabrać. Ona wi, że mi na nerwy działa i dlatego tu przyłazi. Ja ci gadam, żyj tak specjalnie, cobym kojfnął

czym prędzej – jęknął.

– Nieprawda. – Marta zaczęła się śmiać. – Ona nam wszystkim życie zatruwa, żebyśmy ci codziennie coś dobrego szykowali do szpitala. Jakby od dobrego jedzenia miał ci się wzrok naprawić.

– A co doktory gadają? Inu mi tu prawdę mów jak na spowiedzi. Zawsze będę cwaj Felicji widział? Jak ja będę prowadził auto?

– Boguś też potrafi jeździć samochodem, on cię zastąpi. I lepiej widzieć po-dwójnie niż wcale.

– Niby tak, ale mi się tak w głowie miesza...

– Najdroższy, za kilka dni wychodzisz ze szpitala.

– Z tymi czterema oczami? – zdziwił się Marcel.

– Wolisz tu poczekać, aż ci normalne widzenie wróci? A jeśli to potrwa kilka miesięcy?

– Prawda, lepiej w domu. Za bajbusami si stęskniłem. Jak noga Ignasia?

– Już zapomniał, że miał ją trochę poturbowaną. Ale na podwórze boi się sam wychodzić. Michaś też się przeraził tym wypadkiem, bo jak idą we dwóch, to pilnuje brata jak oka w głowie. Marysia jak Marysia, nie drze się tylko przy cycku. Mam już coraz mniej pokarmu, a ona ciągle chce jeść. Muszę jej zacząć normalne mleko dawać.

– A tyn Szczurek to ci ni zaczypia?

– Przestań, Marcel. – Zmieszała się. – Jak cię ta ściana przygniotła, pierwszy na ratunek poleciał.

– Ni Boguś? – Marcel zmarszczył brwi.

– Boguś pobiegł pierwszy, ale Szczurek zaraz za nim.

– A teść? Pewno czekał, aż si do Jezuska uśmiechnę.

– Nie przejmuj się nim. Ja wreszcie dałam sobie spokój. Tyle lat żyłam z myślą, że nie mam już ojca, więc i teraz się bez niego obejdę.

Machnęła ręką, jakby relacje z ojcem wcale jej nie obchodziły. Marcel wiedział jednak, że jego żona bardzo przeżywa całą sytuację.

– A sąsiady? Ktoś si nowy wprowadził albo wyprowadził?

– Marcelek, pytasz, jakbyś ze dwadzieścia lat w szpitalu przeleżał. Nic się w naszej kamienicy nie zmieniło. No może tylko tyle, że codziennie ktoś mnie zaczepia

i o twoje zdrowie pyta. Już nie szepczą po kątach, żeś miał wyrok za morderstwo i napad na bank. Mówią, żeś bohater, a Felicja utwierdza ich w tym przekonaniu. Uznali, że Jadźka wszystkich oszukała i teraz na nią wilkiem patrzą.

– W końcu si Fela na coś przydała. – Uśmiechnął się do Marty.

Lubił, gdy żona go odwiedzała i opowiadała, co dzieje się w rodzinie i w ich kamienicy. Gorzej było, gdy ona wychodziła, a do sali wkraczała Felicja Kaczkanowa. Razem z nim leżało jeszcze kilku chłopów i zazdrościli mu takiej serdecznej teściowej. Byli przekonani, że to matka Martusi. Nawet mu przyjemnie było, jak nazywała go bohaterem i najlepszym człowiekiem na świecie. Mniej, gdy poprawiała mu co chwilę poduszkę albo usiłowała nakarmić jak zniedołężniałego starca. Co chwilę też latała do doktorów i wypytywała, kiedy będzie mogła zięcia zabrać do domu.

Z powodu przemiany Felicji trochę się obawiał wyjścia ze szpitala. Słabo mu się robiło na myśl, że gdy będzie zdrowiał we własnym łóżku, Kaczkanowa nie wyjdzie od nich z kwatery, tylko furt i ciągiem^[49] będzie u nich siedziała. Teraz musiał mówić, że spać mu się chce, bo inaczej chyba by ją trzeba siłą od niego wyganiać. Pokrzykiwała na salowe i pielęgniarki, a niekiedy nawet i na doktorów, że nie dbają o niego należycie.

Jedna siostrzyczka, całkiem fertyczna blondyna, zapytała go któregoś dnia:

– Ta pana teściowa to taka zawsze?

– Ni, ja ni wim, co si jej stało. Zawsze na mni wykliniała, a teraz jakby ni ta sama. Może tyż jej co na głowę spadło, jak si ta ściana zawaliła?

– Jest strasznie męcząca – westchnęła dziewczyna.

– Mnie to mówisz, pani ładna? Karmi mni jak dzieciaka i co chwilę znosi jakieś frykasy. Zaraz mi bańtuch urośnie pod brodę i mni Martusia, znaczy moja żonka, kantem puści. Taki jedyn si na nią zasadza...

– Niedługo pan wyjdzie. Wszyscy odetchniemy...

– Inu ni ja – mruknął Marcel.

Naprawdę był nieco przerażony postawą teściowej Marty. Nie zamierzał opowiadać, że to dla niego obca baba, bo jeszcze bardziej ludziska ze szpitala zaczęliby ją podejrzewać o chorobę umysłową. A może nawet pomyśleliby, że jej się na jakieś amory zebrało.

Któregoś razu odwiedził go nawet Maksim Fiodorow. Przyszedł z obstawą, narobił zamieszania, a gdy sobie poszedł, nikt już z Lemańskim gadać nie chciał. Pewnie myśleli, że i Marcel się na czerwono całkiem przemalował.

Pułkownik przysiadł na taborecie w zarzuconym na ramionach białym fartuchu i zapytał oficjalnym tonem:

– I jak się czujecie, towarzyszu Lemański?

Aż mu się ciepło zrobiło, gdy to usłyszał, bo był pewny, że te słowa dotarły do pozostałych pacjentów, którzy leżeli razem z nim w sali. Skrzywił się, jakby ktoś go dźgnął igłą w pośladek. Fiodorow musiał to zauważyć, bo uśmiechnął się półgębkiem i od tej chwili przestał go tytułować towarzyszem.

– A całkiem dobrze, pułkowniku. Inu podwójnie widzę. Podobnież to przejdzi, ale ni wiadomo kiedy.

– Porozmawiam z lekarzem, może trzeba jakiegoś specjalistę do ciebie przysłać.

Nie miał pojęcia, co gorsze: patrzeć na dwie Felcie Kaczkanowe czy interwencja Maksima. I po co on w ogóle tu przylazł, zamiast zadowolić się informacjami od Nadii?

– Ni trzeba – jęknął.

Fiodorow jakby nie słuchał. Patrzył gdzieś w przestrzeń i w końcu zapytał:

– Ty znałeś Wissariona Zinowjewa?

Tego jeszcze mu było trzeba. Tak się Nadeńka łajdaczyła, aż mężulek coś zważał.

– Trochę... Ni za dużo – wymamrotał.

– A rozpoznałbyś go?

– Nieboszczyka? Toż go już dawno robaki zjadły.

– A jeśli żyje? Pod koniec wojny pomyłki się zdarzały.

– A ja gadam, ży on całkiem martwy. Na śmierć – zapewnił Marcel.

Cóż innego mógł powiedzieć? Ryzykował, że jeśli cała sprawa się wyda, nie tylko straci źródło utrzymania, ale Fiodorow obedrze go ze skóry. Nie miał pojęcia, co się roilo w głowie Maksima. Czyżby przyfilował gdzieś Nadię i Wissariona? No durnowata całkowicie, jakby nie mogła dać sobie na wstrzymanie. Zinowjewowie stanowili sól w oku nowej władzy, bo wszyscy działali w UPA i każdy, kto nosił takie nazwisko, musiał się liczyć z represjami. Amnestia z poprzedniego roku objęła

ludzi z polskiego podziemia, ale nie dotyczyła UPA. W razie wpadki nic nie uchroniłoby ich przed stryczkiem. A gdy Maksim się upewni, że Wisza żyje i jeszcze mu żonkę obraca, to ze trzy razy go powiesi dla pewności.

– Może i tak jest – odparł Fiodorow bez przekonania.

– A co tyż pułkownikowi do głowy przylazło?

– Nic takiego. Ostatnio widziałem takiego draba z ciemnymi włosami w magazynach KPS-u, w których udziela się Marta w czynie społecznym. I tak jakoś mi się skojarzyło.

– Coś mi pułkownik makaron na uszy nawija. – Marcel zrobił się czujny.

– Po prostu rozmawiał z Nadią tak, jakby się znali.

– Pewni si znają. W końcu Nadeńka łązi tam ze dwa albo trzy razy w tygodniu. Powiedziałyby przecież, ży Wissarion ocalał.

– Masz rację. Zresztą sprawdziłem go. Nazywa się Wiktor Krawczenko i mieszka z jakąś babą na Biskupinie.

– No to co mni pułkownik pod włos bierze? – obruszył się Marcel. – Niby bezbożnik, a w zmartwychwstanie wierzy.

Maksim najwyraźniej postanowił zakończyć ten temat, bo zaczął wypytywać Lemańskiego, czy niczego mu nie brakuje i czy ma należyłą opiekę. Znękany pacjent pomyślał, że nawet jeśli dotychczas nie wyglądało to za dobrze, od tej pory personel zacznie go hołubić jak, nie przymierzając, samego Bieruta. I pospołu z Felcią Kaczkanową wykończą go tym niańczeniem.

25.



Wrocław, 1948

Szykowała mieszkanie na powrót męża ze szpitala. Oczywiście Kaczkanowa dyrygowała całym procesem, żeby przypadkiem Marta czegoś nie przegapiła. A to nakazała mały stolik z pokoju dziecięcego przenieść, żeby postawić przy łóżku Marcela, bo przecież jej bohater musi mieć wszystko pod ręką, to znowu kombinowała, żeby przesunąć łóżko pod okno na wypadek, gdyby mąż Marty miał chęć powygłądać sobie na miasto.

– Mamusiu, ale on może chodzić. Jak będzie chciał popatrzeć przez okno, to sobie do niego podejdzie. Nie jest zniedołężniały ani kaleki. Ma tylko problem z oczami, nie zaś z nogami.

– Musi się wyleżeć, to najlepsze lekarstwo na wszystko.

„Zwłaszcza na oczy” – pomyślała z przekąsem Marta. Wolą już chyba, gdy Kaczkanowa pomstowała na Marcela, aniżeli okazywała mu podobną troskę. Na szczęście w końcu się wyniosła, żeby obiad Marcelowi przyrządzić, a Marta usiadła na krześle i odetchnęła z ulgą.

Chwilę potem zajrzał do niej Paweł.

– Strasznie męcząca ta twoja teściowa. – Uśmiechnął się do niej.

– Wykończy mnie – jęknęła.

– Umiaru nie zna. Albo wyklina na twojego męża na czym świat stoi, albo traktuje go jak królewicza.

– Uratował jej wnuka, dlatego jej się odmieniło.

– Nic dziwnego, przecież to jego syn – powiedział Szczurek.

– Nie, Ignaś nie jest synem Marcela.

– A Michał?

– Michaś tak. – Uśmiechnęła się do doktora.

Ten chyba nie mógł załapać, jak to się stało, że to środkowy dzieciak został spłodzony przez pierwszego męża Marty. Ta jednak nie zamierzała opowiadać mu historii swojego życia. W końcu zaszła w ciążę jako panienka, a to nie był powód do dumy. W każdym razie nie dla niej.

– Nic nie rozumiem, ale nieważne. Marta... ja muszę ci o czymś powiedzieć.

Przeraziła się, bo nie chciała wiedzieć, że doktor Szczurek zauroczył się nią bardziej, niż powinien. Dość miała problemów.

– Lepiej nic nie mów – powiedziała cicho.

– Nie jestem dobrym człowiekiem – zaczął mimo jej sprzeciwu. – Przez chwilę życzyłem Marcelowi, żeby żywy nie wyszedł spod tych gruzów. Przepraszam.

– Mój mąż zrobił ci coś złego? Oprócz tego, że zabronił mi robić śniadania dla ciebie.

– Nie, ale jest twoim mężem... On, a nie ja...

Westchnęła. Tak, właśnie tego nie chciała wiedzieć.

– Pomyśl, że gdyby tak się stało, a ja bym się z tobą związała, miałbyś na głowie Kaczkanową. Uwierz, ona potrafi schłodzić uczucia każdego człowieka. Że o trójce niesfornych dzieci nie wspomnę.

Naprawdę chciała, żeby Paweł czuł do niej jedynie sympatię. Nawet, odpukać, gdyby owdowiała, byłaby bardzo kiepską partią. Kiedyś podobała się jej atencja Szczurka, ale wolałaby, żeby to nie zaszło zbyt daleko. Ona była spokojna o stan swoich uczuć. Wciąż i niezmiennie kochała męża, a po tym, co zrobił ostatnio, wręcz go wielbiła. Ignaś nie był jego synem, a jednak Marcel zaryzykował własne życie, żeby ochronić chłopca. Bardzo lubiła doktora i szczerze mu współczuła, że tak niefortunnie ulokował swoje uczucia.

– Marta, ale ja cię kocham. Bez względu na to, ile masz dzieci i jak dziwna jest twoja rodzina. – Paweł zakrył twarz rękoma.

– Myślę, że lepiej będzie, jeśli poszukasz sobie innego lokum. Może ktoś się z tobą zamieni. Bardzo cię lubię i mam wiele szacunku dla ciebie, ale jestem żoną Marcela i bardzo go kocham.

– Wiem... Nie chciałbym się przeprowadzać, ale jeśli ci przeszkadzam, to postaram się odejść stąd jak najprędzej – oświadczył.

– Myślę raczej o tobie i tym, jak się czujesz. Po prostu szybciej zapomnisz, jeśli będziesz się trzymał ode mnie z daleka, a mieszkając ze mną pod jednym dachem, będzie to trudne. – Marta naprawdę pragnęła wszystkiego najlepszego dla doktora Szczurka, nawet jeśli smutno by jej było, gdyby miała go już nie widywać.

– Nie zapomnę. I będę na ciebie czekał – oświadczył gwałtownie.

– Paweł... Ale ty nie masz na co czekać – odparła cicho.

– Wydawało mi się, że mnie polubiłaś. Te nasze śniadania... Miałaś taką rozpromienioną twarz.

– Masz słuszność, polubiłam cię, ale w moim życiu jest miejsce tylko dla jednego mężczyzny i jest nim mój mąż. Zrozum w końcu, że nie jestem dla ciebie, ale przecież możesz mieć każdą inną. – Marta nie chciała zbyt brutalnie go odtrącić.

– Uczucie do ciebie mnie uskrzydla. Straciłem wszystkich podczas wojny i chwilami żałowałem, że mnie los oszczędził. Jednak przy tobie znowu zachciało mi się rano wstawać, chodzić na dyżury, a nawet inaczej patrzeć na to zrujnowane, ponure miasto.

To nie były dobre wiadomości. Paweł naprawdę się w niej zakochał i ani myślał z niej zrezygnować. Gdyby jej mąż się o tym dowiedział, obojgu dałby popalić. Nie zamierzała jednak przyznawać się mężowi, że oto za ścianą mieszkał poważny konkurent do jej serca. I tak zamartwiała się nadmierną troskliwością Kaczkanowej wobec Marcelka. Teściowa zapewne teraz będzie częstym gościem w ich mieszkaniu i zacznie ją musztrować. Jeśli dojdzie do tego zazdrosny małżonek, Marta na pewno oszaleje.

– Nie wiem, czy powinny mnie ucieszyć te słowa czy wręcz przeciwnie – odparła niepewnie.

Paweł milczał przez dłuższą chwilę i nagle wypalił:

– Naprawdę chcesz resztę życia spędzić u boku mordercy i złodzieja?

Zdenerwowała się i syknęła:

– Właśnie tak! Bardzo lubię kryminalistów. Czuję podniecie na samą myśl, że igrzm z ogniem.

– Twój ojciec... – zaczął, ale przerwała mu. Tego było już za wiele.

– Nie wiem, czy jeszcze mam ojca, więc jego zdanie jest dla mnie bez znaczenia – fuknęła.

– Nie chciałybyś się z nim pojednać?

– A ty miałbyś mi w tym pomóc? – zapytała jadowicie, zamiast udzielić mu odpowiedzi.

– Jeśli rozwiedziesz się z Lemańskim i wyjdiesz za mnie, na pewno ci wybaczy mariaż z bandytą.

– Wolę więc żyć bez jego wybaczenia – odburknęła. – Lepiej będzie, Paweł, jeśli nie będziesz do mnie przychodził. A ja również postaram się ciebie unikać.

– Jak uważasz – odparł nieco urażony.

Kiedy jej adorator wyszedł, wpadła w złość. Rozumiała, że zakochał się nieszczęśliwie, chociaż pewnie szybciej śmierci by się spodziewała niż tego, iż stanie się wybranką przystojnego doktora, ale on usiłował poróżnić ją z Marcelem, a nawet doprowadzić do ich rozstania. To się nie godziło i poczuła zawód, bo nigdy by o podobne rzeczy nie posądzała tak szarmanckiego i kulturalnego mężczyzny.

Po powrocie Marcela pielgrzymki gości skończyły się późnym wieczorem. Nie skakała koło nich, jak wypadało, bo musiała zajmować się dziećmi. Sami robili sobie herbatę albo wykładali na talerze przyniesione choremu smakołyki.

Późnym popołudniem zjawiła się także Nadia. Przyniosła Marcelowi amerykańską czekoladę i kilogram cukru.

– Nadia, tyś twój absztyfikant pytał, czy wiesz, jak wygląda Zinowjew – powiedział grobowym tonem Marcel.

Nadia pobladła.

– Zobaczył, że rozmawiam z nim w magazynie. Oczywiście zaraz przegoniłam Wissariona, ale te kilka chwil wystarczyło, żeby mi zrobił w samochodzie przesłuchanie. Nie myślałam jednak, że wpadnie mu do głowy, iż to właśnie z Wiszą rozmawiałam.

– To ci gadam, ży mu wpadło – burknął Marcel.

– I co mu powiedziałaś? – zapytała niepewnie.

– Ży Wissarion ziemię gryzie. Ja tam ni wim, ale ty si uspokój trochę z tymi amatorami. Albo ucieknijcie do Ameryki i niech spokój będzie.

Marta wtrąciła się do rozmowy:

– Raczej wybuchnie wtedy trzecia wojna, chociaż ta druga dopiero co się skończyła.

– Już nie będzie cię więcej nagabywał – westchnęła Nadia. – Chyba uwierzył, że to zwykły pracownik.

– Ja bym taka pewna nie była – dodała Lemańska, dolewając oliwy do ognia.

– Przestań, Marta. Naprawdę staram się uważać – jęknęła Nadia.

– Dobrymi chęciami piekło jest wybrukowane – odparła złowróźnie.

– Zobaczysz, że wszystko między mną a Maksimem jest w porządku. Przyjedzie po mnie i przy okazji odwiedzi rekonwalescenta.

Przeżegnała się, bo jeszcze tylko do kompletu brakowało jej radzieckiego pułkownika z bezpieki. Jakby mało jej było Kaczkanowej, która chciała doglądać Marcela, żeby mu niczego nie zabrakło, i Jadźki szukającej każdego pretekstu, by spotkać doktora Szczurka. Teraz rodzice wyklną ją na amen.

Fiodorow zjawił się pod wieczór. Lemańska już wyobrażała sobie reakcję mieszkańców kamienicy, gdy podjechał swoim służbowym chevroletem, a potem wysiadł w polskim mundurze pułkownika Urzędu Bezpieczeństwa. Rosjanie głupi nie byli, wiedzieli, że sowiecki mundur może budzić agresję, dlatego używali polskich. Nie mieli pojęcia, że ta formacja w rodzimym wydaniu jest równie znienawiedzona, co ta sowiecka. Ludzie się bali, bo każdy mógł trafić do ich aresztu pod byle pretekstem, a tam gotowi byli przyznać się pod wpływem tortur nawet do tego, że własnoręcznie zrzucili bombę na Hiroszimę.

Ona także była pełna obaw, a to za sprawą romansu Nadii z Wissarionem Zinowjewem. Na początku ekscytował ją ten trójkąt miłosny i nie zastanawiała się nad tym, że Lemańscy mogą oberwać rykoszetem. Marcel uważał Maksima Fiodorowa za szaleńca, który był gotów wymordować pół miasta, żeby tylko nie stracić ukochanej. A Marta miała troje dzieci i niepełnosprawnego męża. Nawet nie miałyby dokąd uciec ani jak się ukryć przed takim wariatem.

Nie można powiedzieć, Fiodorow był niezwykle przystojny i bardzo szarmantki. Na swoją żonę patrzył z miłością, jakby dopiero co ją poznał. Dla Marty także był bardzo miły i chwilami nawet zapominała, kim jest. Cóż jednak z tego, jeśli za chwilę mogła wybuchnąć bomba, która zmiecie z powierzchni ziemi małżeństwo Fiodorowów, kamienicę przy Stalina i pewnie z połowę ludzkości.

Po wyjściu Maksima i Nadii Marta była pewna, że jej małżonek zacznie komentować spotkania nieostrożnej pary kochanków, ale się pomyliła. Marcel przez dłuższy czas milczał, jakby tego dnia miał już dosyć gadania. Właściwie trudno było się mu dziwić, ona także miałaby po dziurki w nosie odpowiadania wciąż na te same pytania.

– Temu twojemu doktorkowi to chyba ni w smak, żym przeżył. Jak twojemu ojcu – wypalił nagle.

Marta sprzątała ze stołu kubki po herbacie i gdy usłyszała słowa męża, jeden z nich wypadł jej z rąk. Przeraziła się, że Marcel podczas urazu głowy został obdarzony darem jasnowidzenia.

– Co ty wymyślasz? – zapytała z udawanym zdziwieniem. – Pierwszy za Bogusiem polecał, żeby ratować ci życie.

– Może inu chciał sprawdzić, czy na amen kopyta wyciągłem...

– Nie wiem, skąd ci się wzięły podobne myśli. To jakieś bzdury – zachnęła się.

– Ani razu ni zajrzał. Wszyscy przyszli, nawet Kaźmierczaki, a on ni... – Marcel jakby myślał na głos.

– Zapewne dlatego, że widział te korowody gości i chciał cię oszczędzić. Moi rodzice także nie przyszli, więc nie wszyscy cię odwiedzili. Poza tym może chciał uniknąć spotkania z Jadźką, przecież ona zakochana w nim jest jak kiedyś w Bogusiu. A teraz tylko Szczurek i Szczurek – paplała Marta.

– A mni si to ni podoba... Jak całkiem wydobrzeji, sam si z nim rozmówię – burknął Marcel.

Jakby jej mało było. Bóg chyba nie miał dla niej żadnej litości. Jeśli jej mąż naprawdę zechce rozmówić się z Pawłem, ten może się przyznać do wielkiej sympatii, którą obdarzył jego żonę, a ona przez to życia nie będzie miała. Postanowiła, że gdy tylko Marcel zaśnie, pójdzie do Szczurka i poprosi go, żeby nazajutrz przyszedł do chorego i choć kurtuazyjnie zapytał o samopoczucie. Powinna to samo zrobić z rodzicami, ale od chwili tego strasznego wypadku postanowiła, że z ojcem już rozmawiać nie będzie na żaden temat. Nie potrafiła mu wybaczyć, że nie udzielił jej ukochanemu pomocy, tylko zrobił to obcy człowiek i w dodatku konkurent Marcela.

Ojciec bywał zawzięty, ale matka zawsze ją wspierała. A przynajmniej się starała. To ona dała jej pieniądze na adwokata, gdy aresztowali Marcela we Lwowie,

a wcześniej próbowała nakłonić ojca, by wydał zgodę na jej ślub z ubogim, ale przyzwoitym Lemańskim. Teraz kompletnie poddała się woli męża i to Martę bolało najbardziej.

Pod wieczór usłyszała pukanie do drzwi. Przewróciła oczami, głośno westchnęła i poszła otworzyć. Stwierdziła, że dawno nie marzyła o tym, by dzień się skończył, a oni z Marcelem mogliby pobyć trochę sami. Otworzyła i zobaczyła na progu matkę, o której przed chwilą tak niezyczliwie myślała.

– Dobry wieczór – powiedziała niepewnie Katarzyna Osadkowska. – Mogę przywitać się z Marcelem?

– Oczywiście, mamó. – Uśmiechnęła się do niej. Poczowała ulgę, że chociaż ona potrafiła się zachować.

– Tylko jakbyś mogła nie mówić ojcu o mojej wizycie, bo wiesz, jaki on jest...

Zmarszczyła brwi.

– Wiem, mamó. I nie martw się, ja i tak z ojcem nie rozmawiam i nie zamierzam.

– Powinnaś go zrozumieć. – Matka próbowała bronić postawy męża.

– Nie było was, gdy Marcel się mną zaopiekował. I nie tylko mną, ale także dziećmi, Felicją i Jadźką, chociaż te ostatnie traktowały go podle – odparła Marta.

– Felicji się odmieniło...

– Bo się przekonała, że Marcel był gotów oddać życie za nie swojego dzieciaka. Ona w końcu przejrzała na oczy, a ojciec zachował się tak, jakby tylko czekał na śmierć mojego męża – syknęła.

– Jesteś niesprawiedliwa. Gdy twoja córka dojrzeje i przyprowadzi ci narzeczonego skazańca, też będziesz miała obiekcje.

– Mamó, nie rozmawiajmy już o ojcu. Chodź, przywitasz się z Marcelem, będzie mu przyjemnie.

Rozmowa teściowej z zięciem była krótka, kurtuazyjna i dawało się wyczuć dystans między nimi. Marta jednak się łudziła, że z czasem jej matka zaakceptuje w pełni Marcela i ten nie będzie już z nią rozmawiał, jakby starał się o posadę urzędnika.

Korowód gości zmęczył również Lemańskiego, bo odpuścił sobie dalszą rozmowę o Szczurku i zasnął niemal natychmiast po wyjściu starej Osadkowskiej. Chra-

pał jak niedźwiedź. Marta poszła do dzieci, sprawdziła, czy śpią, a potem cicho zapukała do pokoju doktora. Stał w drzwiach, ubrany w piżamę, i był mocno zdziwiony jej wizytą.

– Coś się dzieje z twoim mężem? – zapytał spanikowany.

– Nie, wszystko w porządku. Śpi. Postanowiłam z tobą porozmawiać, bo Marcel zapytał mnie dzisiaj, dlaczego nie przyszedłeś się z nim przywitać. Zaczyna roić sobie w głowie, że... – Nie dokończyła.

– Że to z twojego powodu – odparł. – Zrozum, nie mogłem. Kiedy leżałem w szpitalu, byłem taki szczęśliwy, mimo że odrzuciłaś moje awanse. Wyobrażałem sobie, że jesteśmy razem i wspólnie wychowujemy chłopców i Marysię.

– Ale on wrócił, Paweł – powiedziała cicho. – I jest moim mężem.

– Naprawdę muszę to robić? Udawać troskę albo sympatię do niego?

– Tak – powiedziała stanowczo. – W przeciwnym razie on przyjdzie do ciebie i zacznie ci zadawać niewygodne pytania.

– Prosisz o wiele – burknął.

– Naprawdę? Mieszkacie pod jednym dachem, daleko nie masz, więc wcale nie proszę cię o coś wielkiego – zachnęła się, a potem odwróciła na pięcie i udała do swojej sypialni.

Położyła się obok męża i przytuliła do niego. Doktor Szczurek był młody, wykształcony i miał maniery światowca, a jednak nie zamieniłaby Marcela nawet na niego.

26.



Wrocław, 1948

Rzadko widywał Brigitte. Nie dlatego, że nie miał na to ochoty, ale nie był w stanie niczego jej zaoferować. Nie chciał, aby panna Mausse robiła sobie jakiegokolwiek nadzieje. On także nie mógł przekroczyć pewnych granic, bo mogłoby się to dla niego zakończyć życiową katastrofą.

Nie uwodziła go, ale przecież nie mógł być pewny, co do niego czuje. A on wolał się nie zastanawiać nad tym, kim stała się dla niego Brigitte. Był żonaty i nawet jeśli tęsknił za nową przyjaciółką, dusił to w sobie. Na szczęście do jego serca i umysłu Emilka dostępu nie miała, to było tylko jego. Sekretny świat, w którym mógł być sobą, i miejsce, w którym skrywał przedziwne uczucia do Brigitte. Zakazane, ale czyste i piękne. Pełne namiętności, a jednocześnie subtelne. Nie potrafił ich określić i chyba bałby się to zrobić, bo i tak musiał w końcu je w sobie zdławić. W tej duchowej przestrzeni nie było miejsca na udawanie, kłamstwa i pretensje. I było mu w niej dobrze. Zdawał sobie jednak sprawę, że poza ów świat nic nie ma prawa wydostać się na zewnątrz. Musiał i chyba wciąż pragnął uratować swoje małżeństwo, a spotkania z Brigitte, po których unosił się kilka metrów nad ziemią, wcale mu w tym nie pomagały.

Odwiedzał ją niekiedy w piekarni, zamieniał kilka słów, by sprawdzić, czy nie popadła znowu w przygnębienie, a potem znikał jak sen złoty. To jednak nie był jedyny powód jego wizyt w miejscu pracy pani Mausse. Niekiedy, gdy myślał o Brigitte, nie potrafił sobie przypomnieć jej twarzy. Na zdjęcia także nie mógł popatrzeć, bo Emilka wyrzuciła je wszystkie na śmietnik. Nie miał prawa się temu sprzeciwić, bo przecież sam powiedział żonie, że nie usunął pudełka po panu Zorke ze zwykłego lenistwa. A on pragnął zamykać oczy i widzieć jej oczy, uśmiech, włosy...

Kiedy minęło już sporo czasu od ostatniego spotkania z Brigitte, zaproponował jej, by po południu poszli gdzieś razem i spędzili trochę czasu bez wścibskich spojrzeń innych pracowników piekarni. Zgodziła się bez wahania, ale gdy usiedli przy stoliku i złożyli zamówienie, zapytała z niepokojem:

– Andrzej, czy twoja żona wie o naszej znajomości?

– Nie, Brigitte. Są sprawy, o których nie mogę powiedzieć Emilii – odparł.

– Nie robimy niczego złego, dlatego więc musisz to ukrywać?

I jakże on teraz mógłby wytłumaczyć Emilce te wszystkie skomplikowane sprawy? Jak miałby jej powiedzieć, że kobieta ze zdjęcia jest teraz jego dobrą znajomą? Pewnych kwestii nawet sam sobie nie potrafił wyjaśnić, a co dopiero żonie o tak trudnym charakterze jak Emilia.

– Jest zazdrośnicą – odparł krótko.

– Może ma powody. – Uśmiechnęła się nieśmiało.

Postanowił zmienić temat. Nie chciał rozmawiać o żonie, tylko napawać się towarzystwem Brigitte.

– Opowiadaj. Jak ci się pracuje u piekarza, czy gospodarze cię nie szykanują i czy twoje ponure myśli i wyrzuty sumienia ucichły?

– W pracy i w mieszkaniu nic złego mnie nie spotyka. A co do reszty... To nie jest takie proste. Koszmary niekiedy powracają i przypominają mi się te wszystkie straszne chwile. I ta jedna, najgorsza, gdy Helmuth przyszedł do mnie i powiedział, że Robert nie żyje. Patrzył na moją rozpacz i nic w nim nie drgnęło. Powiedział jedynie, że już nigdy nie usłyszę miłosnych wyznań od swojego ukochanego i że skatował mojego narzeczonego, bo ten ośmielił się wyznać, że bardzo się kochamy. Może liczył, że Helmuth zlituje się nad nim, nad nami... Tak właściwie nie mam pojęcia, na co liczył Robert. Za to Zorke się chełpił, że wyeliminował swojego konkurenta, i oznajmił, iż będzie na mnie czekał, bo przecież kiedyś zapomnę o tym Polaczku. Możliwe, że miałeś rację i czas naprawdę leczy rany, ale jednego jestem pewna: nigdy nie wrócę do Helmutha, nawet jeśli żyje i wciąż coś do mnie czuje.

– Miejmy nadzieję, że wpadł w ręce Sowietów. A oni są równie bezwzględni, co Niemcy – powiedział ściszym głosem Andrzej.

– Helmuth to dziecko szczęścia. Zawsze dostawał wszystko, czego zapragnął. Raz w życiu los postanowił splatać mu figła i mnie nie mógł mieć. Myślę więc, że zdołał uciec i teraz ma się zupełnie dobrze. – Uśmiechnęła się smutno.

– Wiesz, kiedy moja pierwsza żona pewnego dnia przyznała się do zdrady i wyznała wszystkie swoje grzechy, zachowałem się zupełnie inaczej niż pan Zorke i pewnie dlatego Nadia gotowa była oddać za mnie życie.

– Jesteś bardzo wspaniałomyślny.

– Nasze małżeństwo z Nadią było nieudane. Chyba polubiliśmy się dopiero wówczas, gdy pewne sprawy między nami zostały wyjaśnione. Wydaje mi się, że dobry związek oparty jest także na przyjaźni. Nigdy nie chciałem niczego ukrywać przed Emilią, ale problem polega na tym, że ona zmusza mnie do kłamstwa. Nie jest w stanie zaakceptować prawdy. A może mi nie ufa, co też nie poprawia relacji między nami.

– Ja bym wolała wiedzieć. Wyobraźnia potrafi być gorsza od rzeczywistości – powiedziała ze śmiechem i dodała: – Zdecydowałeś się na wstąpienie do PPR-u?

– Tak, posypałem głowę popiołem, udałem, że się nawróciłem i teraz jestem miłośnikiem socjalizmu. W końcu poszedłem do komisji, gdy ogłoszono amnestię i zdałem broń, więc w oczach kacyków partyjnych wypadłem wiarygodnie. Zaproponowali mi pracę przy organizacji Wystawy Ziem Odzyskanych. To ma być jedno z najważniejszych wydarzeń w tym roku. Nie tylko lokalne, ale międzynarodowe. Ma przyjechać wielu zagranicznych gości – oznajmił z dumą.

Oczywiście, nie był dumny, że musiał wstąpić do partii i przemałować się na czerwono, ale nie będzie już pracował przy odgruzowywaniu miasta, tylko weźmie udział w ogromnym przedsięwzięciu, które zadziwi świat. Z racji tego, że władał językiem angielskim i trochę niemieckim oraz był niezłe wykształcony, zaproponowano mu pracę przy organizacji tego doniosłego wydarzenia.

– Jestem pewna, że o niemieckich mieszkańcach Breslau słowem nie wspomną. Jakież to głupie. Nie można oderwać się od przeszłości i udawać, że to wielotyśne miasto od zawsze było polskie... Nie obrażaj się na świat, że nie sprostał twoim oczekiwaniom, bo to droga donikąd, ewentualnie do frustracji i poczucia krzywdy. Pomyśl, ja nazywam się teraz Brygida i zostałam Polką. Moi rodacy nie daliby mi za to medalu, że o rodzinie nie wspomnę.

– Nie szukają cię? – Andrzej wciąż nie mógł uwierzyć, że rodzice Brigitte tak po prostu wykreślili ją z rodziny.

– Szukają... – westchnęła. – Sprawdziłam w Czerwonym Krzyżu. Nie zamierzam jednak nawiązywać z nimi kontaktu. Nie po tym, jak mnie potraktowali.

– Brigitte, przemyśl to jeszcze, to jednak są twoi rodzice. Może zrozumieli swój błąd? Napisz chociaż do nich, że masz się dobrze.

– Pewnie, a oni odpiszą. Ja zaś zacznę być podejrzana, bo otrzymuję listy z zagranicy. Lepiej niech myślą, że nie żyję. – Wzruszyła ramionami.

Andrzej widział jednak, że jego nowej znajomej jest bardzo ciężko. Zapewne się wahała, co zrobić z informacją o swoich bliskich. On też miał wiele żalu do ojca, ale cieszył się, że ten przeżył gehennę zsyłki. Wierzył, że pewnego dnia stary Osadkowski pogodzi się z pewnymi faktami i przestanie w ogóle wspominać o Nadii, zaakceptuje Marcela jako zięcia i pogodzi się ze stalinowską rzeczywistością.

Nie wiedział, dlaczego Nadia nagle zaczęła go unikać. Mógł się jedynie domyślać, że stoi za tym Fiodorow, któremu częste wizyty w kamienicy przy Stalina wydały się podejrzane. Gdy Nadia przyjechała odwiedzić rannego Marcela, Maksim osobiście po nią przyjechał. Zapewne chciał sprawdzić, czy przypadkiem w mieszkaniu Marty nie przebywa również Osadkowski. Fakt, odwiedził szwagra, ale wczesnym popołudniem i nie z uwagi na ewentualne spotkanie z Nadeńką, ale tak po prostu. Szanował tego faceta i lubił, a tym, co zrobił ostatnio Marcel, o mały włos nie tracąc życia, bardzo mu zaimponował.

Posiedzieli jeszcze jakąś godzinę i wyszli z kawiarni.

– Taki jesteś przystojny, że nawet na ulicy kobiety się za tobą oglądają – powiedziała ze śmiechem Brigitte.

– Nie zauważyłem. – Roześmiał się, chociaż jego znajoma mile połechtala jego męskie ego.

– O, ta po drugiej stronie ulicy – powiedziała cicho.

Obejrzał się i zobaczył Emilię, stojącą na przystanku tramwajowym. Patrzyła na niego z takim wyrzutem, że serce zaczęło mu walić jak oszalałe.

– To moja żona – wybełkotał.

– O Boże! – jęknęła Brigitte. – Tylko nie całuj mnie w rękę. I idź do niej. Andrzej... Proszę, nie panikuj, niczego złego nie zrobiłeś i niczego mi nie obiecywałeś. Jesteś wobec swojej żony uczciwy.

Pokiwał głową, a potem przeszedł przez drugą stronę jezdni jak skazaniec pod topór kata. Emilia miała oczy wypełnione łzami, a jej podbródek drżał. Tak jakby za wszelką cenę nie chciała się rozplakać na dobre. Zapewne z uwagi na to, że jego małżonka nie lubiła okazywać publicznie emocji i rozkręcała się dopiero w czterech ścianach ich pokoju.

– Emilia... – zaczął, ale żadne inne słowo nie przechodziło mu przez gardło.

Nie miał pojęcia, co powinien jej powiedzieć, by zabrzmiało wiarygodnie. Jego żona w prawdę na pewno by nie uwierzyła. Ale właściwie jaka była prawda? Chciał pomóc nieszczęsnej kobiecie czy zafascynowała go jej uroda? Pojechał do niej, bo chciał spełnić dobry uczynek czy pragnął poznać ją bliżej? Był wierny żonie, ponieważ ją kochał, czy może tak nakazywała mu złożona jej przysięga? Ratował siebie czy rujnował swoje małżeństwo, najpierw spotkaniami z Nadią, a teraz z Brigitte? Co tak naprawdę czuł do każdej z tych kobiet?

– Zostaw mnie – wyłkała.

– Ona nie jest moją kochanką – powiedział jedyne zdanie, co do którego miał pewność, że nie jest kłamstwem.

A może ocierał się już o zdradę? W myślach zrobił to wiele razy.

– Nie wiem, kim jest, ale wiem, że mnie znowu okłamałeś – wycodziła.

– Znowu? – Zdenerwował się.

– Nie udawaj głupiego. To zdjęcie wcale nie znalazło się w twojej bieliźniarce przypadkowo.

– Znalazło się przypadkowo, tylko później było nieco inaczej, niż ci mówiłem. Bałem się jednak, że źle zinterpretujesz moje słowa.

– Naprawdę? A dałeś mi szansę na jakąkolwiek interpretację? – zapytała złośliwie, a potem odwróciła się na pięcie i zaczęła szybkim krokiem podążać w stronę domu.

Poszedł za nią, ale nie próbował się tłumaczyć. W tej chwili nie miało to sensu. Może za kilka dni Emilia ochłonie i będą mogli spokojnie porozmawiać. Postanowił, że wyzna jej prawdę. O tym, jak czuł się zaszczuty przez nią i rodziców i zraniony, że został posądzony o romans z byłą żoną. O wiecznie skwaszonej minie Emilii, jej bezpodstawnych podejrzaniach, a wreszcie o jej nienaturalnym zachowaniu, kiedy to próbowała go zamęczyć swoją fałszywą czułością.

Do końca dnia żona nie zamieniła z nim ani słowa. Siedziała przy stole jadalnym niczym posąg, a pytania teściów zbywała. Andrzej zaś się obawiał, że po obiedzie zechce się poskarżyć teściowi. Nawet nie próbował sobie wyobrazić, jak zareaguje ojciec. Nie tylko na to, że umawiał się na kawę z piękną blondynką, mimo iż był żonaty, ale dlatego, iż owa kobieta była Niemką.

Wieczorem, gdy leżeli w łóżku, Emilia powiedziała cicho:

– Nie wiem, co robię źle. Nie mam pojęcia, jak mogłabym cię uszczęśliwić, żebyś nie miał kochanek i nie szukał szczęścia u innych kobiet.

– Nie zdradzam cię i mam podobny problem... Nie wiem, dlaczego ja nie potrafię uszczęśliwić ciebie.

– Co się z nami stało, Andrzejku? Tak bardzo się kochaliśmy, czekaliśmy na siebie i byliśmy pewni, że chcemy spędzić ze sobą resztę życia. A teraz? Świat się zmienił, ten stary odszedł do przeszłości. I my się zmieniliśmy razem z nim.

– Może w tym tkwi problem. Nie potrafimy przywyknąć do nowego i to się odbija na naszym małżeństwie. Brigitte, bo tak ma na imię ta kobieta, kochała polskiego oficera. Zginął podczas wojny, ale ona nie potrafi o nim zapomnieć. I wiesz co, zazdrościłem mu, że nawet po śmierci ktoś go tak bardzo kochał.

– Ale ja cię naprawdę kocham. Nie wiem, czy umiem to dobrze okazywać, ale inaczej nie potrafię. Boję się, że odejdiesz do innej, że będziesz mnie zdradzał. Każdego dnia czuję lęk, iż mnie opuścisz. I robię się przez to okropna... – Zaczęła chlipać.

– Zrozum, Nadia nigdy mnie nie kontrolowała ani nie narzucała swojego zdania. Mimo że byłem żonaty, czułem się wolny, a ty niemal każdego dnia zapędzasz mnie w kozi róg, stawiasz zasieki i oczekujesz, że będę szczęśliwy według scenariusza, który dla mnie napisałaś.

Chyba niepotrzebnie wspomniał o byłej żonie, ale jeśli mieli od tej chwili być szczerzy, pragnął wytłumaczyć, że małżeństwo nie jest więzieniem, a oni są odrębnymi istotami.

– Znowu Nadia, najpiękniejsza, najdoskonalsza! – prychnęła.

Tak właśnie kończyła się każda rozmowa, w której padało to imię. Mimo że ostatnio wcale jej nie widywał. Może to i lepiej, bo musiałby wyznać, jak bardzo zawiódł się na Wissarionie. A co, jeśli nawet Nadia nie wiedziała, że Stiepan Zinowjew wcale nie zginął, tylko mieszkał w okolicy i spotykał się ze swoim bratem?

Odwrócił się plecami do małżonki i powiedział jedynie:

– Dobranoc.

Nie obiecywał, że zakończy znajomość z Brigitte ani też nie zapytał, czy Emilka poskarży się jego ojcu. W tym momencie czuł taką pustkę w sercu, że było mu wszystko jedno.

Nazajutrz, gdy wychodził po raz ostatni do swojej pracy na budowie, dopadła go Marianna. Lubiła długo spać, unikała roboty jak diabeł święconej wody, nawet nie otworzyła prywatnego sklepiku, do czego namawiali ją Marcel i brat, i dlatego, gdy ją ujrzał, miała na sobie szlafrok, a jej fryzura przypominała strzechę, w którą przed chwilą uderzył huragan.

– Coś się stało, Marianno? – zapytał na wpół przytomną kobietę.

– Wissarion chce si z tobą spotkać. Gadał, że będzi jutro czekał na tyj ulicy, coście się zawsze widywali. O piątej po południu – powiedziała zdyszana.

– Nie zamierzam iść na żadne spotkanie z Wissarionem – burknął.

– A stało si coś?

– Jeszcze nie wiem, ale chyba tak.

– To przez Nadię? – indagowała Marianka.

– Nie przez Nadię – westchnął i dodał na odczepnego: – Jeśli zdążę, to pójdę. Jutro nową robotę zaczynam. W zespole, który będzie przygotowywał tę wielką wystawę, o której teraz piszą wszystkie gazety.

– To już ni przy łopacie? Fajno. – Uśmiechnęła się.

Nawet, gdyby jej powiedział, dlaczego otrzymał tę posadę, nie zrobiłoby to na niej wrażenia. Tylko jego ojciec i Emilia wciąż jedną nogą tkwili w dawnym świecie, w którym nienawidziło się bolszewików i stawiało opór każdemu najeźdźcy. Dla ojca ważny był także prestiż i opinia innych, bo chciał uchodzić, jak niegdyś, za kogoś ważnego i szanowanego, a przede wszystkim za gorliwego patriotę, zaś Emilce marzył się mąż bohater. Gdyby zginął albo został skazany za opór wobec obecnej władzy, mogłaby się chełpić, że oto jej ukochany oddał życie za ojczyznę. Jego żona, wychowywana przez polskiego oficera w duchu głębokiego patriotyzmu, uważała, że należy walczyć do końca. Nawet w przegranej sprawie.

Może gdyby urodziła dziecko, zaczęłaby nieco inaczej patrzeć na rzeczywistość, ale jak miała zająć się ciążą, jeśli prawie w ogóle się nie kochali? Walczyła o jego miłość w sposób, którego on nie chciał zaakceptować. Tak samo jak nie mógł zostać pantoflarzem, który robi wszystko, czego jego połowica sobie zażyczy. Znalazł się w potrzasku i co gorsza nie wiedział, jak ma się z niego wydostać.

27.



Wrocław, 1948

To była dosłownie chwila. Czarujący uśmiech Nadeńki zniknął w mgnieniu oka. Jej usta zaczęły drżeć i w końcu wydukała:

– Zabieraj ten karton i odejdz. Właśnie przyjechał mój mąż.

Zrobił, co chciała, i dopiero gdy dotarł do innego pomieszczenia, zdenerwował się niemożliwie. Nie robili niczego zdrożnego, Nadia w magazynach rozmawiała z wieloma ludźmi, ale właśnie dotarło do niego, że oto dostał Fiodorowa na tacy. Gdyby miał broń, mógłby teraz podejść do niego i pozbyć się go na zawsze.

Potem jednak zdusił w zarodku podobny pomysł. Musiał ochłonać i przeanalizować sytuację. Taki człowiek jak Maksim rzadko kiedy poruszał się po mieście sam. Zapewne przed magazynem czekali na niego funkcjonariusze Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego, gotowi w chwili zagrożenia rzucić się na pomoc. Jakie miałyby szanse, żeby uciec? Niewielkie. Wciąż kiepsko prowadził, zresztą furgonetki, którymi rozwożono aprowizację po okolicy, ledwie zipały. Zrobiono by jakąś blokadę, powiadomiono wszystkie służby i nie wyszedłby z tego cało. Jego marzenia o wspólnym życiu z Nadią i Oleńką ległyby w gruzach.

Uchylił drzwi magazynu z rzeczami dla dzieci i obserwował Maksima przez szparę. A potem spojrział na Nadię. Miała przerażenie w oczach i to go martwiło. Powinna się zachowywać naturalnie, jakby człowiek, z którym przed chwilą rozmawiała, był jednym z wielu pracowników tej placówki, ale ona miała panikę wymalowaną na twarzy. W pewnej chwili jednak uśmiechnęła się w wymuszony sposób, rozejrzała dookoła, a potem pocałowała małżonka w policzek. Fiodorow pogłaskał ją czule po włosach, zupełnie bez skrępowania, a później coś szeptał jej do ucha. Nadia mu odpowiedziała i znowu uśmiechnęła się sztucznie.

Jeszcze bardziej niż przed chwilą miał ochotę zamordować tego drania. Nie obchodziło go, jak dostatnie życie miały z nim Nadia i jego córeczka ani nawet fakt, że Maksim nie traktował Nadii tak, jak Woroszyłow, ale sprawiał wrażenie kochającego na zabój małżonka, który pragnął jej podarować gwiazdkę z nieba. Była to jednak miłość chora, oparta jedynie na jego własnych uczuciach. Bez względu na to, jak wiele dał Nadii ten człowiek, Wissarion myślał jedynie o tym, jak wiele jej odebrał, stosując podły szantaż. Postawił ją pod ścianą, przyłożył pistolet do jej skroni i zażądał, żeby go pokochała. Czy naprawdę był aż taki naiwny? A może sądził, że jeśli rzuci jej u stóp cały świat, Nadii się odmieni i pokocha go całym sercem? Zamknął ją w złotej klatce i oczekiwał, że będzie szczęśliwa. A ona musiała udawać, że właśnie tak jest.

Wkrótce troskliwy małżonek pożegnał się ze wszystkimi pracownikami, którzy stali z takimi minami, jakby za chwilę mieli pójść na szafot, i wyszedł z żoną z budynku. A Wisza zachodził w głowę, czy jego rozmowa z Nadią wydała się temu bydlakowi na tyle podejrzana, by zechciał go sprawdzić. Owszem, miał inne imię i nazwisko, ale czy ten szaleniec nie zacznie kopać głębiej?

W końcu przestał się nad tym zastanawiać, ale doszedł do wniosku, że za wszelką cenę musi przyspieszyć ich wyjazd. Od jakiegoś czasu nawiązywał kontakt z Andrzejem Osadkowskim przez Mariannę albo Martę Lemańską, które w każdy piątek odwiedzały targowisko na placu Strzeleckim, by kupić trochę zieleniny na niedzielę. On nie mógł i nie chciał pokazywać się ostentacyjnie w domu Bogusia czy Marcela. Obawiał się spotkania ze starymi Osadkowskimi albo Felicją Kaczkan. Dla nich musiał pozostać martwy. I tak już wystarczająco się wygłupił, gdy laził do Ilse, by spotykać się w jej mieszkaniu z Nadią. Teraz na samą myśl, że mógł się wówczas nadziać na klatce schodowej lub podwórzu na pana Eugeniusza albo Kaczkanowe, robiło mu się gorąco.

Nazajutrz wyglądał Andrzeja w umówionym miejscu w nadziei, że Marianna zdołała przekazać Osadkowskiemu prośbę Wiszy. Minął jakiś kwadrans, ale ten wciąż się nie pojawiał. Być może coś mu wypadło, więc postanowił poczekać jeszcze kolejne kilkanaście minut, a potem wrócić do domu.

Zobaczył go w końcu, wśród tłumu idących ludzi i zaniepokoił się trochę. Zazwyczaj pogodny Andrzej miał teraz minę złoczyńcy, który tropi swoją ofiarę.

W końcu podszedł do Wissariona, ale nawet nie podał mu ręki na przywitanie, tylko zapytał:

– Czego ty jeszcze ode mnie chcesz?

– Coś się stało? – zapytał zaniepokojony Zinowjew. – Zachowujesz się, jakbym ci zrobił jakąś krzywdę.

– Wisza, powiedz mi prawdę, jak dobremu kumplowi, który pomagał ci w schadzkach z kochanką, narażając się na gniew Fiodorowa i własnej żony. Stiepan żyje? Masz z nim kontakt? Wiesz, gdzie teraz przebywa?

Wissarion właśnie stracił nadzieję, że ktokolwiek z kamienicy przy Stalina mu pomoże. A on chciał, żeby Andrzej porozmawiał dyskretnie z Marcelem i dowiedział się, czy ten może załatwić mu lewe kwity, jakoby oboje z Nadią byli Niemcami. W tej sytuacji jednak nawet nie zamierzał go o to poprosić. Słowa Wasyla, które kompletnie zignorował, nagle okazały się brzemiennie w skutkach.

– Stiepan to mój brat – wymamrotał.

– I człowiek, który zamordował ci żonę, zastrzelił dziadków Marcela, rozgniół buciorami moją siostrzenicę, a Martę chciał porąbać siekierą. Ale wszystko jest w porządku, bo pielęgnujecie braterskie uczucia. – W głosie Andrzeja pobrzmiwała ironia.

– Twoim zdaniem co powinienem zrobić? Zabić własnego brata? Jedyne żywego członka rodziny Zinowjewów z Nikołajewki? – zdenerwował się Wisza.

Miał ogromny żal do Stiepana, a chwilami nawet go nienawidził, ale nie potrafił ani go zamordować, ani wydać na żer ludziom, którzy zrobiliby to za niego. Obojętne, czy byłaby to obecna władza i jej aparat represji, czy oberwałby z gnata należącego do Marcela albo Bogusia.

– A Nadia wie, że ukrywasz człowieka, który o mały włos jej nie zastrzelił? Opowiedziała mi, co się wydarzyło w orliczyńskim lesie. Gdyby nie Wasyl, odwiedzałbyś ukochaną na cmentarzu, a nie w mieszkanku Ilse. O ile ten bydlak zorganizowałby jej pochówek, a nie rzucił dzikim zwierzętom na pożarcie! – Andrzej mówił coraz głośniejsze.

Niektórzy zaczęli zwracać na niego uwagę, co Wiszy było bardzo nie na rękę. Jeszcze ktoś pomyśli, że zaraz dojdzie do mordobicia, i wezwie milicję.

– Nie wie – powiedział cicho. – Nikt nie wie, oprócz Wasyla. I kilku innych osób, których nie znasz.

– Dziękuję chociaż za to, że nie próbujesz mnie okłamywać. Jeśli jednak chronisz tego oprawcę, wiedz, że nasza znajomość dobiegła końca. Nie prosz mnie o nic, bo ci odmówię. Nie powiem o niczym Nadeńce, ale trzymaj się ode mnie z daleka. I wiedz, że ani ja, ani Marcel nie odpuścimy Stiepanowi. Nawet jeśli będę zmuszony oddać go w ręce komunistycznych władz. Jest mi wszystko jedno z czyich rąk zginie. Oczywiście, jeśli chcesz, możesz pogadać z Marcelem, ale nie sądzę, by dla ciebie choć kiwnął palcem. I nawet Nadia niczego nie wskóra. A teraz żegnaj, Zinowjew. – Głos Andrzeja był stanowczy, ostry i nieprzyjemny.

Po chwili Osadkowski odwrócił się na pięcie i zniknął w potoku ludzi, których o tej porze dnia kręciło się po mieście bardzo wielu. A on stał jak słup soli, bo nie miał pojęcia, co będzie dalej. Chyba naprawdę pozostanie mu tylko Stiepan i jego kompani. Gdyby miał uciec sam, nie stanowiłoby to dla niego problemu, ale istniał inny, dużo poważniejszy... pułkownikowa Nadia Fiodorowa i Oleńka.

Chyba nigdy w życiu nie myślał tak intensywnie, jak wówczas, gdy szybkim krokiem zmierzał w kierunku domu. W akcie desperacji rozważał nawet rozmowę z Genowefą. Miała liczne kontakty, związana była z administracją i być może mogłaby mu pomóc. Jednak mogłaby się zachować zupełnie inaczej, niż tego pragnął, i następnego dnia zawiadomić Urząd Bezpieczeństwa, a może nawet tego sowietnika Fiodorowa.

Czuł się tak, jakby jakaś żelazna obręcz zaciskała mu się na szyi. Z każdą minutą coraz mocniej. Nie miał żalu do Wasyla. Rzeczywiście jego kuzynowi trudno było oszukiwać Andrzeja. Nawet on nie potrafił patrzeć Osadkowskiemu w oczy i bezczelnie skłamać. Wiele osób miało powody, by nienawidzić Stiepana, nawet on. Jego brat mimo ciężkich przeżyć wciąż pozostał fanatycznym nacjonalistą i okrutnym draniem. Gdyby jednak Wissarion go wydał, do końca życia miałby wyrzuty sumienia. Przyrzekł ojcu, że się nim zaopiekuje, a tymczasem skazałby go na śmierć.

Wieczorem, gdy wrócił do domu, usłyszał, że w pokoju Genowefy ktoś jest. Chciał przemknąć niepostrzeżenie do swojej służbówki, gdy zaskrzypiały drzwi i zobaczył w nich postać Kurzepy.

– Wissarionie, masz gościa – powiedziała, uśmiechając się do niego z czułością.

Zaczął powoli zdejmować watowaną kufajkę. W pierwszej chwili pomyślał o Fiodorowie. Może ten coś zauważył i zechciał go wypytać o jego znajomość z Nadią? A może to jego ukochana w panice przybiegła do niego? Tylko skąd znałaby adres? Przecież nie poprosiła męża o pomoc w jego ustaleniu. Celowo nie zdradził jej, gdzie mieszka, bo jego Nadeńka potrafiła być bardzo nieobliczalna i obawiał się, że jeśli zbyt długo nie będzie miała z nim kontaktu, przyjedzie do jego domu, nie zważając na ciągnący się za nią bez przerwy ogon. Potem doszedł do wniosku, że gdyby odwiedziła go jakakolwiek kobieta, Genowefa nie miałaby takiego promiennego oblicza, nawet jeśli już wiedziała, iż Wisza nigdy nie zostanie ani jej mężem, ani długofalowym kochankiem.

Wszedł niepewnie do pokoju i dopiero wtedy odetchnął z ulgą. Przy stole siedział Wasyl, raczył się wódeczką i najpewniej czarował gospodynię. Kurzepa lubiła roślących mężczyzn, a Wasyl, podobnie jak Wisza, do ułomków nie należał.

– Witaj, Dmytro – przywitał się z kuzynem.

– Przyjechałem do Wrocławia, do urzędu, więc pomyślałem, że odwiedzę dawno niewidzianego ziomka. – Uśmiechnął się.

– To ja nie będę wam przeszkadzać. Posiedzę sobie w kuchni.

Genowefie musiał się bardzo spodobać Wasyl, bo krygowała się przy nim jak przedwojenna panienska z dobrego domu. Wissarionowi nawet ulżyło, ponieważ sądził, że Kurzepa obdarzyła go płomiennym uczuciem, ale najwyraźniej u niej był to stan przejściowy i z lekkością mogłaby zamienić jednego wielkiego Ukraińca na drugiego.

Gdy zamknęły się za nią drzwi, Wisza powiedział ze śmiechem:

– Wpadłeś jej w oko.

– Dobrze, że wróciłeś, bo już nie wiedziałem, co z nią zrobić – westchnął.

– Ja bym ci powiedział, ale musiałbyś wypić znacznie więcej. Ma kobieta swoje potrzeby, a ja ich nie zaspokajam. Ale lubię ją. To dobry człowiek, tylko trochę zwichrowany przez bolszewicką propagandę. Ale powiedz, co ty tu robisz. Umawialiśmy się, że poza stolarnią nie będziemy się widywać, bo te gnoje pilnują Ukraińców, jakby każdy z nas był co najmniej Banderą.

– Mam dla ciebie dobrą nowinę. Znaleźliśmy przewodnika, który przeprowadzi nas przez góry do Czechosłowacji. Na razie jest tam względnie normalnie i nie będziemy mieli problemu, by odstawili nas do amerykańskiej strefy, ale podobno

nie potrwa do długo, bo Sowieci i Czechom coś szykują. Przeprawa przez Odrę jest spalona, bo i tam skurczybyki zaczęli wszystkich sprawdzać. Na szwabskie dokumenty nie mamy co liczyć, bo nie udało się nam znaleźć nikogo, kto mógłby je podrobić.

– Najlepszych fałszerzy kwitów miała AK. Nic dziwnego, że trudno na takiego trafić, jeśli w tamtym roku większość ludzi z podziemia się ujawniła. Kolejny raz uwierzyli, że dzięki amnestii będą mieli spokój, a tymczasem wystawili się jak owce na rzeź. Zatem pozostają góry...

– Tak, to w tej chwili jedyny pewny szlak przerzutowy – powiedział Wasyl.

– Pewny? Słyszałeś, że wielu z tych przewodników to przebierańcy z UB. Większość chętnych, by dostać się na Zachód, dociera do granicy, a potem słuch o nich ginie. I wcale nie dlatego, że są już daleko i nie mogą dać znać o powodzeniu ucieczki. Ktoś mi mówił, że ci gnoje nie cackają się z nimi, tylko od razu rozstrzelują.

– Ja to wszystko wiem, ale ten człowiek został dobrze sprawdzony. Jest przewodnikiem górskim od dwudziestu lat. Raczej nie jest możliwe, żeby współpracował z nowymi władzami, bo nie lubi Sowietów tak jak i my – uspokoił go Wasyl. – Podobno miał układy z niemieckimi partyzantami, którzy ukrywali się w lasach przy czeskiej granicy, i wielu z nich przerzucił potem na Zachód. Jedyny problem to kwota, której żąda.

– Ile? – Wissarion w końcu zobaczył światełko w tunelu.

– Sto dolarów amerykańskich od łba. Może przy większej grupie zejdzie do siedemdziesięciu, ale to i tak jest sporo – z westchnieniem powiedział Wasyl.

– Na miłość boską, dolar na czarnym rynku kosztuje tysiąka, więc ja zarabiam miesięcznie jakieś cztery dolary... Jeśli pomnożę dolę przewodnika przez trzy, muszę dysponować fortuną. Skąd ja wezmę tyle pieniędzy?

– Wisza, do cholery, pracujesz dla Komitetu Pomocy i masz dostęp do starych zapasów UNRRA. Skubnij co nieco z ich magazynów i sprzedaj paserom z rynku.

– Może to i dobry pomysł, tylko musiałbym opchnąć ze dwie tony szmat, żeby zbierać taką kwotę. I to nie byle jakich.

– Pogadaj z Nadią. Ona zapewne ma jakieś pieniądze albo biżuterię. Przecież wiesz, że Fiodorow, mimo że pracuje dla bolszewików, to kapitalista z krwi i kości. – W głosie Wasyla pobrzmiwała ironia.

– Nie mogę się widywać z Nadią. Przynajmniej na razie. Dzisiaj do magazynu wpadł jej małżonek.

– I nie zabiłeś skurwysyna? – zapytał Wasyl, uśmiechając się półgębkiem.

– Nie, bo zapewne chwilę po tym już bym nie żył, więc jeśli z tobą gadam, to znaczy, że się w porę ogarnąłem.

– Może przez Andrzeja... Przecież mówiłeś, że Nadia jest częstym gościem na Stalina.

– Zapomnij o Andrzeju. Rozmawiałem z nim jakąś godzinę temu. Od razu cię przejrzał i już wie, że Stiepan żyje...

– Niech to szlag! – syknął Wasyl.

– Posłuchaj, gdy widywałem się z Nadią u takiej jednej Niemki, zostawialiśmy sobie informacje u handlarza pieczywem, ale o ile wiem, chłop się już zwinął z targowiska. Potem robiłem to za pośrednictwem Marty albo jej przyjaciółki, Mariany. W każdy piątek albo jedna, albo druga robi sprawunki na targu przy placu Strzeleckim. Zawsze kupują warzywa w tej samej drewnianej budzie, niedaleko miejsca, gdzie chłopaki z Warszawy grają w trzy karty.

– Dobrze, porozmawiam z Martą... Tylko wiesz, zastrzeliłem jej męża. Nie wiem, czy w ogóle zechce ze mną gadać. – Wasyl przygryzł wargi.

– Myślę, że wyświadczyłaś jej przysługę. – Wisza uśmiechnął się ironicznie i dodał: – Poza tym wyrwałaś ją z rąk mojego sadystycznego braciszka. Nie obawiaj się jej. Jeśli jednak będzie w towarzystwie starej Kaczkanowej, wiesz stamtąd, ile masz sił w nogach.

Jego kuzyn pokiwał tylko głową, bo chyba rozważał, czy spotkanie z Martą Lemańską nie zakończy się dla niego tragicznie. Jeszcze niedawno zapewne nie miałby żadnych oporów, ale jeśli Andrzej przekazał jej hiobowe wieści, że Stiepan wciąż żył, a Wasyl nawet się z nim widywał, Marta z wściekłości mogła popełnić jakieś szaleństwo. Brat Wissariona rozdeptał jej dzieciaka jak pluskwę. To musiał być widok, który zostaje w pamięci przez resztę życia. Gdyby kiedyś jakiś zwyrodnialec potraktował w taki sposób jego córkę, chyba by zwariował.

– Dobrze, zaryzykuję dla ciebie, kuzynie – odparł Wasyl.

Tak na tego Zinowjewa Wissarion zawsze mógł liczyć.

28.



Wrocław, 1948

Maksim zdołał poznać Nadię na tyle dobrze, by móc w mig odczytać z jej twarzy lęk, radość czy zaskoczenie. Jeśli przyglądał się przez kilka chwil, jak konwersuje z Wiszą, zapewne zauważył jej promienny uśmiech, spojrzenie pełne miłości, a wreszcie pożądanie i wręcz psie oddanie.

Przegoniła Wissariona od razu i czekała z trwogą, aż mąż do niej podejdzie. Niemal wstrzymała oddech, ale uśmiechała się w wystudiowany sposób w nadziei, że Fiodorow stał zbyt daleko od nich, by spostrzec coś niepokojącego.

– Maksim... – powiedziała, gdy znalazł się przy niej.

– Patrzysz na mnie, jakbyś zobaczyła ducha. – Uśmiechnął się do niej, ale jego oczy pozostawały poważne.

Cmoknęła go w policzek. On także wykonał kilka czułych gestów, jak zawsze, a ona się gorączkowo zastanawiała, czy Wissarion na to patrzył. Bała się, że jeśli jej kochanek wpadnie we wściekłość, wybiegnie z pomieszczenia, w którym się ukrył, i nie bacząc na konsekwencje, rzuci się Fiodorowowi do gardła.

W pewnej chwili powiedziała przerażona:

– Chodźmy stąd, ludzie na nas patrzą.

– Niech patrzą i nam zazdroszczą, że tak bardzo się kochamy.

Zamruczała mu do ucha, a potem szepnęła uwodzicielsko:

– Chciałabym pójść o krok dalej, kochanie, a sam przyznasz, że nie jest to odpowiednie miejsce na zbyt śmiałe pieszczoty. Jedźmy do domu...

– W takim razie porzuć te szmaty i zajmij się mną. – Pociągnął ją za rękę w stronę wyjścia.

Usłyszała po drodze komentarz kierowniczkii magazynów, że wyglądają jak dwa gołąbki, i niedługo potem siedzieli już na tylnej kanapie czarnego chevroleta. Położyła głowę na ramieniu męża, a on pieścił jej dłoń. Odetchnęła z ulgą, ponieważ najpewniej Fiodorow nie zwrócił uwagi na rosłego mężczyznę, który z nią rozmawiał. Był zbyt czuły i miły dla niej. Przymknęła powieki. Byli z Wissarionem bliscy tego, żeby ich plan spalił na panewce. Naprawdę powinni poczekać z jakimikolwiek spotkaniami do czasu, aż znajdą się poza zasięgiem długich łap Maksima i parszywej formacji, w której służył.

Po dłuższej chwili milczenia zapytał niewinnie:

– Kim był ten człowiek, z którym rozmawiałaś?

O mały włos serce nie wyskoczyło jej przez gardło, gdy to usłyszała.

– Który? – wydukała. – Rozmawiam tam ze wszystkimi. Z mężczyznami również.

– Ten ostatni, który uciekł w popłochu na mój widok – dodał równie beztrąsko co przed chwilą.

Musiała się uspokoić, w przeciwnym razie Maksim w mig odgadnie, że go okłamwała. Wyprostowała się i odwróciła głowę w kierunku Fiodorowa. Zmarszczyła brwi i zaczęła udawać rozzłoszczoną.

– Ty zazdrośniku... Ten wysoki mężczyzna to Ukrainiec, przesiedlony w ramach akcji „Wisła”. Ma na imię Wiktor i mieszkał koło Leska. Mogłam w końcu porozmawiać z kimś w swoim ojczystym języku. Nie, nie adorował mnie, nie proponował schadzki i nie powiedział, że jestem piękna. Opowiadał o swojej narzeczonej, którą zamordowała UPA. A że uciekł... Maksimie, wiesz, jaki budzisz lęk wśród ludzi.

Pogłaskał ją po policzku.

– A tobie się spodobał? – zapytał cicho.

– Oszalałeś? Nawet nie potrafiłabym ci powiedzieć, czy jest przystojny – zachnęła się. – Kocham tylko ciebie i nie przyglądam się zbyt wnikliwie innym.

– Wolę dmuchać na zimne, Nadeńko. Jesteś taka piękna... – Fiodorow najwyraźniej kolejny raz zamierzał głądzić, że każdy mężczyzna marzy tylko o tym, aby mu ją odebrać.

W tym przypadku był cholernie bliski prawdy. Postanowiła radykalnie zmienić temat.

– Zdecydowałam się – powiedziała nagle.

– Na tego Ukraińca spod Leska? – zapytał z ironią.

Przewróciła oczami.

– Przestań, Maksimie. Twoja zazdrość robi się męcząca. Zdecydowałam się na wizytę u tego poznańskiego lekarza. Chcę mieć z tobą dziecko i gotowa jestem poddać się kuracji albo jakiemuś straszному zabiegowi, jeśli będzie konieczny.

Fiodorow, odkąd przyjechali do Wrocławia, szukał specjalistów, którzy zaradziłyby jej problemowi, mimo iż ci moskiewscy nie pozostawili mu zbyt wielkich nadziei.

Kiedyś nawet zrobiła mu awanturę z tego powodu.

– Maksim, to nic nie da, zrozum. Nie urodzę ci dziecka i przestań mnie męczyć tymi wszystkimi wizytami u lekarzy i ciągłymi badaniami. Mam dosyć. Albo pogodzisz się z tym i pokochasz Oleńkę jak własne dziecko, albo rozwiedź się ze mną i poszukaj sobie płodnej kobiety!

Podszedł wówczas do niej i mocno ją przytulił:

– Dobrze, najdroższa – powiedział ciepło. – Już nie będę cię tym zadręczał. Wolę pozostać bezdzietny, niż stracić ciebie.

– Zawsze możesz zmajstrować dziecko innej – burknęła.

– Nie mów tak. Już dobrze, Nadeńko. Więcej nie wspomnę o żadnym lekarzu z tej dziedziny. Jeśli sobie życzysz, odpuszczę tę sprawę, chociaż z wielkim żalem, ale nigdy nie wspominaj o rozwodzie. Ani o tym, żebym zapłodnił inną kobietę.

– Przepraszam, Maksimie... – Zaczęła płakać.

– Za co, kochanie?

– Za to, że nie mogę obdarzyć cię dzieckiem.

– Dałaś mi Oleńkę. To mi musi wystarczyć i więcej nie wracajmy do tego tematu. Chcę, żebyś była szczęśliwa. Jeśli pogodziłaś się z pewnymi sprawami, ja także muszę to zrobić.

Rzeczywiście Maksim odpuścił i nigdy więcej nie wspomniał o niepłodności i nowych metodach jej leczenia. Pokochał Aleksandrę i przestał obsesyjnie myśleć o ich wspólnym potomstwie. Teraz jednak Nadia znalazła się w sytuacji, gdy musiała wyciągnąć asa z rękawa. Obawiała się, że jej mąż zacznie węszyć wokół Wiktora Krawczenki i kto wie, co wywęszy. Nie miała także pojęcia, czy radzieckie

NKWD nie posiada przypadkiem fotografii Wissariona w swoich aktach, co nie byłoby niczym niezwykłym. Jeśli Maksim chwyci się tego tropu, oboje z ukochanym znajdą się w pułapce.

– Naprawdę? – Fiodorowa zdziwiły słowa Nadii. – Dziękuję, kochanie. Miałem dzisiaj w pracy paskudny dzień, a ty mi poprawiłaś nastrój. Nawet nie wiesz, jak bardzo.

– Umów nas na wizytę. Może w końcu się uda. Oleńka jest coraz starsza, a ja tęsknię za bobaskiem.

Uśmiechnęła się czule do męża i odetchnęła. Ten temat powinien zakończyć sprawę tajemniczego mężczyzny, z którym rozmawiała w magazynie.

Do końca dnia Maksim nie mówił o niczym innym, tylko o tym, jak będzie wyglądało ich potomstwo. Rozwahał, czy wolałby mieć syna czy córkę i zachowywał się tak, jakby ów specjalista z Poznania już dokonał cudu samym swoim istnieniem. Nie próbowała mu tłumaczyć, że wizyta, a nawet jakieś rewolucyjne zabiegi nie zagwarantują jej zajścia w ciążę, ponieważ pragnęła nade wszystko, by zazdrość Maksima przysnęła chociaż na chwilę, a on skoncentrował się na czymś innym.

Nawet późnym wieczorem, gdy już leżeli w łóżku, a Fiodorow zaproponował, by wobec jej decyzji potrenowali trochę płodzenie dziecięcia, zgodziła się na to ochocho. W każdym razie jej mążnek miał tak uważać.

Jak w każdy piątek udała się przed południem na rynek. Nie tylko po to, by wypatrzyć jakiś zagraniczny kosmetyk czy elegancki bibelot do domu, ale miała nadzieję spotkać na nim, jak zazwyczaj, Martę albo Mariannę. Mogły sobie wówczas poplotkować, a Fiodorow nie marudził, że zbyt często bywa w kamienicy przy Stalina. Tego jednak dnia Marcie towarzyszyła Felicja. Nadia nie zamierzała nawet do nich podchodzić, ponieważ dobrze знаła stosunek Kaczkanowej do jej osoby. Podobnie jak starzy Osadkowscy i ona traktowała ją z pogardą. Z jednej strony, Nadia podpadła rozwodem z Andrzejem i związkiem z jednym z Zinowjewów, z drugiej – ślubem z pułkownikiem NKWD. Dla nich była sprzedajną dziwką, która się zeszmaciła dla pozycji i dostatniego życia, które zaoferował jej radziecki dygni-

tarz. Nie zamierzała tego dnia wysłuchiwać docinków, tylko błąkała się po rynku i rozglądała za czymś interesującym.

Weszła w kolejną alejkę, gdy poczuła, że ktoś ją mocno chwycił za rękę i pociągnął w stronę straganu z ubraniami. Już chciała się wyrwać z uścisku i wrzasnąć, że ktoś chce ją obrabować, ale rozpoznała Wasylą. Ukryli się pomiędzy prochowcami i dzierganymi chustami.

– Miałem odnaleźć Martę, ale zobaczyłem ciebie. Musimy porozmawiać – powiedział ściszym głosem.

– Lepiej Marty dzisiaj nie szukaj na rynku. Towarzyszy jej stara Kaczkanowa. Jeśli masz sprawę do Lemańskiej, przekażę jej twoje wiadomości w następny piątek – odparła.

– Nie mam sprawy do Marty, ale do ciebie. Wisza chciał przekazać informację, że potrzebujecie pieniędzy dla przewodnika, który przeprowadzi was przez Sude ty do Czechosłowacji. Facet bierze około stu dolarów za osobę, a mój kuzyn nie zdoła sam zgromadzić takiej kwoty. Sprawa jest pilna, bo Sowietci szykują się do przejścia władzy w Czechosłowacji i za chwilę ta droga również będzie spalona. – Wasyl mówił szybko i rzeczowo, zapewne dlatego, by nie przedłużać ich spotkania. Wolał nie konfrontować się z cieniami, które krok w krok podążały za Nadią.

– Boże, tyle pieniędzy... Ale dobrze, coś wymyślę. Mam trochę biżuterii, jakieś zaskórniaki. Powiedz Wiszy, żeby na razie trzymał się ode mnie z daleka. Wszystko załatwię.

– Dobrze, powiem mu. A ty uważaj na siebie, Nadio – powiedział i oboje wynurzyli się spomiędzy wiszących płaszczy, watowanych kufajek i dzierganych chust.

I wtedy Marta zauważyła Nadię. Uśmiechnęła się i nawet zaczęła iść w jej kierunku, gdy nagle spostrzegła Wasylą i w jednej chwili uśmiech zniknął z jej twarzy. Odwróciła się i zaczęła żywo dyskutować o czymś z Felicją.

– Dlaczego i ona mnie nienawidzi? – jęknął Wasyl.

– Wynoś się stąd, durniu! Przecież mówiłam ci, że Marta jest ze starą Kaczkanową. Jeśli Felicja cię zauważy, podniesie alarm na cały plac Strzelecki. Marta właśnie ratuje ci życie, więc lepiej już idź. Spotkamy się za tydzień o tej samej porze przy tym straganie z amerykańskimi łachami od ciotki Unry – odparła, a potem opuściła towarzystwo Wasylą i wmieszała się w tłum.

Kiedy wróciła do domu, gorączkowo zaczęła przeglądać swoje zasoby. Nie mogła spieniężyć wszystkiego, co miała, bo Maksim w mig by to zauważył, ale braku kilku sztuk biżuterii na pewno nie spostrzeże. Odkąd postanowiła za niego wyjść, obsypywał ją złotymi pierścionkami, kolczykami czy naszyjnikami. Zapewne nawet sam nie pamiętał, ile tego dobra jej podarował. We Lwowie po ucieczce Niemców jego pomagierzy, tacy jak Marcel i Boguś, mieli pole do popisu i szabrowali, co się tylko dało, a ona dzięki temu otrzymywała coraz to nowe cacka do swojej kolekcji.

Wybrała precjoza na sprzedaż, ale nie miała pojęcia, gdzie oprócz rynku mogłaby je upłynnić w dobrej cenie. Nie mogła przecież rozłożyć kramiku na targowisku. Gdyby Marcel był już w pełni zdrowy, jemu powierzyłaby spieniężenie tych dóbr. Teraz mogła liczyć jedynie na Wasyla albo Wissariona.

Była zdeterminowana, by uciec z Wiszą i Oleńką. Jeszcze kilka lat temu, gdy podjęła decyzję o ślubie z Maksimem, sądziła, że pogodzi się z utratą kochanka. Gdy jednak ten zniknął z jego życia, cierpiała tak bardzo, jakby ktoś wyrwał jej kawał duszy. Teraz wszystko się zmieniło. Wissarion żył, wciąż ją bezgranicznie kochał, podobnie jak swoją córkę, i pragnął, by resztę swoich dni spędzili razem. Tylko z nim potrafiła czuć się szczęśliwa, nawet jeśli to były jedynie chwile wyrwane życiu.

Co gorsza, im częściej widywała Wissariona i utwierdzała się w przekonaniu, że jest to mężczyzna jej życia i największa miłość, jakiej zaznała, tym bardziej nienawidziła Maksima. Łasiła się do niego, udawała wzorową żonę i namiętą kochankę, ale w jej głowie kłębiły się myśli, by wyciągnąć z kabury jego służbowy pistolet i strzelić mu w skroń, aby już nigdy więcej jej nie dotykał, nie mówił, jak bardzo ją kocha, i nie szpiclował na każdym kroku. Chciała w końcu kochać Wissariona przy otwartej kurtynie i nie ukrywać się ze swoimi uczuciami. Nie obchodziło jej ani trochę, co poczuje Fiodorow, gdy odkryje, że Nadia od niego uciekła i zabrała mu Oleńkę. Nie interesowało jej, co pomyśli, jeśli się dowie, że są daleko, po tej drugiej stronie, a on nic kompletnie nie może z tym zrobić.

Jedyne, czym się martwiła, to Oleńką. Zapewne minie trochę czasu, zanim przestanie tęsknić za Maksimem i na nowo pokocha swojego prawdziwego ojca. Nadia obiecała sobie jednak, że okaże jej tyle miłości i troski, ile tylko zdoła, byleby jej śliczna córeczka była szczęśliwa.

Wissarion miał plan i człowieka, który pomoże go zrealizować. Jeśli w tym celu potrzebowali pieniędzy, ona je zorganizuje. Choćby miała się dostać do sejfu Fiodorowa i go okraść. On także jej coś zabrał, więc będą kwita. Wykorzystał ją, gdy była słaba. Bała się o siebie, Oleńkę, Wissariona i Andrzeja. Teraz jednak dzięki Wiszy odzyskała siły i była gotowa zawalczyć o swoją miłość i życie u boku ukochanego. To Aleksandra i Zinowjew byli jej rodziną, a nie Maksim Fiodorow. Pewnego dnia złamał jej życie, ponieważ nie dotrzymał danego słowa, chciał dzięki niej dopaść swojego największego konkurenta i pozbyć się go na zawsze. Zapewne nigdy nie ufał jej słowom, że Wisza był dla niej jak brat i nie łączyło ich płomienne uczucie. Wierzyła, że nadejdzie taki moment, kiedy to ona złamie życie Maksima Fiodorowa, ponieważ zrobi coś, po czym ten już nigdy się nie dźwignie.

A teraz będzie najczulszą i najlepszą żoną, jaką Fiodorow mógł sobie wymarzyć. W ciągu dnia będzie miał przy swoim boku prawdziwą damę, w nocy rozpustną dziwkę. Zdawała sobie sprawę, że cena jest bardzo wysoka, bo igraszki z mężem nie sprawiały jej przyjemności, a odkąd pojawił się we Wrocławiu Wisza, wręcz ją obrzydzały, ale była gotowa ją zapłacić.

Poszła po Oleńkę do szkoły, a kiedy wróciła, włożyła swoją nową sukienkę i pociągnęła usta szminką. Usiadły z córką przy stole i czekały na Maksima. Jak zwykle zjawił się około czwartej po południu i czule przywitał z Oleńką. A potem na nią popatrzył.

– Wychodzisz gdzieś? – zapytał bez cienia podejrzliwości.

– Nie wiem, a miałbyś ochotę gdzieś się przejść? – Uśmiechnęła się do niego promiennie.

– To dla mnie umalowałaś usta i założyłaś tę sukienkę?

Rozejrzała się dookoła i powiedziała nieco złośliwie:

– Coś ty, dla Marthy.

– Nadeńko... – Uśmiechnął się w końcu. – Chyba dopiero teraz uwierzyłem w twoją miłość.

– Z powodu kiecki? – zdziwiła się. – Niewiele ci trzeba.

– Nie z powodu sukienki i umalowanych ust, chociaż wyglądasz bajecznie, ale dlatego, że postanowiłaś zawalczyć o powiększenie naszej rodziny. To wiele dla mnie znaczy. We Lwowie naciskałem na ciebie, byśmy udali się do Moskwy, ale teraz zostawiłem ci wolną rękę. I to ty podjęłaś decyzję.

– Może w końcu przestaniesz być taki zazdrosny – mruknęła.

– Tak, kochanie. Przepraszam za tego Wasyla czy Wiktora, czy jak się ten dryblas nazywał... Zachowałem się jak głupi młokos, któremu na potańcówce podezwano partnerkę. Jestem idiotą, bo nawet przyszło mi do głowy, że to Wissarion Zinowjew. Rozumiesz, jak przez ciebie głupieję, jeśli obawiam się trupa? Ale teraz wszystko się zmieniło, bo chcesz mi urodzić dziecko – powiedział przepaszająco.

Przełknęła ślinę. Miała nadzieję, że to nie była ze strony Maksima gra, która miała na celu sprawdzenie jej reakcji.

– Maksimie, naprawdę zacznę się o ciebie bać. Masz coraz bardziej szalone pomysły i widzisz duchy – powiedziała zupełnie poważnie.

– Wiem, że byłem męczący, ale teraz, kochanie, już nie musisz się o mnie martwić. Jeśli mnie kochasz naprawdę i pragniesz urodzić mi dziecko, mogę zasypiać spokojnie – odparł.

– Byle ze mną. – Nadia zaczęła go kokietować, by zakończyć temat Wissariona Zinowjewa. – Myślisz, że nie widzę, jak inne baby się na ciebie patrzą?

Zaczął się śmiać. Gdyby naprawdę go kochała, zrobiłaby mu awanturę, że lekceważy jej obawy, samemu będąc potwornym zazdrośnikiem. Musiała więc poudać, że jest tak samo zaborcza jak jej małżonek.

– Nadeńko, żadna nie jest w stanie ci dorównać. Ani urodą, ani charakterem.

– Kiedyś się zestarzeję i zrobię się brzydka.

– Dla mnie zawsze będziesz najpiękniejszą kobietą na świecie – powiedział zupełnie poważnie i dodał: – Pójdźmy do kina. Sami. A potem zabiorę cię na kawę i coś słodkiego. A może wybierzemy się do Corso? Albo do Savoya?

– Dzisiaj kino, a w sobotę możemy iść na dansing. Maksimie, tylko proszę, nie na taki, gdzie będzie pełno twoich kolegów. Chcę spędzić wieczór tylko w twoim towarzystwie. – Nadia wciąż odgrywała swoją rolę i czuła się w niej coraz pewniej.

– Oczywiście, moja śliczna żonko. A teraz mam coś dla ciebie – powiedział tajemniczo.

Po chwili wyciągnął ze służbowej teczki jakieś zawiniątko. Podał je Nadii i czekał na reakcję. Wzięła aksamitny woreczek i zajrzała do środka, a potem wyciągnęła z niego platynowy naszyjnik wysadzany mieniącymi się kamieniami.

– Jest piękny – wyszeptwała. – I chyba bardzo drogi...

– To brylanty. Ale moja żona warta jest wszystkiego.

Dotykała palcami klejnot, ale jedyne, o czym w tym momencie myślała, to wartość, jaką sobą przedstawiał. Gdyby znalazł się na niego chętny, otrzymana kwota wystarczyłaby nie tylko na opłacenie przewodnika, ale także na ich start w obcym kraju. Nabywca nie mógłby jednak mieszkać we Wrocławiu, bo to cacko było zbyt charakterystyczne i drogocenne. Musiała koniecznie przekazać kolię Wasylowi. Najchętniej powierzyłaby naszyjnik Marcelowi Lemańskiemu, ponieważ ten miał dużo lepszą smykałkę do takich spraw, a zapewne już zdołał poznać ludzi, którzy znaleźliby mu nabywcę w Krakowie czy Łodzi. Marcel właściwie był już zdrowy, ale wciąż miał problem ze wzrokiem, który wykluczał zarówno prowadzenie auta, jak i poszukiwanie poniemieckich skarbów. Jednak do sprzedaży naszyjnika Lemański potrzebował jedynie dobrych znajomości. Koniecznie musiała z nim porozmawiać. Postanowiła, że za kilka dni się do niego wybierze i zagra z nim w otwarte karty, bo ten gotów zaproponować ten zakup Maksimowi. To dopiero byłaby katastrofa i nie tylko ona padłaby jej ofiarą.

Film *Jasne łany* był nudny i tak nachalnie propagandowy, że Nadia miała ochotę na nim przysnąć, a jednak uśmiechała się czule do męża, dotykała jego dłoni i szeptała mu do ucha świństewka. Czuła się jak modliszka, która chce uwieść partnera po to, by po akcie miłosnym odgryźć mu głowę.

29.



Wrocław, 1948

– Jezusie Nazareński! – krzyknął rozdzierająco Marcel.

Chwilę potem do pokoju wbiegła przerażona Marta, jej dwaj synowie i doktor Szczurek z lekarskim sakwojazem w ręku. Śpiąca w wózku Marysia rozdarła się na całe gardło, bo zapewne przestraszył ją przerażający wrzask ojca.

– Marcelek, na miłość boską, co ci jest? – dopytywała Lemańska. – Gorzej się czujesz?

– Widzę! – krzyknął ponownie Marcel. – Widzę!

– No przecież widziałeś – zdziwiła się Marta.

– Martusiu, ale ja w pojedynek widzę. I nic mni si nie maże przed oczami. O Jezusiczku, aleś ty ładna!

– Panie Marcelu, myślałem, że będę musiał pana reanimować – jęknął zatrwożony Szczurek.

– Chciałbyś, nidoczekanie – burknął pod nosem Lemański, ale najwyraźniej jego słowa dotarły do uszu doktora, bo ten odwrócił się na pięcie i opuścił pokój.

– No i dlaczego ty jesteś dla niego taki nieprzyjemny? Widzisz, od razu z sakwojazem lekarskim przyleciał – powiedziała Marta z pretensją w głosie.

– Bo si gapi na ciebi jak pies na kość. Obrzymopał jedyn – fuknął Marcel, ale po chwili znowu się rozpromienił. – Tak miarkowałem, że mi si to inu śni, ale nie. Tyś jedna i Maryśka jedna, a chłopców cwaj.

– Boże, jak dobrze, Marcelku... – Marta zaczęła chlipać.

Zapewne miała już trochę dosyc swojego męża, który z braku zajęcia zrobił się marudny jak stara panna. A to mu ryba błotem zalatywała, to znowuż zupa była

zbyt tłusta. Swoich synów zaś tak musztrował, że zaczęli go unikać, a jego żona przez cały czas miała minę udręczonego przez los człowieka.

– Nazad do roboty wracam. Powiadom Bogusia... A co tam, sam mogę do nich iść. Już mi si ni pomiesza, czy dobrze kulasy po schodach stawiam.

Lemański w mig odzyskał humor i nawet przestał psioczyć na Szczurka, co ostatnio często mu się zdarzało. Jednak gdy tak sobie powyklinał na doktorka, jakoś mu się lżej robiło na sercu. Było jednak coś, co go niepokoiło. Teraz, gdy już wrócił do dawnej formy i odzyskał wzrok, znowu większość dnia i nocy będzie spędzał poza domem. A ten konował tylko na to czekał, żeby mu żonkę zbałamuścić.

– Pójdę pod piątkę i powiem, żeś wzrok odzyskał – stwierdziła wciąż pochlipująca Marta.

– A czego ty si mażesz, Martusiu?

– To ze szczęścia – odparła i pociągnęła nosem.

– Ja wim, że ty chcesz si mni z chałupy pozbyć, bo masz dość mojego tyrpania^[50]...

– No trochę mnie i dzieciakom krwi napsuleś... Idę, powiem wszystkim, żeś już zdrowy.

– Martusiu, inu tyj gangrenie, Felci, ni gadaj. Ona mi tu zaraz przyleci i znowuż będzi opowiadać, jaki zy mni kojdy^[51] chłop. – Marcel pragnął chociaż przez jeden wieczór nacieszyć się spokojem w gronie rodziny.

– I tak przyjdzie, bo ci ciasto drożdżowe z kruszonką upiekła.

– Od tych jej frykasów mam teraz bańtuch jak Boguś – mruknął. – Jeszczy trochę i swoich łabów^[52] ni zobaczę.

– Pójdiesz do roboty, to od razu trochę ciała zgubisz. Ja w każdym razie nie zamierzam ci gotować takich smakołyków jak Kaczkanowa. A i Felci się zaraz znudzi.

– Daj Boże – westchnął i chciał jeszcze coś dodać, gdy do pokoju wkroczyła stara Kaczkanowa z ciastem zawiniętym w lnianą ściereczkę.

– Jeszcze ciepły – oznajmiła dumnie, a potem popatrzyła na Martę i zapytała: – A dlaczego ty płaczesz?

– Bo Marcelek już całkiem dobrze widzi – odparła.

– Dzięki Bogu. – Felicja głośno westchnęła, a potem pogoniła Martę po talerzyki i herbatę.

Prawdę mówiąc, dziwnie się czuł, kiedy mu Kaczkanowa tak nadskakiwała. Nie żeby wołał jej nabzdyczoną minę, ale poświęcała mu stanowczo za dużo uwagi.

– Nu, a po co taka fatyga, pani Kaczkanowa? Już mni pani tak odpasła, ży si w portki od ancuga^[53] nie mieszczę – powiedział.

Felicja znowu popatrzyła na niego w taki sposób, jakby się jej Matka Boska objawiła, i wypaliła:

– Marcelek, jaka tam pani. Tyś teraz moja rodzina. Mów mi „mamusiu”. Teraz ty będziesz moim synkiem, jak kiedyś Witoldek.

Zatkało go, bo nie wyobrażał sobie, by mógł się do niej zwracać w ten sposób. Problem polegał jednak na tym, że nie był w stanie wymyślić powodu, aby zaprotestować. Chyba mu mowę całkowicie odebrało, bo wciąż nie mógł słowa wykrztusić, a dopiero co wzrok odzyskał i nie chciał teraz dla odmiany zostać niemową. Na szczęście wróciła Marta, przy której Felicja chyba wstydziła się ponownie dotykać tego tematu. Męczył się jak potępieniec, czekając, aż Kaczkanowa wróci do siebie, ponieważ nie pamiętał, kiedy ostatnio czuł się taki zażenowany. Na szczęście Felicja musiała iść do siebie pod piątkę, żeby podać obiad wracającej z pracy wnuczce. Sądził, że zapomniała o swojej propozycji, ale ta pożegnała go słowami:

– Zdrowiej, syneczku. I nie przemęczaj się w robocie, żeby ci znowu choroba nie wróciła.

Marta aż otworzyła buzię, słysząc, w jaki sposób teściowa zwraca się do jej mężonka. Odezwała się dopiero, gdy za Kaczkanową zamknęły się drzwi.

– Syneczku? – Zaczęła się głupkowato śmiać.

– I czego tak rechotasz jak dziura w moście? – burknął.

– Aleś matulę sobie przysposobił, skarbie. No, no... – Marta nie przestawała się naigrawać z Marcela.

– Gorzyj, ży ona chcy, cobym na nią „mamusia” gadał. Nie dość, ży człowiek ceglami w łeb dostał i wszystko cwaj widział, to jeszcze kolejne nieszczęście go spotkało – burknął. – I jak ja mam teraz do niej gadać?

– Może „mamusiu”? – zadrwiła Lemańska.

– Ty, Marta, mni z nerw ni wyprowadzaj. Ja ni wim, czego tyn Pan Bóg żadnyj li-tości dla mni ni ma – westchnął, a potem zaczął się przygotowywać do snu.

Dobrze było widzieć wszystko jak należy. Nic mu się nie plątało, głowa nie bolała i nie musiał się martwić, że zamiast w drzwi trafi w ścianę. I żonka w koszuli nocnej wyglądała jak kiedyś, zanim doznał urazu. Z tej okazji nawet pobaraszkował z nią trochę, a potem oboje zmówili pacierz, coby dobry Bóg nie zesłał im kolejnego bajbusa.

Nazajutrz udał się do Fiodorowa i oznajmił, że wraca do roboty. Obawiał się, że przez ten czas Maksim znajdzie sobie innego współnika, ale nic takiego się nie wydarzyło.

– Marcel, ja z natury ludziom nie ufam. Jeśli mam kogoś, na kim mogę polegać, trzymam się go. – Fiodorow rozwiął jego wątpliwości i dodał: – Teraz będę miał mało czasu z uwagi na wystawę. Ma przyjechać sam Bierut i Cyrankiewicz, więc musimy być przygotowani. Jeszcze komuś wpadnie do głowy, żeby jakieś ekscesy wywołać. Nową listę da ci ten sam człowiek, co poprzednio, Rzadziak, tylko auto inne weźmiecie, bo tamto już się do niczego nie nadaje.

– Już się nie mogę doczekać. Dobrze jest trochę polenić się w domu, ale potem to człowiek świrkuj.

– Ale musisz poświęcać także czas żonie i dzieciom. Wiem, co mówię, bo odkąd bardziej zacząłem dbać o Nadię, ta odpłaca mi w dwójnasób. I w dzień, i w nocy. – Fiodorow się uśmiechnął. – Zrezygnuj ze stróżowania. Po co ci to?

– Co racja, to racja. Muszę Martusi pilnować, bo taki jedyn absztyfikant ma na nią zakusy – odparł Marcel.

– Podaj mi jego nazwisko, a załatwię, że już nigdy więcej nie będziesz się nim musiał przejmować – powiedział zupełnie poważnie Maksim, a Marcelowi aż się gorąco zrobiło.

Nie lubił Szczurka i doskonale wiedział, że ten kocha się w jego żonie, ale żeby miał go oddać w łapy UB, to niekoniecznie. I jakże miał teraz z tego wybrnąć?

– Ja ni z tych. Albo mnie Martusia kocha, albo ni. Jak pójdzi do niego, to krzyż na drogę. Na siłę nikogo trzymać ni będę – odparł z godnością.

– Masz słuszość. Właściwie co z tego, że przegonię konkurentów, jeśli baba mnie nie będzie chciała? – powiedział ze śmiechem Maksim.

Lemańskiemu od razu ulżyło. Prędeziej by Szczurkowi gębę przefasonował, aniżeli doniósł na niego.

Po opuszczeniu biura WUB postanowił się udać do swojego miejsca pracy, w której pełnił obowiązki nocnego stróża, i złożyć podanie o zwolnienie. Wyszedł za bramę ogromnego budynku przy Podwalu i ruszył przed siebie. W pewnej chwili usłyszał za plecami głos swojego teścia:

– Nie dość, że jesteś mordercą i złodziejem, to jeszcze donosisz na UB. Ale z ciebie szubrawiec.

Aż go zatkało. Nie miał pojęcia, co powinien powiedzieć doktorowi Osadkowskiemu. Przecież nie mógł się przyznać, że robi interesy z sowieckim pułkownikiem NKWD.

– Na przesłuchani mni wezwali – skłamał. – W sprawie tego naszego współlokatora, Szczurka.

– Pewnie żeś im głupot nagadał i chłop zaraz będzie miał problemy – burknął Osadkowski, czym zdenerwował Marcela niemożliwie.

– A mylisz się pan, ja ni z tych. Widzi mi si, że mu właśnie dupę uratowałem – warknął i ruszył przed siebie.

Nie zamierzał słuchać obelg pod swoim adresem. Nigdy na nikogo nie doniósł, chociaż dzięki znajomości z Maksimem mógł każdemu narobić problemów. Swojemu teściowi także.

– Zawsze wyrażałeś się jak prostak. – Osadkowski jeszcze z daleka usiłował mu lżyć.

Zatrzymał się, odwrócił, popatrzył na niego i wypalił:

– A tyś taki inteligent szpagatowy? Twój zięć pewnie ładnie gadał, tylko potem prał swoją żonkę, aż klaskało. To ja już wolę zostać prostakiem.

Naprawdę był wściekły na Osadkowskiego. Trafił do Lwowa z wielkimi marzeniami o wzbogaceniu się, a tymczasem wylądował w więzieniu i w dodatku posądzono go o zbrodnię, której nie popełnił. Dbał o Martę i chował cudzego dzieciaka jak własnego, a nawet uratował mu życie, ale dla doktora to nie miało znaczenia. Wolał Kaczkana, który wśród ludzi udawał dystyngowanego, a w chałupie wylaziło

z niego chamisko. Gdyby nie Martusia, chybaby mu przyłożył i nie patrzyłby na nic. Nawet na to, że znajdują się tuż obok budynku безпеki.

Wrócił do domu wściekły jak nieszczęście, zamknął się w kuchni, a potem wychylił kilka kieliszków bimberku. Nie zamierzał powiedzieć żonie o spotkaniu z jej ojcem, bo Marta bardzo przeżywała każde przykre zachowanie swoich rodziców. Chciała, żeby polubili zięcia, a ją zaczęli traktować jak kiedyś, ale jakoś nie mogła się tego doczekać. Nieraz słyszał, że chlipała w poduszkę, bo pragnęła się pojednać z rodzicami i bratową. Mimo że naigrawała się z przemiany Kaczkanowej, chyba jej ulżyło, bo chociaż Felcia odpuściła Lemańskiemu.

Pod wieczór przyszła do nich Nadia i poprosiła Marcela o rozmowę w cztery oczy.

– Jeszczy wczoraj to we sześć oczy byśmy gadali. – Zaśmiał się i dodał: – Moja żonka będzie zazdrosna, jak si tak z tobą sam w pokoju zamknę.

– Nie będę. – Marta się uśmiechnęła i dodała kpiarsko: – Do doktora Szczurka pójdę.

– A nich ci reńka boska broni! – fuknął, chociaż doskonale wiedział, że Marta żartuje.

Nadia, mimo że wyszła za Fiodorowa, wciąż była przez nich traktowana jak członek rodziny i Marcie nigdy nie przyszłoby do głowy, żeby być o nią zazdrosną.

Kiedy zostali sami, usiedli przy stole. Nadia przez chwilę milczała, a potem wyciągnęła z torebki zawinięte w chustkę do nosa precjoza.

– O, pamiętam i tyn pierścionek, i ten wisior – powiedział.

– Marcel, ja muszę to sprzedać. Dobrze i szybko. Najlepiej w innym mieście. Zwłaszcza ten naszyjnik z brylantami.

– A co cię Maksim ni karmi, ży forszy potrzebujesz? – zażartował.

– Nie. Wisza znalazł człowieka, który przeprowadzi nas górami do Czechosłowacji.

– A wiesz, ży zamach stanu zrobili i już si tam Sowiety panoszą? – zapytał.

– Tak, wiem, ale na razie panuje bałagan jak u nas zaraz po wojnie i minie trochę czasu, zanim uszczelnią granice. To ostatni dzwonek, żebyśmy uciekli. Najpierw kombinowaliśmy, coby niemieckie pochodzenie sobie załatwić, ale nie zna-

leżliśmy żadnego dobrego fałszerza. A może ty znasz kogoś? Wiem, że we Lwowie skombinowałeś Wasylowi lewe kwity.

– Nadeńko, Wrocław to ni Lemberg. Ja tu znam szabrowników, paserów, i twojego męża. Ni mam dojścia do takich rzeczy. A po amnestii... Sama wiesz.

Nawet nie próbował odwozić Nadii od pomysłu ucieczki z Wissarionem. I tak by nie posłuchała. Doskonale wiedział, że Fiodorow kompletnie się załamie i nie wiadomo, co mu do łba strzeli, ale nigdy nie wydałby przyjaciółki. Od razu przypomniał sobie rozmowę ze starym Osadkowskim i aż zacisnął zęby na to wspomnienie.

– A Maksim ni zmiarkuj, ży ci ubyło trochę klejnocików? – zapytał zatrwożony.

– Myślisz, że on tak dobrze pamięta, co mi dawał? – prychnęła. – Ten naszyjnik na pewno, bo niedawno go od niego dostałam, ale on wart jest fortunę i muszę zaryzykować. Jedyna moja nadzieja, że nie bardzo mam gdzie go zakładać. Nawet na rautach sowieckiej wierchuszki nie wypada kłuć w oczy takimi cackami. A Maksim przecież nie będzie do mojej szkatułki bez potrzeby zaglądał.

– Ja ci te małe świcidelka opchnę na miejscu i znajdę klienta na tyn naszyjnik, ale jak si Fiodorow dowi, to mi z dupy wiatrak zrobi – powiedział grobowym głosem.

– Przecież ja mu o tym nie powiem. A na pociechę pomyśl, co mnie robi, gdy zmiarkuje, że spieniężam jego prezenty. Zafunduje mi takie przesłuchanie, że nie pozostanie mi nic innego, jak tylko odebrać sobie życie – odparła ze smutkiem Nadia, a potem nagle zaczęła płakać.

– Ni trubuj si, Nadeńka. Będzji dobrze. Jakoś si to wszystko poskłada. – Marcel chciał ją pocieszyć, ale doskonale wiedział, że kobieta znalazła się w sytuacji, z której nie było dobrego wyjścia.

– Marcel, kiedy ja już siły nie mam... Codziennie oszukuję Maksima i zamartwiam się o Wissariona, żeby ten nie popełnił jakiegoś szaleństwa. Ale najgorsze jest to, co robię Oleńce. Pokochała Fiodorowa, a on jest najlepszym ojcem, jakiego można sobie wyobrazić. Jeśli uciekniemy, córka Wiszy oszaleje z rozpacz i wiele czasu upłynie, zanim przywyknie na powrót do prawdziwego ojca. Będziemy musieli z Wissarionem zaczynać wszystko od zera i zdaję sobie sprawę, że jeśli uda się nam zbiec, musimy być przygotowani na prowadzenie skromnego życia, ale jak odnajdzie się w biedzie Oleńka? Ma wszystko: piękne ubrania, jedzenia pod

dostatkiem i ładne zabawki, o których inne dzieci mogą jedynie pomarzyć. A co, jeśli nas znienawidzi za to, że odebraliśmy jej cudownego ojca i życie księżniczki i skazaliśmy na codzienność w nędzy? Może przesadzam, Wisza jest zdrowy i silny, więc znajdzie jakąś robotę, a i ja mogę się gdzieś zaczepić, ale nigdy nie zapewnimy Oleńce tego, co Maksim.

Nadia rozkleiła się zupełnie, a Marcel jedynie od czasu do czasu głaskał ją po włosach i powtarzał, żeby przestała płakać.

– Widzisz wszystko w czarnych barwach. Jeśli wyjedziecie z Polski, możecie popłynąć nawet do Ameryki, a tam na pewno szybko si odkujecie – odparł.

W pewnej chwili otarła chusteczką łzy, wyprostowała się na krześle i wydukała:

– Masz rację. Uciekając z Wiszą, mam jakąś szansę na szczęście, zostając u boku Maksima, już nie. Mała z czasem zapomni o Fiodorowie i przywyknie do nowego życia, które wcale nie musi być gorsze od tego, które wie dzie teraz. Zatem, drogi Marcelku, upłynnij mi te fanty jak najprędzej i oczywiście weź swoją dolę – powiedziała przez zaciśnięte zęby.

– Nic od ciebi brał ni będę. Jutro zacznę kręcić si koło tego interesu, a ty si uspokój, bo Fiodorow coś zmiarkuji. Na razie ma cyferblat^[54], jakby Boga za nogi złapał, boś podobnież taka milusia dla niego. On teraz będzi miał przed tą całą wystawą roboty, ży ho-ho...

– Wiem. Dlatego musimy uciec najpóźniej w ostatnim dniu wystawy. A najlepiej, gdy przyjedzie tu Bierut i Cyrankiewicz.

– Myślisz, ży jak si tak na nich zapatrzy, to ni zmiarkuje, żeś dała dęba^[55]?

– Nie, sądzę, że w ogóle tego dnia nie zajrzy do domu. Będzie pilnował, żeby nikt pobytu tych dygnitarzy nie zakłócił. Pójdę już, muszę teraz mu nadskakiwać i siedzieć przykładnie w domu – odparła, a potem podniosła się z krzesła, pożegnała z Lemańskimi, a po chwili już jej nie było.

Miał złe przeczucia. A może raczej zdrowy rozsądek mu podpowiadał, że dwoje ludzi, w tym jeden członek UPA, ma niewielkie szanse z ogromną machiną UB, w której pułkownik Fiodorow pełnił dość ważną funkcję. A co gorsza, kochał tę ukraińską szelmę na zabój.

*Wrocław, 1948*

Marta nie potępiała brata, że ten zaprzedał duszę czerwonemu diabłu. Zwłaszcza że odkąd dołączył do zespołu koordynującego przygotowania do Wystawy Ziemi Odzyskanych, jakby odżył. Częściej się uśmiechał, a nawet nieco lepiej układało mu się z Emilką, chociaż ta nie zmieniła się wcale i nadal chodziła nabzdyczona, jakby Andrzej miał dwie kochanki, nagminnie wracał pijany do domu albo robił jej codziennie awantury.

Z racji tego, że od chwili wypadku Marcela Kaczkanowa zaczęła ich traktować niemal jak własne dzieci, postanowiła ją podpytać o małżeństwo brata. W końcu mieszkali w jednym lokalu, więc pewnych spraw nie dało się ukryć. Bardzo się zdziwiła, gdy się okazało, że w oczach pozostałych domowników spod piątki młodzi Osadkowscy są parą wręcz wzorową.

– Tacy wyważeni, kulturalni... Dobrana z nich para, bo ta Ukrainka to wcale do niego nie pasowała. Dla niej dobry był ten wiejski parobek, Zinowjew – powiedziała, gdy Marta zadała jej pytanie na temat relacji Andrzeja z Emilią.

– A mnie się wydawało, że oni się zachowują, jakby byli sobie obcy – westchnęła.

– Mają się obściskiwać przy wszystkich? To nie wypada. Ale nie martw się, wszystko u nich w porządku.

– A u rodziców? Mama przyszła do Marcela, gdy ten wyszedł ze szpitala. Sądziłam, że teraz chociaż z matką mi się poukłada, ale na tej jednej wizycie się skończyło.

– Ja tam z twoimi ojcami nie gadam. Kto to widział, żeby tak traktowali Marcelka – odparła wyniośle i dodała: – Powiem ci w tajemnicy, że nie tak dawno Katarzyna bardzo się pokłóciła z doktorem. Nie, żeby podśluchiwała czy coś, ale słychać ich było nawet zza ściany.

Była pewna, że Kaczkanowa, od razu przytknęła ucho do drzwi, żeby dowiedzieć się, o co im poszło.

– A o co się pozarli? – zainteresowała się Marta.

Matka, odkąd rodzice powrócili z Indii, zdawała się być pod zupełnym wpływem ojca. Odkąd pamiętała, prawie nigdy się nie awanturowali, więc pani Katarzyna musiała mieć bardzo poważny powód, by krzyczeć na męża.

– Martusiu, nie jestem lekarzem, ale twojemu ojcu to zdaje się taki doktor od głowy by się przydał. Wygadywał potworne głupoty i pani Kasia nie wytrzymała. Wykrzykiwał, że Marcel nie dość, że jest kryminalistą, to jeszcze donosi na UB, a twój brat podobnie ma romans z jakąś Niemrą. Sama widzisz, że mu całkiem w tych Indiach klepki się poodklejały. – Kaczkanowa złożyła ręce jak do modlitwy.

– Ciekawe, dlaczego mu takie rzeczy do głowy przychodzą? – zapytała Lemańska bardziej siebie niż Felicję.

– Ja myślę, że nie może się przyzwyczaić do nowych porządków. W Orliczynie był kiedyś najważniejszą osobistością zaraz po proboszczu, a tutaj? Nie dość, że żadnego poważania w kamienicy nie ma, bo tu wszyscy mają w nosie jego fach i nazwisko, to jeszcze przestał mieć wpływ na własne dzieci.

– Przecież my już jesteśmy dorośli, a on nadal chce nam życie układać. Nawet ty się przekonałaś, że z Marcela to porządny chłop, a on ciągle w nim widzi chłopka-roztropka i w dodatku z wyrokiem.

Machnęła ręką, ale zaczęła się poważnie martwić o ojca. Mogła zrozumieć, że dzieci trochę go rozczarowały, ponieważ nie taką przyszłość dla nich zaplanował, ale wymyślanie takich okropnych głupot było grubą przesadą.

– Jemu się cały czas wydaje, że wciąż jest zacnym panem doktorem z mурowanym domem, z którego zdaniem każdy musi się liczyć. A tu jest Wrocław, a nie Orliczyn i każdy żyje po swojemu – odparła Kaczkanowa.

Marta nigdy nie sądziła, że kiedyś usłyszy od swojej teściowej takie słowa. Jakby w chwili wypadku Marcela jakiś kluczyk się w jej głowie przekręcił. Niestety, jeśli chodzi o ojca, straciła wszelką nadzieję na pojednanie. Żal jej było matki, bo pani Katarzyna chyba zaczęła powoli godzić się z życiowymi wyborami swoich dzieci, ale ojciec z dnia na dzień robił się coraz bardziej nieznośny.

Po powrocie Marcela opowiedziała mu, co usłyszała z ust Kaczkanowej.

– A widzisz, bom spotkał twojego ojca na Podwalu, koło UB, i od razu dośpiewał sobie historię. Nie mogłem mu powiedzieć, że ja z interesem do Fiodorowa przyjechałem, i łatka szpicla gotowa – westchnął.

– No dobrze, mógł coś sobie uroić, jeśli cię tam zobaczył, ale romans Andrzeja z jakąś Niemką to kompletna bzdura. Naprawdę posądza mojego brata, że łązi do Ilse, bo jest jego kochanicą? Jak tak dalej pójdzie, to nie chcę wiedzieć, co wymyśli za kilka lat, gdy już się całkiem stary zrobi.

– Pies go ganiał – burknął Marcel, po czym skupił się na pałaszowaniu obiadu.

Po południu wpadła do nich z wizytą Jadźka, ale – jak się okazało – wcale nie do niej ani Marcela, ale podobno miała sprawę do doktora Szczurka. Marta sądziła, że jej pasierbica zaraz od niego wyjdzie, jednak się pomyliła i młoda Kaczkanowa opuściła pokój doktora po jakichś dwóch godzinach, rozpromieniona, jakby co najmniej Szczurek poprosił ją o rękę.

Marta żyła względnie spokojnie, bez wstrząsów i większych problemów, jakby los chciał ją nieco wynagrodzić za ostatnie przejścia. W kamienicy także niewiele się działo, oprócz cyklicznych kłótni pomiędzy miastowymi a ludźmi przybyłymi ze wsi. Ci pierwsi sarkali, że aprowizacja jest lepsza niż w poprzednim roku i należałoby zlikwidować obórki na podwórzu i hodowlę drobiu w łazienkach, zaś ci drudzy wciąż nie mogli pojąć, że nie można być jednocześnie przaśnym chłopem i miastowym elegantem. Dozorczyni usiłowała pogodzić całe towarzystwo, ale kończyło się na tym, że w końcu to ona zaczęła uchodzić za tę najgorszą.

Panna Schlesinger nadal wyjeżdżała o świcie i wracała późnym popołudniem, a niekiedy i wieczorem, powierzając córkę opiekunce. Podobno zmieniła imię i nazwisko na polskie, ale nikt się tym nie zainteresował, bo dla wszystkich była Niemrą albo Miemrą.

Córka dozorczyńni Kalinowskiej zaś ze skromnej i cichej panienki przeistoczyła się w rozrywkową pannę i zdarzało się, że wracała do domu nad ranem, i to niezupełnie trzeźwa.

Dzięgiele wciąż prowadzili w wychodku kurzą fermę, nie przejmując się ani ludzkim gadaniem, ani też coraz większym smrodem. Brzuchaty mężczyzna za każdym razem, gdy ją widział, pytał, kiedy przyjedzie do nich ta czarna lalka z ele-

ganckiego auta, i oblizywał się przy tym lubieżnie. Miała niekiedy ochotę mu powiedzieć, że Nadia dorobiła się nie tylko męża, ale także kochanka i każdy z nich jest ze sto razy przystojniejszy od Dzięgiela, ale ze zrozumiałych względów tego nie zrobiła.

Siedmioosobowa ukraińska rodzina, mieszkająca na drugim piętrze, niespodziewanie zapakowała swój dobytek na wynajętą furmankę i wyniosła się z kamienicy przy Stalina, z nikim się nie pożegnawszy. Na razie kwatera stała pusta, ale Marta wiedziała, że za chwilę ktoś się tam wprowadzi, i była bardzo ciekawa nowych lokatorów. Ci Ukraińcy jej nie wadzili, ale kontakty z nimi ograniczała do zdawkowego „dzień dobry”, podobnie jak reszta mieszkańców ich domu. Oni także nie próbowali nawiązywać żadnych relacji i nawet nie pozwalali dzieciom, by te zaprzyjaźniły się z ich pociechami.

Kaźmierczakowie jak zawsze nosili głowy wysoko, wychwalali władze za pomysł wystawy, czym doprowadzali do szału każdego – od lokatorów na parterze aż po poddasze, gdzie mieszkali Dzięgiele oraz Boguś z Marianną. Nie chodziło o samą wystawę, ale każdy widział, z jakim rozmachem idą przygotowania. Nie trzeba być biegłym w rachunkach, żeby zmiarkować, że musiały pójść na to ogromne pieniądze, gdy tymczasem wrocławianie wciąż musieli się borykać z brakiem mieszkań, marną służbą zdrowia i kiepską aprowizacją. Mimo że ta ostatnia nieco się poprawiła, wciąż obowiązywały kartki oraz dni bezmięsne i bezciastkowe. Warunki życia niektórych wrocławian urągały wszelkim standardom, ale wystawa musiała się odbyć z przytupem i za ciężkie pieniądze. Trudno więc było się dziwić ludziskom, że zdzierżyć tego nie mogli.

Doktor Szczurek dopadł ją nazajutrz w kuchni, gdy szykowała dzieciakom śniadanie. Marcel z Bogusiem wyjechali w teren o świcie, a ona zajęła się tym, co zazwyczaj.

– Marta... – powiedział zimno. – Czy twój mąż współpracuje z UB?

Popatrzyła na niego z wyrzutem. Wiedziała, że Jadźka przekazała mu te rewelacje, ale sądziła, iż Paweł już nie wierzy w brednie, które mu wciskała.

– Nie – odparła krótko.

– A może postanowił w ten sposób się mnie pozbyć? Obecnie to prosta sprawa, wystarczy głupot nagadać i gotowe.

Zdenerwowała się, bo Marcel nigdy by czegoś podobnego nie zrobił.

– A masz coś na sumieniu? – zapytała z udawaną słodyczą.

– Nie mam... – wymamrotał, ale była pewna, że wcale tak nie jest. Poznała go trochę i dobrze wiedziała, kiedy kłamał.

– Zatem nie masz się czego bać. – Jej ironia była dobrze wyczuwalna, ale Paweł był chyba zbyt przerażony, aby to zauważyć.

– Powiedz mi prawdę. Jeśli mnie zamkną, nie wyjdę z więzienia przed pięćdziesiątką. Każdy z nas ma jakąś przeszłość, ja również. I nie jest to przeszłość, która podoba się władzy ludowej – odrzekł.

– Posłuchaj, mój mąż nie donosi na UB, a jeśli Jadźka chce się za ciebie wydać, niech go do tego nie miesza. Może ożeń się z nią, to przestanie gadać bzdury? – Marta naprawdę była już zmęczona podchodami Kaczkanówny. Nie obchodziły jej amory pasierbicy, ale przez jej gadanie ludzie mogli mieć poważne kłopoty.

– Nie ożenię się z Jadźką, bo kocham ciebie.

Odwróciła głowę w jego stronę, żeby raz na zawsze wybić mu z głowy mrzonki o ich wspólnym życiu, ale ujrzała w drzwiach Michasia, który stał jak wryty i patrzył z przerażeniem na Szczurka. Po chwili chłopiec jakby się ocknął z letargu, podszedł do Pawła i zaczął go kopać oraz okładać pięściami. Krzywdy mu dużej nie mógł zrobić, ale matka musiała go odciągać od Szczurka, by się w końcu uspokoił.

– Widzisz, co narobiłeś? – syknęła do doktora. – Jeśli się od nas nie wyniesiesz, sama na ciebie doniosę.

Musiała jednak dać reprimendę synowi, bo zachował się nagannie, ale najbardziej obawiała się o to, że Michał wszystko opowie ojcu i znowu zacznie się chryja.

– Michaś! – powiedziała ostro. – Pan Szczurek żartował, a ty rzuciłeś się na niego, jakby mnie pobił.

– Nie chcę mieć takiego ojca. Chcę swojego – burknął chłopiec.

– Kochanie, doktor Szczurek nigdy nie zostanie twoim ojcem. Masz już tatę, Marcela Lemańskiego, i innego mieć nie będziesz. I lepiej, żebyś nie powtarzał ojcu, co głupiego gadał ten człowiek...

– Dlaczego? – zdziwił się Michał.

– Bo tatuś się zdenerwuje.

– I dobrze, da mu po gębie – odparł ze spokojem.

Przewróciła oczami, bo tylko tego brakowało, żeby Marcel pobił się ze Szczurkiem. Już sobie wyobrażała reakcję swojego ojca, gdyby taka wiadomość rozeszła się po kamienicy.

– Jeśli coś powiesz, twój tata może pójść do więzienia. Nie można nikogo bić. – Marta miała nadzieję, że to podziała na jej starszego syna. – I wychodź już, bo się spóźnisz do szkoły.

Gdy tylko za Michasiem zamknęły się drzwi, weszła bez pukania do pokoju Pawła. Siedział pochylony przy biurku i robił pakiety z ulotek przedstawiających swastykę tuż obok sierpa i młota. Już kiedyś widziała podobną kartkę na wycieracze. To było zaraz po tym, jak Szczurek wprowadził się do ich kamienicy.

– Już wiem, dlaczego się tak boisz – burknęła i dodała ostrym tonem: – Nie życzę sobie, żebyś wyznawał mi miłość, nie chcę słuchać plotek, które roznosi po kamienicy Jadźka, i nie chcę cię oglądać częściej niż muszę. Zakochałam się w Marcelu, gdy miałam siedemnaście lat. Oprócz miłości łączą nas przyjaźń i dzieci. Nie zostawię tego wszystkiego dla ciebie. Nigdy. Więc błagam cię, daj sobie spokój. Ożeń się z Jadźką, młodą Kalinowską albo Ilse Schlesinger. Wszystko jedno, bylebyś nie niszczył mojej rodziny. Jeśli naprawdę mnie kochasz, daj nam spokój.

Usiłował zasłonić ręką ulotki, ale ona miała większe problemy aniżeli działalność antykomunistyczna Szczurka. Owszem, jeśli ten wpadnie w łapy UB, ich także będą nękać, jednak bardziej martwiła się o swoją rodzinę. Skoro już dzieci zostały w to wciągnięte, musiała przystopować namolnego wielbiciela.

– Co w tym nim widzisz?! – Paweł niemal krzyczał.

– Może raczej zadaj sobie pytanie, co ty widzisz we mnie... Lubiałam cię, Paweł, ale teraz czuję jedynie złość na ciebie. Jadźce mogę wiele darować, bo to rodzina i w dodatku dziewczucha jest głupia jak but z lewej nogi, ale ty? Jesteś wykształconym, dystyngowanym człowiekiem, a zachowujesz się jak mały dzieciak, któremu rodzice nie chcą kupić klocków.

Milczał przez dłuższą chwilę, a potem podniósł się z krzesła i podszedł do niej. Obawiała się, że zechce ją pocałować i kolejny raz tego poranka oberwie, ale on powiedział jedynie:

– Masz słuszość. Przepraszam.

– W takim razie wszystko sobie już wyjaśniliśmy – westchnęła.

– Nie doniesiesz na mnie? – zapytał i wskazał brodą na sterty ulotek.

– Nie, ale zastanów się, co robisz. Narażasz nie tylko siebie, ale także nas. UB niczym się nie różni od gestapo. Winny czy niewinny, ale zamieszany był. Zabierz więc te swoje wywrotowe papiery z naszego domu i baw się w podziemną opozycję gdzie indziej.

– Za to także przepraszam. Już nigdy więcej nie zobaczysz takich rzeczy w naszym mieszkaniu. – Potulność Szczurka powinna ją uspokoić, ale wydał się jej zbyt spolegliwy i zaczęła się zastanawiać, na jakie jeszcze kłopoty narazi ją ten człowiek.

Michaś nie wziął sobie do serca słów Marty, bo wszystko wyśpiewał swojemu ojcu, gdy ten tylko przekroczył próg domu. Marcel jednak bardziej się przejął podejrzeniami o współpracę z UB aniżeli miłosnym wyznaniem doktora.

– Ja donoszę? To menda sakramencka! – syknął i Marta ledwie go powstrzymała, żeby nie poszedł do doktora i nie wlał mu. – On ni Szczurek si powinien nazywać, inu najprawdziwszy Szczur.

– Wyjaśniłam mu kolejny raz, że Jadźce odbija z braku chłopa, i nawet zaproponowałam, żeby się z nią ożenił. – Marta wciąż trzymała Marcela za rękę i czekała, aż mężowi złość minie.

– Martusiu, on taki głupi nie jest. I mówiłem, ży si w tobie kocha. Czeka, aż mni zostawisz. – Lemańskiemu, co prawda, wściekłość zaczynała przechodzić, ale teraz zaczął popadać w kompleksy i obawiać się, że Marta go porzuci dla eleganckiego lekarza.

– Niech czeka, jak lubi. Co cię to obchodzi? – Zdenerwowała się. – Kiedyś nawet tego Szczurka lubiłam, bo pomagał mi przy dzieciach, a i dla mnie był miły, ale teraz patrzeć na dziada nie mogę.

– Naprawdę? To może mu zamaluj w mazak? Do kompletu... – Marcel nieco ochłonął.

– Po co? Żeby pomyślał, że musisz łać po gębach fatygantów, bo nie jesteś pewny swojej żony? Daj spokój. Jeśli będziesz go ignorował i udawał, że masz w nosie jego

amory, bardziej będzie zły.

– Masz ty rację. Ja teraz będę dla niego jak Felcia Kaczkanowa dla mni. To si zdziwi chłopina.

Marcel momentalnie się rozpromienił i domowa burza przeszła bokiem. Pogadał nawet z synem, by ten doktora nie zaczepiał, bo to chory człowiek. Co prawda tylko na głowę, ale trzeba się i nad takim nieborakiem zlitować.

Marta była ciekawa, co z tego wyniknie. Miała nadzieję, że Szczurek tak się zdziwi zachowaniem Marcela, iż zechce uciec w popłochu z ich domu, a ona w końcu odetchnie z ulgą.

31.



Wrocław, 1948

Mimo że Wystawa Ziem Odzyskanych miała charakter propagandowy i miała pokazać światu, że przyłączone po wojnie tereny, należące przedtem do Rzeszy, stanowią nierozzerwalną część nowego polskiego państwa, Andrzej Osadkowski czuł dumę, że może brać udział w tak ogromnym przedsięwzięciu. Wrocław na organizację tej doniosłej imprezy otrzymał bardzo duże środki, które miały posłużyć nie tylko na zbudowanie hal wystawowych, ale także na uprządkowanie miasta. Dotychczas Warszawa i jej odbudowa stanowiły dla władzy priorytet. Tak duży, że ograbiano inne miasta, by stolica jak najszybciej zaczęła przypominać europejską metropolię.

Do współpracy przy wystawie zaangażowano nie tylko wybitnych architektów, ale także artystów, takich jak Cybis, Lipiński czy Dunikowski. Pracy było co niemiara, do otwarcia imprezy zostały jeszcze trzy miesiące, a Andrzejowi się zdawało, że wszystko jest jeszcze w powijakach. Nie pełnił w zespole szczególnie odpowiedzialnego stanowiska, zajmował się raczej tym, co powinno być zrobione w samym mieście, i miał dopilnować, by ekipy budowlane zdążyły na czas.

Sam teren wystawowy obejmował Halę Ludową, nowo wybudowany Pawilon Czterech Kopuł, a także tereny wzdłuż Odry oraz rynek i katedrę. Miało być bogato, ciekawie i doniosłe, ponieważ liczone na rozgłos w Europie, a nawet za oceanem. Symbol stanowiła ponadstumetrowa iglica, zaprojektowana przez Stanisława Hempla, która stanęła nieopodal Hali Ludowej. Spodziewano się zarówno tłumów wrocławian, jak i bardzo zacnych gości, więc kwestie bezpieczeństwa stały się priorytetem dla milicji czy Urzędu Bezpieczeństwa.

Andrzej niekiedy uczestniczył w spotkaniach roboczych, dotyczących porządku w mieście podczas wystawy, i któregoś razu natknął się na pułkownika Fiodorowa.

Udawał, że go nie widzi, ale ten podszedł do niego i wyciągnął rękę. Osadkowskiego zatkało kompletnie, ale błyskawicznie doszedł do równowagi i przywitał się z Maksimem. Ostatnim razem widzieli się na odprawie Armii Krajowej z sowieckimi dowódcami, zaraz po wyparciu Niemców ze Lwowa. Wówczas również był dla niego bardzo uprzejmy, mimo że już knuł, jak mu odebrać żonę.

– Praca wam się podoba? Żona w końcu zadowolona? – zapytał dość oficjalnie.

Osadkowskiemu od razu zapaliła się w głowie czerwona lampka. Dotychczas nie zastanawiał się, dlaczego były oficer AK otrzymał tak świetną posadę. Co prawda, nie miał pojęcia, co się z nim stanie, gdy już wystawa się odbędzie, ale na razie każdego dnia dziękował siłom wyższym, że nie musi tyrać przy gruzie. Taka impreza to było wyzwanie i spore przedsięwzięcie, w którym mógł pokazać swój spryt i zdolności organizacyjne. Jednak zanim się podjął tej pracy, nie miał żadnych kwalifikacji w tym kierunku. Zapewne większość osób na podobnych stanowiskach wybrana została według klucza partyjnego, aby wydzwięk wystawy nie budził wątpliwości, ale i na tym polu jego osiągnięcia były żadne, bowiem wstąpił do partii niedawno. A teraz gawędził sobie z mężem Nadii i nagle doznał olśnienia.

– Bardzo... Pułkowniku, czy to wam zawdzięczam tę pracę? – zapytał hardo.

– Nie, ale wydałem wam pozytywną rekomendację. Zresztą z uwagi na to, co się znajdowało w waszych aktach ze Lwowa, nie mogłem postąpić inaczej. W końcu napisałem wówczas, że dobrze rokujecie... – odparł zupełnie spokojnie.

Bez względu na to, jaką rolę w otrzymaniu tej posady spełnił Fiodorow, widać było, że już odpuścił sobie podejrzenia w stosunku do Andrzeja. A to była dobra wiadomość. Zarówno dla niego, jak i dla Nadii czy Emilii. Problem polegał na tym, że jego żona, chociaż – jak obiecała – rzadko wypowiadała się na temat Nadii i zapewne odetchnęła z ulgą, gdy ta przestała ich odwiedzać, wciąż obawiała się o stan uczuć małżonka.

Do tego doszła jego znajomość z Brigitte, którą musiał nie tyle zakończyć, co bardzo mocno ograniczyć. Naprawdę chciał, żeby tym razem nowy początek jego i Emilki był jednocześnie zamknięciem starych spraw. Starał się ratować swoje nadwątlone małżeństwo, podobnie zresztą jak jego małżonka, a jednak kiedy zajęty był wystawą i mocno przeżywał swoją rolę w tym przedsięwzięciu, ona wyrażała się o całej imprezie bardzo lekceważąco z uwagi na jej propagandowy charakter. Tłumaczył jej, że miasto dzięki temu wiele zyska, a pewne obiekty będą służyć

mieszkańcom przez wiele lat, ale ona widziała w tym jedynie spektakl dla reszty świata.

Oderwał się od myśli o żonie, bo nie wypadało zbyt długo milczeć, więc powiedział:

– Dziękuję, pułkowniku, i proszę przekazać od nas pozdrowienia małżonce.

Wypadło to nieco sztucznie, ale w pobliżu kręciło się mnóstwo osób i należało zachować fason.

– Przekażę. – Uśmiechnął się i dodał: – W takim razie powodzenia wam życzę i przesyłam uszanowania dla małżonki.

Konwersacja była niemal wersalska i Andrzej nawet nie widział w oczach Maksima wrogości. Zapewne Fiodorow był teraz skoncentrowany nie tylko na wystawie, ale także na Nadii, która postanowiła raz jeszcze zawalczyć o możliwość zostania matką. Osadkowski nie wiedział tego jednak od niej, ale od Marcela, bo nawet nie potrafił sobie przypomnieć, kiedy ostatnio rozmawiał z byłą żoną. Nawet nie ukrywał przed ich wspólnymi przyjaciółmi i siostrą, że zachowanie pani pułkownikowej w sytuacji, gdy miała uciec z Wissarionem, jest co najmniej dziwne i niezrozumiałe.

– No i po co Nadia to robi i go zwodzi obietnicami bez pokrycia? – zapytał wówczas szwagra. – Przecież planuje stąd wyjechać.

– Ona to robi, żeby Maksim ni zmiarkował, co szykują – odparł Marcel.

– A jeśli się uda i Nadia zajdzie w ciążę?

– Zanim te doktory ją zbadają i osądzą, czy ma jaką szansę, ona już pryśnie na Zachód. – Wzruszył ramionami.

– Naprawdę się o nich boję, o Nadeńkę i Wissariona, chociaż o tego drugiego znacznie mniej – powiedział z westchnieniem.

– Bo i ja zacznę jak twoja Emilcia myśleć, ży ci ciągle pikawa do Nadeńki bije. – Lemański się zaśmiał.

– Nic mi nie bije – odparł bezwiednie. – Tylko mam jakieś złe przeczucia.

Naprawdę kiedy myślał o ucieczce Nadii i jej oblubieńca, czuł dziwny ucisk w dołku. Jeśli dopadnie ich straż graniczna, nie tylko mogą trafić do więzienia, ale Fiodorow się postara, aby uprzykrzyć im resztę życia tak bardzo, że oboje będą mieli ochotę je zakończyć. Wisza miał ciemną kartę w swoim życiorysie, którą było członkostwo w UPA, więc Maksim nawet nie musiałby szukać pretekstu, aby po-

zbawić go życia w majestacie prawa. Każdy bowiem sąd w tym kraju skazałby go na karę śmierci. Procesy polityczne nie miały nic wspólnego ze sprawiedliwością i Zinowjew nie uniknąłby stryczka. Tymczasem jego braciszek z piekła rodem nadal będzie mógł się cieszyć nieskrępowaną wolnością, co z każdym dniem dręczyło Osadkowskiego coraz bardziej... A Nadia? Nie wierzył, że Fiodorow byłby w stanie odebrać jej życie, nawet jeśli postąpi z nim tak haniebnie, ale już zawsze będzie jego zakładniczką.

Tego wieczoru, wracając z pracy, bo spędzał w niej ostatnio całe dnie, spotkał na placu Grunwaldzkim Wasyla. Teraz już nie stały tam byle jak sklecone budy, jak to miało miejsce zaraz po wojnie, ani też nie kłębiły się tłumy handlujących, ale trwały intensywne prace budowlane. Władze miały nadzieję, że nazwa targowiska, które kiedyś tam istniało, pójdzie w zapomnienie. W końcu „szaberplac” nie brzmiał dobrze jako określenie placu znajdującego się niemal w sercu Wrocławia.

Przywitał się chłodno z przyjacielem, a potem milczał, jakby pragnął jak najszybciej opuścić towarzystwo Wasyla.

– Stiepana zatrzymało UB – powiedział niemal grobowym tonem.

Andrzeja ucieszyła ta wiadomość. Liczył, że teraz ten barbarzyńca zostanie postawiony przed sądem, a wyrok mógł być tylko jeden.

– No i dobrze – burknął.

– Wiem, że się cieszysz, ale obawiam się, iż to może stanowić niebezpieczeństwo dla naszej grupy. Nie mieliśmy zamiaru wywoływać rewolucji, ale stąd uciec. Jeśli wpadniemy, Nadia z Wissarionem także.

– Przed tą wystawą UB dostało świra. Zatrzymują każdego, kto wydaje im się nie tyle podejrzany, co niepewny. Młodych Ukraińców, byłych członków polskiego podziemia, a nawet niepokornych inteligentów. – Machnął ręką.

– Na to liczymy. Stiepan, jak się domyślasz, przyjechał tu pod zmienionym nazwiskiem i to daje nadzieję, że puszczą go wolno. Sprawdzą, że żył sobie na wsi z bratem, potem zaś miał trafić do obozu i nie bardzo się nawojował podczas tej wojny. Ani w UPA, ani w Nachtigall czy SS Galizien.

– Szkoda – stwierdził sucho Osadkowski. – Wasyl, nawet jeśli go sprawdzą i wypuszczą, uznając, że nie zagraża porządkowi publicznemu, ja nie spocznę i zrobię

wszystko, żeby go dopaść. Lepiej więc, żeby się stąd jak najszybciej zawinął albo równie szybko zawisnął na stryczku.

– Wiem, Andrzej. Teraz każdy z nas będzie odmawiał inne modlitwy – westchnął Wasyl. – Posłuchaj, być może to jest nasze ostatnie spotkanie. Nie chciałbym, żebyśmy zakończyli naszą wieloletnią przyjaźń obrażeni na siebie. I to z powodu takiego gnojka, jak Stiepan Zinowjew. Przepraszam, że tak to wszystko wyszło, ale niekiedy człowiek musi dokonywać parszywych wyborów.

Osadkowskiemu aż łza zakręciła się w oku. Wasyl Zinowjew był wpisany w jego życie prawie tak samo jak rodzona siostra. Nie wyobrażał sobie, że nigdy go już nie zobaczy, mimo że ostatnio był na niego tak wściekły, że miał ochotę mu przyłożyć. Teraz jednak złość mu przeszła, bo nie chciał zegnać się z przyjacielem, chowając do niego urazę. Uścisnął Wasyla i powiedział:

– Nie wiem, czy kiedykolwiek to zrozumiem, ale może... W każdym razie życzę ci, żeby twoje plany się powiodły i abyś nie musiał już nigdy oglądać się za siebie. Rozpocznij nowe życie, znajdź sobie kobietę i uciekaj jak najdalej od Stiepana, bo on każdego wpędzi w problemy. I czuwaj nad Nadią, żeby się jej tam krzywda nie działa. Ja będę zbyt daleko, żeby jej pomóc, zresztą... Polska to teraz jedno potężne więzienie. I... Cholera, Wasyl, będzie mi ciebie brakowało.

– Trzymaj się, bracie – odparł Wasyl. On także miał łzy w oczach, bo zapewne zdawał sobie sprawę, że jeśli ucieknie, nie będzie mógł wrócić, chyba że tylko po to, żeby umrzeć na szubienicy.

Andrzej poczuł głęboki żal, bo wciąż pamiętał ich radosne dzieciństwo i młodość. Nie chciał wspominać tego, co się później z nimi stało. Ważne, że nigdy nie zapomnieli o łączących ich więzach.

Wrócił do domu przybity, bo jednak Wasyl był mu bardzo bliski, ale zaledwie zdjął buty, gdy ojciec poprosił go o rozmowę. Odkąd jego rodzice powrócili z tułaczki, taka prośba nigdy nie wróżyła niczego dobrego.

– Synu! – syknął ojciec. – Naprawdę zapisałeś się do PPR-u i pracujesz teraz dla władz?

– Tak – odparł hardo, a potem coś w nim pękło. – Tak, zdradziłem swoje ideały i zaprzedałem duszę bolszewickiemu diabłu, bo miałem dość swojego nędznego życia. Nie nadaję się na budowę, muszę działać i pracować inaczej, bo inaczej usycham i jestem nieszczęśliwy. Teraz pewnie zapytasz o Birgitte. Tak, tato, zaprzy-

jaźniłem się z Niemką. I to niejedną, ponieważ jestem także w dobrej komitywie z Ilse z parteru. Tak, nie wydałbym nigdy w ręce UB czy milicji Wasyla Zinowjewa i zawsze stanę w obronie Nadii. A teraz ty decyduj, czy nadal jestem twoim synem czy wyrzekniesz się mnie tak jak Marty.

Nie miał pojęcia, czy to spotkanie z Wasylem tak na niego podziałało czy może rozmowa z Fiodorowem. Został częścią tego systemu, ale wciąż był tym samym Andrzejem Osadkowskim, który popełniał błędy, miał dylematy moralne i pragnął żyć po swojemu, a nie po to, by zadowolić ojca i małżonkę.

Eugeniusz Osadkowski chyba nie tego spodziewał się po swoim synu. Zapewne sądził, że ten zachowa się jak zwykle, czyli zacznie przeproszać albo gęsto się tłumaczyć ze swoich poczynań. Milczał, a to oznaczało, że nie bardzo wiedział, jak się powinien zachować. Może dotarło do niego, iż przez swoje zachowanie stracił córkę, a za chwilę może również stracić syna.

Każdy miał swoją drogę do przebycia i musiał podejmować decyzje, które nie zawsze były zgodne z jego sumieniem, ale Andrzej Osadkowski już nie zamierzał walczyć o swoje ideały. Był kiedyś żołnierzem AK, któremu rozkazano bić się ramię w ramię z Sowietami, a teraz wymagano od niego, by ich nienawidził i stawiał im opór, rezygnując z własnych potrzeb i ambicji. Mogli iść do diabła razem z weteranem wojny polsko-bolszewickiej, panem Osadkowskim.

– Obyś nigdy nie żałował swoich decyzji. Emilia... – Ojciec wciąż był wściekły, mimo że pozbył się tonu pełnego pretensji.

– Emilia jest moją żoną i pewne problemy musimy rozwiązać sami – zakończył temat, a potem, zrezygnowany, opuścił pokój rodziców.

Skorzystal z nieobecności małżonki, położył się na tapczanie i przymknął powieki. Wasyl, Nadia, Marcel, Brigitte, a nawet jego siostra – każde z nich popełniało błędy i podejmowało złe decyzje. Tak jak on. I może dlatego potrafił ich zrozumieć. Byli wpisani w jego życiorys. Niedoskonali, ułomni, niepasujący do systemu wartości, który wpoił mu ojciec czy dziadkowie. Był przekonany, że i Emilia pewnego dnia potknie się na prostej drodze. I może wtedy zrozumie, iż świat nie jest czarno-biały i nie można przejść przez życie, nie brudząc sobie rąk. Rozumiał ją i jej ideały, ale musiała pogodzić się z faktem, że Andrzej doskonały nie był. Jeżeli chciała, aby ich małżeństwo przetrwało, także musiała zgiąć kark. Zrezygnował dla niej z przyjaźni z Nadią i z Brigitte, ponieważ pragnął uratować swoje małżeń-

stwo. Zacząć od początku, jak gdyby ich wzajemne animozje nigdy nie istniały. Był na to gotowy. Teraz ruch należał do Emilii.

32.



Wrocław, 1948

Wissarion z jednej strony czuł ekscytację, że termin ucieczki z Polski zbliża się wielkimi krokami, z drugiej – mnóstwo spraw mogło pójść nie tak, jak zaplanowali. Przewodnik, któremu mieli zapłacić za przeprowadzenie ich przez Sudety, został bardzo dobrze prześwietlony przez jego kompanów, jednak Wisza nie znał tego człowieka osobiście i to go trochę martwiło. Nie chciał skończyć jak wielu innych uciekinierów, którzy zamiast trafić na przewodnika, natykali się na przebiezańców z UB. Na szczęście nie musieli wpłacać żadnego zadatku, więc nie istniała obawa, iż ów człowiek przytuli ich pieniądze i zniknie bez śladu. Wynagrodzenie miał otrzymać w dwóch częściach – pierwszą tuż przed wyruszeniem w góry, drugą po przejściu przez granicę i dotarciu do bezpiecznego schroniska na terenie Czechosłowacji. Tam zaś miał na nich czekać inny człowiek, który odwiezie ich do granicy, za którą zaczynała się amerykańska strefa okupacyjna.

Najsłabszym ogniwem były, oczywiście, Nadia z Oleńką, a może raczej ich cerber, Fiodorow. Termin był ustalony, ale kto wie, co mogło Maksimowi strzelić do głowy. Może akurat wpadnie na pomysł, by zabrać swoją połowicę do Bagateli albo Savoya, a może jedynie zechce spędzić popołudnie w jej towarzystwie. Obecnie pułkownik był niezwykle zajęty za sprawą zbliżającej się Wystawy Ziem Odzyskanych, ale przecież nie spędzał całej doby na służbie. Wisza martwił się także Oleńką. Nie była już niemowlęciem i mogła zasypać ich pytaniami, na które nie mogli jej odpowiedzieć. Jednak to będzie dzień, w którym stanie z nią twarzą w twarz. Gdyby w pewnym momencie musieli się wycofać, zapewne jego córka pochwali się wycieczką w towarzystwie mamy i pewnego wysokiego pana o ciemnych włosach i równie ciemnych oczach. O ile go nie rozpozna, bo i takie prawdopodobieństwo

istniało, i wówczas Fiodorow będzie już pewny, z kim ma do czynienia. Dla Nadeńki i jego córki to będzie koniec marzeń o ucieczce z Polski. Dla niego także.

Marszruta, którą musieli przebyć, podążając na drugą stronę, nie stanowiła specjalnego wysiłku dla zdrowych mężczyzn, a nawet dla Nadii, ale jak sobie z tym poradzi Aleksandra? Może zacznie się buntować, płakać, a nawet krzyczeć, co stanowiłoby dla wszystkich ogromne zagrożenie. Nie była oseskiem, które poddaje się bez zastrzeżeń woli opiekunów.

Do miejsca spotkania z przewodnikiem zamierzał się udać samochodem Komitetu Opieki Społecznej. Tego dnia pojedzie, jak zwykle, z Mietkiem, by rozwieźć aprowizację, po drodze zaś go unieszkodliwi, wróci na Paulińską i stamtąd zabierze Nadię i córkę. Nie zamierzał robić krzywdy Mietkowi, jedynie skrepować go i uwięzić w opustoszałej chacie po Brigitte Mause. Andrzej nie miał o tym pojęcia, podobnie zresztą jak jego znajoma, ale ta wiedza nie była Osadkowskiemu i panie Mause do niczego potrzebna.

Nauczył się prowadzić samochód, ale trudno go było uznać za wytrawnego kierowcę. Jeśli popełni błąd, może zwrócić uwagę milicji, a on nawet nie miał uprawnień. Może wystarczy dać w łapę i pojechać dalej, a może patrol podniesie alarm. Mogło być naprawdę różnie.

Przez niemal dwa tygodnie rozmawiali w stolarni, by dograć wszelkie szczegóły ich brawurowej ucieczki z kraju, ale gdy Wissarion wracał do willi na Biskupinie, przy dawnej Grimmstrasse, zamykał się w służbówce i opuszczał ją jedynie po to, by skorzystać z kuchni albo toalety. Musiał mieć bardzo skupioną minę i bardzo poważną, ponieważ nawet Genowefa Kurzepa nie ośmielała się go zaczepiać.

Czekał. Rozmyślał. Planował. Rozważał każdy etap i szczegół podróży, a nawet ewentualną drogę ewakuacji, gdyby ich plan się nie powiódł. Brał to pod uwagę, jednak bał się myśleć o tym, co będzie później. Jemu groziło co najwyżej zwolnienie z pracy, ewentualnie kara za chwilowy zabór mienia i uwięzienie kumpla, ale Nadia będzie musiała się zmierzyć z gniewem Fiodorowa. Nie sądził bowiem, że przekona Oleńkę, by ta zataiła pewne sprawy przed ojcem.

Usłyszał pukanie do drzwi. Nie odpowiedział na nie, bo nie miał ochoty na rozmowę z Kurzepą, ale kiedy nie zareagował, powiedziała:

– Masz gości, Wiktorze.

Bardzo się zdziwił, bo nie spodziewał się żadnych odwiedzin. Zresztą zaledwie garstka osób znała jego adres. Chyba tylko Wasyl, Stiepan i Andrzej Osadkowski.

Wyszedł ze służbówki nachmurzony, podziękował Genowefie za informację i udał się do przedpokoju. Zobaczył w nim Wasyla i zapłakaną Klarysę. To nie wróżyło niczego dobrego. Nie wypytywał ich jednak od razu o powód wizyty, z uwagi na wścibską Genowefę, ale zaprosił do siebie. We troje ledwie mieścili się w jego pokoiku, a może raczej w schowku na szczotki. Wszyscy siedzieli na jego łóżku, ponieważ pokoik był tak mały, że nawet nie zmieścił się w nim stolik z krzesłami.

– Co się dzieje? – zapytał zatrwożony.

– Rano zabrali Stiepana – wyłkała Klarysa.

Aż się podniósł z kozetki. Stiepan jako jedyny w ich grupie znał przewodnika, który miał ich przeprowadzić przez granicę do Czechosłowacji. Poza tym wielu funkcjonariuszy UB, KBW czy NKWD bardzo pragnęło poznać największego siepacza UPA, Stiepana Zinowjewa. Jeśli więc dobrze się postarają, wkrótce odkrywają, kim jest, ponieważ zapewne jego zdjęcia widniały we wszystkich kartotekach NKWD Ukrainy Zachodniej. Jego brat już kiedyś siedział w więzieniu i wyszedł z niego tylko dzięki Nadii, która wyprosiła u zakochanego w niej Fiodorowa, by go wypuszczono. Teraz jednak interwencja Maksima nie wchodziła w grę.

– Coś mówili? Zrobili przeszukanie? – dopytywał.

– Nie wiem, poszłam do aprowizacji zrealizować kartki. Wyszłam wcześniej, bo potem zostają same ochłapy, i kiedy wracałam, zobaczyłam samochód stojący przed domem. Wkrótce ujrzałam, jak dwóch ubeków wyprowadza Stiepanka z domu i wpycha do auta. Od razu przyjechałam do Wrocławia, do chałupy bałam się wracać. – Klarysa chlipała i pociągała nosem, aż chwilami trudno było zrozumieć, co mówi.

Wasyl próbował ją pocieszyć, ale efekt tego był taki, że dziewczyna zaczynała jeszcze głośniejszochać.

– Uspokój się, Klaryso. Twoje łzy nie pomogą Stiepanowi, a moja gospodyni może się zainteresować tymi dziwnymi odgłosami i przyklei ucho do drzwi. – Głos Wissariona był stanowczy i dość ostry.

Wasyl spojrział na niego potępiająco, ale miał to w nosie. Musiał pomyśleć, co zrobić, a płacz dziewczyny jedynie go rozpraszał. Stiepanowi nie mogli już pomóc, ale istniała obawa, że zaczną szukać drugą osobę, która z nim mieszkała, przynaj-

mniej teoretycznie, czyli jego. A kto wie, jak bardzo wytrzymały był Stiepan. Odgrażał się zawsze, że pierwszej postrada życie, niż kogoś wyda, ale jego brat nigdy nie miał do czynienia ani z sadystami z gestapo, ani też z równie bezwzględnyimi funkcjonariuszami NKWD czy Urzędu Bezpieczeństwa. Po tej drugiej stronie świat wyglądał trochę inaczej, niż wyobrażał to sobie młody Zinowjew. Wisza znał wielu takich, którzy uważali się za gerojów, a na przesłuchaniach pękali jak cienki lód podczas wiosennych roztopów.

Jeśli Stiepan będzie miał szczęście i potraktują go jako podejrzany element o nazwisku Krawczenko, może będzie miał jakieś szanse na przeżycie, a kto wie, może nawet na wolność. Milicja i UB zgarniały teraz każdego, kto wydał im się chociaż trochę podejrzany. Być może kiedy wystawa się skończy albo nawet i wcześniej, wraz z innymi mu podobnymi opuści areszt. Mimo tej całej nagonki nie mogli zamknąć tylu ludzi i trzymać ich w więzieniu miesiącami czy nawet tygodniami.

Nie miał także pojęcia, gdzie jego brat mógł zostać osadzony. Może ktoś się dowiedział o planowanej ucieczce i znalazł się w Sekcji Filtracyjnej przy Sądowej? A może wywieziono go do Żagania? Nie miał nikogo, kto pomógłby mu to ustalić.

– Wasyl, ktoś przecież musi wiedzieć, kim jest ten przewodnik – powiedział nagle Wissarion.

– Uciekniesz, mimo że twój brat siedzi?

– Nie jestem w stanie mu pomóc, więc moja odpowiedź brzmi: „tak”. – Wisza był zdecydowany wyjechać. Naprawdę nie miałby sposobności ani też koneksji, by wyciągnąć z za krat Stiepana, a jeśli aresztowali jednego Krawczenkę, zapewne mieli ochotę zamknąć także tego drugiego, Wiktora.

Klarysa popatrzyła na niego z wyrzutem, a potem rzuciła się na niego z pięściami. Wykręcił jej rękę, a potem syknął:

– Przestań, do cholery! Co ty sobie wyobrażasz? Że pójde do nich i poproszę, żeby wypuścili mi brata? A może wezmę kilku chłopaków i zrobimy nalot na wszystkie więzienia i areszty? Głupia jesteś czy co?

– Dlaczego on? Dlaczego nie ty? – Klarysa zaczęła histeryzować.

Puścił ją i powiedział zimno:

– Idź do nich. Poznałaś mój adres, powiedz im, gdzie jestem, chociaż i tak się niebawem tego dowiedzą. Nie ukrywam się, bo niczego złego nie robię i w nic się

nie mieszam. Ja chcę jedynie stąd wyjechać. Ale proszę, leć, pomóż im, wtedy szybciej mnie wytropią!

Nie zamierzał wtajemniczać Klarysy w swoje sprawy. Dziewczyna nie miała pojęcia, że podczas ucieczki będą mu towarzyszyły Nadia i Oleńka. Tak ustalili z Wasylem i Stiepanem, a najbardziej obstawał przy tym jego brat. Tego więc zakochana dziewczyna nie mogła nadać funkcjonariuszom bezpieczeństwa, bo przynajmniej na razie nic o tym nie wiedziała. Mogłaby spanikować, gdyby poznała prawdę. Poza tym Wissarion nie miał pojęcia, co właściwie kombinował jego brat, jeśli wcześniej się zarzekał, że nie zabierze ze sobą Klarysy. Ta tymczasem szykowałą się do drogi i gdyby nie zatrzymanie Stiepana, nadal czekałaby na ostateczny termin wyjazdu. Tymczasem teraz siedziała u niego zrozpaczona i Bóg raczy wiedzieć, co jej chodziło po głowie.

– Na razie nie możemy się spotykać w stolarni. Z niektórymi moimi znajomymi widuję się na rynku przy placu Strzeleckim i myślę, że i my powinniśmy mieć tam swój punkt kontaktowy. Kręci się na nim mnóstwo ludzi, łatwo zniknąć w tłumie, a rozmowa dwóch osób nie budzi niczyich podejrzeń. – Wasyl najwyraźniej postanowił przerwać tę przykrą wymianę zdań.

– Dobrze, a teraz idźcie już. A ty, kuzynie, zajmij się Klarysą, bo jest w takim stanie, że gotowa popełnić jakieś szaleństwo – odparł Wisza.

– Nie mów tak, jakby mnie tu nie było – warknęła.

– Z tobą już zakończyłem rozmowę – powiedział tonem, który momentalnie przywrócił Klarysę do równowagi.

Przestała się w ogóle odzywać, a nawet szlochać. Chyba tylko tryb rozkazujący działał na nią. W sumie Wissariona nie powinno to dziwić, jeśli Stiepan codziennie ją musztrował i tresował jak psa.

– Sądzisz, że to rutynowe zatrzymanie i tylko sprawdzają, czy Ukraińcy niczego nie szykują na przyjazd Bieruta i Cyrankiewicza? – zapytał Wasyl, bo zapewne i on potrzebował jakiejś iskielki nadziei.

– Nie wiem... Mój brat żył spokojnie na wsi, ale nie mam pojęcia, czy czegoś nie kombinował, oczywiście oprócz ucieczki na Zachód. Zastanawiałem się nawet, czy ktoś z naszych ziomków nie był szpiclem, ale wówczas zatrzymano by nas wszystkich od razu. Myślę, że to był zwykły donos jakiegoś chłopca, który boi się Ukraińców albo żywi do nich negatywne uczucia. Propaganda ciągle nakręca jednych na

drugich, szuka wicherzycieli i przeciwników władzy ludowej, wiadomo co takim ludziom może strzelić do łba? – Wisza sam się zastanawiał, dlaczego UB zabrało jego brata.

Istniała jeszcze jedna opcja... Ktoś, kto przeżył Wołyń, mógł mieć do czynienia ze Stiepanem i po prostu go rozpoznał. Gdyby jego brat natknął się w mieście na Marcela, Andrzeja czy Martę, bez wahania donieśliby na niego. A jak wielu ludzi skrzywdził jego brat? Nawet nie potrafiłby tego zliczyć. Stiepan odczuwał dziwną przyjemność, gdy znęcał się nad swoimi ofiarami, zanim posłał je na tamten świat. Takich twarzy się nie zapomina. Jednak wielu zdołało się ukryć przed ukraińską nawałnicą...

– Musimy czekać. Jeśli go tylko sprawdzają, jak wielu innych, za kilka dni powinniśmy zobaczyć Stiepana całego i zdrowego. Jeśli nie, nie pozostanie nam nic innego, tylko odnaleźć tego przewodnika i pryskać na Zachód.

– A co ze mną? – zapytała Klarysa przygnębionym głosem.

Wasył ścisnął jej dłoń i powiedział:

– Nie martw się, nie zostawię cię tutaj. Pojedziesz ze mną. A tymczasem zaopiekuję się tobą i będę cię pilnował jak oka w głowie.

Wissarion, przejęty losem brata, a przede wszystkim fiaskiem ich planów, nie zwrócił uwagi na swojego kuzyna, który najwyraźniej poczuł miętę do dziewczyny Stiepana. Pomyślał, że ten facet naprawdę ma pecha do kobiet. Klarysa kochała młodego Zinowjewa zaborczą, bezkrytyczną i absolutną miłością, mimo iż ten nią pomiatał, jakby miał do czynienia z panienką lekkich obyczajów, więc było mało prawdopodobne, że dziewczyna nagle zapala uczuciem do Wasyla. Na początku jej żałował, teraz miał to w nosie. Jeśli odpowiadała jej rola suki Zinowjewa, nie zamierzał się do tego wtrącać.

– Zabierz Klarysę do siebie. Jak widzisz, ja nie mam warunków, żeby ją przemocować, że o Gieni nie wspomnę. Ciebie przyjąłaby pod dach z otwartymi ramionami, a może raczej z rozłożonymi nogami, ale nie piękną młodą dziewczynę – westchnął.

– I tak bym tu nie została. Nie lubisz mnie, Wiktorze, ani nie szanujesz – burknęła.

Zdenerwował się, ponieważ nigdy, nawet pod wpływem silnego wzburzenia, nie potraktował jej tak jak Stiepan będący w wyśmienitym humorze.

– Chyba żartujesz?! – prychnął. – Gdybym cię nie szanował, pewnej nocy skorzystałbym z propozycji twojego chłopaka i poużywałbym sobie z tobą.

Niepotrzebnie to powiedział, bo zapewne zranił tę młodą kobietę, ale wyprowadziła go nieco z równowagi i to tylko dlatego, że ocenił na chłodno szanse Stiepana na odzyskanie wolności.

Klarysa spuściła głowę i wydukała:

– On... On pewnie chciał sprawdzić, czy ... – Nie dokończyła zdania, jakby tym razem nie była w stanie znaleźć dla poczynań Stiepana sensownego usprawiedliwienia.

– Może to był tylko kiepski żart – dokończył za nią, by nie frustrować jej jeszcze bardziej. – Ale nawet jeśli nie powiedział tego poważnie i tak uważam, że zachował się wobec ciebie okrutnie. Nie mów mi więc o sympatii i szacunku, bo ja w porównaniu ze Stiepanem traktuję cię jak księżniczkę.

– Po co dolewasz oliwy do ognia? – syknął Wasyl, a potem przytulił Klarysę i zwrócił się do niej: – On tak zawsze, gdy się wkurzy. Nie bierz tego do siebie.

Cholera, jego kuzyn zachowywał się jak średniowieczny trubadur, a tymczasem tej dziewczynie najwyraźniej bardziej się podobała ciężka ręka Stiepana i zachowanie godne gestapowca.

Z ulgą pożegnał ich oboje. Powinien wszystko w spokoju przemyśleć, ale i tak musiał najpierw poczekać na rozwój sytuacji. Może naprawdę Stiepana zamknięto przewencyjnie, jak wiele innych osób. We Lwowie znaleźliby z kuzynem kogoś, kto miał wejścia w więzieniu, czy to gestapo, czy sowieckim. A tutaj? Nie znali nikogo takiego. Ludzie przybywający zdobywać „Dziki Zachód”, jak nazywano Ziemię Odzyskane, pochodzili z różnych zakątków Polski. Nie znali się i nie zawiązywali przyjaźni w obawie o własne bezpieczeństwo. Jedni przywędrowali ze wsi, inni z samej stolicy. Niektórzy by szabrować, inni by ciężko pracować. Jedni byli zza Buga, inni z Wielkopolski. Polacy, Ukraińcy, Niemcy i Sowieci... Zapewne minie wiele lat, zanim nauczą się koegzystować i nawiążą głębsze relacje z innymi.

Oczami wyobraźni zobaczył spanikowaną twarz Nadii, która odliczała bez mała godziny do ich wyjazdu. W tych krótkich chwilach, gdy się spotykali, powtarzała mu, że dłużej nie wytrzyma z Maksimem i pewnego dnia poderżnie mu gardło albo zastrzeli go z jego służbowej broni. Dopóki Wissarion jej nie odnalazł, żyła w miarę spokojnie i pogodziła się z losem zakładniczki, a on kolejny raz wszedł

z butami w jej życie i przewrócił je do góry nogami. Nabrała nowej nadziei, jej miłość wybuchła ze zdwojoną siłą, bo przez ten cały czas, gdy zniknął z jej życia, zżerała ją tęsknota, a teraz ich ucieczka stanęła pod znakiem zapytania.

33.



Wrocław, 1948

Największe wydarzenie we Wrocławiu od czasu zakończenia wojny, czyli Wystawa Ziem Odzyskanych, pochłaniało Maksimowi Fiodorowowi mnóstwo czasu. W mieście mieli się zjawić liczni goście z Polski i zagranicy, należało więc zabezpieczyć taką imprezę w należyty sposób. Wszelkie służby zostały postawione w stan najwyższej gotowości, mimo że polskie podziemie było praktycznie rozbite w drobny mak po amnestii z czterdziestego siódmego roku. Jednak władze, chcące rozpropagować to wielkie wydarzenie na cały świat, nie mogły sobie pozwolić na żadne potknięcie.

Maksim był w domu wielkim nieobecnym, co Nadia przyjmowała z ogromną ulgą, chociaż przed mężem udawała niezadowoloną z tego faktu. Ucieczka była już zaplanowana, a ona musiała się do niej przygotować. W dniu, w którym Wissarion miał ją i Oleńkę zabrać z magazynów, znajdujących się koło jednego z oddziałów Państwowego Urzędu Repatriacyjnego przy Paulińskiej, musiała wyjść z domu tak, jakby nie wybierała się w żadną podróż. Torebka, jakaś zabawka dla Oleńki, to wszystko, co mogła zabrać z domu. Postanowiła więc skorzystać z tego, że wciąż pomaga charytatywnie w magazynach z odzieżą dla repatriantów, i wybrała dla siebie i córki kilka ubrań. Chodziło głównie o ciepłą odzież, wygodne buty i bieliznę. Za każdym razem, gdy coś potrzebnego znalazła, pakowała to do jednego z worków, a potem wpychała go między drewniane regały, by nikt się nim nie zainteresował.

Nie wiedziała, jak miałyby przygotować coś do jedzenia na drogę, żeby nie wzbudzić podejrzeń Marthy. Nie mogła przecież wynosić z domu po jednej kanapce i przechowywać w magazynie przez kilkanaście dni. Wisza, z którym niekiedy

widowała się na rynku przy placu Strzeleckim, obiecał, że on zajmie się prowian-tem na ich podróż.

I kiedy odmierzała dni do wyjazdu, nieco spanikowany Wisza oznajmił jej, że musi jeszcze poczekać, ponieważ Stiepan został zatrzymany przez UB. A tylko on znał nazwisko przewodnika i miejsce ich zbiórki.

– Jaki Stiepan? – zdumiała się. – Co mnie obchodzi jakiś Stiepan? Chyba ktoś jeszcze zna tego człowieka? Mamy pieniądze, więc ten twój koleżka nie jest nam do niczego potrzebny. I tak mu nie pomożesz.

– Mój brat – wymamrotał.

– Słucham? – Nadia jeszcze bardziej się zdziwiła, a potem wpadła w złość. – Ten bydlak, który chciał mnie rozstrzelać, żyje? A ty widzisz się z nim i wspólnie planujecie ucieczkę, jakby nic się nie stało?

– Proszę, Nadeńko, nie mamy teraz czasu. Nie traćmy go na takie rozmowy. Wyjaśnię ci to wówczas, gdy będziemy bezpieczni. – Próbował ją uspokoić, ale to nie było takie proste.

Poczuła się oszukana. Wissarion Zinowjew zmarnował jej życie, ponieważ postanowił zapolować na mordercę Julianny, a kiedy już go odnalazł, spędzał z nim miło czas, zamiast ukatrupić tego zwyrodnialca.

– Posłuchaj, Wisza, nie miałabym do ciebie żalu, gdybyś go nie zabił, bo w końcu to twój brat, ale wszedłeś z nim w konszachty, widzisz się z nim i zapewne poklepujecie się po plecach. Jak mogłeś mi coś takiego zrobić? – Chciało się jej płakać, bo sądziła, że ten obrzydliwy typek już nigdy nie pojawi się w jej życiu, nawet jeśli zdołał uniknąć śmierci.

– Przyjechaliśmy tutaj jako bracia Krawczenko. Dostaliśmy dom i ziemię, ale nie zostałem tam, bo nie byłem w stanie żyć pod jednym dachem z własnym bratem. Jednak musiałem do niego wyciągnąć rękę na zgodę, bo tylko on mógł nam pomóc w ucieczce. Marcel uległ wypadkowi, zresztą i tak nie miał dojścia, by załatwić nam niemieckie kwity na wyjazd, a Andrzej, gdy się dowiedział, że Stiepan żyje i ma się dobrze, oświadczył, iż już nigdy mi w niczym nie pomoże. Poza tym jakie możliwości miałby człowiek, który pracował przy odgruzowywaniu miasta? Nie miałem wyboru. Ale przysięgam, że jeśli wypuszczą Stiepana i uda nam się dotrzeć do amerykańskiej strefy, moje drogi z bratem rozejdą się na zawsze. – Wissarion przemawiał do niej spokojnym głosem.

Chciałaby mu uwierzyć, że nie miał wyjścia, ale jakiś głos w jej wnętrzu buntował się przeciwko takiemu usprawiedliwieniu. W jednym Wisza miał słuszość – to nie był dobry moment na taką rozmowę. Ona już postanowiła, że stąd wyjedzie, a później... Nad tym nie chciała się na razie zastanawiać. Nie chciała być z Maksimem, nawet jeśli był dobrym ojcem dla Oleńki, a jej pragnął rzucić świat do stóp. Nie kochała go i miała żal do niego, bo nie dotrzymał danego jej słowa i zamiast uratować Wissarionowi życie, zapolował na niego jak na łowną zwierzynę. Zniewolił ją, osaczył i nazywał to miłością. Miała dosyć.

– Więc co teraz? – wydukała.

– Poczekamy kilka dni. Teraz wiele osób sprawdzają. Wiesz, ta wystawa... A tymczasem spróbujemy się dowiedzieć, kim był człowiek, który miał zostać naszym przewodnikiem, i gdzie powinniśmy go szukać. Nie zamierzam czekać na Stiepana zbyt długo. Nie pomogę mu, nawet gdybym chciał. Jeśli to jego koniec, mnie przy tym nie będzie. Teraz mam ciebie i Aleksandrę i wy jesteście dla mnie najważniejsze. Jeśli znowu cię stracę, nie przeżyję tego... – Wisza naprawdę był gotów wyjechać, nie zważając na siedzącego w areszcie brata.

Ścisnęła mu dyskretnie dłoń i szepnęła:

– Mam nadzieję, że nasz wyjazd wkrótce nastąpi. Nie daję już rady odgrywać roli kochanej żoneczki. Maksima prawie nie ma w domu, ale po wystawie znowu będzie miał dla mnie czas. Rozumiesz, nie dam rady uśmiechać się do niego, mówić, jak bardzo go kocham, i nie dam... – Nie dokończyła. Chciała dodać, że jeśli jeszcze raz będzie musiała kochać się z Maksimem, chyba palnie sobie w łeb.

Oczy Wissariona momentalnie spochmurniały. Znała to spojrzenie pełne wściekłości.

– Powinienem go zabić, zanim wyjedziemy – warknął.

– Wisza... Wiem, że byłbyś do tego zdolny, ale kładziesz na szali życie moje i Oleńki – jęknęła. – Jeśli pewnego dnia Maksim powróci do domu, a nas w nim nie będzie, ukarzesz go bardziej, niż gdybyś przystawił mu pistolet do skroni i naciśnął na spust.

– Dobrze, Nadeńko, nie zrobię niczego, co mogłoby zniweczyć nasze plany. – Wissarion nieco się uspokoił.

– Uciekaj już... Zwracamy na siebie uwagę – powiedziała.

Chwilę potem Wisza wyszedł z za drewnianego straganu i zniknął w tłumie przelewającym się po targowisku. Nadia odczekała kilka minut, a potem powoli wróciła do domu. Spojrzała na zegarek. Oleńka kończyła tego dnia lekcje bardzo późno, ponieważ wciąż chodziła do szkoły na dwie zmiany. Podobno to i tak był postęp, ponieważ jeszcze dwa lata wcześniej dzieci miały zajęcia w trybie trzymianowym. Stała przy oknie i patrzyła na podwórko. Maluchy bawiły się bez troski, nawet jeśli miały do dyspozycji tylko jedną zardzewiałą huśtawkę. Aleksandra także lubiła bawić się poza domem, a najbardziej wtedy, gdy towarzyszył jej Maksim. Coś ścisnęło ją za gardło, bo jej córka niebawem straci najbliższego jej sercu człowieka.

Nie słyszała dźwięku przekręcanego klucza ani kroków w przedpokoju. Dopiero gdy Fiodorow położył dłoń na jej ramieniu, zorientowała się, że nie jest sama. Drgnęła i popatrzyła na niego z przerażeniem. Nie spodziewała się męża o tej porze w domu.

– Wyglądasz, jakbyś zobaczyła diabła. – Uśmiechnął się do niej.

„Bo właśnie go ujrzałam” – pomyślała.

– Wystraszyłeś mnie – wymamrotała. – Dlaczego skradasz się jak złodziej?

– Przepraszam – mruknął.

– Dali ci chwilę wytchnienia? – Nadia starała się, by jej głos brzmiał naturalnie.

– Tak, urwałem się na kilka godzin – westchnął, a potem przytulił ją do siebie. – Stęskniłem się za tobą.

– Ja za tobą też – odparła mechanicznie.

Przycisnął ją do siebie jeszcze mocniej i szepnął jej do ucha:

– Chcę się z tobą kochać. Teraz.

Ton jego głosu był rozkazujący, co bardzo ją zdenerwowało. Oto przyszedł pan i władca, któremu zachciało się harców w łóżku, a ona powinna od razu zrzucić z siebie fatalaszki. Gdyby to był Wisza, z pewnością tak właśnie by zrobiła. I to z wielką ochotą.

– Przestań, jest środek dnia – burknęła i próbowała wyswobodzić się z jego uścisku.

– Moja żonka nie jest dzisiaj w humorze?

– Boli mnie głowa – odparła, używając standardowej wymówki.

Nie obeszło go to, bo zaczął rozpinać guziki w jej bluzce. Marthy nie było w domu, więc nie musiał się krępować i obawiać, że ktoś mu przeszkodzi w amorach z małżonką.

– Nie słyszałeś, Maksimie? – zapytała z rezygnacją w głosie, a potem uświadomiła sobie, że powinna być teraz najmilszą i najczulszą żoną na świecie.

– Słyszałem... – zamruczał jak kot.

– Nigdy mnie nie słuchasz, prawda? – Uśmiechnęła się sztucznie i przestała się mu opierać.

Rozbierał ją, a ona stała jak sparaliżowana, chociaż wiedziała, że musi powrócić do równowagi i stać się czułą kochanką.

– Popatrz mi w oczy, Nadio. Chcę, żebyś patrzyła w nie, gdy będę się z tobą kochał – wyszeptał.

Przełknęła ślinę. Podobno oczy były zwierciadłem duszy, dlatego zawsze, gdy wypełniała swoje małżeńskie obowiązki, miała je zamknięte. Po prostu nie potrafiła w takich chwilach patrzeć na Maksima. Podniosła wzrok. Nie miała pojęcia, dlaczego odnosiła wrażenie, że jego spojrzenie jest pełne chłodu. Zapewne nie spodobało mu się, że nie rzuciła mu się od razu na szyję, gdy tylko zaproponował łóżkowe igraszki.

Tak, przez cały czas patrzyła mu w oczy i tylko jedna myśl przewiercała jej mózg – że pułkownik Maksim Fiodorow zrobi to z nią ostatni raz. Potem zaś będzie mógł ją jedynie nienawidzić.

Wszedł w nią gwałtownie, jakby wrócił spragniony z dalekiej podróży.

– Kocham cię, Nadeńko – powtarzał w kółko. – Tak bardzo cię kocham.

Wiedziała, że teraz powinna odwdzięczyć się tym samym, ale odnosiła wrażenie, iż coś trzyma ją mocno za gardło i nie jest w stanie wypowiedzieć pewnych słów.

– Powiedz, że ty też mnie kochasz i nigdy nie odejdiesz.

Zamrugnęła powiekami, bo okropnie zachciało się jej płakać. W pewnej chwili przestała nad sobą panować, a łzy popłynęły jej po policzkach.

– Tak, Maksimie – wybełkotała. – Kocham cię i nie odejdę.

– Dlaczego płaczesz, Nadeńko? – zapytał, wciąż wbijając się w nią bez opamiętania.

– Bo mnie kochasz – odparła i zamknęła oczy.

– Otwórz je i patrz na mnie, błagam – jęknął.

Nie była w stanie tego zrobić. Jego ton głosu zrobił się ostry i nieprzyjemny.

– Patrz na mnie, patrz mi w oczy, słyszysz?!

Zrobiła to i w tym momencie bardziej niż w jakimkolwiek innym miała ochotę zamordować Maksima, bo to nie on powinien teraz się z nią kochać i to nie jemu powinna wyznawać miłość. I przede wszystkim nie w jego oczy patrzeć. A może pragnęła jego śmierci, bo czuła się winna? Cholernie winna... I wobec Fiodorowa, którego bezustannie oszukiwała, i wobec Oleńki, której podarowała coś pięknego, a potem postanowiła jej to odebrać.

Nie miała siły już dłużej prowadzić tej gry. Gdy Maksim przytulał ją do siebie po miłośnym akcie i obsypywał pocałunkami, szlochała w jego ramionach jak małe dziecko, które zgubiło drogę do domu. Nie pytał, dlaczego znowu się maże, nie patrzył na nią z podejrzliwością, tylko tulił do siebie i szeptał, że wszystko będzie dobrze, a on nigdy jej nie zostawi. Chyba sądził, iż płacze właśnie z tego powodu.

– Zawsze będę się tobą opiekował. I naszą córeczką. Kiedy tylko ta cholerna wystawa się skończy, pojedziemy do lekarza, do Poznania. Wiem, że nam się uda zostać rodzicami, bo to podobno specjalista najwyższej klasy. Pomyśl, to będzie nasz dzidzius. Będziemy mieli dwoje wspaniałych dzieci.

– Boję się, że jestem za stara na macierzyństwo – wychlipała, bo pomyślała, że gdyby wcześniej wybrała się do tego lekarza, a on zaradziłby jej problemowi, mogłaby urodzić dziecko Wissariona.

– Nie mamy zbyt wiele czasu, ale zdążymy. Wszystko się ułoży, zobaczysz. Jesteś całym moim światem, moim życiem, oddechem, wszystkim... Gdybym cię stracił, nie przeżyłbym kolejnego dnia bez ciebie.

Zacisnęła usta. Były chwile, gdy nienawidziła go tak bardzo... I takie jak ta, gdy żałowała, że nie pokochała właśnie jego.

34.



Wrocław, 1948

Tym razem spotkanie grupy Ukraińców chcących się przedostać do amerykańskiej strefy okupacyjnej odbyło się w jednym ze zrujnowanych budynków przy Legnickiej. Woleli już nie pokazywać się razem w stolarni. Stiepan był twardzielem, ale UB nie takich bohaterów potrafiło złamać. W razie gdyby ktoś się nimi zainteresował, mieli udawać, że odgruzowują budynek w ramach czynu społecznego. Wisarion dzierżył kilof, a ktoś inny przywłókł zdezelowaną taczkę. Było dość wcześnie, zaraz zaczynał się normalny dzień pracy, a ludzi na ulicach kręciło się sporo. Nikogo jednak nie dziwił ani mężczyzna z kilofem, wchodzący na rumowisko jakiejś kamienicy, ani też młodzieniec w kufajce pchający taczkę.

Kompani Wissariona weszli do jednego z pomieszczeń i ze zgrozą popatrzyli na ogromną dziurę w stropie. Pewnie każdy z nich się zastanawiał, czy przypadkiem za chwilę budowla na nich nie runie. Ściany, które się jeszcze nie zawaliły, były osmalone sadzą i sprawiały wrażenie płyt nagrobnych. Przez pozbawione szyb otwory okienne docierał do nich chłód letniego poranka.

Wisza przysiadł na nadpalonej belce stropowej i czekał na pozostałych uczestników spotkania. Musieli zjawić się wszyscy, bo takie gremialne zebranie miało się odbyć ostatni raz. Wkrótce pojawiła się reszta mężczyzn. Brakowało tylko Wasyla i Klarysy. Zaczął się niepokoić, że ich także zgarnęło UB, ale jeden z kumpli pocieszył go, iż jego kuzyn mieszka dość daleko, a komunikacja we Wrocławiu pozostawała jeszcze wiele do życzenia.

– Słuchajcie, kto z was wie, co to za człowiek miał nas przeprowadzić przez Sudety? – zagadnął Wisza.

Jeden z mężczyzn podpałił papierosa, zaciągnął się nim i prychnął:

– Dima...

– Dima siedzi. I co teraz? Czy naprawdę nikomu nie przyszło do głowy, że Dima może się coś stać? Przecież mógł wpaść pod tramwaj albo zostać zatrzymany, tak jak teraz – zirytował się Wisza.

– Wiemy tylko, że facet jest z Kudowy. I tam mieliśmy się z nim spotkać.

– Miejscowy? – dopytywał. Na wypadek gdyby musiał sam go odszukać, chciał poznać jak najwięcej szczegółów, które mogłyby mu w tym pomóc.

– Tak. Podobno przerobiony na Polaka Niemiec. W czterdziestym piątym przeprowadzał do Czech niemieckich partyzantów, a potem pomagał uciec do amerykańskiej strefy hitlerowskim prominentom.

– Ktoś zna jego adres?

– Nie – westchnął któryś.

– Przecież Dima nie wykopał tego faceta spod ziemi, ale ktoś mu musiał dać do niego kontakt. Nie wiecie kto?

Kolejny raz nie otrzymał odpowiedzi i kolejny raz tego poranka się zezłościł. Jego brat znowu chciał dowodzić, a że nie dysponował arsenałem broni, próbował trzymać pewne sprawy w tajemnicy, by nikomu nie przyszło do głowy działać na własną rękę.

Nowi znajomi Wissariona usiłowali sobie przypomnieć, z kim ostatnio spotykał się Stiepan, a on co chwilę zerkał na ulicę, by sprawdzić, czy Wasyl nie idzie. W końcu go dostrzegł. Szedł z Klarysą pod rękę i rozmawiał z nią beztrąsko. Udawali zakochaną parę, żeby nie budzić podejrzeń, gdyby natknęli się na jakiegoś milicjanta albo tajniaka z UB. Mężczyznę, który szedł kilkanaście metrów za nimi, zobaczył tuż przed wejściem na posesję zrujnowanej kamienicy. Skupił się na rozanielonej minie Wasyla i pobladłej twarzy Klarysy i nie zauważył, że owym idącym za nimi człowiekiem jest nikt inny, tylko jego brat. Maszerował pewnym krokiem z rękami w kieszeniach przykrótkich spodni i pogwizdywał pod nosem. Nie miał żadnych śladów pobicia i widać było, że jest w dobrym humorze. Z jednej strony poczuł ulgę, z drugiej – zaczął się zastanawiać, dlaczego tak szybko wypuścili Stiepana. Zanim sam zainteresowany rozwikłał nurtującą Wissariona zagadkę, ten doszedł do wniosku, że po prostu papiery Dimy Krawczenki były doskonałe. W końcu wystawiła je legalna polska władza, Wiktor zaś, jego brat, miał zasługi w ściganiu band UPA.

Po pojawieniu się w ruinach kamienicy Stiepana w obecnych na spotkaniu mężczyzn wstąpił nowy duch. Poklepywali Zinowjewa, ściskali mu dłonie i zasypywali pytaniami. Jedynie Wasyl trzymał dystans. Chyba naprawdę spodobała mu się mała Klaryska i liczył, że roztoczy nad nią opiekę, gdy jej ukochany będzie siedział w więzieniu, a może nawet po jego śmierci, gdy ten zostanie stracony. Tymczasem młodzieńca dziewczyna wgapiała się w jego brata tak samo jak zawsze – z miłością i dumą, bo oto wszystko teraz zależało od niego i każdy, kto znalazł się w zrujnowanym budynku, traktował go jak dowódcę grupy. No może oprócz Wissariona, ale i ten udawał, że bardzo liczy się ze zdaniem młodszego brata, ponieważ zależało mu, by zdobyć kontakt do przewodnika z Kudowy.

– To teraz powiedz, co się stało, że cię ta swolocz zgarnęła – zaproponował jeden z kompanów.

– Nic się nie stało, zamknęli mnie, jak to powiedzieli, prewencyjnie. Teraz wygarniają wszystkich Ukraińców i sprawdzają, czy przypadkiem nie działali w OUN-ie albo nie należeli do UPA. Po was też by przyszli wcześniej czy później – powiedział beztrosko Stiepan.

Najpewniej ulżyło mu, że nikt nie rozpoznał w Dimie Krawczence bezwzględnego siepacza UPA. Sowieci byli zawzięci w ich wytępieniu co do jednego nie z powodu rzezi na Polakach, którą UPA z ukraińskimi chłopami urządziła na Wołyniu i w Galicji, ale żołnierze tej formacji wsławili się w brutalnych mordach na radzieckich partyzantach, wcześniej zaś walczyli u boku Niemców. A jeśli NKWD chciało ich znaleźć, ich polscy pomagierzy musieli także wziąć się do roboty.

– Myślałam, że już więcej cię nie zobaczę. Jestem taka szczęśliwa... – nagle wtrąciła się Klarysa, która z reguły nie odzywała się ani słowem, gdy spotykali się w stolarni.

Stiepan popatrzył na nią zimno, jak gdyby zabronił jej mówić cokolwiek, a ona ów zakaz złamała. Nie odpowiedział na jej wyznanie, tylko przeszedł do rzeczy.

– Panowie, wszystko jest aktualne. Pojutrze wyjeżdżamy dwójkami do Kudowy. Każda para musi sama zorganizować sobie transport. Noc spędzimy w lesie, a o poranku grupkami udamy się na stację kolejową. Tam będzie pewien kolejarz, Kazimierz Podolak, i wskaże wam drogę do przewodnika. Nie znam prawdziwego nazwiska tego człowieka, należy powiedzieć, że szukacie Kulawego – objaśniał Stiepan. – Ja pojedę z Wasylem.

– I ze mną – wyrwało się ucieszonej z uwolnienia Stiepana Klarysie.

Kolejny raz młody Zinowjew posłał dziewczynie mordercze spojrzenie. Tak jakby przerwała mu bardzo ważną przemowę.

– Teraz się rozchodzimy, tylko Wiktor i Dmytro zostaną – zarządził.

Mężczyźni opuścili zrujnowany budynek, a oni pozostali sami, czekając na to, co powie im Stiepan. Jednak ten postanowił najpierw udzielić Klarysie reprimendy.

– Kurwa, jak mówię do ciebie, żebyś siedziała cicho, to masz się nie odzywać! – ryknął. – Głucha jesteś czy aż tak tępa?!

– Dima, uspokój się! – warknął Wisza.

– Nie wtrącaj się, bracie – burknął Stiepan i dodał: – Klarysa nie jedzie, nie ma miejsca w szoferce.

– Słucham? – Usta dziewczyny zaczęły drżeć, jednak zamiast zwrócić się do Stiepana, złapała za rękaw koszuli Wasyla. – Dmytro, błagam, zabierz mnie. Nie chcę tu zostać. Obiecaliście, że mnie zabierzecie.

– Niczego ci nie obiecywałem, chyba że Dmytro. To, że ty roiłaś sobie coś w głowie, to nie moja wina – fuknął Stiepan.

– Ale Dmytro mi powiedział... – zaczęła, ale młody Zinowjew przerwał jej ostro.

– Więc teraz niech Dmytro za ciebie zapłaci. Ja nie mam forsy. Rozumiesz, że to kosztuje? A ty co? Masz sto dolarów, żeby opłacić przewodnika?

– Wiesz, że nie mam. Mało zarabiam – jęknęła Klarysa.

– Powiedziałem, niech ci Dmytro da. W końcu spędziłaś w jego pokoju kilka dni. Trzeba było najpierw zażądać od niego zapłaty, zanim rozłożyłaś przed nim nogi. – Stiepan naprawdę był wyzuty z wszelkich uczuć, jeśli zakochanej w nim do nieprzytomności dziewczynie mówił podobne rzeczy.

Wasyl nie zdzierzył już tego i rzucił się na Stiepana. Brat Wiszy zasłużył na porządny łomot, ale to nie była odpowiednia chwila na takie sprawy. Czekala ich podróż, a potem przeprawa przez góry. Wiele mogło się zdarzyć, i podczas drogi do Kudowy, i w górskich ostępach, a oni byli gotowi się pozabijać z powodu jakiejś dziewczuchy. Wissarion podbiegł do kotłujących się mężczyzn i rozdzielił ich.

– Co wy wyprawiacie?! To nie czas i miejsce na bójki o panienkę! – warknął.

Odciągnął czerwonego ze złości Stiepana na bok i powiedział zupełnie spokojnie:

– A nie martwisz się, bracie, że zawiedziona twoją postawą Klarysa pójdzie na milicję albo do UB? Teraz jest wpatrzona w ciebie jak w obrazek, ale jeśli straci nadzieję na wspólne życie z tobą, kto wie, co może jej do łba strzelić. A my potrzebujemy kilku dni, żeby znaleźć się w Czechosłowacji. Pamiętaj także, że nie jest to już ten sam kraj, co na początku roku i pałęta się tam wielu sowieckich żołnierzy. Jeśli dostaną meldunek o uciekinierach z Polski, postarają się, żeby żaden z nich nie dostał się do Amerykanów.

– Puszczą się z Wasylem – syknął.

– Nie bądź idiotą. Nocowała u niego, bo się obawiała, że jeśli zostanie w naszej chałupie i po nią przyjdą – burknął Wissarion i zapytał: – Nie masz pieniędzy, żeby opłacić Klarysie przejazd?

– Mam. Tyle jeszcze mam. Ale nie chcę jej zabierać. To nie Ukrainka – bąknął.

– Jeśli jej nie chcesz, trudno. Dotrzecie do Monachium i się z nią pożegnasz. Jeśli nie chciałeś jej zabierać, trzeba było jej nie wtajemniczać w nasze sprawy. Ona za dużo wie i musi z nami wyjechać. Dla naszego bezpieczeństwa.

– Taaa... Wasyl chętnie się nią zaopiekuje – odparł z ironią.

– A dlaczego cię obchodzi, co się z nią stanie? Zastanów się, ona zna nas wszystkich. Pewnie, że pod fałszywymi nazwiskami, ale to im wystarczy. Teraz stosują prewencję, ale kiedy wystawa się skończy, mogą zacząć grzebać głębiej. A jak się dokopią do naszych prawdziwych danych, żaden Zinowjew się nie uchwowa. – Wissarion miał w nosie Klarysę, ale naprawdę się obawiał, że zrozpaczona dziewczyna może popełnić jakieś głupstwo.

– Nie zrobi tego. Nie pójdzie na UB. To zwykła suka. Robi, co pan rozkaże. – Stiepan zarechotał paskudnie.

– Możliwe, bracie. Tylko pamiętaj, że już nie będzie miała pana i kto wie, może zechce sobie znaleźć innego. Na przykład takiego, który nosi mundur Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego albo UB.

Wissarion kompletnie nie rozumiał Stiepana. Jeśli nie chciał zabierać tej dziewczyny, dlaczego tak wiele rzeczy jej mówił? Czyżby zazdrość o Wasyla odebrała mu rozum i dopiero teraz postanowił zostawić ją w Polsce?

– Już dobrze, dobrze, zabiorę ją i poświęcę na tę zdzirę moje ostatnie pieniądze – burknął.

– Nie martw się, w Monachium odnajdziesz ludzi Bandery i pomogą ci się odkuć. – Wisza poklepał go po ramieniu.

Klarysa miała jednak trochę instynktu samozachowawczego, bo przestała się odzywać, a informację, że jednak z nimi pojedzie, skwitowała milczeniem. Wasyl wycierał dłonią rozciętą wargę i patrzył ze złością na najmłodszego Zinowjewa. Wiszę czekała rozmowa także z nim.

– A zatem wszystko ustalone – powiedział Wissarion. – Klarysa i Dima wychodzą, my z Dmytrem za kwadrans.

Wasyl chciał zaprotestować, ale Wisza kazał mu się zamknąć. Stiepan ruszył w stronę wyjścia, a za nim niczym wierny pies pomaszerowała młodziutka Klarysa.

– Wasyl, do *piczki matieri*, co ty wyprawiasz? To jego kobieta i jeśli godzi się na takie traktowanie, nie wtrącaj się. Po przyjeździe do Monachium mój braciszek puści ją kantem. No bo przecież jak powie swojemu przywódcy, że związał się z Polką? A wtedy zakręcisz się koło niej, aczkolwiek nie wiem, czy ja bym chciał mieć kobietę po Stiepanie.

– Ale po polskim oficerze i radzieckim enkawudziście to i owszem – burknął Wasyl. – Przepraszam, ale mierzi mnie, gdy on ją traktuje gorzej niż psa.

– Jak widzisz, jej się to chyba podoba – odparł Wissarion, nie odnosząc się do przytyku kuzyna.

Nawet nie chciał myśleć, jak wielu mężczyzn Nadia miała w łóżku. Musiał się pogodzić z tym, że nie był jedyny, i ruszyć naprzód. Przeszłość nie miała znaczenia, ważna była tylko ich wspólna przyszłość.

– Kiedyś zabiję tego małego skurwysyna – warknął Wasyl.

Stiepan nie był już chłopcem, ale rosnącym mężczyzną, ale dla innych Zinowjewów wciąż był mały i głupi i z tego powodu należało przymykać oko na jego wybryki.

– A gdyby Klarysa ci się nie spodobała? – zagaił.

– Nieważne, ona jest mu naprawdę oddana...

– Ale jest Polką, a to dla Stiepana wystarczający powód, by traktować ją jak szmatę. Jest młodziutka, nie panikuj, w końcu pójdzie po rozum do głowy.

– Nie panikuję... Tylko nie rozumiem, co ona w nim widzi. Kiedy nocowała u mnie, zauważyłem siniaki na jej rękach, nogach... Czy on ją leje? – Wasyl wciąż

nie mógł się pogodzić z tym, że Stiepan tak okrutnie traktował śliczną i zakochaną w nim Klarysę.

– Nie wiem, przecież nie mieszkam z nimi – zirytował się Wissarion, bo teraz czekało ich zadanie, od którego powodzenia zależała reszta ich życia, a Wasyl zajmował się pierdołami. – Może lubią ostro się zabawić. Lepiej się nie wtrącaj.

– Masz rację, zajmę się tym, gdy dotrzemy do Monachium. Wtedy spuszczę łomot twojemu braciszкови i błagam, nawet nie próbuj mnie przekonywać, bym tego nie robił.

– Nie zamierzam, to twoja sprawa, jak potraktujesz Stiepana. Już dawno wyszedł spod mojej kurateli. Powiem ci prawdę, Wasyl... Ja już nie mam brata. Pomogłem mu się dostać do Wrocławia, a potem zostawiłem go na gospodarce i wyjechałem do miasta. Nawiązałem z nim ponownie kontakt tylko dlatego, że zależało mi na ucieczce z Nadią i Oleńką. Sam nie dałbym rady znaleźć zaufanego przewodnika albo rybaka, który przeprowiłby nas przez Odrę. Jednak gdy znajdziemy się w bezpiecznym miejscu, drogi moje i Stiepana rozejdą się na zawsze. Rób więc, co chcesz, a ja nie będę żywił do ciebie uraz.

– On chyba nigdy się nie zmieni. – Wasyl machnął ręką, a potem pożegnał się z Wissarionem i opuścił ruiny.

Spóźnił się trochę do pracy i oczywiście Mietek go zrugął, ale nie zważał na to. I tak niedługo przestaną być kumplami. W końcu zamierzał unieszkodliwić na jakiś czas swojego kompana i ukraść mu jego narzędzie pracy.

Po południu zobaczył Nadeńkę, segregującą ubrania. Rozejrzał się, by sprawdzić, czy przypadkiem jej małżonek nie kręci się w pobliżu, a potem powiedział do niej:

– Nadio, pojutrze o piętnastej wyruszamy w drogę. Noc spędzimy w lesie koło Kudowy, zabierz ciepłe rzeczy dla Oleńki.

– Dobrze, będę gotowa. Odbiorę małą ze szkoły i przyjedziemy tutaj. Boże... To już...

– Tak, skarbie. Niedługo będziemy razem.

– Boję się – szepnęła.

– Ja też, Nadeńko, ale to nasza jedyna szansa, byśmy się stali prawdziwą rodziną.

Z prowiantem nie miał problemu. Po prostu ukradł trochę jedzenia z aprowizacji. Przez to wpisano im manko do rejestru. Miał to w nosie, ale Mietek zaczął się pieklić.

– Kiedy nam to zawinęli? Jak tak dalej pójdzie, wyrzucą nas z roboty – sarkał.

– Dajże spokój, jutro to wyprostujemy. Każdy może się pomylić.

– Ale ty tego nie ukradłeś? – zapytał podejrzliwie.

– A kiedyś coś wyniosłem? – odpowiedział z pretensją w głosie.

Co prawda, na początku trochę dóbr skubnął dla tej Niemki Andrzeja, ale wtedy nikt się nie doliczył, że czegoś brakuje. Potem jednak powstały specjalne komisje do spraw marnowania żywności i zanim wydał aprowizację, towar sprawdzało kilka osób.

Nie wiedział, jak dotrwał do końca zmiany. Nie mógł się na niczym skupić i w końcu Mietek go zrugął:

– Zakochałeś się, Wiktorze, czy co? Znowu pomyliłeś pakunki.

Wiedział, że musi się uspokoić i zachowywać jak zawsze.

– Już przestań. Nie wyspałem się i mam kaca, bo wczoraj zapiliśmy z kumplami – skłamał.

– Znam ten ból. – Mietek w końcu się uśmiechnął. – Jak pochlam poprzedniego dnia, to następnego mam wrazenie, że nasze lokalne drogi mają nie tylko nawierzchnię do dupy, ale także są bardzo kręte.

– A widzisz, trzeba zrozumieć człowieka. – Wissarion ziewnął i przestał się odzywać.

Przymknął powieki i zaczął sobie wyobrażać, że są z Nadią i Oleńką już po tamtej stronie. Tam, gdzie rządzą Amerykanie i dokąd nigdy nie sięgną długie ręce Maksima Fiodorowa, bo w tym miejscu kończyły się wpływy Sowietów. Miał nadzieję, że nie będzie jak kiedyś, gdy uciekali we dwoje z Nadeńką z Nikołajewki po zamordowaniu Woroszyłowa. Jego ukochana mimo tego, co zrobił jej ten bydlak, przez niemal całą drogę roniła łzy nad jego losem. Nie zniesie, jeśli i tym razem Nadia będzie opłakiwała swojego kochanka. Wystarczy, że będzie musiał się zmierzyć ze łzami córki. I nie będzie mógł jej powiedzieć o Fiodorowie ani jednego złego słowa.

Być może zaryzykowałby, jak niegdyś, i najpierw pozbawił życia Maksima, ale teraz nie zrobiłby tego z uwagi na Oleńkę. Mógł się odgrażać, a nawet wyobrażać sobie martwego Fiodorowa, ale dla jego córki był to teraz ktoś ważny. Nie zastanawiał się ani przez chwilę, co poczuje Maksim, gdy odkryje, że Nadia uciekła i zabrała ze sobą córkę. On pewnie też nie myślał o Wissarionie, gdy odbierał mu wszystko po kolei. Pułkownik będzie nadal posiadał pieniądze ze szwindli i szabrownictwa, a także władzę, Wisza wówczas nie miał nic. Jedyne nadzieję.

35.



Wrocław, 1948

– A teraz pójdziemy do mojej pracy – powiedziała Nadia, gdy odebrała Aleksandrę ze szkoły.

– Przecież ty nie pracujesz. – Dziewczynka wydeła usta.

– Czasami coś robię, tylko mi za to nie muszą płacić. Pomagam pakować różne potrzebne rzeczy dla osób, które przyjechały z daleka i nic nie mają. Albo bardzo niewiele. Sama widzisz, jakie ubranka noszą niektóre twoje koleżanki i koledzy.

– Bo nie wszyscy mają takich tatusiów jak ja – odparła dumnie.

Nadia zacisnęła usta, by nie powiedzieć czegoś niewłaściwego, na przykład tego, że niedługo odzyska prawdziwego ojca. Oleńka, gdy jeszcze mieszkali we Lwowie, niekiedy pytała o dużego, silnego pana, którego nazywała tatą. Niewiele pamiętała z ich wspólnego życia, była na to za malutka, ale obraz czułego mężczyzny, który nosił ją na rękach, utkwił w jej małej główce. Powiedziała wówczas Oleńce prawdę, że był to jej prawdziwy tatuś, ale zaginął bez wieści i teraz ma nowego ojca. Nie sądziła, że dziewczynka zdoła rozpoznać Wiszę. Kiedy mieszkała z ciotką Zinowjewową w Horałce, Wissarion nosił gęstą brodę i miał przydługie włosy. Teraz był krótko ostrzyżony i nie miał bujnego zarostu.

– A gdy skończę pracę, pojedziemy na bardzo długą wycieczkę w góry. Nie widziałś nigdy gór, prawda? – dodała.

– Nie widziałam... A czy tatuś z nami pojedzie?

Kiedy za każdym razem dziewczynka mówiła o Maksimie, Nadia miała ochotę dać jej w skórę. Jakby jej córka celowo o nim wspominała co chwilę, żeby ją dobić. Oczywiście, to było głupie myślenie. Aleksandra po prostu kochała swojego nowego ojca i Nadia nie była w stanie zmienić tego z dnia na dzień.

– Nie, kochanie. Tatuś jest teraz bardzo zajęty, zawiezie nas jeden pan – odparła.

Aleksandra się przyzwyczaiła, że zawsze mieli kierowcę. Ani Nadia, ani Maksim nie prowadzili samochodu, chociaż Fiodorow posiadał taką umiejętność. Jednak nie wypadało, żeby pułkownik NKWD sam powoził. I pewnie dlatego jej córka nawet nie zapytała, kim jest ów człowiek, który zawiezie je w góry. Dla niej kierowcy to były anonimowe postaci wpisane w ich wrocławskie życie, tak samo jak żołnierze pełniący służbę przed kamienicą, w której mieszkali.

Maksim czekał, aż ekipa budowlana wyremontuje jedną z poniemieckich willi na Biskupinie, by mogli zamieszkać we własnym domu z ogródkiem. Długo szukał takiej, która byłaby najodpowiedniejsza, i nie zważał, czy jest już zasiedlona czy nie. Jeden rozkaz i mógł ją zająć dla siebie. To miał być jego prezent z okazji kolejnej rocznicy ich ślubu. Pragnął, by wszystko w ich nowym domu było doskonałe i sam niekiedy doglądał prac, ale teraz był zbyt zajęty, by wszystkiego dopilnować. Obiecał, że wprowadzą się do willi jesienią, gdy już się zakończy wystawa i Międzynarodowy Kongres Intelktualistów, który miał się odbyć do Wrocławia mnóstwo ludzi z zagranicy, w tym samego Pabla Picassa. Nadia pomyślała, że nigdy nie zamieszka w tym domu, a Oleńka nie będzie miała własnej huśtawki. Wszystko się zmieni w ich życiu, ale wierzyła, że tylko na lepsze.

Nie mogła się skupić na swoim zajęciu i jedynie przekładała bezwiednie ubrania z jednej sterty na drugą. Oleńka biegła po magazynie i zaglądała w każdy kąt. Była ciekawskim dzieckiem i lubiła być w ruchu. Nadia miała nadzieję, że nie będzie marudziła, jeśli będzie musiała spędzić w aucie kilka godzin. Pamiętała ich podróż ze Lwowa do Wrocławia. Przynajmniej raz na dwie godziny kierowca musiał się zatrzymywać, żeby Oleńka rozprostowała nogi i pobrykała na świeżym powietrzu.

Spojrzała na zegarek, a potem poszła do pomieszczenia z rzeczami dla niemowląt i wyciągnęła spomiędzy regałów worek, w którym znajdowały się ubrania dla nich obu i wygodne buty dla córki. Potem zawołała dziewczynkę. Musiały wymknąć się niepostrzeżenie, a ciekawość Oleńki była dobrym pretekstem, by wyjść tylnymi drzwiami na plac, gdzie stały furgonetki.

Wissarion już na nie czekał. Podszedł do nich, wziął od Nadii worek z ubraniami, wrzucił na pakę obok innych dóbr dla punktów aprowizacyjnych, a potem wy-

ciągnął dłoń w kierunku Oleńki. Widziała, że jest zdenerwowany i poruszony spotkaniem z córką.

– Dzień dobry, jak masz na imię? – zapytał drżącym głosem.

– Ola – bąknęła dziewczynka i schowała się za Nadia, nie podając Wiszy ręki.

– Przywitaj się z panem – poprosiła Nadia.

Niepewnie wyszła z za jej pleców i wyciągnęła drobną rączkę. A potem popatrzyła na Wissariona. W przedziwny sposób...

– Ja cię znam – powiedziała nagle.

– Naprawdę? A skąd mnie znasz? – zapytał Wissarion, lekko się jękając.

– Nie wiem. Chyba ze wsi... – odparła dziewczynka.

Nadii ulżyło. Wiszy być może również, chociaż zapewne wolałby, gdyby córka rozpoznała w nim swojego tatę. Niestety, gdy dziewczynka podrosła i zaczęła cokolwiek kojarzyć, Wissarion właściwie zniknął z jej życia.

– Chodź, Oleńko, posadzę cię do szoferki – zaproponował, a potem wziął dziewczynkę na rękę.

Nadia widziała, jak ją przytulał i głaskał po włosach. Zamrugła szybko, żeby się nie rozplakać, a potem wsiadła do samochodu. Wiedziała, że przez całą drogę będzie spięta i wystraszona, jednak tuż obok siedziała jej córeczka, która zapewne zasypie ją pytaniami.

Mijali kolejne zrujnowane ulice, place budowy, na których zawzięcie pracowali ochotnicy i przodownicy pracy, a potem krajobraz się zmienił. Słońce chyliło się ku zachodowi, zniknęły rumowiska, a przed nimi była pofałdowana bezkresna przestrzeń.

– Gdy tylko znajdziemy kawałek lasu, pójdziecie na tył i przebierzcie się. Taka elegantka rzuca się w oczy. Podobnie jak dziecko ubrane niczym mała księżniczka.

Nadia odniosła wrażenie, że w głosie Wissariona pobrzmiwała ironia.

– Dobrze – odparła krótko. – Przygotowałam dla nas ubrania właściwe na taką wycieczkę.

Rzeczywiście pół godziny później nie wyróżniały się na tle innych osób.

Na szczęście jazda po nierównych drogach sprawiła, że Oleńka położyła głowę na jej kolanach i zasnęła.

– Dobrze prowadzisz – powiedziała do Wiszy.

– Dajże spokój, teraz to żadna filozofia, ale we Wrocławiu cały się zapociłem ze zdenerwowania – odparł, a potem ścisnął jej dłoń i powiedział: – Nadeńko, wszystko będzie dobrze.

– Wiem, Wisza. Musi być dobrze.

– Jakby nas zatrzymali do kontroli, wiesz, co masz mówić? – dopytywał.

– Tak, zabrałeś mnie z dobroci serca. Jadę do ciotki, do Kudowy.

Patrzyła tępo przed siebie, aż słońce całkiem zaszło i zrobiło się ciemno. Droge oświetlały mdłe reflektory furgonetki, a ona przypominała sobie, jak uciekała z Wiszą z Nikolajewki. Wówczas po raz pierwszy i ostatni znalazła się na granicy życia i śmierci. Pamiętała do tej pory, jak było jej dobrze, gdy straciła przytomność. Dzięki temu bała się jedynie cierpienia, a nie umierania. To było tak dawno temu, a oni znowu musieli zrobić to samo. Jakiż los był niesprawiedliwy, jeśli dwoje ludzi, którzy tak bardzo się kochali, skazywał na ciągłą poniewierkę.

Wissarion wyciągnął spod siedzenia płócienne zawiniątko i podał jej.

– Kochanie, to pistolet. Jest naładowany. Pamiętasz, jak to się obsługuje?

– W naszym pokoleniu każdy to potrafi, ale do kogo miałabym strzelać? – Uśmiechnęła się słabo.

– Zaraz zrobimy postój i poćwiczysz odbezpieczanie tej broni. A potem włóż ją do kieszeni płaszcza. Jeśli nas zatrzymają i nie będą chcieli puścić, musimy być przygotowani, żeby strzelić i zabić. Tylko błagam, nie rób tego, dopóki ci nie powiem. Gdyby spotkała nas jakaś kontrola, nie panikuj. Mam dobre papiery z Komitetu Pomocy. I nie odzywaj się, dopóki nie zadadzą ci pytania, dobrze?

– Dobrze, Wisza – powiedziała cicho.

Zatrzymali się na leśnym dukcie i Wisza kilka razy pokazał jej, jak szybko i sprawnie odbezpieczyć broń. Nie miała z tym problemu, chociaż od dawna nie trzymała pistoletu. Chyba ostatni raz, gdy mieszkała ze wszystkimi na kupie we Lwowie. Wtedy prawie w każdym domu znajdowała się broń.

Po krótkim postoju, gdy już mieli wsiąść do samochodu, powiedziała:

– Oleńka śpi. Proszę, przytul mnie mocno i powiedz, że nam się uda.

Wziął ją w ramiona, ale milczał. Zapewne sam się martwił, czy wszystko pójdzie zgodnie z planem.

– Kocham cię, Nadeńko. I naszą córeczkę. Jesteście dla mnie najważniejsze. Nikt i nic więcej się nie liczy.

– Wissarionie, jesteś częścią mnie. Wiedziałam to już wtedy, gdy szliśmy z Charkowa polami w nieznanym nam kierunku. Byliśmy głodni, trzymaliśmy się za ręce, a ja pierwszy raz od wielu miesięcy poczułam się szczęśliwa. I pomyślałam wtedy, że jeśli ty jesteś obok mnie, już nic złego mnie nie spotka.

– A jednak wypuściłem cię z rąk. Przepraszam, Nadeńko. Przepraszam, że po rzezi w Orliczynie zostawiłem cię samą. Przepraszam, że pozwoliłem, aby ten bydlak mi cię zabrał. Przysięgam, że dopóki żyję, nigdy nie zostawię cię samej. Będę o ciebie walczył do śmierci – powiedział cicho.

– Wiem, Wisza. Wiem... – odparła, a potem wsiadła do szoferki.

Nie miała pojęcia, jak długo jechali, gdy w pewnej chwili zobaczyli dwa wojskowe gaziki. Kilku mężczyzn z karabinami stało na drodze, a jeden z nich nakazał ruchem ręki, żeby się zatrzymali. Od razu wpadła w panikę, ale Wisza ją uspokoił.

– Jesteśmy blisko granicy. Sprawdzą dokumenty i nas puszczą. W końcu wieziemy aprowizację do Kudowy.

– O tej porze? – zapytała drżącym głosem.

– Nadeńko, jestem przodownikiem pracy – odparł ze śmiechem. Zapewne sam był zdenerwowany, ale chciał, aby ona czuła się bezpiecznie.

Wissarion zahamował, ale nie wyłączył silnika. Jeden z żołnierzy podszedł do auta i otworzył drzwi.

– Proszę zgasić silnik i wysiąść z samochodu.

– Czy to konieczne? – zapytał Wissarion. – Mamy tu małą dziewczynkę. Śpi.

– Ona niech zostanie, a wy wysiądźcie.

Nie było sensu dyskutować. Ani też strzelać do tych ludzi. Ich było pięciu i mieli karabiny. Gdyby choć sięgnęli po broń, chwilę potem oboje leżeliby martwi.

Światła gazików oświetlały drogę, a Nadia ujrzała wycelowane w nich lufy karabinów. Na rozkaz jednego z żołnierzy podnieśli ręce. Stali tak nieruchomo przez chwilę. Coś zaczęło się jej nie zgadzać... Żaden z nich nie poprosił o dokumenty ani nie sprawdził, co wiozą. Mieli mnóstwo jedzenia i ubrań, gdyby żołnierze z patrolu je zabrali, mieliby wikt dla swoich rodzin na cały miesiąc. Dlaczego nic nie mówili, o nic nie pytali i nie oglądali paki auta, tylko zastygli w bezruchu?

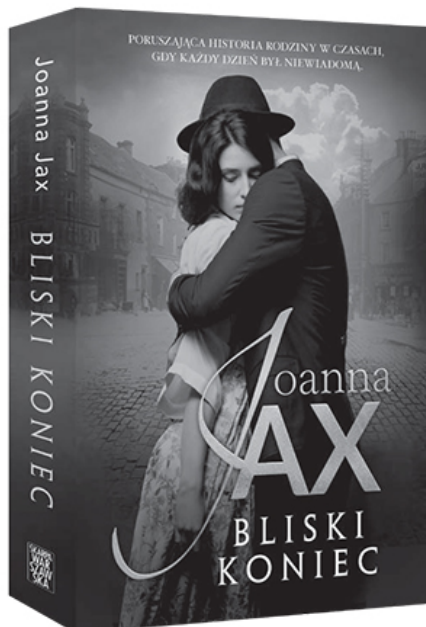
Nagle usłyszała, że ktoś otwiera drzwiczki jednego z gazików. Oślepiąca przez światła samochodów, nie była w stanie zobaczyć, kim jest ów człowiek. I wtedy usłyszała dobrze znany jej głos:

– Wybierasz się dokądś, moja kochana żono?

Koniec tomu I

POLECAMY RÓWNIEŻ

SAGA RODU NIEMOJSKICH





Przypisy



[1] wykidać – wyrzucić.

Tłumaczenia przytoczone na podstawie następujących publikacji: Zofia Kurzowa: *Polszczyzna Lwowa i Kresów południowo-wschodnich do 1939 roku*. Universitas, Kraków 2006; Stanisław Domagalski: *Lwowska mowa bałakowa*. Bollinari Publishing House, Warszawa 2013.

[2] zirkać – patrzeć, zerkać

[3] gwer – karabin

[4] hajdamaka – *pogardl.* Ukraińiec

[5] sumować się – trapić się, rozmyślać

[6] turbować się – martwić się

[7] rymunda – zła kobieta

[8] hausmajsterka – dozorczyńni

[9] na zicher – na pewno

[10] bajbus – dzieciak

[11] czemny – miły, grzeczny

[12] mantełepa – głupia, zła kobieta, pot. wredna małpa

[13] łandyga – zła kobieta lub wysoka kobieta

[14] mieć masło na głowie – mieć kłopot, problem

[15] czerepacha – człowiek niekulturalny, prostak

[16] recht – racja, zgoda

[17] bajstruk – dziecko

- [18] hyćkać – kołysać
- [19] ślozy – łzy, smarki
- [20] kochmaszyna – kochanka
- [21] fatyrki – rodzice
- [22] furdygarnia – więzienie
- [23] bisnowaty – narwany, głupi, postrzelony
- [24] tyc – żart, dowcip
- [25] mieć się jak groch przy drodze – czuć się niedobrze, być niespokojnym
- [26] horpyna – duża kobieta
- [27] harbuz – dynia, *Cucurbita pepo*
- [28] ferszalung – kombinezon, ubranie robocze
- [29] szlusrok – wizytowa marynarka
- [30] anglez – marynarka
- [31] mensze bilsze – mniej więcej
- [32] tamowaty – głupi, ciężko myślący, nierozgarnięty, milczący
- [33] bratrura – wóz przewożący trumny
- [34] litosierny – litość i miłosierdzie
- [35] debrza – zarośla
- [36] pan Łopatyński – grabarz
- [37] kikować – zerkać, spoglądać, patrzeć
- [38] szac – piękna, ładna, elegancka
- [39] skiła – pies
- [40] kwacz – więzienie
- [41] chabal – adorator
- [42] hłuzdy – rozum, klepki w głowie

- [43] drumla – stara, kłótniwa kobieta
- [44] kalamancja – kłopot, problem
- [45] miszać – każdy ruch z dopingowaniem
- [46] kandyba – kobieta kłótniwa, wredna
- [47] tucza – chmura
- [48] ślipunder – ślepiec
- [49] furt i ciągiem – wciąż, bez przerwy
- [50] tyrpać – nie dawać spokoju, męczyć żądaniami, wymówkami
- [51] kojdyń – odważny
- [52] łaby – stopy
- [53] ancug – ubranie męskie
- [54] cyferblat – twarz
- [55] dać dęba – uciec